

78
MAREK HŁASKO

WSZYSCY BYLI
ODWRÓCENI

BRUDNE CZYNY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

" 745.501

WSZYSCY BYLI ODWROCENI

BRUDNE CZYNY

MIAREK FLASKO

WSZYSCY BYLI

WSZYSCY BYLI ODWRÓCENI

1978 rok

BRUDNE CZYNY

BRUDNE CZYNY

EDWARD M. SHAW

INSTYTUT POLSKICH STUDIÓW
POLSKIEGO INSTYTUTU STUDIÓW
POLSKIEGO INSTYTUTU STUDIÓW

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom XCVI



IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

MAREK HŁASKO

**WSZYSCY BYLI
ODWRÓCENI
—
BRUDNE CZYNY**

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1964

MARK HAZKO

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010618309

W SZYSCY BYLI
ODWROCI
TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECE „KULTURY”

Cmentarze. Następny do raju, 1958.

Hrbitovy, 1959.

Opowiadania, 1963.

II 745,501



© Copyright pour la langue polonaise INSTITUT LITTERAIRE, 1964
Droit mondial: Verlag Kiepenheuer und Witsch — Köln

1965 W 1585/3

WSZYSZY BYLI ODWRÓCENI

Dla Soni

W czarnym kapeluszu, w czarnym płaszczu, o posępnej twarzy okolonej rozwichrzoną brodą — wyglądał jak ptak z fantastycznej opowieści; jak z bajki którą opowiada się dzieciom do zaśnięcia a które są jednym z koszmarów dzieciństwa. Człowiek ten siedział za stolikiem ustawionym na ulicy przed gmachem sądu, a na stoliku stała maszyna do pisania. Ludzie którzy byli jego klientami byli zbyt biedni, aby wynająć sobie adwokata, ale on był nie gorszy od każdego z adwokatów w tym mieście. Potrafił pisać skargi i petycje w każdej sprawie; w sprawie alimentów, w sprawie katastrofy samochodowej, i potrafił przewidzieć, jaki będzie wyrok. Miał poza tym świadków; począwszy od młodych o niewinnym spojrzeniu, którzy przypadkowo przechodzili ulicą i widzieli właśnie to, o czym on im opowiedział czasem w dwa miesiące a czasem w rok później — a skończywszy na dostojnych starcach, którym nikt nie odważyłby się zarzucić kłamstwa.

Poprawił kapelusz; pot ściekał mu strugami na kark a jego klient poruszył się niespokojnie. Kartka czystego papieru wciąż jeszcze tkwiła w maszynie i od piętnastu minut nie napisał ani jednego słowa.

— Czy źle wygląda sprawa? — zapytał klient.

— Nie — powiedział czarny ptak. — Będzie dobrze.

— Tak właśnie myślałem — powiedział klient. — Chcę, żeby tego człowieka ukarano. Chcę, żeby poszedł do więzienia.

— To będą dwie sprawy — powiedział ptak. — On pójdzie dwa razy do więzienia.

— To bardzo dobrze — powiedział klient.

— Nie tak znowu dobrze jak myślisz.

— Dlaczego?

— Bo on pójdzie teraz do więzienia pierwszy raz z twojej ręki. Potem wróci i znów pójdzie siedzieć. Będzie miał sprawę o pobicie. A tym pobitym będziesz ty.

— Nie boję się go — powiedział klient.

Pisarz nie odpowiedział; patrzył na samochód policyjny który zatrzymał się przed gmachem sądu. Młody policjant wyszedł z szoferki i obszedłszy samochód otworzył tylne drzwi, a wtedy dwaj mężczyźni zeskoczyli na ziemię. Byli skuci.

— Rozkuj mnie — powiedział jeden z nich do policjanta.

— Jest przepis, żeby doprowadzać na salę w kajdanach — powiedział policjant.

— Mamy jeszcze dziesięć minut czasu — powiedział mężczyzna. Jeszcze zdążysz skuć mnie z powrotem. — Odwrócił się nagle; dojrzał pisarza i jego klienta i poszedł ku nim pociągając drugiego mężczyznę za sobą. Czarny ptak nie poruszył się nawet, kiedy tamci stanęli nad nim; patrzył na ciemną, muskularną rękę która wyciągnęła się ku niemu i wyszarpnęła z maszyny papier. Mężczyzna zgniótł papier w kulkę i odrzucił go. Potem weszli do budynku sądu, a policjant szedł za nimi wachlując spoconą twarz czapką.

— Miałeś rację — powiedział klient do czarnego ptaka. — Rozmyśliłem się. Zaoszczędzę sobie kosztów. Dlaczego my, Żydzi, musimy się zawsze kłócić.

— Zawsze ci to mówiłem — powiedział pisarz.

Klient chciał odejść, ale czarny ptak chwycił go za poję marynarki i przyciągnął z powrotem.

— Chwileczkę — powiedział. — Należą mi się jeszcze pieniądze od ciebie.

— Pieniądze? A za cóż to?

— Za poradę — powiedział pisarz.

Policjant wprowadził ich na salę rozpraw, prawie pustą jeszcze o tej porze. Nie było tu prawie nikogo; jakiś człowiek siedzący obok okna oglądał swoje brudne paznokcie i te zdawały go się interesować bardziej od kajdanek, którymi był skuty.

— To dobry sędzia — powiedział do nich policjant, kiedy już usiedli. — Nie potrzebujecie go się bać. — Patrzył na nich; na dwóch mężczyzn siedzących nieruchomo: opalonych, ciemnych i szczupłych; nie odpowiedzieli mu, więc powiedział jeszcze raz: — To dobry sędzia. Nie trzeba go się bać. Jak go tylko zobaczycie będziecie widzieli, że mam rację.

— Płacą ci też za gadanie? — zapytał jeden z nich.

— Rozumiem to — powiedział Dov. — I powiedziałem ci już, że szkoda twojego czasu. Możesz wstać i odejść. Nie potrzebujesz płacić za to krzesło.

— Ty jesteś jak dziewczyna, Dov — powiedział wolno tamten. — Zawsze jak dwie jakieś tam przyjaźnią się z sobą, to jedna jest ładna a kiedy patrzysz na drugą to cię oczy bołą. A ty po prostu ciągniesz za sobą tego człowieka, chociaż ze wszystkich ludzi na świecie ten akurat najmniej pasuje do ciebie.

— Daj mi też szansę — powiedział Izrael. — Wierz mi, że postaram się być dobry. — Pochylił się ku tęgiemu. — Zapytaj go — powiedział wskazując palcem na Dova. — Wczoraj mieliśmy drakę z gośćmi w takim jednym barze. Zapytaj go, czy byłem zły. — Dotknął jego ramienia, ale tęgi mężczyzna strząsnął rękę.

— Dov — powiedział tęgi. — Tym ludziom którzy są silni zawsze się zdaje, że potrafią coś zrobić dla słabych. To tak samo jak mądrym którym się zdaje, że potrafią nauczyć czegoś głupców. Ale tak nie jest. Bo na końcu zawsze silni idą do diabła przez słabych a mądrzy wariują przez głupców. I nigdy nie bywa inaczej. Dlaczego mnie właśnie prosiłeś o pomoc.

— Powiem ci — powiedział Dov. — Dlatego właśnie, że wszyscy porządni ludzie myślą w ten sposób. Ale ja ciebie znam i wiem że jesteś podły.

Patrzyli chwilę na siebie a potem tęgi mężczyzna roześmiał się nagle.

— Ej — powiedział do kelnera. — Przynies nam, kochanie, butelkę koniaku. — Pchnął kelnera swoją ciężką ręką i kelner przebiegł przez salę jednym susem. Tęgi powiedział do Dova: — Pamiętaj, że ja ci to powiedziałem. Pamiętaj, że było już takich dwóch cacusiów na świecie z których jeden nazywał się Dawid a drugi Goliath.

— Dobrze — powiedział Dov. — Będę pamiętał twoje skrzydlate słowa. — Patrzył przed siebie; wprost na morze gdzie rozbłyskiwały już pierwsze światła a potem odwrócił głowę w lewo i patrzył na światła Jaffy. — Ale lepiej już być Goliathem i zginąć od kamienia — powiedział — jak być Dawidem który został królem i przez którego płakali ludzie.

— To już ty mówisz, a nie ja, Dov — powiedział tęgi mężczyzna. — Wziął do ręki szklankę i trzymał ją w dłoni. — Ty masz brata w Ejlacie, Dov?

— Tak — powiedział. — Dlaczego o tym mówisz?

— Ty dzisiaj wyszedłeś z sądu i sędzia powiedział ci, że jak ci się jeszcze raz coś przydarzy to usiądziesz sobie fest, nie? Więc ja ci powiem: przytrafi ci się na pewno. Tel-Aviv jest

większy od Ejlatu i tu się znowu coś zdarzy a wtedy sędzia nie będzie już mówił o bohaterskiej przeszłości oskarżonego...

— Dosyc — powiedział Dov.

— Więc jedź lepiej do Ejlatu — powiedział tamten. — Tam całe miasto jest pełne takich jak ty. Tam możesz sobie robić co chcesz i nikt nie będzie się ciebie czepiał, a jak dasz komuś po mordzie, to tamten najwyżej ci odda i obejdzie się bez policji. Ja ci dam swojego jeepa a ty mi go spłacisz. W Ejlacie pójdziesz do takiego jednego gościa który pracuje na lotnisku i on ci już pomoże znaleźć turystów, których powozisz trochę po pustyni i tak dalej. Turyści lubią sobie wytrząsać flaki, robić zdjęcia i w ogóle czuć się bojowo. A ty będziesz z tego żyć. — Nalał sobie koniaku i milczał przez chwilę. — Przepraszam — powiedział. — Będziecie z tego żyć. A potem, na zimę, wrócisz do miasta i rozliczysz się ze mną.

— Dobrze — powiedział Dov. Wstał. — Pójdę zadzwonić do hotelu, że zwalniamy pokój — powiedział. — Jeśli naprawdę możemy dzisiaj wyjechać.

Przeszedł przez salę a kobiety odwracały za nim głowy ale ale on nie widział ich; szedł jak człowiek idący polem pełnym zboża i rozgarniający je rękami.

— To śmieszne — powiedział tęgi mężczyzna do Izraela. — Nikt tak nie potrafi obrazić jak kobieta, co?

— Tak — powiedział Izrael.

— Kiedy widział się z nią po raz ostatni?

— Może przed rokiem — powiedział Izrael. — A może jeszcze dawniej.

— I ciągle o niej myśli?

— Tak. Chyba tak.

— To ona go załatwiła — powiedział tęgi mężczyzna. — I od tego czasu chodzi jak ślepy. Dlaczego się właściwie rozeszli? Powiedział ci?

— Nie. On o tym z nikim nie mówi. Nawet ze mną.

— Powiedz mu, żeby przestał o niej myśleć. Chwała Bogu, jest ich dosyc. I powiedz mu, że ja to mówię.

— Nie — powiedział Izrael. — Sam mu to powiedz. Dlaczego nie chciałeś mi dać pracy?

Tęgi spojrział na niego; po raz pierwszy tego wieczoru. Odstawił trzymaną szklankę na stół.

— Powinieneś wyjechać stąd — powiedział. — Nie nadajesz się do tego kraju i nie lubisz go. A Dov kocha ten kraj. Szkoda tylko, że skończy tak głupio. — Patrzył przed siebie; oczy miał zmęczone, zaczerwienione. — Kiedy ja przyjechałem do tego kraju — powiedział — to człowiek który szedł do ki-

bucu aby tam osuszać bagna, budować drogi lub zakładać gaje pomarańczowe — był w tym kraju człowiekiem numer jeden. A dzisiaj jest nim bogaty Żyd z Ameryki, który przyjeżdża tu, inwestuje forszę i nie chce mu się nawet nauczyć dziesięciu słów po hebrajsku. No więc i ja zacząłem robić forszę. Bo i dlaczegóż by nie? Nie lubię być głupszy od innych. Więc mówię ci: wyjedź stąd. Ja ci to mówię, *sonny-boy*.

— Przyzwyczaję się — powiedział.

— Tak. Może przyzwyczaisz się do tego kraju. Ale nie polubisz go.

Dov wrócił, usiadł do stolika. Było już ciemno i wielki księżyc wisiał nisko ponad morzem ale mimo ciemności plaża pełna była jeszcze ludzi wypływających daleko w morze na długich, białych falach.

— Będziemy musieli zostać — powiedział Dov. — Pokój trzeba zwalniać przed szóstą. Gdzie stoi ten twój jeep?

— Tu stoi — powiedział tęgi. — Przytaszczyłem go przeciw ze sobą. Wiedziałem przecież, że muszę ci dać tę szansę. Po to, żebyś ją przesrał. — Patrzyli na jego ciemną, mięsistą twarz i grubą dłoń w której obracał szklanekę. — Co robi twój ojciec, Dov?

— Mieszka razem z bratem.

— No i co tam ze starym? Zmienił się?

— Ma osiemdziesiąt lat — powiedział Dov. — Nie ma się już po co zmieniać. — Wstał; wziął od niego kartę wozu i klucze. Ale nie odchodził jeszcze: stał nieruchomo nie patrząc na tęgiego mężczyznę. — Dasz mi jeszcze zaliczkę — powiedział. — Jakoś muszę tam przecież dojechać. Rozliczymy się w zimie.

— Nie potrzeba ci czasem mojej sztucznej szczęki, Dov? — zapytał tamten. Patrzył za nimi jak przechodzili ulicą i wsiedali do samochodu; dwaj wysocy, szczupli mężczyźni i po raz pierwszy zauważył, że są nawet w jakiś sposób podobni. — No więc — powiedział do siebie głośno. — Po to tu właśnie przyszedłem. Żeby mu dać mój samochód. I moje pieniądze. I żeby on to wszystko zmarnował.

— Czy to pan zapłaci rachunek? — zapytał kelner.

Obrócił się ku niemu.

— A czy tamten, który był, zapłacił ci już kiedyś?

— Był czas, że płacił — powiedział kelner. Poprawił na sobie brudny pas smokingowy; miał olbrzymi nos i chudą, tragiczną twarz. Wyraz goryczy i zdumienia nie opuszczał nigdy jego twarzy. — To ona mu dała radę. — powiedział.

— Tak — rzekł tęgi mężczyzna. — Ona.

Weszli do pokoju i zamknęli drzwi. Nie było czym oddychać; byli spoceni chociaż przeszli tylko parę kroków chodnikiem a potem weszli na pierwsze piętro — ale pot spływał po nich; ich koszule upadły bez szelestu na kamienną posadzkę. Za oknem śpiewał jakiś człowiek; wysokim, ostrym głosem; przejeżdżały z hukiem autobusy a wtedy głos jego nikt a potem znów wznosił się ku nim.

— Tak będzie do świtu — powiedział Izrael. Leżał na łóżku zrzuciwszy z niego koc.

— To ten żebrak z rogu Ben-Jehuda?

— Tak.

— Ten ślepy?

— Tak.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Wejdz — powiedział Dov. Mężczyzna wsunął się do pokoju: był to portier. W rękę trzymał ręcznik, którym ocierał co chwila twarz i ramiona.

— Czego chcesz, Harry? — zapytał Dov.

— Zapomniałeś czegoś, Dov — powiedział tamten. — Czegoś, co ci się często przydaje. Przyniosłem ci to.

Dov odwrócił się powoli ku niemu. Wziął od niego dwa skórzane paski którymi obwiązywał przeguby rąk; paski były stare i ciemne od potu. Patrzył na nie przez chwilę a potem oddał mu je z powrotem.

— Nie będą mi więcej potrzebne — powiedział. — Znalazłem sobie lekką pracę.

— Nie używałeś ich do pracy — powiedział portier.

— Powiedziałem ci już, że nie będą mi więcej potrzebne. — rzekł Dov. — Możesz je sobie wziąć. Albo możesz je po prostu wyrzucić.

— Nie — powiedział Izrael. Wyciągnął rękę do portiera. — Daj mi. Ja je wezmę.

— On mi je już dał — powiedział portier.

— Słuchaj, Harry — powiedział Izrael. — Ten gość, który tu mieszkał przed nami, zostawił tu coś. Oddaj mi te paski a wtedy ja oddam ci tamtą rzecz. — Wyciągnął spod poduszki koszulę i podał ją portierowi.

— Dobrze — powiedział portier. Wyszarpnął mu z ręki koszulę i oddał paski. Ale nie odchodził jeszcze; patrzył na brezentowy worek stojący w kącie.

— To wszystko co macie? — zapytał wskazując ręką na worek. — Ty i on?

— Aż za dużo, kiedy trzeba to nieść — powiedział Dov.

— Mamy jeszcze jeepa — powiedział Izrael. Wyrwał z jego rąk ręcznik, otarł nim twarz i ramiona, oddał mu z powrotem. — A teraz daj nam spać — powiedział. — Weź tę koszulę i powieś ją w swojej szafie gdzie trzymasz te wszystkie rzeczy które odebrałeś od tych gości co nie płacili.

— Tak — powiedział portier. Zawrócił niechętnie do drzwi. Z progu powiedział jeszcze: — Teraz macie jeepa i ten worek. Dobranoc.

— Dobranoc, Harry — powiedział Dov. Kiedy portier wyszedł uniósł się na łokciach i obrócił swoją twarz ku tamtemu. — Dlaczego dałeś mu własną koszulę — zapytał. — Po co ci te paski?

— Przydadzą się.

— Wcale nie chcę, żeby się przydały — powiedział. Patrzył jak Izrael wstaje z łóżka, rozwiązuje parciany worek i chowa tam dwa stare, przepecone paski. Potem popatrzył na przeguby własnych rąk; były jaśniejsze w miejscach gdzie obwiązywał je paskiem. — Zawsze miałem za słabe kości — powiedział. — Za silne mięśnie i za słabe kości. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Czytałem jakąś książkę o takim człowieku. Miał za silne mięśnie i za słabe kości. Ale zapomniałem już jak się ta książka nazywa. Zapomniałem wszystkie książki które czytałem.

— Dov — powiedział Izrael. Jego twarz była teraz zmęczona ale wciąż jeszcze pełna napięcia. — Byłeś już kiedyś w Ejlaicie?

— Byłem tam w czterdziestym ósmym roku — powiedział Dov. — Wtedy, kiedy tam jeszcze nic nie było. Jak się ta książka nazywa? To jest imię i nazwisko jednego gościa...

— Czy myślisz, że się tam urządzimy?

— Będziemy próbować — powiedział. — Boże, żeby ten człowiek przestał już śpiewać. Nie mogę spać. Patrzę na tę cholerną, kamienną posadzkę i nie mogę spać.

Wstał z łóżka, wziął ze stołu stojącą tam butelkę po piwie i rzucił nią w ulicę. Słyszał jak rozprysnęło się szkło; głos śpiewającego urwał się nagle, ale kiedy tylko wrócił na łóżko — głos tamtego rozległ się znowu.

— Dov — powiedział cicho Izrael. — Ten człowiek jest głuchy, nie tylko ślepy. Nic mu nie zrobisz jeśli chce śpiewać.

— Nie mogę spać — powiedział Dov.

— Dlaczego nie chcesz jeszcze raz z nią spróbować? — zapytał Izrael. — Może wam się uda?

— Komu się to udaje? — powiedział. — Wstał znowu; podszedł do okna zasłaniając je plecami. — Która godzina? — zapytał.

— Pierwsza.

— Za godzinę pojedziemy — rzekł. — spróbuj teraz spać.
— Wyszedł na korytarz i poszedł do łazienki trzymając w ręku zielony, wojskowy ręcznik. Łazienka była zajęta; oparł się plecami o ciepłą ścianę i czekał. Potem jakaś dziewczyna wyszła z łazienki trzymając w ręku sandały.

— Och, Dov — powiedziała. — Pamiętasz mnie? Chodziłam do szkoły razem z twoim bratem...

— Włóż te sandały — powiedział.

— Czego chcesz?

— Włóż te sandały — powiedział. — I nie chodź boso.

— Wariat — powiedziała. — Jeszcze jeden wariat.

Wyrwał sandały z jej rąk i rzucił je na ziemię. Potem wykręcił jej rękę do tyłu.

— Włóż — powiedział. — Patrzył na jej szczupłe, opalone stopy a potem przyklęknął i zapiął jej rzemienie. — Nie przeziębisz się — powiedział.

Wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Stał chwilę pod strumieniem zimnej wody, potem wytarł ciało ręcznikiem i wyszedł. Zobaczył jakiegoś chłopaka stojącego pod ścianą i dziewczynę.

— To ten — powiedziała dziewczyna.

Stał przed nimi w kręgu nikłego blasku. Twarz miał martwą, pustą; jego zrosnięte brwi nadawały tej twarzy wyraz mski — teraz, kiedy stał w półcieniu i nie widać było jego oczu.

— Tak — powiedział chłopak. — To on. Ben Dov.

Chciał odwrócić się i odejść, ale wtedy szarpnęła go za rękę.

— Ty tchórze — powiedziała. — Ty głupi tchórze. — Odepchnęła go i podeszła do Dova. — Weź mnie ze sobą — powiedziała. — Jeśli naprawdę jedziesz do Ejlatu.

Nie patrzył na jej twarz, która była teraz blisko jego twarzy; patrzył tylko na jej stopy w sandałach.

— Zostaw mi swój adres — powiedział.

— Napiszesz do mnie?

— Powiem ci jak było kiedyś w Ejlacie — powiedział. — Nie było kobiet i wtedy chłopcy, którym nie było wolno opuścić miasta, składali się w pięciu na jedną kobietę i kupowali jej bilet lotniczy tam i z powrotem a potem ona przyjeżdżała i z każdym spała przez ten jeden dzień i odlatywała z powrotem wieczornym samolotem. Jeśli się nic nie zmieniło, to na pewno napiszę do ciebie. — Przydeptał jej bosą stopę swoim butem i widział jak jej oczy zmatowiały z bólu. — Chcesz? — zapytał. — Musisz tylko zostawić adres.

Odepchnął ją na ścianę i poszedł do pokoju. Podszedł do okna i zamknął je, potem usiadł na łóżku i patrzył na swoje brązowe ramiona pokryte znów potem. Otarł je ręcznikiem raz i drugi, potem odrzucił ręcznik który upadł ciężko na posadzkę.

— Spisz? — zapytał.

— Nie.

— I ja nie mogę spać — powiedział. Chyba już nigdy nie będę mógł spać. To ta cholerna posadzka, Izrael.

— Posadzka przeszkadza ci spać, Dov?

— Bo myślę wtedy o niej — powiedział. Leżał nieruchomo; ramiona trzymał pod głową i starał się nie czuć potu, nie myśleć o nim. — I przypominam sobie jak ją pierwszy raz zaprowadziłem do pokoju w Jerozolimie — powiedział. I było gorąco a ona chodziła nago po pokoju i jej stopy zostawiały ślad na kamieniach. To tak, jakby wyszła z rzeki, mówię ci. Ale nie przeszkadzało mi to. Ani to, że było gorąco, ani to, że była mokra. A potem wracała do mnie, do łóżka i robiliśmy znaki na ścianie. I rano powiedziała do mnie: Postawiłeś o jedną kreskę za dużo, Dov. Nie, powiedziałem, postawiłem akurat tyle kresek ile było. Dov, powiedziała. Kocham cię. Nie chciałabym sprzeczać się z tobą o tę jedną kreskę. Podeszła do ściany i zmazała te znaczki. Zaczniemy jeszcze raz od początku, powiedziała.

Umilkł.

— Kiedy ją widziałeś po raz ostatni, Dov? — zapytał tamten.

— Półtora roku temu — powiedział Dov. — Wtedy właśnie, kiedy mieliśmy się rozjeść. Ale spotkałem ją wieczorem przed rozprawą i ona poszła do mnie a ja to powiedziałem sędziemu i sędzia oddalił sprawę.

— Dlaczego nie pojedziesz teraz do niej, Dov? Powiedz jej, że chcesz spróbować z nią jeszcze raz.

— Nie — powiedział. — To wszystko nie ma już sensu. — Wstał, podszedł do łóżka tamtego. — Idź spać na moje łóżko — powiedział. — Chcę się odwrócić twarzą do ściany. Nie chcę widzieć tej cholernej posadzki.

— Wróć do niej, Dov — powiedział Izrael. Patrzył na mężczyznę stojącego przed nim; na jego ciężką, pochyloną głowę i krzywo zrosnięte brwi. — Dlaczego nie spróbujesz jeszcze raz być odważnym.

— Mam coś lepszego od odwagi — powiedział Dov. Wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni; wyjął z niego fotografię i podsunął pod oczy tamtego. Spójrz na tego gościa — powiedział. — Ten gość nie waży więcej jak sto trzydzieści funtów. I jest przy tym i mały, i głupi i tchórzliwy Popatrz na niego.

— Izrael siedział nieruchomo na łóżku. — Weź do ręki tę fotografię — powiedział Dov. — Ale już.

— I po co to, Dov? — zapytał Izrael. — Czy musisz nosić przy sobie fotografię kochanka żony?

— To tylko dlatego, żeby pomóc własnej pamięci — powiedział Dov. — Ludzie niczego nie boją się tak, jak własnej pamięci. A ze wszystkich ludzi na świecie ja się jej najbardziej boję. Więc po to. Jeśli się kiedyś zakocham, to wyjmę tę fotografię, popatrzę sobie na nią i powiem: Uważaj, Dov. To właśnie z kimś takim jak ten może odejść od ciebie żona. — Wyciągnął rękę. — Oddaj — powiedział.

— Nie — powiedział tamten. — Nie oddam ci jej. Od roku mieszkam z tobą i od roku nosisz z sobą to zdjęcie. Nie, Dov. Nie oddam ci tego.

— Oddaj mi to zdjęcie, Izrael — powiedział Dov.

— Nie — powiedział tamten cofając się podczas gdy Dov szedł ku niemu. Nie oddam ci tego zdjęcia, Dov. — Podarł je i wyrzucił strzepy za okno. — Uderz mnie, jeśli ci to jest potrzebne — powiedział. — Każdy człowiek może zostać kiedyś uderzony. Dlaczego nie zostać uderzonym za dobrą sprawę? — Patrzył na ręce tamtego opuszczone teraz bezsilnie; potem odepchnął go łagodnie; wziął z kąta drelichowy worek i zarzucił go sobie na ramię. — Czas na nas, Dov — powiedział.

— Możemy zostać jeszcze dwie godziny — powiedział tamten. Usiadł ciężko na łóżku; ramiona jego wciąż jeszcze drgały. — Mamy jeszcze czas.

— Nie — powiedział Izrael. — Jedziemy. Pojedziemy jeszcze raz do twojej żony. Ostatni raz.

Wszedł portier.

— Ludzie się skarżą, że głośno u was — powiedział. — Nie mogą spać. Chyba ktoś, kto płaci za hotel ma prawo przespać się trochę, nie? — Popatrzył na spocone ramiona Ben Dova. — Zrobię wam trochę herbaty jeśli chcecie — powiedział. — Dwie szklanki za pół funta.

— Jedziemy już, Harry — powiedział Izrael.

— Kiedy wrócicie z powrotem do miasta, przyjdźcie do mnie — powiedział portier. — Policzę wam taniej za pokój. Ty wiesz Dov, że ja cię lubię.

— Nie — powiedział Dov. Wstał z łóżka i włożył koszulę. — Ty mnie nie lubisz i ja cię nie lubię. W ten sposób sprawa się zamyka.

— Nie chcecie herbaty? To by wam dobrze zrobiło.

— Nie.

Zeszli w dół ciemnymi schodami i weszli do jeepa wrzuciwszy worek na tylne siedzenie. Żebrak siedzący na rogu Ben-Jehuda śpiewał wciąż jeszcze chociaż ulice były już puste od dwóch godzin. Dov pochylił się; wyjął z kieszeni funta, zmiął go w kulkę i rzucił żebrakowi. Przerwał śpiew i zwrócił swoje puste oczy w ich stronę.

— Jesteś dobrym człowiekiem — powiedział. — I Bóg cię nie opuści.

— Jest nas dwóch — powiedział Dov. — Dlaczego mówisz tylko do mnie?

— Jesteś dobrym człowiekiem — powiedział tamten. — I Bóg cię nigdy nie opuści.

— Dov — powiedział Izrael. — Mówiłem ci już, że ten człowiek jest głuchy.

— Dobrze — powiedział Dov. Odwrócił się ku niemu. — Dlaczego nie jedziesz? Znasz przecież drogę.

— Tak — powiedział tamten włączając bieg. — Za godzinę będzie już jasno. I wtedy ją zobaczysz.

— Chcesz naprawdę, żebyśmy do niej pojechali — zapytał Dov.

— Musimy do niej pojechać.

— Nie widziałem jej osiemnaście miesięcy — powiedział sennie Dov. Oparł głowę o dłonie. — Osiemnaście miesięcy, Izrael.

— To się nie będzie liczyć — powiedział tamten. — Liczy się tylko to, że ją teraz zobaczysz. Teraz o wschodzie słońca, Dov.

Opuścili już miasto i jechali pustą szosą. Czuć było jeszcze zapach przekwitłych drzew pomarańczowych; ten zapach żył jeszcze w ciemnym, gorącym i nieruchomym powietrzu nocy. Księżyc jaśniał teraz na szczycie nieba i cień samochodu był ostry niby w dzień. Przeszedł szakal przez drogę i dojrzeli jego ogromne, błyszczące oczy — nie spieszył się wcale i nie lękał samochodu; przeszedł przez szosę na swych miękkich łapach niby obłąkawiony kot.

— Chciałbym, żeby była w tej sukience w której ją zobaczyłem po raz pierwszy — powiedział Dov. Mówił sennym, zmęczonym głosem; jak dziecko, które opowiada o czymś swojej matce przed zaśnięciem. — W takiej zwyczajnej, jasnej sukience z odsłoniętymi ramionami. Jak myślisz: jak ona może być ubrana?

— Nie wiem. Ale może będzie właśnie tak ubrana jak mówisz. Dlaczego ona odeszła od ciebie, Dov?

— Myślę, że to moja wina, Izrael — powiedział. — To dlatego, że nie umiałem nigdy pomyśleć zanim coś zrobiłem. Może byłem za gwałtowny, ale przecież nie jestem własnym patentem. Nie wymyśliłem samego siebie. To nie tylko inni muszą mnie znosić. Ja sam muszę także siebie samego znosić i nie idzie mi to wcale łatwo. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Myślę, że to naprawdę wszystko moja wina. Ale nauczyłem się chyba czegoś w ciągu tych półtora roku. I ona chyba też.

O czwartej rano wjechali do wsi. Jechali wzdłuż szeregu parterowych domów, potem Dov powiedział:

— Zatrzymaj się tutaj.

Stanęli przed jakimś płotem który odgradzał wioskę od drogi; płot ten miał trzysta, może trzysta pięćdziesiąt metrów długości i był wysoki — sięgał do ramion.

— Co to za cholerny płot? — zapytał Izrael. — Czy oni tam latają nago po polach? A może urządzają próby wodewilu i nie chcą, żeby rabini z miasta ich nakryli?

— Oni założyli tam pardes — powiedział Dov. — Tędy idzie wiatr z pustyni i wywiewa im pewnie nasiona.

— Dlaczego chcesz czekać tutaj, Dov?

Wskazał na dom leżący u końca płotu; okna domu były jeszcze ciemne a okiennice zamknięte.

— To ona tam mieszka — powiedział. — W tym domu. I zaraz musi stamtąd wyjść. Pracuje w przedszkolu i musi tędy iść.

— Dlaczego nie pójdziesz do niej i nie zbudzisz jej? Może tak właśnie byłoby najlepiej.

Odwrócił się ku niemu.

— Bo po prostu boję się — powiedział. — Bo ją znam.

— Nie bój się — powiedział Izrael. — Pamiętaj, co ci powiedział ten żebrak któremu dałeś funta? „Jesteś dobrym człowiekiem, Bóg cię nie opuści”.

— To ona — powiedział Dov.

Drzwi domu otworzyły się i widzieli teraz tylko głowę kobiety, idącej bardzo powoli. Tylko jej głowę; piękną, ciemną głowę młodej kobiety, kiedy kroczyła nienaturalnie powoli po drugiej stronie płotu. Szła tak, jak gdyby była bardzo zmęczona; tak, jak chodzą starzy ludzie, potem zatrzymała się i zawiązała sobie białą chustkę na głowie. Znów ruszyła naprzód; nie widzieli jej nóg ani jej ciała; tylko głowę sunącą ponad zielonym płotem — a potem płot skończył się i zobaczyli, że kobieta jest w ósmym, może w dziewiątym miesiącu ciąży.

O godzinie szóstej wieczorem wjechali do Ejlatu; ich twarze i koszule pokryte były skorupą rdzawego, zaskorupiałego pyłu. Podjechali do budynku w którym mieściła się dyrekcja lotniska; Dov wysiadł z wozu, wszedł do środka baraku; Izrael został w jeepie. Patrzył na pasmo gór — czerwonych teraz w zachodzącym słońcu; potem odwrócił głowę i patrzył na zatokę. Morze było gładkie i ciemne a plaża zapełniała się powoli ludźmi wracającymi z pracy. Samolot typu „Dakota” podrywał się ciężko z ziemi; zatoczył łuk nad zatoką i wchodził ponad góry. Potem Dov wyszedł z baraku.

— Musimy poczekać — powiedział. — Dov zaraz przyjdzie.

— Kto?

— Dov, mój brat.

— Twój rodzony brat nazywa się tak samo jak ty? -- zapytał Izrael. — Przecież to śmiertelny grzech.

— To przez mojego ojca — powiedział. Stał koło jeepa i zdrapywał z twarzy i ramion rdzawą skorupę. — Ty jeszcze nie znasz naszego taty. Kiedy mój brat się urodził, matka chciała go nazwać po swojemu, ale ojciec był z nią o coś pokłócony. Nienawidził jej zresztą przez całe życie. Moje imię będzie dobre dla niego, powiedział. Mnie mój ojciec wybrał imię i jestem zadowolony. On też będzie zadowolony. A potem zawołał mnie i zapytał: jesteś zadowolony ze swojego imienia, Dov? Powiedziałem mu, że tak a wtedy on powiedział do mojej matki: No widzisz. Ten jest zadowolony to i tamten będzie się cieszyć. Wszyscy płakali, błagali go, ale stary się uparł. No i nazywa się Dov, tak jak ja. Potem już rabin nie rozmawiał z moim ojcem.

— A jak go nazywacie?

— Drugi Dov.

Jakaś ciężarówka zatrzymała się koło nich i chłopak stojący na stopniu zeskoczył. Był jasnowłosy, wysoki; szedł ku nim pochyliwszy głowę do przodu — tak samo jak i brat jego, Dov stojący nieruchomo koło jeepa i trzymający przepoconą koszulę w opuszczonej ręce.

— No — powiedział Dov. — Jak tam stary?

— Nie bój się o niego — powiedział Drugi Dov. — Znasz go chyba. Będiesz miał jeszcze dość czasu, żeby go przekląć. — Odwrócił się ku Izraelowi; patrzył na niego uważnie, bez uśmiechu. — To jest twój kumpel, Dov?

— Twój także — powiedział. — Jedziemy. Jestem głodny, Dov a muszę jeszcze podjechać do jakiegoś garażu.

— Rozsypuje się twój jeep?

— Chciałbym, żeby zmienili mi olej i filter — powiedział. — Olej jest czarny jak smoła a filter musi być zapchany tym cholerynym pyłem.

Wjechali do małego garażu. Człowiek który tam pracował ubierał się właśnie i był wściekły.

— Teraz? — powiedział. — Czy nie wystarczy wam, że muszę wstawać o czwartej rano? Wjedźcie sobie sami na kanał. Ja sprzedam wam tylko olej i filter.

— Gdzie jest twój kanał?

— Tam — powiedział. Wskazał im ręką krótki i wąski kanał; był tak wąski, że musieli wyskakiwać z jeepa tyłem. Dov wszedł do kanału; kanał nie miał nawet metra głębokości; uderzył się głową o zderzak, kiedy pochylał się z kluczem aby odkręcić spust karteru.

— Niech go cholera weźmie z jego kanałem — powiedział.

— To nie ja wymyśliłem ten kraj — powiedział z tyłu właściciel. Rzucił mu dwie galonowe puszkę oleju i filter. Ale nie odchodził jeszcze. Patrzył na nich rozpaczliwym, zawiedzionym wzrokiem. — Sam wygrzebałem ten kanał — powiedział. — I już dwa razy przychodzili do mnie z magistratu żebym go pogłębił. — Uśmiechnął się radośnie. — Już niejeden rozwalił sobie łeb o ten kanał — powiedział.

— Ty też rozwalisz sobie łeb pewnego dnia — powiedział Dov. — A wtedy twoja żona będzie mogła nareszcie wyjść za mąż za twojego współnika. Oni to już od dawna planują. — Wyjechał z powrotem. — Siadajcie — powiedział. — Pojedziemy do domu, czy zjemy coś w restauracji?

— Możemy pojechać do domu — powiedział Drugi Dov. Wsiadł do jeepa; jechali powoli wzniesając tuman rdzawego kurzu. Słońce przechodziło teraz wierzchołkami gór i nie były już czerwone tak jak przedtem — były teraz ciemne i wydawały się dalekie. — Skręć tu na lewo — powiedział Drugi Dov; zatrzymali się przed małym domkiem. — Staraj się nie drażnić starego skurwysyna — powiedział Drugi Dov do brata.

— To nie będzie łatwe — powiedział tamten. Wziął z jeepa brezentowy worek i zarzucił go sobie na ramię. — Pewnego dnia ugryzie się we własną rękę i wtedy będzie nareszcie spokój z nim.

Weszli do domu. Drugi Dov otworzył drzwi pokoju i wepchnął ich. Stary człowiek siedzący przy stole podniósł na nich wzrok.

— No, tata — powiedział Drugi Dov. — Zobacz, kto do nas przyjechał. Jeszcze nigdy tak dobrze nie wyglądał.

— Gdzie jest Dina? — zapytał stary.

— Nie wiem, tato — powiedział Dov.

— Przyjeżdżasz do mnie, do twojego starego ojca i nie umiesz mi powiedzieć gdzie jest twoja żona?

— To nie jest dobra kobieta, tato — powiedział Dov. Mówił z wysiłkiem podczas gdy stary człowiek dygotał z pasji. — Nie myśl o niej.

— Nie ma kobiet dobrych i złych — powiedział stary. — Są tylko mężczyźni którzy nie potrafią traktować ich tak, jak je traktować trzeba. Żyłem z twoją matką przez trzydzieści lat i przez trzydzieści lat robiła tylko to, co ja jej kazałem. I myślała tylko to, co ja myślałem. Gdzie jest żona twoja, Dina?

— Jest z innym mężczyzną — powiedział Dov. — I będzie miała z nim bękarta.

— A ty przyjeżdżasz do twojego starego ojca, żeby mu powiedzieć, że ożeniłeś się z kurwą? — powiedział stary. — To po to uciekłem tutaj, aby was tutaj spłodzić i abyście byli wolnymi ludźmi. To po to, przysięgłem Bogu, że dam dzieciom moim wolność i za waszą wolność zapłaciłem swoim zdrowiem i swoją pracą. — Podniósł na niego nieprzytomne, fanatyczne oczy. — Gdzie jest Dina, Dov? — krzyknął.

Dov wziął ze stołu stojącą szklankę z wodą i napił się. Jego zęby dzwoniły o szkło.

— Jesteś starym, chorym wariatem — powiedział do ojca. — To wszystko, co mogę ci powiedzieć. Jesteś okrutny jak dziecko. Ale jesteś już stary i niedługo odejdziesz.

— Czy skończyłeś już pić? — zapytał stary.

— Tak.

— Postaw szklankę na stole.

Dov postawił szklankę na stole a wtedy stary cisnął ją z całej siły o ścianę i wszyscy uskoczyli w bok.

— I tak będzie ze wszystkim, czego dotkniesz w moim pokoju — powiedział stary. — Nie wchodzi tu nigdy więcej, dopóki ty nie wrócisz do Diny albo dopóki Dina nie wróci do ciebie. Nie jesteś mężczyzną, Dov. A teraz wyjdźcie stąd i zamknijcie drzwi.

Wyszli; weszli do drugiego pokoju. Drugi Dov wyciągnął z lodówki piwo i postawił je przed nimi na stole.

— Ja tam zawsze mówiłem, że mamy miłego tatę — powiedział Drugi Dov. — Szkoda tylko, że jest Żydem. Mógłby grać w szkolnych przedstawieniach dobrego czarnoksiężnika. — Odwrócił się do Izraela. — Jak ci się podoba nasz stary skurwysyn? — zapytał.

— Szkoda mi go — powiedział Izrael.

— Ale mnie go nie szkoda — powiedział Drugi Dov. — Moja żona często płacze przez niego. — Otworzyły się drzwi i

dziewczyna weszła do pokoju. — To jest moja żona, Esther — powiedział Drugi Dov. — A to mój brat, Dov.

— Ludzie mówią o tobie dużo rzeczy — powiedziała Esther zatrzymując się przed Dovem. — Ale ja się cieszę, że jesteś tutaj. — Wyciągnęła do niego rękę i on ujął ostrożnie jej kruchą, wąską dłoń. — Cieszę się, że pomożesz nam — powiedziała.

— W czym chcesz, żebym wam pomógł, Esther — zapytał Dov. Siedział ciężko na krześle; koszulę ściągnął i wszyscy patrzyli na jego twarde, brązowe ramiona.

— To chodzi o ryby, Dov — powiedział jego brat.

— To ty jesteś rybakiem, nie ja — powiedział. — Nie cierpię ryb, Dov. Przykro mi bardzo, ale nigdy ich nie cierpiałem. Lubię tylko śledzie, ale muszę mieć do nich wódkę. Ale ty przecież nie lubisz pić. I nie rób tego. Spadnie ci z głowy cała masa kłopotów.

— Dov — powiedział jego brat. — Czy ty wiesz ile zarobiłem w tym roku? Dwa tysiące osiemset funtów. A jest już prawie po sezonie. Nie wiem czy mi się uda w tym roku zarobić cztery tysiące. A wiesz ile zarobiłem w zeszłym roku? Jedenaście tysięcy.

— Powiedziałem ci już, że nie jestem rybakiem — rzekł Dov. — Mogę spróbować ci pomóc, ale nie myślę, żebyś miał ze mnie pociechę.

Drugi Dov podszedł do okna i odsunął firanek.

— Podejdz tutaj, Dov, — powiedział do brata.

Podszedł do niego z butelką piwa w rękę; oparł się o ścianę i natychmiast odsunął się z powrotem — wszyscy widzieli ciemną plamę potu, którą pozostawiło jego ciało.

— Nie muszę podziwiać Ejlatu — powiedział. — Byłem tutaj już w czterdziestym ósmym roku, kiedy Ejlat został zdobyty przez naszych. — Napił się łyk piwa; butelkę odstawił na stół. — Było nas dokładnie czternaście jeepów.

— Spójrz na ten samochód, Dov — powiedział Drugi Dov.

— To stary GMC — powiedział. — Mieliśmy takie w wojsku.

— Ten samochód należy do ludzi, którzy łowią ryby, Dov — powiedział Drugi Dov. — To właśnie oni zabierają moje ryby i moją forszę. Ale oni nie przyjechali do Ejlatu dobrowolnie, tak jak ja. Ich zesłała tutaj policja. I oni znaleźli tu sobie dobry job. Mają motorowe łodzie i zgarniają tyle ryb ile im się podoba. I moją forszę przy okazji. A teraz kupili sobie jeszcze ten samochód i zarabiają więcej, niż im się to śniło po więzieniach.

— To morze należy do wszystkich ludzi — powiedział Dov.

— Nie można go ogrodzić drutem kolczastym. Nic ci na to nie umiem poradzić.

— Ci ludzie cię znają, Dov.

— Ale ja ich nie chcę znać.

— Ci ludzie cię znają i boją się ciebie.

— To niepotrzebne — powiedział. — Nie muszą się wcale bać. Ja im niczego nie zrobię.

— Ja myślałem...

— Ja wiem, co ty myślałeś — powiedział Dov. — Ty myślałeś, że twój brat przyjedzie i będzie się bić za ciebie. Ale nic z tego nie będzie. Mam prawie czterdzieści lat. I teraz chcę spokoju. I jeszcze jedna rzecz: jeśli zrobię choćby najmniejszą awanturę — to zamkną mnie na parę lat do więzienia. Pamiętaj, że zostałem wypuszczony warunkowo. Ale jeśli mi się coś zdarzy to pójdę siedzieć. Wystarczy, żebym potrafił kogoś na ulicy, albo żeby się komuś moja twarz nie spodobała. — Wziął od brata butelkę z piwem i wypił wszystko do dna. — Powiedz, jeśli ci będę przeszkadzać w tym domu — powiedział. — Lepiej pójdę do hotelu.

— Nie — powiedział Drugi Dov. — Jesteś moim bratem. — Milczał przez chwilę potem zapytał: — Więc naprawdę nie chcesz mi pomóc, Dov?

Podniósł na niego zmęczone oczy.

— Zobacz ten worek tam w kącie — powiedział. — Widzisz go?

— Tak powiedział Drugi Dov.

— To jest wszystko, co mam — powiedział. — A ten jeep na dworze nie należy do mnie. Spróbuj żyć inaczej niż ja żyłem. — Podeszedł wolno do Esther i wyciągnął ją na środek pokoju, w krąg światła lampy. — Masz piękną żonę — powiedział. Położył jej na ramionach swoje ciężkie ręce. — Chciałbyś ją stracić, Dov? Spróbuj żyć inaczej, to wszystko.

— Słyszałem, że tamci chcą kupić jeszcze jedną łódź — powiedział Drugi Dov. — Wtedy będę mógł spakować walizki i wyjechać z Ejlatu.

— To zrobisz tak — powiedział Dov. — Jesteś młody i masz piękną żonę. Wszystko czego ci trzeba do szczęścia to łóżko i sąsiedzi, którzy mocno śpią. — Podeszedł do kąta i wziął stamtąd swój worek. — Gdzie będziemy spać, Dov?

— Myślałem, że będziesz mógł spać z ojcem — powiedział Drugi Dov. — Ale będzie chyba lepiej, jeśli pójdziesz spać do nas?

— Z tobą i z Esther w jednym pokoju?

— Jesteś moim bratem — powiedział.

— Dov Ben Dov — powiedział cicho. — Nawet nie wiesz, kochanie, jak mi ciebie żal.

— Twój but — powiedział Drugi Dov. Kopnął z furią leżący but. — Żebyś się mocniej trzymał na nogach, zasrany złodzieju. Chodź, Esther.

Wsiadli do samochodu i znów jechali ciemną, wyboistą drogą koło lotniska.

— To samo jest z twoim bratem — powiedziała Esther. — On też nigdy nie potrafił się powstrzymać. — Przycisnęła się do niego. — Ale ja nie chcę cię stracić, Dov — powiedziała. — Już lepiej, żeby mnie codziennie bolało. Dov, przyrzeknij mi że nie będziesz się bić z tymi ludźmi.

Nie odpowiedział jej; jechał w milczeniu z rękami zaciśniętymi na kierownicy i wtedy po raz pierwszy zauważyła, że istnieje podobieństwo pomiędzy nim a jego bratem we wszystkim co robili, jak mówili, i jak się poruszali. Ale była już zbyt zmęczona aby móc myśleć dalej; zasnęła z głową na jego ramieniu i nie czuła nawet jak wziął ją na ręce i zaniósł do domu. Ułożył ją na łóżku a potem odwrócił się i patrzył na śpiących w kącie brata i Izraela; nasłuchiwał przez chwilę ich ciężkich, zmęczonych oddechów a potem rozebrał ją i przykrył prześcieradłem. Ale gorące ciało leżące obok niego nie pozwalało mu spać; po trzech godzinach bezsenności; kiedy dopaliło się już światło nocy — zakrył jej usta ręką i wziął ją w milczeniu i szybko. A potem przykrył się prześcieradłem mokrym i ciężkim od własnego potu.

— Esther — powiedział zasypiając. — Nie gniewaj się, że on był przy tym. Ale on jest moim bratem i kocham go tak jak ciebie.

O godzinie szóstej rano Drugi Dov obudził się; wstał cicho starając się nie obudzić Esther, przykrył ją prześcieradłem a potem wyszedł na palcach przed dom, trzymając w ręku buty i wzięwszy z progu butelkę mleka wrócił do kuchni. Nastawił wodę na kawę i czekał aż czajnik zacznie huczeć — pochyłony nad kuchnią wciąż z butami w jednej ręce i z gazetą w drugiej. Kiedy woda zaczęła się gotować, brat jego, Dov, wszedł do kuchni.

— Dobrze spałeś? — zapytał brata Drugi Dov.

— Znalazłem wczoraj jakieś proszki i wziąłem je — powiedział Dov. — Jak na kogoś kto nie sypia w ogóle to nawet nieźle się wyspałem. Trochę mi tylko w głowie huczy po tych proszkach.

— Napijesz się kawy to przejdzie — powiedział Drugi Dov. — Czy mówiłeś o tym z lekarzami, Dov?

— I po co to? Czy któryś z nich przyjdzie do mnie, do łóżka zabawić mnie przed snem? — Nalał sobie kawy i usiadł przy stole. Patrzył przez okno na rudą ziemię i zatokę od której blasku bolały go oczy. — Późno dziś wyjeżdżasz — powiedział. — Ci rybacy... I te bajki które o sobie opowiadają; i o tym wstawaniu przed wschodem słońca.

— Zaspałem dzisiaj — powiedział Drugi Dov. — Nie chciałem nastawiać budzika, żebyście się wyspali.

— To nie o budzik chodzi, ale o mojego jeepa — powiedział Dov. — Nie będę ci go więcej pożyczać. Musisz więcej spać. A ja znam ciebie, kochanie. Ty nie lubisz zasypiać wcześniej wieczorem.

— Ja ją kocham — powiedział Drugi Dov. — Tylko dlatego się z nią ożeniłem.

— Dobrze — powiedział Dov. — Odwiozę cię na morze. Potem podjadę na lotnisko. O której przychodzi pierwszy samolot?

— O siódmej. Ale nie będzie jeszcze żadnych turystów. Oni przyjeżdżają późniejszymi samolotami. Albo autobusem z Beer-Sheby.

— To nie szkodzi — powiedział Dov. — Porozmawiam sobie jeszcze z tym gościem na lotnisku który ma mi pomóc.

— Możemy już jechać, Dov?

— Tak. Poszukam tylko okularów.

Wstał i poszedł do pokoju. Izrael spał jeszcze; przestąpił przez niego i wyciągnął z kąta drelichowy worek, położył go na stole i począł szukać. Wyciągnął skórzane opaski; patrzył na nie przez chwilę a potem odłożył je na bok. Znalazł wreszcie tanie okulary przeciwsłoneczne i wsunął je na czoło. Potem podszedł do śpiącej Esther i potrząsnął nią delikatnie. Otworzyła oczy i naciągnęła na siebie prześcieradło.

— Esther — powiedział cicho. — Powiedz Izraelowi, że wrócę około dziesiątej. I że pojechałem na lotnisko pogadać jeszcze z tym gościem, który ma nam pomóc.

— Dobrze — powiedziała szeptem. — Ale dlaczego go nie obudzisz i nie powiesz jemu?

Pochylił się do jej ucha.

— Bo chcę, żeby on spał — powiedział. — A wy zasypiacie lepiej od nas. Macie po prostu czystsze sumienia.

Wyszli z domu i wsiedli do jeepa. Jechali szybko pustą szosą, a potem, kiedy mieli skręcić w prawo — od strony lotniska nadjechała wojskowa ciężarówka i Dov przydeptał pedał hamulca ale samochód nie zwolnił; musiał szarpnąć ręczny hamulec.

— Co to było, Dov?

— Hamulec — powiedział. — Już wczoraj za Beer-Shebę zaczęły nawalać. Przypuszczam, że są po prostu zapowietrzone. Ten gość który sprzedawał mi tego jeeпа zapomniiał mi o tym powiedzieć.

— Czy to coś poważnego?

— Nie — powiedział. — Odwiozę ciebie i pojedę do garażu. To robota na godzinę, nie więcej.

— Myślę, że po prostu nie zapłaciłeś za tego jeeпа — powiedział Drugi Dov. — Takie rzeczy się podobno zdarzają.

— Zdarzają się na pewno — powiedział. — To nie sztuka jeździć samochodem za który się zapłaciło.

Jechał teraz po wilgotnym, białym piasku brzegiem morza — spokojnego, nieruchomego; musiał znów nałożyć okulary gdyż oczy bolały go od blasku; uczuł nagle rękę brata na swoim ramieniu i odwrócił się.

— Zobacz — powiedział Drugi Dov.

Zatrzymał jeeпа i spojrział za śladem ręki brata swego na morze. Patrzyli przez chwilę na dwie łodzie motorowe odbijające od brzegu i płynące szybko; patrzyli na dwa białe i równe pasy grzebieniastej piany biegnące za nimi w blask.

— Zabiłbym tych ludzi, gdybym to umiał zrobić — powiedział Drugi Dov. I chyba bym nawet poszedł do tych kurew, ich matek, aby im o tym powiedzieć.

Dov chwycił go za ramiona i przyciągnął ku sobie.

— Zostaw tych ludzi — powiedział. — Dopóki ja będę w Ejlacie nic im się nie może stać. Bo wtedy przyjdą po mnie, nie po ciebie. Przysięgnij mi, że im nic nie zrobisz.

Drugi Dov milczał.

— Przysięgnij mi, że im niczego nie zrobisz — powiedział Ben Dov. Albo jeszcze dzisiaj wyjadę z tego cholernego miasta.

— Przysięgam ci — powiedział Drugi Dov. Wyszarpnął się z jego rąk. — Na co mam ci przysięgać, Dov? Na naszego ojca, tego starego wariata? Czy na twoją żonę, którą kochasz a która nosi bękartą?

Patrzył na niego w milczeniu. Twarz jego wykrzywiła się a usta miał otwarte i oddychał z wysiłkiem.

— Dopóki ja tu będę — powtórzył cicho. — Bo z każdej żony można zrobić kurwę. Nawet nie trzeba tego robić, one to już robią same. Kiedy z ich mężami zaczyna dzieć się źle.

— Przepraszam cię, Dov — powiedział tamten. — Powinieneś mnie uderzyć.

— Wróć spokojnie do domu — powiedział.

Zawrócił jeeпа; wóz ugrzązł w piasku i wyjechał z koleiny tylnym biegiem obsypawszy piaskiem Drugiego Dova, który wciąż

stał jeszcze z pochyloną głową jak dziecko oczekujące uderzenia. Widział wciąż jeszcze w lusterku jego jasną głowę; potem skręcił na szosę i pojechał na lotnisko, którego dyrekcja mieściła się w niskim, parterowym baraku. Wprowadził wóz na parking i przeszedł przez pustą bieżnię czując pot występujący na plecach i przesiąkający przez koszulę. Człowiek którego szukał siedział przy biurku oddychając ciężko; jego twarz była wykrzywiona niby twarz człowieka w agonii — trzy wentylatory stały na jego biurku napełniając pokój cichym, łagodnym warkotem.

— Dzień dobry — powiedział Dov. Wziął do ręki jeden z wentylatorów i skierował strumień powietrza na twarz.

— Tobie to dobrze mówić — powiedział tamten. — Jesteś tu dopiero jeden dzień.

— Masz już listę pasażerów? — zapytał Dov.

— Telefonowali dzisiaj — powiedział tamten. — Samolot przylatuje o dziesiątej dwadzieścia. Powinno być kilku turystów. — Poderwał się nagle; wyrwał wentylator z ręki Dova i skierował strumień powietrza na swoją spoconą twarz. — Miejmy nadzieję że im się tu spodoba — powiedział. — Miejmy nadzieję, że im się tu spodoba bardziej ode mnie.

— Chciałbym wywiesić kartkę — powiedział Dov. — Jeep z kierowcą do wynajęcia... i tak dalej. Może ktoś na to pójdzie.

— Wierzysz w to? — zapytał tamten.

— Nie — powiedział Dov. — Ale wywieszę ze dwie, ze trzy takie kartki. Jeśli władze lotniska nie mają nic przeciw temu.

— Oni na pewno mają całą masę sprzeciwów — powiedział tamten. — Tylko że na całe szczęście nie wiedzą dokładnie gdzie jest to ich lotnisko. Cały sprzęt jaki mamy to rękaw wiatru i gaśnica. Bieda w tym, że żaden z tych samolotów jeszcze się nie spalił.

— Dobrze — powiedział Dov. — Będę tutaj o dziesiątej. Ja albo mój wspólnik.

— Masz nawet wspólnika do tego jeepa? Teraz wszystko co wam potrzeba, to sekretarka ze znajomością obcych języków.

— Znajdź mi tylko jakichś gości — powiedział Dov. — Komuś się musi w końcu ten kraj podobać, nie? Już i ty też z tego coś oberwiesz. A teraz idę poprawić hamulce.

Odwrócił się.

— Ty, Ben Dov — powiedział nagle tamten.

— Tak?

— Możesz sobie wywiesić tyle kartek ile tylko chcesz, ale gdyby cię zaczepił ktoś z dyrekcji lotniska to ja nic o tym nie wiem. To jasne chyba, nie?

— Tak — powiedział. — Ja cię rozumiem. Przyjechałeś tu z Europy i zostawiłeś tam interes ze śledziami czy coś w tym rodzaju. Cała bieda w tym, że Mojżesz nie pytał ciebie o radę dokąd ma pójść. On się po prostu wstydził z takimi jak ty iść przez miasto i dlatego poszedł przez pustynię.

— Jesteś Sabra, prawda? zapytał tamten.

— Tak — powiedział Dov. — Sabra.

Kupił dwie puszki *corned-beef'u* w sklepie naprzeciw lotniska i pojechał do garażu. Właściciel garażu stał w cieniu pijąc z butelki piwo.

— Mam nawalone hamulce — powiedział Dov. — Możesz coś poradzić?

— Tak — powiedział tamten. — Odstaw tego jeepa na szmelc i wynajmij taksówkę.

— Słuchaj, kochanie — powiedział Dov. — Ja się źle czuję. Boli mnie głowa i oczy mi wyskakują na wierzch od tego blasku. Pytam cię: czy możesz mi pomóc?

— Napisz do Elisabeth Taylor — powiedział tamten. — Podobno ufundowała teatr w Tel-Awivie. Może ona ci pomoże. A może cię nawet zaadoptuje.

Wyrwał mu z rąk butelkę, chlusnął mu piwem w twarz a tamten skoczył długim susem w cień.

— Wszystko, czego ci trzeba, aby cię żona kochała, to trochę ruchu — powiedział Dov. — A ja muszę mieć te hamulce za dwie godziny. I muszą być w porządku aż do zimy.

— Mam zajęty kanał — powiedział właściciel garażu. — Idź, pogadaj z tymi ludźmi. Powinni niedługo skończyć.

Rzucił mu butelkę, którą tamten złapał w powietrzu i wszedł do garażu przyzwyczajając oczy do zmroku. Wojskowy GMC stał na kanale a trzech ludzi kręciło się koło niego. Tylne lewe koło było zdjęte z piasty a mechanik zakładał nowe łożysko posługując się rurą i drewnianym młotkiem.

— Prędko będziecie gotowi? — zapytał Dov.

Kłęczący odwrócił się; miał twarz pozaklejaną plastrami i podpuchnięte oko.

— Już zaraz — powiedział. — To ten cholerny, płytki kanał. Gdyby tu był porządny dźwig to byłbym już gotów.

— Czy nie ma tu żadnego innego garażu? — zapytał Dov.

— Powinieneś być zadowolony, że jest i to — powiedział tamten. — Można chociaż przesmarować podwozie od czasu do czasu. Ale ja się nie mieszczę w tym kanale — powiedział z nutą dumy w głosie. — Jestem za gruby i za wysoki.

— Może wcale nie jesteś wysoki? — powiedział Dov. — Może jesteś niskiego wzrostu tylko masz po prostu długie nogi?

Tamten odwrócił się i popatrzył na niego.

— Tak — powiedział. — Może właśnie tak jest? To ty jesteś Dov Ben Dov?

Dov otworzył puszkę *corned-beef*'u i zaczął jeść go nożem.

— To mogę być ja — powiedział po chwili pomiędzy jednym kęsem a drugim. — Ale to może być też mój brat, albo mój osiemdziesięcioletni ojciec.

— Nie — powiedział tamten. — Twojego brata spotkałem wczoraj wieczorem na plaży.

— To było chyba w nocy, nie wieczorem — powiedział Dov.

— To nie ważne. Ważne jest tylko to, że go spotkałem.

— Może przeszkodziłeś mu w czymś? — zapytał Dov a tamten dotknął ręką podbitego oka. — Może przeszkodziłeś mu w czymś, co on lubi. Ty nie znasz mojego brata. Ja go znam. I mówię ci: kutas jest jego piętą Achillesową.

— To z tobą chciałem mówić a nie z twoim bratem — powiedział tamten.

— Chciałeś mi coś powiedzieć?

— Chciałem, żebyś ty powiedział swojemu bratu, że to nieładnie bić ludzi.

— On to wie — powiedział Dov. Znów wziął końcem noża porcję beefu i wpakował sobie do ust. — Uczę go tego przez całe życie.

— I ty też tak myślisz?

— Jak, kochanie?

— Że to nieładnie bić ludzi?

— Tak — powiedział Dov. — Właśnie tak myślę. Niedobry jest ten *corned-beef*.

— To znaczy, że się zmieniłeś Ben Dov — powiedział tamten. — Niełatwo jest chyba zmienić się człowiekowi kiedy ma już czterdziestkę. — Odrzucił młotek i rurę; wytarł ręce w pakuły i wstał. — A może ty się wcale nie zmieniłeś, Ben Dov? — powiedział. — Może to tylko dlatego, że sędzia zwolnił cię warunkowo z więzienia i że boisz się nowych kłopotów?

— Masz własną głowę — powiedział Dov. — I możesz sobie sam odpowiedzieć. Myślenie z początku sprawia trudność, ale potem, kiedy się już przyzwyczaisz do tego, będziesz miał wiele radości.

— A więc jednak nie zmieniłeś się wcale, Ben Dov — powiedział tamten. — Mówisz zupełnie tak samo jak kiedyś. — Podał mu butelkę piwa. — Tu masz piwo, Ben Dov — powiedział. — Ten *corned beef* musi być chyba słony.

Wziął od niego butelkę i wypił spory łyk.

— Spotykałeś mnie już kiedyś — zapytał.

— Spotkałem tych, którzy ciebie spotkali — powiedział tamten. — W Haifie, w Tel-Avivie, w Jerozolimie. — Milczał chwilę a potem powiedział: — I w Akko też.

— W Akko? — powiedział Dov.

— Tak — powiedział tamten. — W Akko.

— No i jak ci się podobało to więzienie? — powiedział Dov.

— Nadzwyczajnie. Ale znowu nie na tyle, abym tam się spieszył z powrotem. To właśnie stamtąd przyjechałem do Ejlatu. Nie jestem tutaj turystą, Dov. Gdybym mógł jeszcze raz w życiu wybierać, wybrałbym co innego.

— I jak długo musisz zostać w Ejłacie?

— Pięć lat — powiedział tamten. — Całe pięć lat. A niektórym ludziom już po dwóch latach wychodzą włosy i tracą zęby. A ja nie jestem już młody. To niełatwo żyć pod nadzorem policji, Dov. Musimy wszyscy żyć w spokoju i nikt nas nie będzie pytał, czy to tak akurat podoba nam się żyć. A takiemu człowiekowi jak ty i ja łatwo jest zaszkodzić. Każdy to potrafi. Każdy kto tylko chce. A wystarczy czasami głupstwo. I wtedy sędzia mówi: Próba warunkowego zwolnienia nie udała się. To właśnie to, czego się boję, Dov. Wielu ludzi w Ejłacie boi się tego.

— Mnie to mówisz? — powiedział Dov.

— Widzisz — powiedział tamten. — Żeby to twój brat był taki, jak ty jesteś. Ale on jest młody i ma więcej krwi jak tłuszczu. On jest młody i jego organizm przyzwyczai się do Ejlatu. Po pięciu latach będzie mieć własne zęby i włosy. I nie potrzebuje nawet łykać pastylek soli. Chcesz jeszcze piwa, Dov?

— Tak — powiedział. — Wyciągnął rękę po butelkę którą podał mu tamten, ale nie wziął jej; — dotknął delikatnie opuchniętej twarzy tamtego. — Liczyłeś twarzą schody po pijanemu? — zapytał biorąc butelkę.

— Nie — powiedział tamten. — Chciałbym, żeby tak było. Chciałbym to móc powiedzieć. Ale to nie było tak. To twój brat pobił mnie wczoraj, a ja nie mogłem mu oddać. Tak jak i ty byś nie mógł oddać, prawda?

Podszedł do niego; był ciężki, gruby, poruszał się z trudem; stanął o pół kroku przed nim trzymając wzniesioną rękę.

— Prawda, Dov?

— Tak — powiedział Dov. — Nie mogłbym oddać.

— Nawet jak by ktoś powiedział o twojej matce, że jest kurwa.

— Nie — powiedział Dov. — Nie oddałbym.

— I jak by ktoś powiedział o tobie, że jesteś już niczym — rzekł tamten wciąż trzymając rękę wzniesioną do góry. — Że

jesteś oficerem wyrzuconym z armii, zdegradowanym za awantury, i że odeszła od ciebie żona, i że nikt w tym kraju nie zaufa ci ani jednego funta.

— Nie — powiedział Dov.

— I że twoja żona skurwiła się i będzie miała bękarta — powiedział tamten. — Gdyby znalazł się ktoś taki kto by to powiedział — uderzyłbyś tego człowieka?

— Nie — powiedział Dov. — Nie uderzyłbym.

— No widzisz — powiedział tamten opuszczając rękę. — Ty i ja jesteśmy w jednej sytuacji. Dov. Teraz już wiesz dlaczego nie uderzyłem wczoraj twojego brata. Ale nie mam do niego żalu. Nawet chcę coś dla niego zrobić.

— I co chcesz zrobić dla mego brata? — zapytał Dov.

— Chcę mu pożyczyć pieniądze — powiedział tamten.

— Nie są mu potrzebne — powiedział Dov. — Musi żyć z tego co zarabia.

— Będą mu potrzebne na drogę — powiedział tamten. — Żeby opuścić Ejlat i pojechał dokąd chce. Ja się boję, Dov. Boję się, że on któregoś dnia mnie sprowokuje i mimo wszystko go uderzę. A ty wiesz, co to dla mnie znaczy. Powiedz mu, żeby opuścił Ejlat i że ja mu pomogę. Kiedy się dorobi, odda mi. Ja mogę czekać.

— On nie opuści Ejlatu — powiedział Dov. — Nie potrzeba mu twoich pieniędzy.

— To jest moja rada, Dov.

— Twoich rad również mu nie potrzeba. Ma ojca i starszego brata.

— Ale ja chcę, żeby on opuścił Ejlat — powiedział tamten.

— Nie chcę patrzeć na człowieka który uderzył mnie w twarz.

— Przez was traci zarobek — powiedział Dov. — Nie możesz wymagać, aby was lubił.

— Dov — powiedział tamten. — Twój brat jest młody i silny. Może łowić ryby zwyczajną łodzią. Ja jestem od niego dwa razy starszy. Pięć lat siedziałem w niemieckim łagrze, potem przyjechałem tutaj. Chciałem zarobić pieniądze; tylko po to, żeby mieć co jeść i żeby nie oglądać ludzi, i żeby do nich nie mówić. Wtedy wziąłem się za coś, czego nie powinienem był robić. I wtedy trafiłem znowu do więzienia. Ale teraz chcę żyć w spokoju. I będę żyć w spokoju. Nie jestem winien, że nie mam tyle sił co twój brat. — Milczał przez chwilę, potem rzekł: — Powiedz mu, żeby opuścił Ejlat. Przez pięć lat bili mnie po twarzy i przez pięć lat musiałem to znosić, musiałem patrzeć na tych ludzi. Ale nie będę tego znosił tutaj, w Izraelu. Nie będę na niego patrzył. Powiedz mu, żeby stąd zniknął.

— Gotowe — powiedział mechanik. Odsunął Dova w bok: on i człowiek z podbitym okiem chcieli unieść koło i osadzić je na osi ale byli za słabi; ich ramiona i kark pociemniały od krwi.

— Nie damy rady — powiedział mechanik. — Trzeba przynieść dwa kawałki rury i parę cegieł.

Dov stał nieruchomo potem odrzucił nagle na wpół zjedzoną puszkę *corned-beef*'u i wszyscy odwrócili się gwałtownie; patrzyli na jego bladą, spoconą twarz i zrosnięte brwi. Podszedł do nich, odepchnął ich delikatnie na bok; klęknął na kolano, uniósł koło i wsunął je na oś.

Wstał oddychając ciężko i otarł ręce w zaoliwione szmaty. Odwrócił się potem do tamtych i tamci cofnęli się w głąb garażu. Ale nie poruszył się; stał nieruchomo wciąż jeszcze oddychając z wysiłkiem.

— Nie potrzeba było rur i cegieł — powiedział po chwili. — To dlatego że nie ma tutaj porządnego kanału. Wyjedźcie teraz i zróbcie miejsce dla mnie. — Odwrócił się ku właścicielowi garażu który stał za nim trzymając oburącz butelkę piwa. — Weź się za te moje hamulce — powiedział. — Przyjdę tu za godzinę. — Wychodził już; jeszcze stojąc na progu; tam gdzie zaczynał się blask i żar, przystanął. — Mój brat, Dov, urodził się w tym kraju — powiedział. — Ma prawo żyć tam gdzie chce i robić to co chce.

Otarł pot z czoła; wyszedł w blask i kurz.

Izrael kończył się golić kiedy Esther weszła do kuchni. Odwrócił się ku niej.

— Wziąłem twoje lustro — powiedział. — Nie chciałem cię budzić.

Podawała mu dwa rzemienne paski.

— Zapomniałeś — powiedziała.

Wziął od niej rzemienie i schował je do kieszeni; uczynił to szybko i niezręcznie.

— Nie miałam zamiaru ich wziąć — powiedziała. — Najlepszy dowód, że przyniosłam ci je z powrotem.

— Skąd je wzięłaś? — powiedział.

— Leżały na stole.

— To nie są moje — powiedział. — To Dova. — Wyciągnął je z kieszeni i patrzył na nie chwilę; potem schował je z powrotem. — Czy Dov powiedział ci gdzie jedzie? — zapytał.

— Powiedział, że wróci około dziesiątej — rzekła Esther. — Zdaje się, że pojechał na lotnisko. Pojechali razem Dov z Dovem. — Dotknęła jego ramienia i Izrael odwrócił się; połowę twarzy

miał wciąż namydloną. — Jak myślisz — powiedziała. — Czy on pomoże mu?

— W czym?

— Czy pomoże mu zrobić porządek z tymi ludźmi?

— Esther — powiedział Izrael. — Dov nie ma dwudziestu lat. Jest zmęczony.

— Ale ja mam właśnie dwadzieścia lat — powiedziała Esther. — Należy mi się chyba coś od życia. Dwa lata służyłam w wojsku a potem wyszłam za Dova. — Milczała przez chwilę oparta o framugę okna; widział drobne kropelki potu u nasady jej prostego, krótkiego nosa. — Widuję go tylko nocami — powiedziała. — Pracuje jak koń a teraz, przyjechali tamci i nikt nie chce mu pomóc.

— Dov jest zmęczony — powiedział Izrael. — Nie zawsze żył tak jak trzeba. Nie może ryzykować.

Usłyszeli ciężkie kroki w korytarzu i odwrócili się; ojciec Dova stał w progu.

— Tak — powiedział stary. — On już nie chce ryzykować. Spalił za sobą ziemię a teraz, kiedy już nic nie jest wart przyjechał do swojego brata żeby jeść jego chleb. Na to nie jest za stary i niczym nie ryzykuje, bo wie, że brat go kocha i podzieli się z nim każdym kawałkiem chleba.

— I co z nim zrobić według ciebie — powiedział Izrael.

— To co się zawsze robi ze złodziejami — powiedział stary. — Albo co się z nimi powinno robić. Obojętne jak to ludzie nazywają.

— Nienawidzę przemocy — powiedział Izrael. — Przyjechałem tu właśnie dlatego, aby więcej na to nie patrzeć.

— Tak — powiedział stary. — Przyjechałeś tutaj, żeby nie oglądać więcej przemocy. Ty bardzo pięknie potrafisz mówić, Izrael. — Podszedł do niego o krok. — Czy myślisz, że ci którzy byli tutaj przed tobą dostali ten kraj za darmo — powiedział. — Nikt im go nie dał. Wzięli go przemocą, a najlepsi zginęli przy tym jak to zwykle bywa. I ty, Żyd mówisz do mnie o przemocy?

— Jesteś starym, pobożnym człowiekiem — powiedział Izrael. — Nie wypada mi kłócić się z tobą.

— Nie umiesz się ze mną kłócić — powiedział stary. Podszedł do niego i ujął go za ramię i Izrael wzdrygnął się; mimo sześćdziesięciu stopni temperatury ręka starego człowieka była chłodna i sztywna. Popatrz na niego, Esther — powiedział. On jest wyjątkiem. Powinien lubić przemoc. Jak każdy słaby człowiek.

— Chcesz może herbaty, tato? — zapytała Esther.

— Nie — powiedział stary. — Chcę, żebyś na niego spoj-
rzała. Popatrz na niego, Esther. — Patrzył na nią w milczeniu
jego pobrużdżona twarz drgała; wciąż jeszcze trzymał ramię Izrae-
la swoją kościstą dłonią, potem powtórzył: — Chcę, abyś na niego
popatrzała, Esther.

Odwrociła głowę i popatrzyła na Izraela. Jej twarz była nie-
ruchoma; patrzyła na niego uważnie i obojętnie.

— Czy chciałabyś go za męża, Esther?

— Mam przecież męża, tato — powiedziała cicho Esther.
— Nie umiem ci inaczej odpowiedzieć, tato.

— Czy położyłabyś się z nim do łóżka? — powiedział. —
Spójrz na jego ramiona, Esther. Przysięgam ci, że ja jestem sil-
niejszy. — Jego zimna dłoń zacisnęła się na ramieniu Izraela. —
Czy poszłabyś z nim do łóżka, Esther? Gdybyś nie miała męża
i gdyby ci wolno było robić co chcesz.

Znów odwróciła się ku niemu i patrzyli na siebie. Ona na
jego zmęczoną, czujną i ładną twarz; on na jej gęste włosy i brą-
zową, silną szyję.

— Nie — powiedziała Esther.

Stary puścił ramię Izraela i pogłaskał Esther po głowie.

— Jesteś dobrym dzieckiem, Esther — powiedział. — Przy-
kro mi, że to akurat jeden z moich synów zmarnuje ci życie.

— Czy rzeczywiście trzeba wierzyć w przemoc i bić ludzi,
aby zasłużyć na trochę szacunku — powiedział Izrael.

— Nie — powiedział stary. — Można tego nie robić i zgi-
nąć jak zginęli wszyscy dobrzy Żydzi. — Odwrócił się i odszedł.
W progu przystanął i odwrócił się; znów patrzyli na jego starą
twarz i szalone oczy. — Dlaczego nie masz dziecka, Esther? —
zapytał nagle.

— Jesteśmy trzy miesiące po ślubie, tato — powiedziała
Esther nie patrząc na żadnego z nich. — Dov i ja chcemy jeszcze
poczekać...

— Ale ja nie mogę czekać — powiedział stary niecierpliwie.
— Mam osiemdziesiąt lat, Esther. W moim wieku każdy dzień
jest darowany od Boga. Chcę widzieć swoje wnuki przed śmier-
cią. Mój starszy syn już nie będzie mieć dzieci, ale młodszy da
mi tę radość. Zapytam cię o to za miesiąc. Nie zapomnij, że ko-
cham cię jak własną córkę, Esther.

— Tak, tato — powiedziała. Podeszła ku niemu. — Tato
— powiedziała. — Chciałabym cię o coś zapytać?

— Tak, Esther.

— Co będzie z Diną, żoną starszego Dova?

— Nic z nią nie będzie — powiedział stary. — Z kobietami

nic się nie dzieje przez całe życie, Esther. Rodzą się i umierają niezmiennie.

— A co się z nią powinno stać, tato?

— Nie wiem tego, Esther — powiedział. — Słyszałaś, co mój starszy syn powiedział. Przyjechał do mnie i powiedział mi, że jego żona nosi bękart. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Kiedy byłem dzieckiem mój ojciec kupił sobie psa-wilczycę ale nie upilnował jej i pokrył ją jakiś nierasowy pies. Potem poszliśmy nad rzekę i topiliśmy te szczeniaki. A potem, drugiego dnia, mój ojciec wziął tę wilczycę; wziął ze sobą strzelbę i poszedł. I do dziś dnia nie wiem co się stało z tą wilczycą. Jak myślisz, Esther?

— Twój ojciec był mądrym człowiekiem, tato — powiedziała Esther. — Tak myślę.

— I ja tak myślę — powiedział ojciec Dova. Wyszedł po cichu; słyszeli jego ciężkie kroki w korytarzu a potem usłyszeli jego cichy i monotony głos; stary modlił się.

— Nie jest ci łatwo z nim — powiedział Izrael. Patrzył wciąż jeszcze na Esther; na jej mocną szyję i brwi zrosnione nad nosem; tak jak i brwi Dova.

— I tobie także nie będzie łatwo — powiedziała.

— Dov miał rację — powiedział cicho Izrael. — On jest okrutny jak dziecko. Jak każdy stary i jak moja matka.

— Gdzie jest twoja matka?

— Nie wiem — powiedział. — Wiem tylko gdzie ją pochowałem.

Usłyszeli warkot jeepa pod oknem i pisk hamulców; potem Dov wszedł do kuchni. Ściągnął z siebie koszulę i rzucił w kąt.

— Jedź na lotnisko, Izrael — powiedział. — Poprawiłem hamulce i chyba są już w porządku. Zaraz przyleci samolot.

— Wolałbym, żebyś ty zaczął pierwszy — powiedział Izrael.

— Wierzę ci — powiedział Dov. — Ale zaczynaj ty. Może będziesz mieć szczęście.

— Słuchaj Dov...

Dov wyciągnął z kieszeni kluczyki i rzucił mu.

— Zaraz przyleci samolot — powiedział.

— Dov — powiedział Izrael. — Ja myślę, że oni wszyscy mają rację. Ci wszyscy ludzie, którzy mówią, że my nie pasujemy do siebie. Twój ojciec ma rację, Dov i ten, który ci dał jeepa też miał rację. Nie wierzę, żebyś ci przyniósł szczęście. — Podszedł do Dova siedzącego nieruchomo; patrzył na jego ciężkie, brązowe ramiona lśniące od potu. — Wrócę z powrotem do Tel-Awivu, Dov — powiedział — I znajdę tam sobie jakąś pracę.

— Nie znajdziesz tam pracy — powiedział Dov. — Nie znalazłeś jej przedtem.

— Nikt mnie nie będzie lubił jak długo będę szedł za tobą — powiedział Izrael. — Sam wiesz, że na to nie ma rady. Bo wszyscy myślą, że przeszkadzam ci w czymś. A najgorsze, że ja sam też zacząłem tak myśleć. Może nawet zawsze tak myślałem. Może po prostu bałem się tylko powiedzieć to głośno i ucziwie. — Dov nie odpowiadał; powiedział jeszcze raz: — Tak, bałem się do tego przyznać. Nawet na to byłem za słaby.

— Zaraz przyleci samolot — powiedział Dov. — Idź już, Izrael. Nikt nie zarobi za nas tych pieniędzy chociaż przykro o tym myśleć.

Podszedł do drzwi. Zatrzymał się tam i raz jeszcze spojrzął na niego; siedzącego wciąż nieruchomo, z opuszczonymi ramionami i wykrzywioną twarzą — gdyż ciągle brakowało mu tchu i nie mógł oddychać.

— Pamiętaj, że ci to pierwszy powiedziałem — rzekł Izrael.

— Co mi powiedziałeś?

— Nie wierzę w to, żebym ci przyniósł szczęście — powiedział Izrael. — I nikt mnie nie będzie lubił dopóki będę szedł za tobą.

— Jest teraz za gorąco żeby się zastanawiać nad tym co ludzie lubią, a czego nie — powiedział Dov. — Może masz dla mnie jakieś łatwiejsze zadania myślowe.

— Ten człowiek ma rację — powiedziała Esther.

Obrócili się obaj ku niej.

— Czy pytałem ciebie o coś, Esther? — powiedział Dov.

— Nie, nie pytałeś mnie o nic — powiedziała. — Nie wierzę nawet, żebyś mnie o cokolwiek zapytał. Ani ty, ani twój brat. Bo wy kochacie tylko siebie. Dov kocha Dova, Dov podziwia Dova i Dov słucha tego o czym mówi Drugi Dov. A kobiety są wam potrzebne tylko od dziesiątej wieczór do szóstej rano i to tylko po to, żeby wam się lepiej spało, kiedy Dov śni o Dowie. Ale nie powinnam mówić tak dużo. Powinnam słuchać tego co mówi Dov, aby powtórzyć to potem Drugiemu Dowie i zainteresować go czymś w ten sposób.

Przeszła obok Izraela i ten uczuł temperaturę jej ciała usuwając się w bok. Wyszła potem cicho zamknąwszy drzwi za sobą.

— Widzisz — powiedział Izrael.

— Niepotrzebnie otworzyła swój dziób — powiedział Dov. — To dziwne, że Dov nie zwrócił jej na to uwagi. Ale to nie o ciebie chodzi. To dlatego, że nie chcę się mieszać w te ich porachunki. I nie mieszam się w nie. Mogą gadać tak długo jak

chcą. — Podał mu swoje przeciwsłoneczne okulary. — Nie myśl o tym — powiedział.

— Ale oni będą myśleć — powiedział Izrael.

— Jedź teraz na lotnisko i spróbuj podłapać któregoś z tych turystów — powiedział Dov. — A jak zobaczysz jakiegoś Żyda w tropikalnym ubraniu, w tropikalnym kapeluszu i z kamerą w ręku to podejdź do niego i targuj się z nim, bo na pewno nie będzie chciał zapłacić tego co my chcemy. Więc on będzie do ciebie mówił po angielsku a ty przerwiesz mu i powiesz: *A Geld is a delicate Sach*. I wtedy się zrozumiecie, i możesz z nim jechać dokąd on chce. Od pobożnych bierz więcej.

— Czy będziesz o tym pamiętać?

— O czym? — powiedział Dov. — Zapomniałem już o co chodzi. Jest teraz w słońcu sześćdziesiąt stopni więc w cieniu musi być jeszcze więcej. Jeśli chce się żyć w tym mieście to trzeba brać pastylki soli, bo kości robią się kruche jak patyki. A jeśli pomieszamy tu dwa lata albo więcej, to powyłazą nam włosy i zęby i będziemy akurat wyglądać tak, jak nie wyglądał na świecie żaden z tych aktorów, grających bohaterów pustyni i synów tropików. Przykro mi, Izrael. Zamknięty jestem w swoim ciele do końca życia i nikt mi nie otworzy tej klatki. To wszystko o czym potrafię teraz myśleć. A może nawet nie to. Może mi się tylko zdaje, że myślę. A pierwszy deszcz przyjdzie pod koniec października.

— Tak — powiedział Izrael. — Ale może przyść także dopiero pod koniec listopada.

Stał wciąż jeszcze w progu patrząc na Dova; siedzącego nieruchomo, porażonego upałem i oddychającego ciężko z zamkniętymi oczyma — siedział w pół nagi w pełnym blasku padającym od okna i wyglądał jak ślepiec; koszula którą nosił leżała na kamiennej posadzce a kiedy odrzucił ją nogą — na posadzce pozostała plama potu. Jego ciężkie ciało nie poruszyło się nawet kiedy wyszedł i kiedy zatrzasnął drzwi.

Dojeżdżając do lotniska widział już „Dakotę” nadlatującą spoza pasma gór; czekał potem siedząc w jeepie obok bramy lotniska strzeżonego przez przełamaną w pół tabliczkę na której ktoś napisał krzywymi literami: „NO TRESSPASSING”; patrzył jak samolot zatacza łuk nad zatoką; tam, gdzie w białym słońcu niewyraźnie widział płaskie dachy Akaby; potem samolot usiadł ciężko, wzniecając tuman rdzawego kurzu. Patrzył na pasażerów idących ku wyjściu; na ich zmrużone oczy i wykrzywione twarze — dwóch chłopców z maskami do nurkowania; jakaś stara kobieta z człowiekiem, który zapewne był jej mężem a którego trzymała

pod pachę wyrzaskując mu coś w ucho; jeszcze jakaś kobieta wysiadła z samolotu i stała przez chwilę bezradnie ogłuszona blaskiem i upałem; i stewardessa zamknęła drzwi.

Stara kobieta z mężem podeszła ku niemu.

— Zawieziesz nas do hotelu?

— Po to tu jestem — powiedział. — Żeby wozić ludzi dokąd chcą. Macie już jakiś hotel? Chcecie jechać do hotelu „Ejlat”?

Patrzył na jej męża; wysokiego i chudego; trzymającego się prosto; w jego ucho wetknięta była słuchawka a mikrofonem bawił się niby brelokiem staroświeckiego zegarka.

— Nie powiedziałam przecież, że mamy zamiar wyrzucać tu pieniądze — rzekła kobieta. — W biurze turystycznym powiedzieli mi, ile kosztuje ten hotel. Możemy pojechać do innego. Chcemy się tylko umyć a potem chcielibyśmy coś zobaczyć. Odlatujemy wieczornym samolotem.

— Dobrze — powiedział Izrael.

— Ile chcesz?

— To zależy na ile będziecie potrzebowali tego jeepa.

— Na trzy godziny — powiedziała. — Chcielibyśmy zobaczyć kopalnię króla Salomona i co tam jeszcze jest ciekawego.

— Chcecie pojechać trochę na pustynię?

— Nie — powiedziała kobieta. — Widzieliśmy ją już z okna samolotu. Nie zdaje ci się chyba, że ktoś będzie płacił na oglądanie piasku.

— Dwadzieścia funtów — powiedział Izrael.

— To za dużo.

— Daj mu dwadzieścia funtów — wyskrzecztał stary. Izrael patrzył na kobietę; na jej rękę unoszącą się ku uchu starego człowieka i wrywającą słuchawkę.

— Nigdy nie umiał załatwić niczego porządnie — powiedziała. — Jego bracia oszukiwali go przez całe życie, a teraz zachciało mu się na starość wyrzucać resztki tego, co ja starałam się uratować.

— Nic nie słyszę — zaskrzecztał stary. Sięgnął po słuchawkę ale kobieta odtrąciła jego dłoń.

— Dwadzieścia funtów — powiedział Izrael.

— To jest złodziejstwo — rzekła. — W biurze turystycznym powiedzieli nam, że można wynająć jeepa za dwadzieścia funtów dziennie a my chcemy tylko na trzy godziny.

— To jest jedyny samolot — powiedział Izrael. — Nikt z ludzi którzy tu mieszkają nie chce zwiedzać Ejlatu. Wielu by wszystko dało za to, aby się stąd wyrwać.

— Chcę zobaczyć kopalnię króla Salomona — zaskrzecztał znowu stary. — Daj mu dwadzieścia funtów.

— To ja mam stracić?

— Nie musisz wcale tracić — powiedział Izrael. Wziął znów do ręki walizkę którą zdążył położyć na łóżku. — Możemy poszukać innego pokoju.

— Czy ja to powiedziałam? — rzekła gruba. — Czy ja powiedziałam to słowo? Dobrze, niech będzie że ja stracę. — Odwróciła się w stronę kobiety wciąż jeszcze stojącej w drzwiach. — Co ci jest, kochanie? — zapytała. — Masz jakieś zmartwienia.

— Nie — powiedziała. — Jestem po prostu zmęczona. I jest mi gorąco.

— Zrobię ci kawy, kochanie — powiedziała gruba. — Tu nie można żyć bez kawy.

— Dobrze — powiedział Izrael. — To by było wszystko. Umyj się i napij kawy. Ja pójdę do domu napić się czegoś. Jak będziesz gotowa to możesz po prostu zatrzeć. Kluczyk zostawiam w stacyjce.

Poszedł do domu. Wszedł do kuchni wyjął z lodówki butelkę piwa. Ręce jego drżały ze wściekłości kiedy nalewał sobie piwa do szklanki.

— Masz dziwne metody zarabiania pieniędzy, Dov — powiedział. — Ale ludzie są dziwni i nie lubią kiedy się ich obraża.

— Nie chciałem jej powiedzieć nic złego — rzekł Dov. — Nie myślałem wtedy wcale o niej.

— Czy powiedział jej coś złego? — zapytała nagle Esther. Nie zauważyli jej kiedy weszła do kuchni; była jeszcze zaróżowiona od snu jak dziecko.

— Ależ skąd — powiedział Izrael. — Dał jej tylko do zrozumienia, że wygląda na kurwę. Poza tym był czarujący. Gdyby lepiej знаła hebrajski język, to musiałaby o nim powiedzieć: to słodki chłopiec. Ale niestety nie zna na tyle tego języka. I tylko dlatego mu tego nie powiedziała.

— Dov miał rację — powiedziała Esther.

Odwrócił się do niej.

— I dlaczego miał rację? — zapytał. — Któż ma aż na tyle racji, żeby obrazić człowieka którego nigdy przedtem na oczy nie widział.

— Widziałam jak patrzyła na niego — powiedziała Esther.

— Jak patrzyła na niego — powiedział Izrael. — Czy potrafisz to wytłumaczyć?

— Patrzyła na niego i coś jej przeszkadzało — powiedziała Esther.

— Co jej przeszkadzało?

— Jego ubranie — powiedziała Esther.

— Nie broń mnie, Esther — powiedział Dov. — Najlepsi

adwokaci w tym kraju próbowali mnie już bronić. I każdy z nich w końcu przegrywał sprawę.

— Ciebie wcale nie potrzeba bronić — powiedziała Esther.
— Nikt tego nie potrafi.

— A co ze mną należy robić według ciebie, Esther — powiedział Dov.

— Trzeba cię kochać — powiedziała Esther. — Ale tego też chyba nikt nie potrafi.

— Już po raz drugi dzisiaj mieszasz się w moje sprawy — powiedział Dov. — Ale ani razu nie prosiłem cię o twoje zdanie.

— Ta kobieta też nie pytała cię o nic — powiedziała Esther.
— Siedziała po prostu w samochodzie i patrzyła na ciebie. A ja po prostu stałam w oknie i widziałam to.

— Esther — powiedział Dov. — Ja mam całą kupę kłopotów i nie rób mi nowych. Stój w oknie, stój na głowie, stój gdzie chcesz — ale daj mi spokój.

— Ja ci dam spokój — powiedziała. — To nie ja przecież przyglądam się tobie. — Patrzała na niego przez chwilę; tępo i niechętnie. — I to nie mnie przeszkadza twoje ubranie — powiedziała wychodząc z pokoju.

— O jednym tylko zapomniała powiedzieć — rzekł Izrael.

— O czym?

— Że mogła się przecież odwrócić i nie patrzeć. Mogła się przecież odwrócić i patrzeć na co innego. Choćby na to zdjęcie twojego brata w mundurze. — Podszedł do ściany i wskazał na zdjęcie oprawione w ramkę z koralu; było to zdjęcie Drugiego Dova z czasów jego służby wojskowej; Drugi Dov był w mundurze spadochroniarza. — Mogła po prostu patrzeć na to — powiedział Izrael. — Ale nie zrobiła tego.

— Czy chcesz o niej powiedzieć coś złego? — rzekł Dov.
— To żona mojego brata, Izrael. Dlaczego o tym nie myślisz?

Odwrócił się. Patrzył na niego w milczeniu i uśmiechnął się chociaż oczy jego pozostały nieruchome.

— Dlaczego ona o tym nie myśli — powiedział po chwili. Znow wskazał ręką na zdjęcie wiszące na ścianie. — To jest chyba nowe zdjęcie, nie? Esther i Dov poznali się w wojsku, prawda?

— Słuchaj, Izrael — powiedział Dov. — Esther urodziła się w tym kraju tak samo jak ja i jak mój brat. Nauczyła się mówić to co myśli. I nikt jej nie może tego wziąć za złe.

— Tak — powiedział Izrael. — Rozumiem. Ty chciałeś po prostu powiedzieć, że wy, którzy urodziliście się tutaj, jesteście inni od nas. Inni, to znaczy lepsi. — Usłyszał klakson jeepa i odstawił butelkę z piwem na stół. — Muszę już iść — powiedział. — Obwiozę ją po Ejlacie i wrócę. I przeproszę ją za ciebie.

— Nie przepraszaj jej — powiedział Dov. — Nie chciałem jej wcale obrazić. Nawet nie wiem jak to się stało.

— Mimo to przepraszę ją — powiedział Izrael. — Bo się boję. Boję się, żeby tobie nie zachciało się jej osobiście przeprosić. Bo to by było najgorsze ze wszystkiego. Z tobą już zawsze tak bywa, Dov. To nie jest wcale najgorsze, że robisz jakąś awanturę. Gorsze jest to, że potem zachciewa ci się tych ludzi przepraszać i co z tego potem wynika. Tego się właśnie boję.

Znów usłyszeli sygnał klaksonu i Izrael wyszedł. Dov wstał, podszedł do okna i patrzył na nich. Potem odwrócił się; patrzył na fotografię brata i zobaczył, iż wisi krzywo — Izrael musiał jej dotknąć a teraz widać było jaśniejszy kolor ściany w miejscu gdzie Izrael przesunął fotografię dotykając jej szyjką butelki piwa. Patrzył przez chwilę na zdjęcie brata; na jego oczy patrzące bez uśmiechu i jasne włosy wymykające się spod beretu spadochroniarza; a potem podszedł powoli do ściany i poprawił fotografię; tak, iż wróciła na swoje miejsce.

Kobieta siedziała już w jeepie. Ubrana była w nieco przybrudzone drelichowe spodnie. Uśmiechnął się a potem spojrzał na własne spodnie; tego samego koloru i tak samo przybrudzone.

— Gdzie pojedziemy najpierw? — zapytał.

— Nie wiem — powiedziała. — Co tu jest ciekawego do obejrzenia? To ty właściwie powinienesz wiedzieć.

— Mój przyjaciel Dov — powiedział Izrael. — Ale jego już widziałas. Możemy pojechać w stronę pustyni. Możemy pojechać nad morze i wynająć łódź ze szklanym dnem poprzez które widać rozmaite ryby i co tam jeszcze.

— I co jeszcze?

— Właśnie o to chodzi, że ja wcale tego nie wiem — powiedział. — Nie znam w ogóle Ejlatu. Jestem tu dopiero drugi dzień i zdaje się, że nie cierpię tego miejsca.

— Jesteś dziwnym przewodnikiem — powiedziała. — Jeśli jeszcze powiesz że nie masz w ogóle prawa jazdy i że ten samochód nie należy do ciebie, to się chyba wcale nie zdziwię.

— Oczywiście, że nie należy do mnie — powiedział. — Nie wierzę, żebym kiedykolwiek dorobił się własnego samochodu. Ale możemy mimo to spróbować obejrzyć to i owo. Sam jestem ciekaw jak wygląda to cholerne miasto.

— Jedźmy nad morze — powiedziała. — Zobaczymy te łódzie ze szklanymi dnami. Mimo wszystko chciałabym obejrzyć Ejlat. Ale zdaje się, że rozpocząłm zwiedzanie od złego końca.

— Nie byłaś nigdy przedtem w Izraelu?

— Nie — powiedziała. — Mój mąż opowiadał mi tylko o Izraelu. Ale on też nigdy nie widział tego kraju.

— Umarł? — zapytał Izrael.

— Dwa lata temu — powiedziała.

Zatrzymał wóz. Odwrócił się ku niej i patrzył na nią. Pot sływał mu po czole i musiał ocierać oczy, ale to nie pomagało.

— Słuchaj — powiedział. — Nie musisz mi płacić. Obejrzyj sobie sama to miasto. Na to trzeba ci trzydziestu minut. I nie musisz mi płacić tych dziesięciu funtów. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Nie chciałbym, abyś pomyślała, że ktoś chce cię naciągnąć. Akurat w tym kraju, o którym opowiadał ci twój mąż. To jest taki sam kraj jak i każdy inny. I ludzie są tacy sami. — Nie odpowiedziała; powiedział po chwili: — Jesteś Niemką, prawda?

— Tak — powiedziała. — Poznałeś to po akcencie?

— Nie wiem — powiedział. — Ja zawsze poznaję Niemców. Myślę nawet, że umiałbym ich poznać po ciemku i gdyby w ogóle nie mówili.

— Czy przeszkadza ci to?

— Nie — powiedział. — Niemcy nigdy nie przeszkadzali Żydom. Było zawsze odwrotnie. Nie powiedział ci o tym nigdy twój mąż?

— Chcę zobaczyć ten kraj — powiedziała z uporem. — Chcę zobaczyć wszystko o czym opowiadał mi mój mąż. Dlatego tu przyjechałam.

— Dobrze — powiedział. Znów włączył bieg i jechał w kierunku morza. — Nie znam co prawda tego miasta, ale mam nadzieję, że mi je pokażesz. To wszystko, co mogę powiedzieć. Jestem że tak powiem, *cicerone à rebours*. Ale nie wiedziałem, że istnieją ludzie którzy chcą za to płacić.

— Ja zapłacę — powiedziała. — Niemców można lubić, albo nie. Ale Niemcy zawsze płacą.

— Jest wielu ludzi w Izraelu, którzy zrzekli się niemieckich odszkodowań — powiedział. — Nikt na świecie dokładnie nie wie, ile powinien otrzymać za zamordowaną matkę. Albo za wybicie oka. Albo za pięć lat obozu koncentracyjnego. Może to właśnie dlatego ludzie nie chcą brać własnych pieniędzy. A może liczą na to, że z czasem ceny pójdą w górę i boją się powiedzieć zbyt mało.

Odwróciła się ku niemu.

— Nie umiem na to odpowiedzieć — powiedziała. — Przyjechałam tu tylko po to, aby zobaczyć ten kraj o którym opowiadał mi mój mąż. — Patrzyła przed siebie na drogę pełną rdzawego

kurzu który osiadł już na jej twarzy; szczupłej i zmęczonej. — Mój mąż, którego kochałam — powiedziała.

— Tak — powiedział Izrael. — Nie powinienem tego mówić. Przepraszam cię. W końcu moja matka umarła tutaj, w wolnym kraju. I ja też jestem wolny.

Przystanął nagle; zahamował zbyt gwałtownie i musiała oprzeć się ręką o szybę jeepa.

— Co się stało? — zapytała.

Nie odpowiedział jej; patrzył na samolot schodzący do lądowania od strony zatoki i na otwierające się właśnie podwozie.

— To idiota — powiedział głośno.

— Kto?

— Ten cholerny pilot — powiedział. — Otwiera podwozie w momencie skrętu. To najlepszy sposób aby przepaść na wysokości. On chyba swoją licencję pilota kupował w składzie węgla. I to wtedy, kiedy on i węglarz byli zupełnie pijani. Jak żyję nie widziałem czegoś podobnego.

— Lubisz samoloty? — zapytała.

Nie odpowiedział jej; nie usłyszał jej pytania. Patrzył na schodzący do lądowania samolot i wtedy spojrzała na jego ręce wykonujące jakiś dziwny ruch; jakby trzymał w nich coś niewidzialnego; coś, co stwarzało opór i połączone było z kierowaniem; potem samolot klapnął ciężko a wtedy ręce jego powróciły znów na kierownicę jeepa.

— Byłeś lotnikiem? — zapytała.

— Nie — powiedział. — I nigdy nim nie będę.

Znów ruszył; jechał teraz brzegiem morza, nieruchomego, pełnego blasku a ona patrzyła na zatokę i na białe domy Akkaby po drugiej stronie granicy.

— Co tam jest? — zapytała wyciągnąwszy rękę.

— Nie wiem — powiedział. — Wygląda to na rafinerię, albo coś w tym rodzaju.

— Ty nie lubisz tego kraju — powiedziała.

— Nie. Nigdy tego nie mówiłem. Nikt mnie nawet o to nie pytał poważnie.

— Więc dlaczego tu przyjechałeś?

— Bo myślałem, że muszę tu przyjechać — powiedział. — Ale i to okazało się złudzeniem. Nikt naprawdę nie musi robić tego na co nie ma ochoty. Ale istnieją jeszcze przecież inni ludzie którzy potrafią zmusić człowieka do tego na co nie ma ochoty i potrafią mu nawet wmówić, że to jest właśnie to czego pragnie. — Zatrzymał jeepa. — To tutaj — powiedział. — Widzisz tę łódź tam na morzu? To jest właśnie to o czym mówiłem. Powinni tutaj być za parę minut.

— Zobacz — powiedziała. — To tych dwoje starych których nie chciałeś wziąć.

Odwrocił się; czarno ubrana para starców wlokła się powoli po piasku. Kobieta wciąż trzymała pod pachę swojego męża i nachylała się ku niemu wyrzaskując mu coś w ucho.

— Wyglądają jak z innego filmu — powiedziała. — Czasami tak bywa. Jesteś gdzieś, kupujesz coś i nagle zjawia się jakiś człowiek który do niczego nie pasuje. To tak, jakby operatorowi pomylili się rolki z taśmą.

— Nie bój się o nich — powiedział Izrael. — Oni tego nie czują. Oni właśnie myślą, że to akurat ich brakowało tutaj żeby wszystko było w porządku. — Starzy przeszli koło nich; popatrzył na ich oczy — zmętniałe i przekrwione od upału; stary człowiek szedł z otwartymi ustami jak ktoś, kto wdycha właśnie ostatnią odrobinę powietrza którą daje mu życie i kto umrze zaraz. — To ta stara suka go tu przywlokła — powiedział. — Wyłumaczyła mu, że powinien przed śmiercią zobaczyć ten kraj i to dlatego wlokła go tutaj z Nowego Jorku czy z Kalifornii. A teraz będzie mógł umrzeć.

— Nie lubisz starych ludzi?

— Nie — powiedział. — Nie można ich lubić. Zbyt dużo wiedzą i mają zbyt mało godności. Ta stara suka myśli, że świat nie może się bez niej obejść. I dlatego lata samolotami i szwenda się po wszystkich biurach podróży, chociaż za te same pieniądze mogłaby nakarmić pięciu głodnych ludzi.

— Ta kobieta mogłaby być twoją matką — powiedziała.

— To wtedy powiedziałbym to samo o mojej matce — rzekł. — Ale mojej matki na szczęście już nie ma. — Milczał przez chwilę patrząc za tamtymi kroczącymi powoli i uparcie, chociaż każdy krok musiał sprawiać im trud. — Amerykanie nie mówią o nikim, że umarł — powiedział. — Oni mówią: przeszedł, odszedł. Ale ja wolę myśleć o starych, że umarli naprawdę i że już ich nigdy nie zobaczę. Tych wszystkich starych matek, które zniszczyły swoje dzieci. Nie. One już nie wrócą.

— Nie mogę tego zrozumieć — powiedziała. — Moja matka umarła kiedy miałam dziewięć lat. Często myślę o tym, że chciałabym ją zobaczyć. Może by było inaczej.

— Na pewno byłoby inaczej — powiedział. — Już ona postarałaby się abyś myślała inaczej. I na pewno zrobiłaby wszystko, żeby ci zmarnować życie. Ale mówię ci: nikt z tych starych nie wraca. Oni nie przechodzą, oni przepadają razem ze swoimi nędznymi ciałami, razem z ich mądrością i z przykrymi oddechami. Czy pomyślałaś kiedy o tym, jak naprawdę pachnie stara kobieta?

Nikt o tym nie chce nawet mówić ani myśleć. Żadne ze zwierząt które człowiek potrzebuje nie pachnie tak jak stara kobieta.

— Czy twoja matka zrobiła ci coś złego?

— Najgorsze jest to, że chciała dla mnie jak najlepiej — powiedział. — Że chciała, abym przyjechał tutaj i żył jak wolny człowiek. Zacząłem wtedy studiować budowę samolotów i byłem na trzecim roku a wtedy matka przyszła do mnie i powiedziała: „Izrael, wypuszczają Żydów”. „I co z tego?” — zapytałem. „Może się zmienić — powiedziała. — Mogą potem nie wypuszczać Izrael, zrób to dla swojej matki. Daj mi umrzeć w wolnym kraju”. Wtedy już była chora i musiała wiedzieć, że umrze, ale uparła się właśnie przy tym, aby umrzeć tutaj. Więc przyjechałem tutaj i matka moja umarła. Ale nie studiowałem już dalej budowy samolotów. Nie ma w tym kraju takiej uczelni. To wszystko.

— Czy nie możesz wyjechać stąd? — zapytała.

— Dokąd mam pojechać? — rzekł. — Moje miejsce jest tutaj. Jestem przecież Żydem.

— Każdy może żyć tam gdzie chce — powiedziała. Nie można myśleć w ten sposób. Gdyby wszyscy myśleli tak samo, to nie byłoby dzisiaj narodu amerykańskiego, tylko Żydzi, Niemcy, Portugalczycy i Bóg wie jeszcze kto zamieszkujący Amerykę. Więc to chyba nie tak.

— To bardzo piękne, co mówisz — powiedział. — Ale trzeba mieć jeszcze pieniądze żeby wyjechać i żeby się uczyć. Czy twój mąż nie mówił ci nigdy o istnieniu pieniędzy? To jedyna zła rzecz, której nie wymyślili najpierw Żydzi.

— Powinieneś wyjechać i spróbować się uczyć — powiedziała. — Możesz tu zawsze wrócić i pracować potem w swoim zawodzie. — Milczała przez chwilę, potem powiedziała: — Może mogłabym ci jakoś pomóc. Mój mąż miał wielu kolegów i mogłabym z nimi pomówić. Niektórzy z nich są bogaci i może będą chcieli ci pomóc.

— I gdzie oni są?

— W Niemczech — powiedziała.

Uśmiechnął się.

— I to do Niemiec miałbym właśnie pojechać na naukę? — powiedział. — Akurat do Niemiec? Nie myślałem, że życie jest aż na tyle dowcipne. Ale w każdym razie dziękuję ci.

— Nienawidzisz Niemców?

— Nie — powiedział. — Współczuję im. A to jest gorsze od nienawiści. Czy można naprawdę nienawidzić ludzi, którzy zabijali dzieci? To nie tak. Ja po prostu myślę, że Bóg opuścił Niemców raz i na zawsze. I że nigdy już tam nie wróci; i że nigdy ich nie będzie karać w przyszłości nawet żeby popełnili tysiąc

nowych zbrodni. Ale to nie jest nienawiść. — Spojrzał na zegarek. — Gdzie jest ta cholerna łódź — powiedział. — Powinni tu już dawno być.

Ktoś dotknął nagle jego ramienia i odwrócił się. Dwaj mężczyźni stali przy jeepie; nie zauważyli ich przedtem.

— To ty jesteś kolegą Ben Dova? — zapytał jeden z nich.

— Tak — powiedział Izrael.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni zwitek pieniędzy i podał je Izraelowi.

— To są pieniądze dla młodszego Ben Dova — powiedział.

— Daj mu je i powiedz mu, żeby opuścił Ejlat.

— Czy Drugi Dov prosił o te pieniądze? — zapytał Izrael.

— To nie jest ważne — powiedział mężczyzna. Zdjął przeciwsłoneczne okulary i dotknął ostrożnie plastra, którym podklejone było jego oko. — Ważne jest tylko to, żebyś mu dał pieniądze i żeby on stąd zniknął.

— Załatw to sam z nim — powiedział Izrael. — Nic nie wiem o waszych sprawach i nie chcę się w nie mieszać.

— I nie wiesz o tym, że Drugi Dov pobił mnie wczoraj w nocy?

— Nie — powiedział Izrael.

— Ale teraz już wiesz — powiedział drugi mężczyzna. — Weź te pieniądze które ci daje Jehuda i oddaj je młodszemu Dovovi.

— Sam mu je dasz — powiedział Izrael.

— Nie chcę więcej widzieć tego skurwysyna — powiedział Jehuda. — Niech on stąd zniknie. Inaczej złożę na niego skargę. — Złapał dłoń Izraela i usiłował wcisnąć mu pieniądze, ale Izrael wyrwał dłoń.

— Nie — powiedział. — Nie wezmę tych pieniędzy.

— Proszę cię ostatni raz: weź to i daj je młodszemu Dovovi — powiedział Jehuda. — Pamiętaj, że ja nic do ciebie nie mam. Wolę mieć przyjaciół jak wrogów.

Izrael zeskoczył z jeepa i stanął przed nim.

— Ja wiem o co ci chodzi — powiedział. — Ale nie jesteś aż tak mądry jak ci się wydaje. Możesz mu sam dać te pieniądze, ale chcesz je niby dać mnie. Bo wiesz, że ja ich nie wezmę. Bo chcesz mnie sprowokować do draki. I myślisz, że potem starszy Ben Dov przyjdzie robić drakę z wami a potem pójdzie siedzieć a wy już sobie z młodszym dacie radę. To jest ten pomysł, nie? Ale nic z tego nie będzie. Ja teraz wsiądę i grzecznie odjadę i po prostu nic się nie stanie.

Drugi z mężczyzn uderzył go nagle w twarz i Izrael zatoczył się. Wstał chwiejnie i oparł się o maskę jeepa.

— Nic z tego nie będzie — powiedział. — Starszy Dov nie wmiecha się do draki. Bij dalej.

Mężczyzna zamachnął się i uderzył; potem Jehuda począł go bić pięścią w której trzymał pieniądze i Izrael znów upadł na ziemię.

— Broń się — krzyknęła nagle kobieta. Podskoczyła ku niemu i pomogła mu wstać. — Dlaczego się nie bronisz? — krzyknęła znowu.

Odsunął ją na bok i otarł ręką usta.

— Starszy Dov nie wmiecha się do tego — powiedział. — No, dalej? Na co czekacie?

Znów uderzył tamten drugi, ale tym razem Izrael nie upadł. Uczepił się rękami stalowej kratownicy zabezpieczającej maskę jeepa i stał uśmiechając się. I znowu tamten drugi uderzył go w twarz.

— Oddaj mu — krzyknęła kobieta — uderz go!

— Nie — powiedział Izrael. — Nic z tego nie będzie. Ja po prostu zapomnę o tym. I to wszystko.

— Jeszcze pomówimy kiedyś ze sobą — powiedział Jehuda. Odeszli; patrzyła na niego w milczeniu jak ocierał ręką rozkrwawioną wargę, a potem nagle uderzyła go z całej siły w twarz. Patrzyła na niego z przerażeniem: jak ktoś, kogo wyrwano nagle ze snu.

— Nie musisz nic mówić — powiedział Izrael.

Wsiadł z trudem do jeepa i oparł czoło o kierownicę. Potem wziął z siedzenia jej torebkę i podał jej bez słowa. Stała nieruchomo i patrzyła za nim odjeżdżającym w rdzawym tumanie kurzu a potem dojechał do głównej drogi; skręcił i straciła go z oczu.

Drugi Dov szedł brzegiem morza objawszy prawym ramieniem Esther. W lewej ręce trzymał koszulę i buty; było już ciemno i nie widział nawet fal obmywających jego stopy. Teraz nie było już widać nieba nad zatoką; gdzieś koło nich kończył się krąg światła i ciszy, i dźwięku nadchodzącego z dalekim szumem.

— Dov — powiedziała nagle Esther. — Zdaje się, że to jeep twojego brata.

— To niemożliwe — powiedział Drugi Dov. — On szuka go już od paru godzin po mieście. Był już we wszystkich knajpach i pytał kogo się tylko dało a potem powiedział, że będzie dzwonić po hotelach. Dlaczego Izrael miałby siedzieć tutaj, podczas gdy Dov szaleje tam ze wściekłości.

Podeszli bliżej do samochodu; jeep stał ze zgaszonymi świat-

łami na końcu plaży, niedaleko pasa granicznego a Izrael spał oparłszy ręce na kierownicy.

— Obudź się — powiedział Drugi Dov. — Musiał go szarpnąć za ramię: raz i drugi zanim tamten nie podniósł głowy. — Mój brat martwi się o ciebie. — Wyobraża sobie, że stało się z tobą coś złego. Idź spać do domu.

— Daj mi papierosa — powiedział Izrael. — Zdaje się, że wypaliłem wszystkie.

Podał mu papierosa i w świetle zapalniczki dostrzegli jego rozbitą twarz.

— Co się stało z twoją twarzą, Izrael — zapytał Dov. — Miałeś jakiś wypadek?

— Tak — powiedział.

— Rozbiłeś drugi wóz? — zapytała Esther. Ale nie odpowiedział jej; obeszła jeepa dookoła i obejrzała go dokładnie. — Nie ma żadnych znaków — powiedziała.

— Nie rozumiałaś mnie — powiedział. — Jechałem za szybko i zobaczyłem nagle jakieś dziecko. Wtedy zahamowałem gwałtownie i uderzyłem się głową o... o...

Umilkł.

— O co? — zapytała Esther. Wzięła zapalniczkę z ręki Dova i zapaliła ją przed twarzą Izraela. Oślonił się przed światłem. — O co się uderzyłeś — powtórzyła.

— Uderzyłem się, Esther — powiedział cicho. — To wszystko. Weź to przekłete światło sprzed moich oczu. Głowa mnie boli.

Drugi Dov wziął zapalniczkę z jej ręki.

— Pić mi się chce — powiedział Izrael.

— Kup sobie coś do picia — powiedział Drugi Dov. — Obok hotelu jest kiosk. Tam możesz dostać zimnego piwa.

— Nie mam ani grosza — powiedział Izrael.

— Przecież jeździłeś cały dzień z tą kobietą — powiedziała Esther. — Czy nie zapłaciła ci?

Izrael nie odpowiadał. Patrzyli jak ogień papierosa rozlewa się nikłym blaskiem na jego twarzy: zmęczonej i rozbitej.

— Czy Dov już śpi? — zapytał po chwili.

— Nie — powiedziała Esther. — Dov szuka cię po wszystkich knajpach i jest wściekły. Nie zjadł nawet kolacji. Czy ta kobieta nie zapłaciła ci?

— Ależ oczywiście — powiedział Izrael. — Kobiety płacą właśnie najdokładniej.

— Powiedziałeś, że nie masz ani grosza.

— Nie mam drobnych pieniędzy — powiedział. — Nie rozumiałaś mnie. Nie umiem jeszcze dobrze po hebrajsku i nie wiem

kiedy się tego porządnie nauczę. Nie urodziłem się tutaj tak jak wy. I nie stać mnie ani na odwagę, ani na śpiew. Muszę być zadowolony z tego że mi płacą. — Delikatnie zdjął rękę Esther z kierownicy. — Pojadę już — powiedział. — Boję się, że Dov nie uśnie dopóki nie wrócę. Przyzwyczał się już do mnie w ciągu tego roku. Chociaż sam nie wiem, co może we mnie lubić.

Włączył bieg i odjechał; wykręcił zjechawszy na mokry piasek a potem przejechał powoli przed nimi i znowu dojrzeli jego twarz.

— Czy obraziliśmy go czymś, Esther? — zapytał Dov.

— Nie masz więcej zmartwień?

— Nie lubię ranić ludzi, to wszystko — powiedział. — Czy wyglądał na obrazonego?

— Nie — powiedziała Esther.

— To dobrze.

— To wcale nie tak, jak myślisz. Ja po prostu nie wierzę, żeby go można było obrazić nawet żebyśmy chcieli.

— Nie ma powodu, aby nim pogardzać.

— Ale nie ma też powodu, żeby go lubić — powiedziała. — Najlepiej nie pytaj mnie o to, Dov. To kolega twojego brata. Słyszałeś, że Dov nie umie zasnąć dopóki ten nie wróci.

— Dova złamała ta historia z jego żoną — powiedział. — Dobrze, że chociaż on był przy nim. Ja już bałem się o niego. Chodź, Esther.

— Dokąd chcesz iść — powiedziała. — Jeśli chcesz pływać, to możesz i tutaj wejść do wody.

— A jeśli nie chcę wcale pływać?

— To wyrzuc ich z domu — powiedziała. — I wtedy będziemy mogli znów spać w łóżku. Ja się wstydzę, Dov. Co będzie, jeśli ktoś nas zobaczy?

— Nic nie będzie — powiedział. — Popatrz sobie i pójdzie dalej. Każdemu wolno kochać swoją żonę.

Usiadła na piasku podkurczywszy swoje długie nogi i oparła podbródek o kolana.

— Nie lubisz go, prawda? — zapytał Dov.

— Nie — powiedziała. — Ani jego, ani tego jego przyjaciela. Nie wiem po co tu przyjechali i nie wierzę, żeby się stąd wynieśli.

— Dov jest moim bratem — powiedział. — I nie mogę go wyrzucić na ulicę.

Tak — powiedziała. — O tym nie może być mowy. Ale może zrobimy sobie łóżko na cztery osoby i będziemy wszyscy spali razem. A może nawet na pięć, żeby ta kobieta która przychodzi do Dova też mogła sobie pospać wygodnie.

— Kto przychodzi do Dova, Esther?

— Jakaś kobieta — powiedziała. — Czy jest w tym coś dziwnego? Jeśli twój brat jest taki sam jak ty, to jeszcze dużo kobiet będziemy mieć w domu.

— Czy mówisz o tej kobiecie, która wynajęła jeepa?

— Ja nic nie wiem o jeepie — powiedziała. — Ale to chyba nie jeep jej tak bardzo potrzebny aby zobaczyć miasto, w którym mieszka pięć tysięcy ludzi i które można przejść pieszo w dwadzieścia minut.

— Nie powinnaś tak mówić, Esther — powiedział. — Nie znasz tej kobiety.

— Czy jest w tym coś dziwnego? — powtórzyła. — Twój brat jest pięknym mężczyzną, Dov.

— Nie wiem — powiedział. — Nie jestem kobietą. Nie wiem co w nim ładnego.

— Ale ja jestem kobietą — powiedziała. — I ona też. Ona ci już może wytłumaczyć co jest ładnego w Dovie, chociaż Dov jej powiedział, iż wygląda jak dziwka. Ale to nie szkodzi... Ona przyjdzie tak, czy owak. Przyjdzie właśnie dlatego, żeby mu wytłumaczyć, że nią nie jest. Dov wiedział, co trzeba zrobić, żeby wygrać kobietę. Trzeba ją obrazić, kupić sobie paczkę papierosów, gazetę i iść do łóżka... A ona już tam sama przyjdzie, żeby mu pokazać że jest, czy że nie jest. Bo to jest już najmniej ważne ze wszystkiego.

Dov milczał; siedział oparty plecami o jej nogi i rysował patykiem na piasku.

— Skąd ty wiesz takie rzeczy, Esther? — powiedział.

— Właśnie — powiedziała. — Najgorsze jest, że mi tego wszystkiego nikt nie powiedział. Ja to po prostu czuję, Dov.

— Nie chcę, żebyś to czuła, Esther.

— Ale ja to czuję — powiedziała. — I nic nie mogę na to poradzić. Nie chciałbyś przecież, żebym kłamała.

— Nie myśl o tym — powiedział. — Zdejm lepiej tę sukienkę, Esther. Ty już wiesz, jak mnie robić szczęśliwym.

— Ale dlaczego miałabym to robić tutaj — powiedziała. — Mamy przecież własny dom i łóżko. — Nie odpowiadał jej; powiedziała po chwili: — Zapomniałam zupełnie, że tam mieszka twój brat. Ale dlaczego miałabym to robić tutaj?

— Dlatego, że ja tak chcę — powiedział Dov. — To ci będzie musiało wystarczyć. Przynajmniej tak długo, jak jesteś ze mną.

Pchnął ją ramieniem i przewrócił na piasek; chciał zerwać z niej sukienkę ale wymknęła mu się. Odskoczyła w ciemność i śmiała się patrząc na niego; na mężczyznę który nie mógł powstać

bo wiedział, że wyglądałby śmiesznie. Stał na klęczkach z wykrzywioną twarzą i darł koszulę, którą zrzucił przed chwilą z siebie.

— Szkoda tej koszuli — powiedziała. — Może być, że potrzebna by była twojemu bratu. Kiedy będzie szedł z tą kobietą do naszego łóżka.

— Esther — powiedział do niej cicho. — Coś się zmieniło. Ja czuję, że coś się zmieniło i nic nie umiem na to poradzić. Może jestem po prostu za głupi, albo może nie widzę czegoś, co widzą wszyscy. Ale ja nie chcę, żeby się coś zmieniło między nami. Chodź tutaj do mnie. Wolę cię zabić jak słyszeć to wszystko i czuć to o czym mówisz. Tak będzie lepiej. Chodź. A ja już będę wiedział co z sobą potem zrobić. — Milczał chwilę a potem powiedział: — Coś się zmienia. Coś się zmienia.

Skoczył nagle porwawszy z ziemi kamień ale odskoczyła w ciemność i słyszał tylko poprzez chwilę odgłos jej stóp; wąskich i bosych uderzających o mokry i ciepły piasek. Potem powlókł się do domu; wciąż czując jej zapach i śledząc go w ciemności jak pies.

Izrael wjechał prawymi kołami jeepa na chodnik; wyłączył światła i wszedł do domu. Było ciemno. Przechodząc obok pokoju ojca Ben Dova, przystanął. Stał przez chwilę dotykając ręką swojej obolałej twarzy i nasłuchiwał głębokiego oddechu starego. Potem wszedł do pokoju w którym spali i dojrzał w ciemności czerwony ognik papierosa.

— Nie śpisz jeszcze, Dov? — zapytał.

— Jakże mogę spać — powiedział. — Chodziłem po całym mieście i pytałem się wszystkich, czy nie widzieli tego cholernego jeepa i ciebie.

— I co ci powiedzieli ludzie?

— Nie widzieli cię — powiedział Dov. — Może dlatego, że cię jeszcze nie znają. Zapal światło, Izrael.

— Nie — powiedział. — Głowa mnie boli.

— Czy na dworze jest jeszcze tak cholernie gorąco? Zdaje się, że wypociłem z siebie wszystką sól jaką zjadłem w życiu.

— Nad morzem jest lepiej. Teraz dopiero ludzie schodzą do morza, żeby trochę popływać. Widziałem ich jak schodzą z miasta w dół. Całe rodziny z dziećmi w wózkach.

— Która to godzina?

— Nie ma jeszcze dziesiątej.

Dov usiadł na posłaniu. W odblasku światła padającym od okna Izrael ujrzał jego zrosnięte brwi i pot na jego czole. Jego usta były skrzywione; widział, że oddychanie sprawiało mu trudność.

— Trzeba będzie kupić jutro gdzieś tabletki soli — powiedział Dov. — I łykać je po jedzeniu. To podobno wzmacnia kości. Tak mówią lekarze. Wierzyłbym im, gdybym znał chociaż jednego, który by mi pomógł spać. Ale nie ma takiego na świecie. Wszyscy oni są zgodni co do jednego: że tabletki nasenne są szkodliwe. Ta ich zgoda, jest w końcu też coś warta. Czy nie mamy czegoś więcej na spanie?

— Nie — powiedział Izrael. — Ostatnie wzięłeś w Tel-Awivie. Już w Beer-Schebie mnie o to pytałeś, Dov.

— Najgorsze jest to, że ludzie myślą, iż jak się nie śpi dwie albo trzy noce, to będzie się spało czwartej — powiedział Dov. — Pewnie, że czwartej nocy człowiek upadnie jak trup i zaśnie. Ale co będzie nocy piątej i szóstej. I wśród tych wszystkich cholerycznych lekarzy nie ma ani jednego, który by umiał pomóc. Dają człowiekowi proszki, które działają przez pierwsze dwie, albo trzy noce a potem jest koniec. Znowu muszę leżeć, pocić się i słuchać oddechu innych. A potem piję przez cały dzień kawę, żeby się móc utrzymać na nogach a wieczorem znowu nie śpię. A w nocy, kiedy się o czymś myśli wszystko jest takie ostre i jeszcze prawdziwsze jak za dnia. Mój stary tata może spać, bo jest pobożny i wie, że po śmierci pójdzie prosto do nieba. A ja, kiedy wreszcie skonam, to będę mieć jeszcze parę spraw do załatwienia. I pewnie diabli będą mi dawać pastylki na sen, i te też nie będą działać.

— To chyba dlatego, że ty nie chcesz spać — powiedział Izrael. — Może właśnie boisz się usnąć.

— Kiedyś usnąłem wcześniej — powiedział Dov — i śniło mi się, że jestem między wieloma ludźmi. Każdy z nich jadł coś a ja byłem strasznie głodny i prosiłem każdego z nich, żeby mi dał chociaż trochę ale nikt z nich nie chciał. Pamiętam dobrze, że chodziłem od jednego do drugiego i prosiłem ich, ale oni śmieli się ze mnie. A ja wiedziałem dobrze, że jeśli nie dostanę czegoś do jedzenia to umrę i mówiłem im to, ale oni tylko śmieli się ze mnie. To pamiętam właśnie najlepiej: ten mój straszny głód i to, że śmieli się ze mnie, kiedy żebrałem. Byli tam wszyscy ludzie których znałem; wszyscy przyjaciele i ci, którzy mnie nie lubili; mój brat, moja matka i mój ojciec, ale wszyscy śmieli się ze mnie. — Umilkł, potem powiedział po chwili: — To najgorszy sen jaki miałem, Izrael. I wiem, że to będzie mi się śniło jeszcze wiele razy. Tak długo, jak będę żył.

— Więc to właśnie dlatego — powiedział Izrael.

— o

— Dlatego nie możesz spać. Po prostu boisz się tego co przyjdzie w nocy. I to jest silniejsze od pastylek.

— I to zawsze tak będzie?

— Nie wiem — powiedział Izrael. — Ale może tak zostać zawsze. Czy nie śni ci się nigdy twoja żona?

— Tak.

— I co wtedy jest?

— Ona jest z innym mężczyzną — powiedział Dov. — A ja stoję nad ich łóżkiem i widzę to wszystko a nie mogę odejść. A oni śmieją się ze mnie. Dina i ten człowiek. A ja nie mogę odejść. Nie wiem właściwie dlaczego, ale nie mogę odejść. Muszę stać i patrzeć na nich, i słuchać ich śmiechu. I muszę to wszystko widzieć, co ten człowiek robi z moją Diną.

— Kiedy ci się to przyśniło po raz pierwszy?

— Kiedy ona po raz pierwszy ode mnie odeszła — powiedział. — Może pójdziemy gdzieś napić się piwa? Czuję, że nie zasnę tak czy owak.

— Nie mamy ani grosza — powiedział Izrael. — Wszystko wydaliśmy na benzynę. I na kolację w Beer-Schebie.

— Jak to: nie mamy ani grosza? — powiedział Dov. — Przecież jeździłeś przez cały dzień i spalałeś benzynę.

— Nie zrozumiałeś mnie — powiedział. — Czy mamy pieniądze, żeby wyrzucać je w knajpach? Pomyśl o tym, Dov. Kiedyś musimy przecież zapłacić za tego jeeпа i obliczyć się z tym grubym. Ja nie myślę, żeby on umarł do jesieni.

— Nie mogę spać — powiedział bezradnie Dov, jak dziecko mówiące do matki o bólu zęba. Zapalił papierosa i znów Izrael dojrzał jego twarz: zmęczoną, wyglądającą jak maska i pokrytą potem. — Czuję, że nie zasnę — powiedział. — Czuję, że będę tak leżeć do rana i słuchać jak mój brat dobiera się do Esther. Chodźmy lepiej gdzieś i napijmy się piwa. W lodówce nie ma już ani jednej butelki. Masz też prawo do tego. Człowiek który tłuł się cały dzień jeepem po słońcu żeby zarobić parę groszy, może pozwolić sobie na butelkę piwa.

— Ciągłe jeszcze myślisz o niej? — zapytał szybko Izrael. — O Dinie, o twojej żonie.

— Mówiłem ci już przecież — powiedział Dov. — Czy to nie wystarczy? To wszystko, co ci powiedziałem? I te cholerne sny?

— Może by ci było lepiej, gdybyś się wygadał — powiedział Izrael. — Bogaci ludzie chodzą do doktorów i opowiadają im swoje sny, a doktor siedzi i kiwa głową a potem bierze za to pieniądze. Może po prostu będzie ci łatwiej.

— W dzień jest jako tako — powiedział Dov — ale w nocy zaczynam o niej myśleć. To wszystko zaczyna się właśnie w nocy. Jestem jedynym człowiekiem w Izraelu który ma włas-

mnie, ponieważ nie chciałem się bronić. Miłość nie jest prostą rzeczą ale bez niej nie można żyć. Prawie wszystko na świecie da się wytłumaczyć miłością. To największy pomysł wszystkich czasów.

— Nie mów tak — powiedziała. — Ja nie chcę wcale zrozumieć dlaczego tak się stało. Chcę, żebyś mi tylko przebaczył. Jeśli zrobiłam coś złego, to wolno mi myśleć, że będę mogła także zrobić coś dobrego.

— Lepiej nie rób nic dobrego — powiedział. — Zbyt wielu ludzi cierpi przez dobre uczynki i pomysły kobiet. Lepiej wróć jutro do Europy. I staraj się pamiętać tylko dobre rzeczy.

— Tak właśnie chcę zrobić — powiedziała. — Polecę pierwszym samolotem do Tel-Awivu a stamtąd do Aten. Potem pomyślę jak jechać dalej. — Sięgnęła do kieszeni spodni i wyciągnęła stamtąd pieniądze. — To te pieniądze — powiedziała. — Zapomnieliśmy o nich obydwójce. Jestem ci przecież winna.

Stał bez ruchu; potem wyciągnął ku niej rękę i wziął pieniądze. Schował je do kieszeni.

— Tak — powiedział. — Teraz mogę je wziąć. Pokazałem ci w końcu coś niecoś. Teraz mam czyste sumienie. Jak to powiedział Dov? *A Geld is a delicate Sach*. I tak właśnie jest.

Czuł jej ciało przybliżające się ku niemu ale nie poruszał się. Czuł jej usta a potem uczuł jej dłoń wyciągającą się ku jego ręce i pociągającą go za sobą. Wtedy poruszył się; poszedł za nią w kierunku światła padającego od jej drzwi. Na progu jeszcze przystanął i odwrócił się; spojrzął w oświetlone okno i na cień mężczyzny opartego nieruchomo o poręcz okna — na jego zmęczoną twarz, zrosnięte brwi i ciężkie ramiona wciąż pokrywające się potem mimo iż wciąż się ocierał ręcznikiem, który przewieszony był teraz przez jego ramię i który biał w ciemności. Stał chwilę bez ruchu dotykając rozbitej twarzy i oddychał ciężko. Patrzył na ciemne wzgórza ponad pustynią i na niebo które jaśniało teraz ponad zatoką; potem zamknął za sobą drzwi.

Siedział obok Urszuli na gorącym piasku plaży; była godzina dwunasta i na plaży nie było prawie nikogo — tylko paru chłopców w maskach do nurkowania, których widział poprzedniego dnia wysiadających z samolotu i którym nie przeszkadzał kamienny upał.

— Wyglądają jak ci goście z Marsa — powiedział. — W tych swoich maskach i butlach. Ciekaw jestem też czy wiedzą, że tu lubią pod pływać rekiny. Nie myślę, żeby który z nich umiał po hebrajsku.

— Zobacz — powiedziała do niego. — To nie do wiary.

— Co?

— To ci starzy z samolotu których nie chciałeś wziąć wczoraj — powiedziała.

Odwrócił się i popatrzył; stara kobieta prowadziła pod rękę swojego męża który bawił się słuchawką aparatu i kroczył sztywno. Ubrani byli na czarno; tak, jak i wczorajszego dnia. Tylko głowa mężczyzny była odkryta; jego czoło poczerwieniało od słońca i wyglądał gorzej niż wczoraj. Jego oczy zapadły w głąb czaszki; powiedział coś do swojej żony i zdawało im się, że chciał odpocząć przez chwilę, ale kobieta w milczeniu pociągnęła go dalej.

— Ci starzy — powiedział Izrael — oni mają pomysły. Ciężko z nimi konkurować. Mieli przecież odlecieć wieczornym samolotem.

— Może im się tu spodobało — powiedziała.

— Wierzysz w to?

— Dlaczego nie — powiedziała. — Ejlat jest najpiękniejszym miejscem jakie widziałam. I wygląda inaczej co pół godziny. Kiedy słońce idzie po górach i góry wciąż zmieniają wygląd. A wieczorem jest tak ciemno, że nie widać na trzy kroki.

— Wiele tu nie ma do oglądania — powiedział. — Ci starzy powinni sobie obejrzyć jeszcze Ben Dova i mogą jechać dalej.

— Tam jest twój Ben Dov — powiedziała.

Patrzyli na jeepa jadącego szybko brzegiem morza i na troje ludzi o przerażonych twarzach którzy wczepili ręce w siedzenia.

— Czy on zwariował? — zapytała. — Dlaczego jedzie tak szybko. Przecież ci ludzie zwariują ze strachu.

— Tu wszyscy lubią jeździć szybko — powiedział. — Ale nic im się nie stanie. Najwyżej wszyscy wpadną do wody. Prawdopodobnie właśnie o to mu chodzi. Trzeba znać Dova. Jego poczucie humoru różni się od poczucia humoru innych ludzi. — Ale i do tego można się przyzwyczaić.

— Nie wygląda na to, żeby w ogóle miał jakiegokolwiek poczucie humoru — powiedziała patrząc za oddalającym się jeepem. — Wygląda na to, że nie lubi nikogo i że wszyscy mu przeszkadzają.

— Opuściła go żona — powiedział Izrael. — A potem Dov zdziwaczał. Podobno tak się z mężczyznami dzieje, kiedy odchodzą od nich kobiety. Z niektórymi z nich.

— To samo dzieje się z kobietami, kiedy odchodzą od nich mężczyźni.

— Słyszałem o tym — powiedział. — Słyszałem całą masę historii na ten temat. To bardzo piękne. Ale z żoną Dova stało się inaczej. Po prostu będzie miała dziecko z kimś innym. A naj-

gorsze, że już prawie wszyscy o tym wiedzą i męczą go tym. Wszyscy, którzy go znają.

— I ty jeden mu pomagasz?

— To on mi pomaga — powiedział. — On mi zawsze pomagał znajdować pracę, to on wpadł na ten pomysł z jeepem i przywiózł mnie tutaj. A w dodatku mieszkam w domu jego brata.

— Tak — powiedziała. — Wiem. Byłam tam przecież. Ale nie na tym polega bieda, że mieszkasz w domu jego brata?

— Jest już jakaś nowa bieda od wczoraj? — powiedział. — Parę godzin byłem bez kłopotów a teraz słyszę, że znowu jest jakaś nowa bieda.

— Wcale nie myślę, żebyś chciał mieszkać w domu jego brata — powiedziała.

— Nie?

— Ja myślę, że ty byś chciał mieszkać w jego skórze — powiedziała. — Że po prostu chciałbyś być taki jak Dov.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się ale oczy jego pozostały nieruchome.

— Nie myślę, żeby to było śmieszne — powiedziała.

— Ludzie zawsze są śmieszni — powiedział Izrael. — Nawet jeśli mówią i robią straszne rzeczy.

— Nie chciałam cię obrazić — powiedziała. — Może mi się po prostu tak zdaje. Ale nie bardzo wierzę, żeby jeden człowiek mógł zmienić się w drugiego. I nie wierzę, żebyś ty zmienił się w Dova. Nie wierzę, żeby to było potrzebne.

— I co według ciebie powinienem zrobić?

Nie odpowiedziała mu; uniosła rękę do góry; patrzył za śladem jej ręki na samolot podchodzący do lądowania z otwartymi kłapami; a potem samolot przeleciał nad ich głowami i Izrael odwrócił się.

— Po co o tym mówić — powiedział.

— Nie musisz wcale o tym mówić — powiedziała. — Po prostu wróć do tego. Spróbuj się jeszcze uczyć jeśli to możliwe.

— Tutaj nie lubią ludzi którzy wracają z powrotem do Europy — powiedział Izrael. — Myślę, że nawet więcej. Mówią o nich: schodzący w dół. Podczas gdy tych, którzy przyjeżdżają tutaj nazywają idącymi w górę.

— A nie wiesz czasem jak nazywają to jeżdżenie jeepem i zarabianie po parę groszy dziennie. Popatrz na niego tam. Czy ten człowiek nie umiałby czegoś innego?

Dov znów przejechał koło nich i znów zobaczyli przerażone twarze turystów.

— Nie — powiedział Izrael. — Niech Dov zostanie tutaj i robi wszystko co chce. Nie umiem sobie wyobrazić tego kraju bez niego. Dov by umarł, gdyby musiał stąd wyjechać. Wierzę w to. To tak jak starzy chłopci umierają, kiedy im ktoś każe opuścić gospodarstwo i iść do miasta.

— Może masz rację — powiedziała. — Niech każdy przepada na swojej drodze. Gdzie tu można dostać coś do picia?

— W kiosku obok hotelu — powiedział. — Tam jest gość który nazywa się Jack i mówi sześcioma językami. A w żadnym nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Włóż tylko sandały, możesz pokaleczyć nogi.

Patrzył za nią jak idzie a potem wziął gazetę do ręki. Wtedy ktoś dotknął jego ramienia i podniósł głowę.

— To przecież Izrael Berg — powiedział mężczyzna. — Nie poznasz mnie?

— Pamiętam cię — powiedział Izrael. — Pracowaliśmy razem w Herzliji. Jesteś murarzem, nie?

— Tak — powiedział tamten. — Teraz pracuję tutaj. A gdzie jest Dov Ben Dov?

— Dov jest tutaj. Właśnie jechał przez plażę z turystami. Nie widziałeś go?

— Nie. I co u niego słyhać?

— Nic.

— Nic?

— Nic.

— To powiedz mu, że ja tu jestem.

— Dobrze. Powiem mu.

— Ale nie zapomnij.

— Nie zapomnę.

— A pamiętasz jak ja się nazywam?

— Powiem mu: ten murarz z Herzliji. Dov już będzie wiedział. Zawsze miał dobrą pamięć.

— Dlaczego ty myślisz, że on mnie będzie pamiętać?

— Wcale tego nie myślę.

— Nie myślisz? Dlaczego nie myślisz?

— Bo nie miałem dotąd żadnych sukcesów w myśleniu — powiedział Izrael. — Chciałbym teraz trochę pospać.

— Jak możesz spać, kiedy jesteś z kobietą? To nieładnie.

— No to nie będę spać — powiedział Izrael.

— A co to za kobieta?

— Taka sama jak i każda inna — powiedział Izrael. — Chociaż jej się na pewno zdaje, że jest inaczej.

— Skąd ona jest?

— Z Europy.

- To coś będzie?
- Już było.
- I jak było?
- Dobrze było. Właśnie dlatego jestem taki zmęczony. Dlatego właśnie chciałbym spać. Chociaż pięć minut.
- To ja już pójdę.
- Naprawdę? No to trudno, idź.
- To ty mu już powiesz?
- Tak.
- Nie zapomnisz?
- Nie.
- Będziesz wiedział o kogo chodzi?
- Tak.
- No to ja już idę — powiedział tamten. — Wiesz co ja sobie pomyślałem?
- Niezupełnie — powiedział Izrael. — Ale mniej więcej mogę się domyślać wagi twojej myśli.
- Tak sobie pomyślałem, że ta kobieta by pasowała do Dova — powiedział tamten. Izrael uniósł się na łokciach.
- Tak myślisz?
- Właśnie — powiedział tamten. — Dov jest duży a ona nie specjalnie duża. Ładnie by razem wyglądali. Moja matka też była mniejsza od mojego ojca a moja siostra jest dużo mniejsza od mojego szwagra. Czy Dov ją widział?
- Tak.
- Tak? I co powiedział?
- Powiedział jej, jak się nazywa i na tym koniec. Zapomniałem już chyba, że Dov ma żonę.
- Miał.
- Dov ma żonę — powiedział Izrael. — I ta żona wróci do niego, kiedy tylko Dov będzie chciał. Nie musi nawet gwizdać na nią. Wystarczy, że sobie tak pomyśli a ona to już jakoś zważa. To wszystko.
- Co jesteś taki nerwowy? Młody człowiek i taki nerwowy. Ja już idę. To tylko powiedz mu, że ja tu jestem.
- Powiem mu — rzekł Izrael. Nie patrzył na tamtego; stojącego nad nim z nadzieją iż przemówi chociaż jedno słowo; patrzył w kierunku hotelu skąd nadchodziła Urszula a potem patrzył na jeepa i na stojącego Ben Dova który pił piwo z butelki. Tamten wreszcie odszedł; Izrael położył gazetę na twarzy i leżał. Słyszał jak podchodzi do niego i siada na piasku.
- Śpisz? — zapytała cicho.
- Nie — powiedział. — Próbuję myśleć. Próbuję myśleć jak stąd wyjechać i zabrać się rzeczywiście do swoich samolotów.

Nie przyjdzie mi łatwo stąd wyjechać. Próbuję myśleć, co Dov o tym powie. Byliśmy długi czas razem.

— Nic nie powie — rzekła. — Będzie musiał to zrozumieć.

— A jeśli tego nie zrozumie?

— To jego wina.

— Dov nie rozumie jak to się stało, że opuściła go żona — powiedział Izrael. — Chociaż próbuje myśleć na ten temat. Ale ja wiem, że on tego nigdy nie zrozumie. Czy rzeczywiście jest winien?

Patrzyła na niego; na jego szczupłe ciało i na przystojną, czujną twarz, a potem odwróciła się od niego.

— A więc jest jednak tak jak ja myślałam — powiedziała. — Ty chcesz być jak on. Jak Dov Ben Dov. Może nawet ci się uda z czasem mieć a może tylko udawać wszystkie jego zalety i dobre strony. Ale nigdy ci się nie uda mieć jego wad. I to już tylko twoja wina. — Podniosła się i wyciągnęła ku niemu rękę. — Chodź — powiedziała. — Pójdziemy napić się kawy.

Zeszli z plaży i poszli w kierunku miasta. Weszli do pierwszej kawiarni: ona usiadła przy stoliku na zewnątrz on wszedł do środka. Było pusto; zasłona zrobiona z czerwonych koralików wisiała nieruchomo w przejściu pomiędzy drzwiami.

— Nikt nie prowadzi już więcej tego interesu? — powiedział głośno Izrael po chwili stania.

Czerwona zasłona rozchyliła się i tęgi mężczyzna wszedł za bar. Oparł się łokciami o bar i patrzył na Izraela.

— Ja prowadzę ten interes — powiedział.

— Nie prowadzisz go dobrze — powiedział Izrael. — Trzeba stać i czekać. Daj dwie kawy.

— U mnie nie ma kawy — powiedział właściciel.

— Jak to — powiedział Izrael. — Przecież maszyna jest gorąca.

— Zdaje ci się.

Izrael dotknął ręką ekspresu.

— A jednak jest gorąca — powiedział.

— To ty jesteś ten kolega Ben Dova?

— Tak.

— Ja nie chcę, żebyś pił kawę w moim lokalu — powiedział właściciel.

— Dlaczego?

— To moja sprawa. Tak samo jak i ten lokal jest mój. Czy nie rozumiesz po hebrajsku, panie? Jak długo jesteś już w kraju? Izrael milczał.

— A jednak będziesz musiał mi powiedzieć dlaczego nie

chcesz mi sprzedać kawy — powiedział. — Nie zdaje ci się chyba, że komuś takiemu jak ty łatwo jest obrazić człowieka.

Widział jak tamten odchodzi, potem zawraca i staje przed nim. Był ciężki, gruby i przy tym biały, jakby to słońce szalejące przez czternaście godzin dziennie nie dotknęło nigdy jego skóry.

— Lubię innych ludzi — powiedział właściciel lokalu. — Czy nie wystarczy ci to?

— Nie.

— Byłem u Izaaka Sterna — powiedział tamten. — Czy wiesz przynajmniej kim on był?

— Wiem.

— Nie możesz tego wiedzieć — powiedział tamten. — To był człowiek, który chciał się bić. I który czekał sam na dachu domu, kiedy go policja otoczyła. — Milczał przez chwilę, potem powiedział: — Nie myślę, żeby go dostali żywego.

— Jaki związek to ma pomiędzy nim a moją kawą — powiedział Izrael. — Wszyscy ludzie w tym kraju wiedzą, że Stern był bohaterem.

— Ale nie ma ulicy jego imienia — powiedział tamten. — Co się stało z twoją twarzą?

— O to ci chodzi?

— I nie tylko o to. Nie przychodźcie tutaj. Ani ty, ani Ben Dov. Nie chcę u siebie żadnych awantur.

— Czy mam mu to powtórzyć?

— Dlaczego mnie o to pytasz? Przecież i tak mu powtórzysz. Będziesz go musiał prosić, żeby załatwił coś niecoś za ciebie. Ale ja nie lubię jak Żyda biją po twarzy i kiedy ten Żyd nie chce się bronić. Przypominasz mi coś, od czego odszedłem w życiu. I do czego nie chcę już wracać. Możesz mu to wszystko powtórzyć, jeśli już będziesz powtarzać. Ja się go nie boję. Nie bałem się nigdy i nikogo.

— Czy dużo ludzi widziało mnie wczoraj na plaży? — zapytał cicho Izrael.

— Widzieli cię — powiedział tamten. — Boję się, że wielu ludzi powie ci to samo, co ja ci powiedziałem. Przykro mi, ale nie umiem ci pomóc.

— Nie — powiedział Izrael. — Nie mów, że ci jest przykro.

— A więc dobrze. Nie jest mi przykro. Wyjdź stąd. To wszystko, czego od ciebie chcę.

— Tak — powiedział Izrael. — Ale możesz zrobić przynajmniej jedno. Możesz mi powiedzieć, kto o tym naopowiadał ludziom.

— Czy wiesz jak się nazywa najładniejsza dziewczyna w naszym mieście?

— Nie.

— To zapytaj się młodszego Ben Dova — powiedział właściciel lokalu. — On będzie ją znał. Może dlatego, że jest z nią żonaty. A teraz wyjdź stąd.

Wyszedł na słońce i stanął przed nią uśmiechając się. Nie widziała go; była odwrócona i patrzyła wciąż na łuk zatoki i na białe domy Akkaby.

— Urszula — powiedział. — Nie dostaniemy kawy w tym lokalu. Ale jest za to co innego. Wyjadę stąd pierwszym samolotem jaki będzie dla mnie możliwy.

— Czy stało się coś?

— Nie — powiedział. — Nic się już nie mogło stać. Po prostu ten człowiek tam za ścianą przekonał mnie, że powinienem się jeszcze uczyć. Jest jeszcze cała masa rzeczy w życiu, o których nie mam pojęcia, a które powinienem znać.

— Powiedz mi co się stało — rzekła. — Przecież musiało się coś stać jeśli nawet taka idiotka jak ja to czuje.

— To długa historia — powiedział. — I w głowie mi się kręci kiedy zaczynam o tym myśleć. Dov zwariował kiedy odeszła od niego żona, narobił całe mnóstwo awantur a ostatnio zrobił awanturę w Tel Avivie i postanowiliśmy, że ja wezmę winę na siebie, bo baliśmy się, że tym razem sędzia wsadzi Dova na długo.

— Cóż to za awantury?

— To nie jest precyzyjne słowo — powiedział. — Dov wrócił do domu pewnego dnia i zastał kogoś u swojej żony. A potem tłumaczył się przed sądem że nie mógł inaczej, bo tamten go zaatakował i musiał się bronić.

— I co się stało z tym człowiekiem?

— Nie wiem — powiedział. — Nikt nie wie co się dzieje po śmierci z człowiekiem. Ale ludzie różnie myślą na ten temat. Więc ja ostatnim razem powiedziałem przed sądem, że to moja wina ale sędzia nie bardzo mi chciał wierzyć. Dał mi karę z zawieszeniem i jeszcze raz ostrzegł Dova. A potem przyjechaliśmy tutaj gdzie Dov ma brata, który jest rybakim i wszystko pokreśliło się jeszcze bardziej. Bo brat Dova ma konkurentów którzy łowią motorowymi łodziami i zarabiają dziesięć razy tyle co on. Więc kiedy Dov przyjechał, to jego brat myślał, że Dov mu jakoś pomoże. Ale Dovowi nie wolno już mieszać się w żadne awantury.

— Więc to dlatego nie broniłeś się wczoraj?

— Tak — powiedział. — Nie mogłem się bronić.

— I Dov o tym wie?

— Nie. Bałem się, że Dov zacznie te sprawy załatwiać na własny sposób. To by było źle dla niego.

— Więc on jest tym silnym a ty jesteś tym słabym? I kiedy ciebie biją to on nawet o tym nie wie. Czy to ten pomysł?

— Tak — powiedział. — To właśnie ten pomysł. Ale chodźmy stąd. Nie wszyscy muszą nas słyszeć.

— Jest dopiero szósta — powiedziała.

— Idź do domu — powiedział. — A ja przyjdę do ciebie. Chcę iść teraz do domu i porozmawiać z Dovem. — Odeszła; patrzył przez chwilę za nią dopóki nie zniknęła za rogiem ulicy a potem wszedł do lokalu.

— Czego chcesz? — zapytał właściciel podniósłszy się ku niemu. — Czy nie powiedziałem ci, żebyś wziął stąd swoją smutną mordę?

Nie odpowiedział; zdjął przeciwsłoneczne okulary i schował je do kieszeni. Potem podniósł z ziemi ciężkie, ogrodowe krzesło z żelaznymi nogami i uderzył nim w *espresso* uskakując w bok przed obłokiem pary.

— Chciałem ci tylko powiedzieć, że mówiłeś prawdę — rzekł Izrael. — Chciałem ci powiedzieć, że naprawdę nie ma już kawy w twoim lokalu.

Rzucił krzesłem w kąt i wyszedł na ulicę.

Czapki ich leżały na stole podczas gdy oni sami — dwóch młodych, opalonych policjantów — siedzieli ciężko na krzesłach oparłszy o stół łokcie. Było już po zachodzie słońca; ale upał trwał wciąż jeszcze; spalona ziemia nie poddawała się wiatrowi, który budził się nad zatoką i którego słaby szum pojawiał się wciąż częściej przebijając się poprzez dręczące klekotanie wentylatora.

— Chcecie jeszcze kawy? — zapytał Dov.

— W Ejlacie nie można bez kawy — powiedział jeden z policjantów. — Kiedy pobędziesz tu dłużej to zobaczysz.

— Jak długo chcesz tu zostać, Dov? — zapytał drugi.

— Dlaczego mnie pytaacie? — powiedział. — Czy będziecie zapisywać moje odpowiedzi?

— Nie jesteśmy teraz na służbie — powiedział policjant. Wskazał na czapkę leżącą przed nim na stole. — Spotykałeś już chyba przedtem policjantów w swoim życiu, nie?

— Dobrze — powiedział Dov. — Powiem żonie mego brata, żeby zrobiła nam jeszcze kawy.

Wyszedł do kuchni. Jeden z policjantów wstał ciężko od stołu i podszedł do ściany.

— Młodszego Dova znam jeszcze z wojska — powiedział.

— Nie mówiłeś nigdy, że byłeś u spadochroniarzy — powiedział drugi policjant.

— Nie mówiłem?

— Nie.

— To ci powiem teraz. Wcale mi się to cholerne skakanie nie podoba. Za ostatnim razem bałem się tak samo jak i za pierwszym chociaż wszyscy instruktorzy mówili mi, że człowiek się przyzwyczaja. Ja tam się nigdy nie przyzwyczaiłem. Myślę, że młodszy Dov też nie. — Wrócił do stołu; znów położył swoje brązowe łokcie na stole i oparł podbródek na pięściach. — Powiedziałbyś lepiej dlaczego to zrobiłeś — powiedział do Izraela.

— Powiedziałem wam już.

— Właśnie że nie. Wcale tego nie powiedziałeś. Nie powinieneś być głupi.

— Maszyna była zardzewiała — powiedział Izrael.

— Dziwny gość — powiedział policjant do drugiego. — Odpowiada tak, jakby był Ben Dovem. — Popatrzył na niego. — Ale on nigdy nie będzie Ben Dovem — powiedział. — Jak myślisz.

— Myślę, że nie — powiedział drugi policjant. — Ben Dov to nie jego wymiar. Ben Dov *is not his size*.

— Powinieneś się zastanowić — powiedział policjant. — Jeśli pójdziesz, przeprosisz go i zobowiązesz się pokryć szkody, to nie jest wykluczone, że ten człowiek wycofa skargę.

— A jeśli nie wycofa?

— To sprawa pójdzie do sądu.

— A ile się dostaje za robicie *espresso*? — zapytał Izrael. — Jest już taki paragraf? I ile to jest? Może coś takiego, jak siedemnaście razy rozstrzelanie zsiadłym mlekiem w tyłek? I może to wy będziecie wykonywać egzekucję?

Dov wszedł do pokoju. Postawił przed nimi kawę i filiżanki.

— Przyniosę sobie krzesło — powiedział.

— Zaraz będziesz mieć dwa wolne krzesła — powiedział policjant. Wskazał ręką na Izraela. — Powinieneś mu wytłumaczyć, że lepiej przeprosić tego człowieka. — I powinieneś mu powiedzieć, że jest sobą a nie tobą. I niech sobą zostanie. Tak będzie lepiej dla niego. — Wstał i nałożył czapkę na głowę. — Pójdziemy już — powiedział..

— Przecież chcieliście kawy — powiedział Dov.

— Twój kolega chce nas obrazić — powiedział policjant. — Lepiej będzie, jeśli stąd wyjdziemy. Ale to nie jest w porządku, Dov.

— Napijcie się kawy — powiedział Dov.

— Nie. Twój kolega robi z nas idiotów.

Odprowadził ich do drzwi i stał tam przez chwilę dopóki

nie usłyszał hałasu zapuszczanego motoru; potem odwrócił się do Izraela.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś?

— Nie miałem czasu — rzekł Izrael.

— Ile czasu trzeba na to, aby powiedzieć, że się miało drakę w jakiś barze?

— Nie byliśmy sami.

— Siedzieliśmy godzinę sami w tym pokoju dopóki nie przyniosło policjantów.

— Nie — powiedział Izrael. — Nie byliśmy sami. Żona twojego brata nie odchodzi od drzwi. Słyszysz nawet to, co mówię teraz. Nie byliśmy ani chwili sami.

— Nie chcesz mi powiedzieć?

— Ta maszyna nie jest warta gadania — powiedział Izrael.

— Prawda, Esther?

Patrzyli jak drzwi otwierają się powoli; Esther stanęła tam niezmiészana i niezmiéniona.

— Nie — powiedziała. — Ani ta maszyna, ani ty.

Dov podszedł do niej i obrócił ją ku sobie.

— Ile ty masz lat, Esther? — powiedział.

— Nie mam jeszcze dwudziestu — powiedziała. Patrzyła na rękę Ben Dova zaciskającą się na jej ramieniu.

— I nie wystarczy ci to, że jesteś kurwą? — powiedział Dov. — Musisz być jeszcze szpiclem? — Odepchnął ją na ścianę.

— Co masz do powiedzenia, Esther? — powiedział Ben Dov.

— Ona już powiedziała — rzekł Izrael. — Wszystko i wszystkim. Tylko tobie jeszcze nie powiedziała.

— Esther — powiedział Dov. — Za godzinę wróci mój brat a wtedy pożegnaj się z nim i pójdziemy stąd. Tę godzinę chciałbym zostać z nim sam. Czy proszę o zbyt dużo?

— Nikt ci nie powiedział, abyś stąd poszedł — powiedziała Esther.

— Pytałem się ciebie: czy proszę o zbyt dużo?

— Nikt ci nie powiedział, abyś stąd szedł — powtórzyła. — To dom twojego brata.

— Nie myślę, żeby ona ci to kiedyś powiedziała — rzekł Izrael. — Ona nie jest zła. Może tylko jest zbyt podobna do ciebie. Ale kocha Dova i wie, że Dov kocha ciebie. Nie powinienes mówić w ten sposób. Ona ci tego nie powiedziała.

— Nie — powiedział Ben Dov. — Jeszcze nie. Ale ja jestem już stary, Izrael. Ktoś, kto ma czterdziestkę i kogo wyrzucają na ulicę wcale nie jest śmieszny. Nie wiem dlaczego tak jest.

— I dokąd pójdziesz? — powiedziała Esther. — Tak czy owak musisz być śmieszny. — Odwróciła się od Izraela. — Jak długo będziesz z nim — powiedziała. — I jak długo będą go bić po twarzy. — Znowu podeszła bliżej i stanęła przed Izraelem. — Dlaczego mu nie powiesz? — powiedziała. — Dlaczego go okłamujesz? Przecież jemu możesz powiedzieć prawdę.

— Ty to lepiej zrobisz — powiedział Izrael. — Powiedz mu to. Tak jak powiedziałaś wszystkim ludziom, których tylko zdążyłaś złapać. — Wstał nagle i podszedł do okna. — Ty jesteś mądrą dziewczyną, Esther — powiedział. — I wiesz tak wiele. Wiesz, że ludzie pobili mnie wczoraj na plaży i wiesz, że nie chciałem tego powiedzieć Dovowi. I wiesz dlaczego, bo wiesz przecież, w jakiej sytuacji jest Dov. I wiesz jeszcze dużo rzeczy. Wiesz wszystko z wyjątkiem jednej rzeczy. Z wyjątkiem najważniejszej rzeczy. I dopóki jej nie poznasz nie będziesz miała ani chwili spokoju. Dlatego nie umiem cię nienawidzić. Jesteś po prostu niewinna, bo nie wiesz o najważniejszym.

— Czego nie wiem?

— Nie wiesz tego o czym ja wiem — powiedział Izrael. — Nie wiesz, co ci nie daje spokoju. Ty tylko czujesz to, o czym ja dobrze wiem. Ale ty tego nie wiesz.

— A ty jesteś po prostu zbyt tchórzliwy, aby mi o tym powiedzieć, prawda?

— Nie — powiedział Izrael. — Ja po prostu zaczekam aż inni to zrobią za mnie, tak jak ty to za mnie zrobiłaś. Oddaję ci ten sam kawałek chleba.

— Czy nie powiedziałem ci Esther, żebyś stąd poszła — powiedział Dov. — Czy mam ci to powiedzieć inaczej?

Nie ruszała się. Patrzyła wciąż na Izraela i widzieli obaj, że usta jej poruszają się bezgłośnie.

— Więc ja ci powiem — rzekła w końcu. — Powiem ci to, co jest najważniejsze.

— Nie — powiedział Izrael. — Nie będziesz umiała.

— Zrobię to tak, jak tylko będę umiała — powiedziała. — To nie potrwa długo. Wszystko jest prostsze jak myślisz.

— Tak — powiedział Izrael. — Prostsze jak ja myślę i jak ty myślisz. Ale ty o tym nie wiesz.

Do pokoju wszedł Drugi Dov ale i tym razem nie poruszyła się. Stała wciąż na środku pokoju, pochylona trochę do przodu i patrzyła na Izraela.

— Chciałbym coś zjeść, Esther — powiedział Drugi Dov. — Nie zjadłem nawet przyzwoitego śniadania.

— Nie wyglądasz dobrze — powiedział Izrael. — Wtedy wyglądałaś lepiej. — Podszedł do fotografii Drugiego Dova i sta-

nał przed nią. — Wtedy wyglądał lepiej — powiedział. — Prawda, Esther.

— Esther, chciałbym coś do zjedzenia — powiedział Drugi Dov. Podszedł do niej i dotknął jej ramienia ale wtedy odepchnęła go z całej siły.

— Hej, Esther — powiedział Drugi Dov. — Czy stało się coś? Dlaczego jesteś tak blada?

— To o tobie i o tej kobiecie — powiedziała Esther do Izraela nie zważając zupełnie na słowa Drugiego Dova. — Nie zdaje ci się chyba, że ona tu przyszła do ciebie, prawda? Czy też chcesz być aż tak głupi? Nie. Ona przyszła do Dova. I przez twoje łóżko chce dostać się do łóżka Dova. Bo ona wie, że inaczej nie umiałaby go sobą zainteresować. Ona to dobrze wie. Tak dobrze jak ja. Czy to właśnie było to najważniejsze o czym mi chciałeś powiedzieć?

— Nie — powiedział Izrael. — To jeszcze nie to.

— A ja myślę, że to chyba właśnie to — powiedziała Esther. — Bo to, że z nią spałeś wczoraj w nocy, nic jeszcze nie znaczy. Przespała się z tobą, bo było jej żal ciebie. Bili cię przecież, a ona na to patrzyła. A potem sama uderzyła cię w twarz. Kobiety często idą do łóżka z litości. To już sprawa mężczyzny, co mężczyźni uważają za miłość. Ja wiem o tym najlepiej. Sama to robiłam.

— Esther — powiedział Drugi Dov. — Przecież ty mi powiedziałaś... Przecież przysięgałaś mi... — Wyglądał nagle o wiele młodziej niż zazwyczaj; podszedł ku niej tak cicho jakby bojąc się głosu własnych kroków. — Nie — powiedział. — To nieprawda Esther. Przecież ty mi przysięgałaś.

— Nie dotykaj mnie — powiedziała. — Jesteś takim samym głupcem jak i on. I, co z tego, że ci przysięgałam? Kiedy przyjdzie mój następny czas przysięgnę ci znowu. Każda może przysięgać przez trzy dni w miesiącu jeśli ma takiego głupca jak ty lub on. Niektóre nawet przez cztery i pięć dni.

— Przecież przysięgałaś mi — powiedział.

— Nie — powiedziała. — Jestem kobietą. Nie wolno mi przysięgać. Jestem brudna.

— Mimo to przysięgałaś mi — powiedział.

— Więc co z tego — powiedziała. — Zapytaj tej kobiety, co ona powiedziała Izraelowi kiedy szła z nim do łóżka. — Znowu podeszła krok bliżej; stanęła teraz twarzą w twarz z Izraelem. — Sama to robiłam, zanim poznałam Dova — powiedziała. — Zaczęłam to robić kiedy miałam czternaście lat i kiedy nie wiedziałam jeszcze dobrze co to jest. Czy wierzysz mi teraz?

— Zapomniałaś jednak o najważniejszym — powiedział Izrael. — To jeszcze nie wszystko.

— Nie?

— Nie — powiedział. — Przykro mi Esther, ale to naprawdę nie wszystko.

Patrzyli za nią jak idzie przez pokój i otwiera drzwi do pokoju ojca Dova.

— Tato — powiedziała. — Tato, proszę cię wyjdź na chwilę. — Stała oparta o framugę drzwi ale stary nie odpowiadał. — Powiedziałeś mi przecież, że kochasz mnie jak własną córkę — powiedziała. — I kazałeś mi... Czy nie chcesz, abym zrobiła to, co mi kazałeś?

Stary wyszedł i stał na progu patrząc na nich. Esther objęła go ramieniem.

— Tato — powiedziała. — Proszę się, spójrz na Izraela. Czy ten człowiek może być lepszy od Dova?

— Czy to sztuka być lepszym od niego? — powiedział stary Dov.

— Tato, nie rozumiesz mnie — powiedziała Esther. — To chodzi o to, że jedna kobieta...

Umilkła nagle. Patrzyła na nich bezradnie jakby zapomniała wszystkiego co chciała powiedzieć.

— Po co mnie pytasz — powiedział stary. — Sama jesteś kobietą. Sama jesteś brudna. Sama powinnaś wiedzieć, co robi kobieta, która może wybierać.

— Ona tego nie wie — powiedział Izrael. — Właśnie o to chodzi, że ona tego nie wie.

— I ty rzeczywiście myślisz, że jesteś lepszy jak mój syn Dov — powiedział stary. — Zazdroszczę ci jeśli to potrafisz.

— Weź ją stąd — powiedział Ben Dov do brata. — Ona jest chora. — Podszedł do niej i dotknął jej czoła ręką; potem podszedł do ojca. — Szkoda, że nie można wybierać rodziców — powiedział. — Dlatego wyjdź stąd. — Stary nie ruszał się z miejsca; pchnął go ramieniem i zatrzasnął za nim drzwi.

— Czy wierzysz mi teraz, Dov? — zapytała cicho Esther.

— Weź ją stąd — powiedział Ben Dov do brata. — Może wyjadę stąd dziś wieczorem a może jutro. Weź ją stąd. — Rzucił mu klucze od jeepa. — Powiedziałem ci, żebyś ją wziął stąd.

— I dokąd mam z nią pójść — zapytał Drugi Dov.

— To twoja żona — powiedział Dov. — Nie wiem tego. Dlaczego mnie o to pytasz? — Zatrzasnął za nimi drzwi i usiadł przy stole. — Ta dziewczyna jest chora — powiedział. — Przepraszam cię.

— Ona jest niewinna — powiedział Izrael. — Powiedziała tylko prawdę. Czy to jej wina, że zobaczyła coś, czego my nie po-

trafiliśmy zobaczyć. — Podszedł do okna i odsłonił firankę. — Widzisz to światło — powiedział. — Ta kobieta czeka tam.

— No i co z tego?

— Nic. Ona czeka na ciebie.

— Ty też zaczynasz?

— Nie — powiedział Izrael. — Ja właśnie skończyłem. Teraz ty zaczniesz. — Opuścił firankę. — Ale poczekajmy jeszcze — powiedział. — To znaczy — niech ona poczeka. — Wziął krzesło, odwrócił je tyłem i usiadł przed Ben Dovem. — Czy powiedziałem ci kiedyś, że mam brata? — zapytał.

— Nie — powiedział Ben Dov.

— On już nie żyje — powiedział. — Wiesz, on był w czasie wojny w Anglii. A potem wrócił do Polski i posadzili go do więzienia, i skazali go na śmierć, i czekał siedem lat w celi na wykonanie wyroku. A potem go wypuścili.

— Wypuścili go?

— Tak — powiedział Izrael. — Wypuścili go, ale on już nie wyszedł z tego więzienia. On został tam na zawsze.

— O czym ty mówisz, człowieku?

— Mogę mówić o czym chcesz — powiedział Izrael. — Ktoś kto był w Hiszpanii powiedział mi, że karawany w Madrycie są białe i wyglądają jak skrzyżowanie wózka do lodów i graj-maszyny. Czy mam o tym mówić dalej?

— Połóż się lepiej spać — powiedział Ben Dov. — Masz dosyć na dzisiaj. Tak jak i ja.

— Oczywiście, że położę się spać — powiedział Izrael. — Ale co z tobą?

— Jak to co ze mną?

— Właśnie. Czy uśniesz? Czy zaśniesz tej nocy?

— Dlaczego o tym mówisz?

— Może będzie ci się znowu śnić twoja żona? — powiedział Izrael. — A potem obudzisz się w środku nocy, ogarnie cię strach, że nie zaśniesz i rzeczywiście nie zaśniesz aż do świtu.

— Dlaczego o tym mówisz? — powtórzył Ben Dov.

— Wiesz — powiedział Izrael. — Mój brat miał żonę, którą przywiózł z Irlandii. A kiedy wyszedł z więzienia, powiedział mi, że wciąż śniło mu się jedno i to samo. Jechał ze swoją żoną poprzez jakieś obce miasto, zostawił ją na chwilę w samochodzie i poszedł coś załatwić kiedy wyszedł nie mógł znaleźć ani jej, ani samochodu. I chodził po tym mieście, i pytał się ludzi czy nie widzieli jej i tego wozu, ale nikt go nie rozumiał. A ci którzy go zrozumieli śmiali się z niego.

— Śmiali się z niego?

— Chciałabym zamówić sandwicz — powiedziała. — To wszystko. A on tu jest dopiero trzy lata.

Powiedział kelnerowi a potem wziął butelkę i przysiadł się do niej. Wyglądał na bardzo zmęczonego i nie można było domyślić się jego wieku.

— Pani jest z Hamburga — powiedział. — Prawda?

— Tak — powiedziała. — To się słyszy?

— Ja to słyszę — powiedział. — Urodziłem się w Berlinie.

— Długo pan tutaj jest?

— Dwadzieścia osiem lat — powiedział. — To dłużej niż pani żyje.

— Berlińczycy są najprzyjemniejszymi Niemcami — powiedziała. — Wszyscy to mówią. Wie pan, mój teść jest Berlińczykiem. I jest najmilszym człowiekiem na świecie.

— Tak — powiedział. — Najmilsi są ci ludzie z Berlina. — Uderzył ręką gazetę leżącą na jego kolanach. — Ale teraz znowu Niemcy stawiają mury — powiedział. — I znowu zaczną strzelać do dzieci. Czytała już pani o tym?

— Mój teść jest najmilszym człowiekiem na świecie — powiedziała szybko. — Wie pan — on jest od czterdziestu lat ciągle pijany a moja teściowa jeszcze tego nie zauważyła. To jest osiągnięcie, prawda?

— Odechciałoby mu się tego tutaj — powiedział ponuro zwróciwszy ku niej swoją twarz. — Gdyby był agentem ubezpieczeniowym tak jak i ja jestem. Chodziłem dzisiaj dziesięć godzin po słońcu i nie zarobiłem nawet na tę butelkę piwa.

— Czy ludzie nie chcą się ubezpieczać?

— Od czego ich ubezpieczać? — powiedział. — Od nich samych? Tu jest wielu byłych kryminalistów. Dam pani przykład: jest tu trzech nowych rybaków, którzy mają motorowe łodzie. Powiedziałem im, aby je ubezpieczyli, a oni mówią do mnie: my sami jesteśmy złodziejami. Jak my nie ukradniemy, to nikt ich nie ruszy. A przecież nie trzeba wcale kraść łodzi. Wystarczy nasypać trochę piasku do silników i będzie po wszystkim. Każdy to potrafi. Łodzie których nocą nikt nie pilnuje... Mój Boże.

Kelner przyszedł i postawił na stole kawę i talerz z kawałkiem chleba obłożonym szynką.

— Przecież pani wcale nie zamówiła kawy — powiedział agent ubezpieczeniowy.

— Nie szkodzi — powiedziała. — Wypiję ją. Kelner jest tu dopiero trzy lata.

— Nie jest dobrze pić tak dużo kawy — powiedział. — Ale tutaj, w Izraelu nie można inaczej.

— Ja jestem lekkomyślna — powiedziała. — Jak ci ludzie którzy mają łódzie. Proszę o cukier. — Podał jej cukier; wyspała jedną, potem drugą a potem trzecią łyżeczkę. — Ja lubię słodką kawę — powiedziała. — Jak to się mówi po niemiecku?

— Kawa musi być ciemna jak noc, słodka jak grzech i silna jak miłość — powiedział. Jego zmęczona twarz wykrzywiła się ponuro. — I to akurat Niemcy to mówią. Niemcy którzy w ogóle nie znają smaku kawy.

Izrael wszedł do kawiarni; agent ubezpieczeniowy pożegnał się i odszedł.

— Czego on chciał? — zapytał.

— Nic — powiedziała. — Może by mnie chciał ubezpieczyć gdybym go o to poprosiła. Jest z Berlina a ja zapytałam czy ktoś mówi po niemiecku. Czy wiesz już coś w sprawie twojego paszportu?

— Ciągle jeszcze chcesz abym jechał z tobą?

— Czy zmieniło się coś?

— Nie — powiedział. — Nic się nie zmieniło. I nic się nie zmieni. Nie mogę pojechać z tobą.

— Czy to on tak powiedział?

— Nie — powiedział. — To wszyscy tak powiedzą. Kiedy Amerykanin wyjedzie do Paryża i pije tam przez trzydzieści lat i mówi, że nie lubi Ameryki — to wszyscy go uważają za uroczonego oryginała, dopóki nie przepije ostatniego dolara. Ale jak przyjeżdża gdzieś Żyd to wszyscy nagle zaczynają się dziwić. Nikt nie wie dokładnie dlaczego tak jest. Ale jest właśnie tak a nie inaczej.

— To jest dokładnie to samo co on mi powiedział wczoraj. Wczoraj, kiedy pomyliły mu się drzwi.

— Więc kiedy dwóch mówi to samo, to już coś znaczy — powiedział. — Ale to nie tylko my dwaj tak myślimy.

— Nie — powiedziała. — Każdy może żyć tam gdzie chce dopóki ma pieniądze czy pracę. To nie tak. To tylko ty nie masz siły od niego odejść i zacząć żyć samemu.

— Może i tak jest — powiedział. — Słowa nic nie znaczą. Zostań tu tak długo jak chcesz. I przyjeźdź z powrotem tak szybko jak tylko możesz. Przez ten czas nic się nie zmieni.

Kelner postawił kawę przed Izraelem.

— Zmieni się — powiedziała. Patrzyła przez chwilę na cukiernicę stojącą na sąsiednim stoliku gdzie leżała porzucona przez agenta ubezpieczeniowego gazeta; potem wzięła cukiernicę do ręki. — Ile chcesz? — zapytała.

— Piję bez cukru — powiedział.

— Weź trochę cukru — powiedziała. Wyspała mu jedną a

potem drugą łyżeczkę. — Może się jednak coś zmieni — powiedziała.

— Muszę już iść — powiedział. — Dov pracował do tej pory a mamy jeszcze gości którzy chcą zobaczyć kopalnię króla Salomona w nocy. Za mało było im słońca; teraz chcą jeszcze sztucznego światła. Muszę zmienić Dova.

— Przyjdiesz dziś wieczorem?

— Tak — powiedział. — Jak tylko skończę wozic tych turystów.

— O której to może być?

— Nie wiem — powiedział. — Wtedy, kiedy im się to znu-
dzi. Nie jest w ogóle powiedziane, czy kopalnia będzie im się podobać. Może po prostu będą spać i może będę mówić do siebie przez cały czas.

Wstał.

— Więc nie chcesz ze mną pojechać — zapytała.

— Przecież mi nie uwierzysz, jeśli ci powiem że nie chcę — powiedział. — Po prostu nie myślę, żeby to było możliwe.

— Boisz się go zostawić samego?

— Nic mu się nie stanie dopóki nie zaczną bić ludzi — powiedział. — O to tylko chodzi, aby nie miał pretekstów. Powodów ma dosyć.

Wyszedł; jeep stał przy krawężniku. Dov oparty plecami o maskę pił piwo z butelki.

— Gdzie masz tych gości — powiedział Izrael.

— Są w hotelu „Ejlat” — powiedział Ben Dov. — Ten facet nazywa się ni mniej, ni więcej tylko Borgenicht. — Sięgnął ręką do kieszeni i rzucił Izraelowi klucze.

— Odwiozę cię do domu — powiedział Izrael.

— Czy powiedziałem ci, że chcę jechać do domu? Nie wrócę tam dopóki wszyscy nie położą się spać. Ojciec, Dov, Esther. Chcesz piwa?

— Tak.

Rzucił mu butelkę.

— Upiję się dzisiaj — powiedział Dov.

— Będziesz się jutro fatalnie czuł.

— Dlaczego jutro? Ja się dzisiaj fatalnie czuję. A wczoraj czułem się też okropnie. Pół mojego życia czuję się okropnie a butelka brandy kosztuje osiem funtów.

— Poczekaj na mnie — powiedział Izrael. — Upijemy się razem. To będzie kosztowało osiemnaście funtów.

— Nie — powiedział Dov. — Idź do tej swojej dziewczyny. Wpakowałeś mnie wczoraj w paskudną historię.

— Mnie wpakowali w paskudną historię — powiedział Izrael. — Twój ojciec, twój brat. I Esther.

— Esther jest głupim, dużym dzieckiem — powiedział Dov. — Nie musisz wcale słuchać co ona plecie.

Izrael uśmiechnął się.

— Dov.

— No?

— Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Czy naprawdę za każdym razem trzeba otwierać ci oczy?

— Nie rób tego — powiedział Ben Dov. — Błagam cię, nie tłumacz mi niczego. Wczoraj mi wytłumaczyłeś co powinienem robić i nigdy w życiu nie czułem się tak fatalnie jak dziś. Nie mów do mnie w ogóle. Nie ma na świecie słów które byłyby mnie w stanie zainteresować. Zostało ci jeszcze trochę piwa?

— Tak.

— Daj mi.

Podał mu butelkę.

— Nie wytrzymam tu długo — powiedział Dov. — Muszę stąd odejść.

— Obaj stąd odejdziemy.

— Ale każdy z nas pójdzie w swoją stronę.

— Tak będzie tylko wtedy jeśli ty będziesz tego chcieć — powiedział Izrael.

— Nie chcesz już jechać do Europy? — powiedział Dov. — Nie chcesz już zaczynać nowego życia?

— Nie — powiedział Izrael. — Najpierw chciałbym skończyć to jedno.

Dov nie powiedział nic; rzucił w ciemność butelkę i musiał kogoś trafić bo rozległ się wrzask.

— Jesteś jeszcze młody — powiedział Dov. — Może mógłbyś gdzie indziej lepiej żyć. Nie wiem tego. Nie umiem ci poradzić. Może być jednak, że byłoby i tak. Nie wiem. Nie byłem nigdy w Europie.

— Jestem Żydem — powiedział Izrael. — Najpierw pytają cię o to a potem dopiero o wiek. Ja byłem w Europie i wiem o tym.

— Co chcesz robić?

— Nic — powiedział. — Zostanę tutaj. I ty tu zostaniesz.

— Chcę stąd odejść — powiedział Dov. — Mam dosyć Ejlatu. Mam dosyć mojego brata i mojego ojca. I dosyć tej dziewczyny która jest obłąkana. Chcę się upić.

— Poczekaj na mnie — powiedział Izrael. — Upijemy się razem.

— A ona?

— Nie wiem. Może i ona się z nami upije.

— Żebym miał pieniądze, upiłbym to całe miasto — powiedział Dov. — Upiłbym to całe cholerne miasto razem z rabinatem i burmistrzem, i trzystoma górnikami którzy pracują w kopalni króla Salomona. I tych wszystkich zasranych turystów, którzy przyjeżdżają tutaj i udają, że im się podoba mój kraj, upiłbym też. Żeby się wszyscy jutro fatalnie czuli. Żeby się wszyscy czuli tak jak ja. Dzisiaj spałem tylko trzy godziny. A tej nocy też nie będę spać. Upiłbym to cholerne miasto a potem poszlibyśmy stąd.

— I dokąd pójdziemy?

— Nie wiem tego — powiedział Dov Ben Dov. — Nie myślałem jeszcze o tym. Namyślimy się w drodze.

Szedł długim szpitalnym korytarzem obok lekarza który był młodym człowiekiem o ciemnej twarzy i jasnych oczach. Była godzina szósta po południu.

— Nie masz czegoś — powiedział Dov. — Czegoś co człowieka stawia na nogi kiedy za dużo pił a za mało spał?

— Nie mam — powiedział lekarz. — Gdybym miał coś takiego sam bym to brał. Więc jakto było wczoraj?

— Nie wiem — powiedział Dov. — Siedzieliśmy w barze — mój kolega, jego dziewczyna i ja. Wypiliśmy trochę, potem jej się zachciało spać i poszła a myśmy jeszcze zostali. No i wypiliśmy jeszcze trochę. A potem mój kolega powiedział do mnie: zostawmy tego jeepa i chodźmy na piechotę. Jeszcze ktoś powie że piliśmy i jechaliśmy po pijanemu i będzie bieda. Tak zrobiliśmy. Położyliśmy się spać, zasnąłem a po jakich dwóch godzinach ludzie przylatują i mówią, że mojego brata, Dova, pobili ci rybacy i że go przewieźli do szpitala. No i znowu nie spałem więcej jak trzy godziny.

— Czy wiesz dlaczego go pobili?

— Nie wiem — powiedział Dov. — Może zaczął z nimi. Ciągłe mieli jakieś porachunki. Tak między nami mówiąc, to chciałem nawet żeby mu trochę dołożyli i żeby się chłopak uspokoił.

Lekarz nic nie powiedział. Dov spojrział na niego.

— Ej — powiedział. Zatrzymał się i przytrzymał lekarza. — Czy to coś poważnego?

Tamten oswobodził się delikatnie.

— To tutaj — powiedział. — I bądź dla niego miły.

— Czy to coś poważnego?

— Bądź dla niego miły — powiedział doktor. — A potem przyjdź do mnie.

Pchnął go delikatnie i Dov wszedł do pokoju. Drugi Dov leżał samotnie; podszedł do niego do łóżka.

— Hej, Dov — powiedział Drugi Dov. — Dlaczego Esther z tobą nie przyszła.

— Nie wiem — powiedział. — Przyszli ze szpitala i powiedzieli żeby przyszedł ojciec. Ale dzisiaj jest piątek i stary nie chciał iść. Więc przyszedłem ja.

— Nie czuję się dobrze.

— Co ci jest?

— Nie wiem. To ci doktorzy w białych fartuchach wiedzą lepiej. Ja dostałem swoje i straciłem przytomność.

— To tamci cię tak urządzili? Dlaczego ich zaczepiałeś?

— Nie zaczepiałem ich wcale, Dov. Szedłem przez plażę, była może godzina szósta i nawet nie patrzyłem przed siebie a tu nagle tamci doskakują do mnie i zaczynają mnie tłuc. Rąbnąłem jednego, drugiego ale któryś z nich uderzył mnie w tył głowy i poszedłem spać.

— Ale za co?

— Nie wiem — powiedział Drugi Dov. — Sam bym to chciał wiedzieć. Sam ich o to zapytam, kiedy wyjdę z tego szpitala.

— Czy mam ci powiedzieć, co oni zeznali na policji?

— Tak. Powiedz mi.

— Oni zeznali, że zniszczyłeś ich łodzie — powiedział Ben Dov. — Ze zniszczyłeś ich motory.

— Oni zwariowali. Dlaczego miałbym to zrobić?

— A któż miał to zrobić? Tylko ty i oni jesteście tu rybakami. I ciągle się kłócicie. Któż to mógł zrobić.

— A co mnie to obchodzi — powiedział Drugi Dov. — Nie zrobiłem tego. Przecież tobie bym powiedział.

— Ale byłeś tej nocy na plaży?

— Każdej nocy chodzę na plażę z Esther — powiedział Drugi Dov. — Po to, abyś ty mógł spać. Abyś się czuł, jak u siebie w domu.

— Dov — powiedział Ben Dov. — Czy możesz przysiąc na przykazania boskie, że nie zrobiłeś tego?

— Nie zrobiłem tego — powiedział. — Przykryj mi głowę, to ci przysięgnę.

— Nie — powiedział. — To nie potrzebne. Wierzę ci. Ale któż to mógł zrobić? I po co?

— Nie wiem tego — powiedział Drugi Dov. — To nie moja sprawa. Nie jestem ani szpiclem, ani policjantem w tym mieście. Jestem rybakiem bo tak chciałem i tego się uczyłem.

— Ale byłeś przecież tej nocy na plaży.

— No to co z tego? Każdemu wolno chodzić nocą na plażę. Nie chodziłeś nigdy nocą na plażę.

— Nie — powiedział Ben Dov.

— No to teraz sobie pochodzisz — powiedział Drugi Dov. — A ja będę leżał z moją żoną w łóżku. Ona już policzyła wszystkie gwiazdy na niebie i natura zaczyna ją nudzić.

— Myślę o tym, kto to mógł zrobić — powiedział Ben Dov.

— A cóż to ciebie obchodzi? Czy jesteś tutaj policjantem? Niech oni się tym zajmą. Cóż to ciebie obchodzi?

— Ty mówisz jak dziecko — powiedział Ben Dov. — A sprawa wcale nie wygląda dobrze dla ciebie.

— Esther jest moim świadkiem.

— Nie wiem, czy sąd uzna ją za wiarygodną. Jest twoją żoną.

— Słuchaj — powiedział Drugi Dov. — Mnie to zaczyna nudzić. Od tego jest policja i sądy. Ja o niczym nie wiem i za nikim nie chodzę. Nie latam do Izraela i nie mówię mu, że ta jego kobieta chodzi nocą po plaży. Nic mnie to nie obchodzi?

— Tak szybko — powiedział Ben Dov. — I z kim była?

— Z nikim nie była. Szła sobie nocą po plaży a kiedy ją zobaczyłem, to pociągnąłem Esther w bok. Wcale nie chciałem jej widzieć i nie chciałem, żeby ona mnie widziała.

— Jesteś tego pewien?

— Nudzi mnie ta sprawa — powiedział Drugi Dov. — I chce mi się spać. Zdaje się, że oni mi dali coś na spanie.

— Dobrze — powiedział Dov. — Czy przynieść ci coś do czytania? Chcesz czegoś?

— Chcę, żeby Esther do mnie przyszła — powiedział Dov. — Wiesz, jestem cały obandażowany. Zobacz. — Odrzucił kołdrę; obandażowany był jego brzuch i jego uda. — Czuję się jak martwy tutaj — powiedział. — Jakbym nigdy tego nie miał. Chcę, żeby ona przyszła. Wiem, że jak jej dotknę, to wszystko zacznie we mnie żyć.

— Dobrze — powiedział Ben Dov.

— Wiesz — powiedział młodszy Dov odwracając głowę do ściany. — Już od trzech dni jej nie miałem. Nie wiem co się z nią stało.

— Esther jest kobietą, Dov. Może jest chora.

— Esther jest moją żoną — powiedział Drugi Dov. — Ona nigdy nie była dla mnie chora.

— Powiem jej. I powiem jej, żeby przyniosła ci coś do czytania.

— Nie chcę nic do czytania. Chcę jej tylko dotknąć.

— Więc powiem jej, żeby przyszła i że będziesz ją dotykać.

— A jak ja wrócę do domu to powiem jej to, co powiedział ten amerykański żołnierz który wrócił z Korei. Zaprowadzę ją do okna i powiem jej: Widzisz te piękne drzewa tam? Widzisz to piękne niebo? To popatrz sobie dobrze, bo przez następne dwa tygodnie będziesz widziała tylko sufit. Dobranoc, Dov.

— Dobranoc — powiedział. — Śpij dobrze.

Poszedł przed siebie korytarzem rozglądając się za kancelarią, ale doktor stał przy schodach i palił papierosa.

— No i co? — zapytał. — Jak mu tam idzie?

— To ty powinienes wiedzieć lepiej — powiedział Dov. — Jesteś doktorem i płacą ci za to.

— Dov — powiedział tamten. — Czy pamiętasz, że po tym jak zabiłeś tego człowieka w domu swojej żony — lekarze uznali cię za niepczytalnego?

— Więc nawet i ty wiesz o tym?

— Dov — powiedział tamten. — Lekarze uznali cię za niepczytalnego i dlatego uniknąłeś więzienia. Ale to było tylko możliwe raz w życiu. Mówię ci to jak lekarz, nie jak policjant.

— Dlaczego w ogóle o tym mówisz — powiedział Dov. — Ja jestem zdrowy. Lepiej zatroszcz się o mojego brata.

— Właśnie dlatego ci to mówię — powiedział tamten. — Żebyś nie zrobił czegoś, od czego nikt cię nie będzie mógł potem wybawić. Twój brat nigdy nie będzie już mężczyzną, Dov.

— Więc to tak — powiedział cicho Ben Dov. — To dlatego on czuje się jak martwy w tym miejscu.

— On jest pod działaniem morfiny, Dov — powiedział tamten. — I jeszcze parę dni będziemy go musieli blokować. A potem dopiero wyjdzie ze szpitala. A potem dopiero pozna prawdę.

— I jak to się stało?

— Jeden z tych ludzi był w podkutych butach — powiedział doktor. — Musiał go kopać. Tkanki uległy zmiżdżeniu.

— To znaczy, że on już nigdy... — zaczął Ben Dov. Ale nie potrafił skończyć.

— Nie — powiedział lekarz. — Już nigdy.

— A co stanie się z jego żoną?

— Po jakimś czasie będzie mu to obojętne.

— Po jakim czasie?

— Nie wiem tego — powiedział doktor. — Nikt tego nie wie.

— Ale jeśli mu się to nigdy nie stanie obojętne — powiedział Ben Dov. — Jeśli wciąż będzie o tym myśleć i cierpieć?

— To co wtedy?

— Nie wiem — powtórzył tamten. — I ty tego nie wiesz.

I on tego nie wie. A żaden człowiek nie potrafi spytać Boga. Potrafisz?

— Nie — powiedział Ben Dov.

— I ja też nie potrafię. Zrobiłem wszystko, żeby nie cierpiał. I zrobię wszystko, żeby dowiedział się o tym jak najpóźniej. Ale to już wszystko co potrafię. Reszta zależy od was. Od waszej rodziny.

— Chcę już iść.

— Możesz już iść. Ale nie zapomnij o tym, co ci powiedziałem. Powiedziałem ci to jako lekarz. Nie jako policjant.

— Powiedz mi teraz jako lekarz: co się stanie z tymi ludźmi? Z tymi którzy zrobili z niego to czym jest?

— Zostaną skazani.

— Za co?

— Za nieumyślne spowodowanie kalectwa.

— Na jak długo.

— Nie wiem. Może po pięć. Może po dziesięć lat.

— A potem wrócą do swoich kobiet — powiedział Dov. — Do swoich żon, czy też do swoich kurew i będą mogli robić to, czego on nigdy już nie będzie mógł robić w swoim życiu. Prawda?

— Nie wiem, czy będzie można udowodnić im umyślne spowodowanie kalectwa — powiedział lekarz.

— Gdybyś był naprawdę lekarzem — powiedział Dov — to wiedziałbyś, że z nim trzeba zrobić tylko jedną rzecz. Gdybyś był naprawdę doktorem który rozumie ludzi, a nie człowiekiem w białym fartuchu.

— Nie mów tak głośno — powiedział. — Tu jest szpital. W każdym z tych pokoiów jest jakiś nieszczęśliwy człowiek i każdy z nich wierzy, że to ja albo jeden z nas — będzie mógł mu pomóc. Nawet jeśli ty w to nie wierzysz.

— Czy oni są już aresztowani?

— Nie — powiedział lekarz. — Policja czeka na orzeczenie ze szpitala.

— I kiedy to będzie gotowe?

— Już jest gotowe.

— Daj mi to — powiedział Dov. — Ja to zaniosę na policję.

— Zrobisz to na pewno?

— Na pewno — powiedział Ben Dov. — Przecież to co tam leży w tym pokoju to było kiedyś moim bratem.

— Może on dopiero teraz zacznie być twoim bratem — powiedział doktor. — Teraz, kiedy będzie potrzebował twojej miłości i twojej pomocy.

— To ty to mówisz, a nie ja — powiedział Ben Dov.

Stał potem przed szpitalem trzymając w ręku dużą, zaklejoną kopertę. Było już ciemno; nie oglądając się poza siebie porwał kopertę i strzępy rzucił za siebie. Spojrzał na zegarek: była ósma. Jechał powoli przez miasto i patrzył na nie teraz — kiedy było już ciemno i kiedy pierwsze gwiazdy błyskały nad zatoką i kiedy przyszedł pierwszy wiatr. Zatrzymał jeepa przed domem; ale nie wchodził do środka. Stał oddychając ciężko i patrzył w oświetlone okno.

— Esther — zawołał cicho.

Wyszła po chwili.

— Esther — powiedział. — Przynies mi tę fotografię Do-va która wisi na ścianie. I przynies mi te moje skórzane paski na przeguby.

— Dlaczego nie wejdiesz do domu i sam tego nie weźmiesz.

— Przynies mi to wszystko, Esther — powiedział cicho. — Jestem zmęczony. Nigdy nie prosiłem cię o nic. Proszę cię teraz.

Wyszła po chwili i podała mu paski; wyciągnął ku niej ręce a ona obwiązała mu przeguby.

— Co chcesz robić — zapytała.

— Będę musiał łowić za niego — powiedział.

— A po co ci jego fotografia?

Wziął do ręki zdjęcie brata i patrzył na nie chwilę. Potem rzucił je z całej siły o ścianę.

— Takim już nigdy nie będziesz — powiedział.

— Co się z nim stało?

— Nic, Esther — powiedział. — Dowiesz się i tego. Wszyscy dowiedzą się tego, kiedy przyjdzie czas. Chodź teraz do mnie.

Podeszła do niego; przyciągnął ją ku sobie i pocałował rozchyliwszy jej usta i czuł jak ciało przywiera do niego i przekazuje mu ciepło — teraz, po dniu który przeszedł już, przepalił się w temperaturze siedemdziesięciu stopni — a potem uczuł jej dłonie przyciągające ku sobie jego głowę. Wtedy odsunął ją delikatnie.

— Potrzebowałem tego — powiedział. — On jest moim bratem.

— On mnie nic nie obchodzi — powiedziała.

Odsunął ją od siebie.

— On cię nic nie obchodzi?

— Nie — powiedziała. — Możesz mnie uderzyć. On miał rację.

— Kto miał rację?

— Izrael. Twój przyjaciel.

— O czym ty mówisz Esther.

— To nie ta kobieta przychodziła do ciebie — powiedziała.

— To ja chodziłam za tobą. To ja cię chciałam, nie ona. I jeżeli coś się stało, ja jestem temu winna.

— Czy wy musicie być takie — powiedział. — Czy nie umiecie nawet udawać wstydu?

— Ja mówię tylko za siebie — powiedziała. — Ja nie umiem. Ale nie umiem również udawać miłości. Zapytaj się twojego brata.

— On cię kocha — powiedział. — On czeka na ciebie.

— Ale ja kocham ciebie — powiedziała. — I ja czekam tylko na ciebie.

— Czy wiesz, Esther, że teraz mógłbym cię mieć gdybym chciał — powiedział. — Że naprawdę mam prawo cię mieć, gdybym chciał?

— Zawsze mogłeś mnie mieć — powiedziała. — Mogłeś mnie mieć pierwszego dnia, kiedy weszłeś do tego domu.

— Ale ja nie wejdę do tego domu — powiedział Ben Dov. — Nie wejdę do tego domu wcześniej dopóki nie zrobię z nimi tego, co oni zrobili z moim bratem.

— Nie musimy wchodzić do tego domu — powiedziała Esther. — Możesz mnie mieć gdzie chcesz i kiedy chcesz.

Patrzył na nią przez chwilę a potem wsiadł do jeepa.

— Powiedz ojcu, że jest już stary — powiedział. — I że Bóg zlituje się nad nim i zabierze go szybko.

— A kto zlituje się nade mną? — powiedziała Esther.

— Wróć teraz do domu i czekaj — powiedział.

— Teraz kiedy wzięłeś te swoje skórzane paski nie mam już po co czekać — powiedziała Esther. — Teraz już przestałam czekać.

Odwróciła się i weszła do domu. Wciąż jeszcze czuł ciepło jej ciała i zapach jej ciała; jadąc przez ciemne, boczne ulice wciąż jeszcze czuł jej twarde, młode usta i było to gorsze od bólu. Wszedł do garażu zatrzymawszy jeepa o sto metrów w bocznej ulicy i patrzył na człowieka siedzącego w kanale i pijącego piwo. Potem popatrzył na jego buty.

— Czy wiesz, co się stało? — powiedział Ben Dov.

— Jeszcze nie wszystko się stało — powiedział tamten.

— Gdzie są tamci?

— Wyjechali.

— Wyjechali czy uciekli?

— Wyjechali — powiedział tamten. — Nie ucieka się. Nie ma gdzie uciekać. Ja byłem przez pięć lat w Oświęcimiu i wiem o tym. Ale oni tam nie byli więc nie mogą o tym wiedzieć.

— Dlaczego nie wyjechałeś z nimi? — powiedział Dov.

Tamten odwrócił się ku niemu.

— Czekałem na ciebie — powiedział.

— I co byś zrobił na moim miejscu?

— To samo, co ty zrobisz, Dov.

— Czy wiesz, że on już nigdy nie będzie mężczyzną?

— Nie chciałem tego — powiedział tamten. — Dlatego tu zostałem. Czekam na ciebie już od paru godzin.

— Daj mi piwa — powiedział Dov. — Pić mi się chce. Rzuć butelkę.

Tamten rzucił butelkę i Dov złapał ją w locie. Piwo było gorące i oddał mu butelkę po chwili.

— Dlaczego nie wyjechałeś z nimi — powiedział.

Siedział już w samochodzie GMC i nadjeżdżał powoli ku tamtemu — stojącemu w płytkim kanale; a potem oślepił go reflektorami; wtedy, kiedy zderzak samochodu oparł się już o pierś tamtego.

— Jeśli przeżyjesz, spotkamy się w więzieniu — powiedział Dov Ben Dov. — Będziemy skazani za to samo. Za nieumyślne spowodowanie kalectwa. A potem wrócimy jeszcze raz do naszych kobiet.

Zamknął oczy puściwszy pedał sprzęgła i nacisnąwszy z całej siły pedał gazu. Słyszał przez chwilę pisk opon obracających się w miejscu a potem, wciąż z zamkniętymi oczyma — wyjechał tyłem i wyprowadził ciężarówkę na podwórze zgasiwszy światło.

Znów wrócił do jeepa i jechał szybko ze zgaszonymi światłami. Zatrzymał go przed rogiem ulicy, na której mieszkał i tyłami domów poszedł do domu, w którym mieszkała Urszula. Zajrzał przez okno; siedziała na łóżku, tak samo jak dwa dni temu a książka leżała obok niej. Pchnął ramieniem drzwi i wszedł do środka.

— I ty też na mnie czekasz? — powiedział.

— Tak — powiedziała.

— To ciekawe, że akurat w tym dniu wszyscy na mnie czekają — powiedział. — Esther, Jehuda, teraz ty Urszulo. Przez całe moje życie nikt na mnie nie czekał a akurat dzisiaj nikt nawet nie chce uciekać. A przecież wszyscy ode mnie zawsze uciekali. — Wyciągnął ku niej rękę. — Chodź — powiedział. — Wstań i chodź.

— I dokąd pójdziemy?

— Nic ci nie zrobię — powiedział. — Nie potrzebowałbym cię wyciągać z tego pokoju, gdybym chciał coś ci zrobić. Chcę z tobą pomówić a lada chwila zaczną mnie szukać. I przyjdą tutaj. Mój wóz stoi o parę kroków stąd. — Znów wyciągnął ku niej rękę. — Wstań i chodź ze mną — powiedział.

Nie oglądając się za siebie poszedł do samochodu i słyszał,

że idzie za nim. Usiadła koło niego; znów jechał ze zgaszonymi światłami przemykając się zaułkami i bocznymi ulicami.

— Zrobiłaś ten rachunek beze mnie — powiedział.

— Co stało się z twoim bratem? — powiedziała.

— Nie mam już brata — powiedział. — To co tam leży nie jest już niczym. Ani mężczyzną, ani kobietą.

— Nie żyje?

— Nie — powiedział. — Będzie żyć. Ale nie będzie już mężczyzną.

— Boże — powiedziała. — To nie może być prawda.

— To jest prawda — powiedział cicho. — I nic na to nie poradzisz. Powinnaś o tym pomyśleć wcześniej. Wtedy, kiedy nasypałaś im piasku do tych ich motorów. Ale nie umiałaś tego przewidzieć. Ty tylko chciałaś, żebym ja się do tego wmieszał i żeby mnie zamknęli. A wtedy mogłabyś go wziąć ze sobą. Prawda?

— Tak — powiedziała.

Zatrzymał samochód.

— Nie będę miał nawet czasu się z nim pożegnać — powiedział. — Weźcie tego jeepa i jedźcie prosto przed siebie. Rano powinniście być w Tel-Awivie. Weźcie pierwszy samolot i zniknijcie stąd.

— A ty, Ben Dov?

— Ja się urodziłem tutaj — powiedział. — Mam tu ojca. I tamto nic, które było moim bratem.

Wyszedł z wozu.

— Czy będziesz umiała znaleźć drogę z powrotem? — zapylał.

— Chyba tak — powiedziała. Wyszła z wozu i stanęła koło niego. — Czy można jeszcze coś zrobić?

— Nie — powiedział. — Już wszystko jest zrobione.

— Dlaczego to wszystko tak się stało — powiedziała. — Widzisz, ty go nigdy nie lubiłeś. Może nawet o tym nie wiedziałeś. Ty go chciałeś tylko mieć przy sobie jak lustro, żeby w jego oczach widzieć siebie. Ale może nawet sam o tym nie wiedziałeś.

— Wiem to teraz — powiedział. — Ale nie umiem już niczego zmienić. Weźcie ten wóz i zniknijcie stąd.

— To dlatego on przysłał cię w nocy do mnie — powiedziała. — Żeby móc przyjść samemu następnej nocy i żeby sobie samemu udowodnić, że w jakiejś sprawie życia jest jeśli nie lepszy od ciebie, to przynajmniej tak samo dobry jak ty.

— Idź już — powiedział. — Nie macie za dużo czasu.

— Ale ja chcę, żebyś ty to zrozumiał — powiedziała. —

Nie umiem teraz odejść stąd po tym wszystkim, co się stało z twoim bratem.

— Żadna z was nie potrafi odejść kiedy już wszystko popsuła — powiedział.

— Ty naprawdę tego nie rozumiesz? — powiedziała.

— Ty bardzo pięknie mówisz — powiedział. — Każda z was, wy cholerne kurwy, potrafi mówić więcej i szybciej ode mnie. Ty na pewno chciałabyś być mężczyzną, nie?

— A ty? — zapytała.

Z całej siły uderzył ją w twarz; poleciała do tyłu, głowa jej odbiła się o żelazną ramę jeepa i znów wróciła ku niemu a wtedy uderzył ją drugi raz i po raz drugi upadła głową; ale tym razem na zderzak jeepa i nie wstała.

— Przykro mi — powiedział. — Nie chciałem tego. Wstań. — Nie odpowiedziała mu. Powiedział znowu: — Wstań. Naprawdę nie macie dużo czasu. Na rano musicie być w Tel-Avivie. Tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Nie odpowiedziała mu i tym razem. Pochylił się nad nią; odwrócił ją twarzą ku niebu i zapalił światła samochodu. Oczy jej pozostały otwarte i puste.

— Izrael — zawołał cicho.

Tamten odwrócił się ku niemu.

— Gdzie jesteś?

— Tu — powiedział Ben Dov. — Czekałem na ciebie.

Izrael podszedł do niego.

— Nie ma jej w domu?

— Nie — powiedział Ben Dov. — Właśnie dlatego tu czekam na ciebie.

— Dlaczego nie wejdiesz do środka?

— Chodź ze mną — powiedział Ben Dov. — Musisz mi pomóc.

Poszedł przodem i wsiadł do jeepa stojącego teraz znów gdzie indziej. Jechał szybko: ale już nie bocznymi ulicami jak za pierwszym razem — ale drogą ku pustyni.

— Czy wiesz co się stało z moim bratem? — zapytał.

— Jest w szpitalu.

— Będzie impotentem do końca życia — powiedział Ben Dov. — Czy wiesz dlaczego to się stało?

— Nie — powiedział Izrael. — Ale czy naprawdę...

Przerwał mu.

— Bo Urszula zniszczyła te ich łodzie — powiedział. — Ale nie muszę ci chyba mówić, dlaczego to zrobiła.

Zatrzymał wóz; zgasił światła i poszedł przodem. Izrael szedł za nim. Odwrócił się ku niemu.

Izrael podszedł do niego.

— To tutaj — powiedział.

— Co tutaj? — powiedział Izrael.

— Ona tu leży — powiedział Ben Dov.

Izrael podszedł powoli ku niemu.

— Co się jej stało?

— Nie żyje.

— Zabiłeś ją?

— Nie — powiedział. — Obraziła mnie i uderzyłem ją w twarz. Upadła głową na zderzak i nie wstała więcej.

Izrael cofnął się.

— I co chcesz teraz zrobić?

— To co muszę zrobić — powiedział Ben Dov. — Iść na policję i powiedzieć co się stało.

— Idź — powiedział Izrael. — Ale po co mnie tu przywiozłeś?

— Żeby ci powiedzieć jak to było — powiedział Ben Dov.

— Wystarczy, jeśli to powiesz policji.

— Chcę, żebyś był moim świadkiem — powiedział Ben Dov. — Nie odwracaj się.

— Nie mogę być twoim świadkiem — powiedział Izrael. — Nie było mnie przy tym.

— Po to cię tu przywiozłem, żeby ci powiedzieć jak to było. Odwrócił się ku niemu.

— I ty myślisz, że jest na świecie sąd który mi uwierzy — powiedział Izrael. — Czy pamiętasz co było ostatnim razem, kiedy wziąłem twoją winę na siebie. Nikt mi nie wierzył. Dlaczego by mi mieli wierzyć tym razem. — Podszedł nagle do Urszuli i klęknął przy niej. — Wstań — powiedział. — Wstań, przekłeta komediantko — sypnął w jej twarz jedną po drugiej garść piachu. — Wstań — powiedział.

— Ona nie wstanie — powiedział Ben Dov. — Ona już nie żyje.

Izrael odwrócił się ku niemu.

— Ale dlaczego ja mam o tym świadczyć? — powiedział. — Przecież mnie wcale przy tym nie było. Nikogo przy tym nie było. A nawet gdybym był przy tym to odwróciłbym się. Nie mogę patrzeć na takie rzeczy. Dlaczego ja?

— Bo ciebie tylko jednego mam — powiedział Ben Dov.

— Słuchaj — powiedział. — Wciąż jeszcze klęczał przy Urszuli. — Ja nie mogę. Ja jestem słabym człowiekiem. I nikt

się wciąż łudzisz, co? Myślisz, że cię wezmą z powrotem. Ale nie wezmą cię. Dla nich jesteś umarły, tak jak i tamten. Od kiedy to samolotom potrzeba umarłych?

— Uważaj — powiedział mężczyzna. — Za tym zakrętem wysiadam.

— Namysł się — powiedział kierowca. — Ze mną nie będziesz miał złe. Ja jestem równy gość, każdy ci to powie. I firma też nie jest najgorsza. Ja już swoje zrobiłem, żeby cię przyjęli. Przyjdź tylko i podpisz papiery. Pracuję w tej firmie jedenaście lat. To nie jest mało, jak na Izrael. Po jedenastu latach mogę już coś zrobić dla człowieka, jeśli myślę, że jest coś wart. Przyjdź tylko i podpisz papiery.

— Wysiadam tutaj — powiedział mężczyzna. Kierowca zatrzymał wóz i mężczyzna zeskoczył na drogę. Stał teraz w cieniu drzewa: wysoki, szczupły, z ciemną twarzą. — Nie potrzebuję zmieniać zawodu — powiedział. — Nie zapomniałem go jeszcze.

— Bo ciągle się łudzisz — powiedział kierowca. — Ale jak chcesz. Na tym się skończy, że będziesz zmywał talerze w arabskiej knajpie. W arabskiej knajpie w Izraelu Major Abakarow będzie zmywał talerze. A ja przyjdę popatrzeć sobie na to.

— Nie — powiedział mężczyzna. — To nie tak. To ciężko o taką robotę. Ja już próbowałem. I poszedłem do jednej knajpy. A ten skurwysyn zapytał mnie: Co pan może robić? A ja na to: Mogę nawet zmywać talerze. A ten skurwysyn: A przywiózł pan te talerze ze sobą do Izraela?

Kierowca ruszył; mężczyzna poszedł przed siebie drogą pełną kurzu wśród pomarańczowych drzew martwych o tej porze. Jakiś stary człowiek o twarzy tak spalonej słońcem, że nie było tam ani jednego miejsca bez zmarszczek — bez zmarszczek będących już prawie bliznami, zastąpił mu drogę. Był niski, chudy: duży rewolwer w parcianej kaburze wyglądał śmiesznie na jego wątlym ciele.

— Czego tu szukasz? — powiedział. — Znowu tu jesteś?

Odsunął go w milczeniu i poszedł przed siebie. Mały szedł za nim przytrzymując lewą ręką rewolwer.

— Mógłbym cię właściwie nie wpuścić — mówił. — Po to mi płacą, żebym pilnował tych drzew. Jestem tu stróżem, wiesz o tym chyba? To tylko moja dobra wola. — Usunęli się w bok; nad ich głowami przeleciał samolot spryskując pola białym proszkiem. Potem szli dalej; właściwie szedł wysoki a tamten leciał za nim truchtem, oddychał ciężko. — To tylko moja dobra wola — mówił. — Bo mój syn wyglądał tak jak ty.

— Gdzie jest teraz twój syn? — zapytał wysoki.

— Tam gdzie i moja córka — powiedział stróż. Stał teraz obok tamtego, siedzącego pod drzewem i obserwującego pracę samolotu. Potem usiadł koło niego. — Jesteś tu nowy, nie? — zapytał.

— Nie — powiedział mężczyzna. — Jestem tu trzynaście lat.

— I ty pytasz ludzi w Izraelu gdzie są ich rodziny? — powiedział mały z nutą niedowierzania.

— Ja tam o nic nikogo nie pytałem — powiedział. — Znam dobrze ten kraj. Może nawet lepiej niż ty. Byłem i w Tel-Awivie, i w Ejłacie, i w Sodomie, i w Twerji.

Znów przeleciał nad ich głowami samolot i musieli osłonić usta chusteczkami dopóki nie opadł biały pył. Patrzyli za nikłym, kruchym samolotem lecącym wprost ku słońcu w złotej, ciężkiej chmurze.

— Rozumiesz coś z tego? — zapytał stróż. — Chyba musisz coś rozumieć, kiedy tu ciągle przychodzisz i patrzysz na samoloty. Ja tam ich nie lubię. Nie zrobiły dużo dobrego.

— Zrobiły — powiedział mężczyzna. — Dopiero później, po Stalingradzie. Ja ich widziałem jak szli. Nie mieli ani nosów, ani uszu, ani palców. I nawet krok im się mylił.

— Poodmrażali uszy? — zapytał stróż.

— Niektórzy poodmrażali nawet powieki — powiedział mężczyzna. — I teraz nie zamkną już oczu aż do śmierci, i nawet po śmierci. I będą musieli nosić okulary a w nocy będzie ich budzić każde światło, nawet światło zapałki.

— Nie mają powiek? — zapytał z zachwytem stróż.

— Nie — powiedział mężczyzna. — Wszyscy tak wyglądają, jakby cierpieli na Basedowa. Muszą nosić okulary a kiedy je zdejmują, to niektórym robi się źle.

— I nie widzą nigdy ciemności? — zapytał stróż.

— Tak — powiedział mężczyzna. — I nigdy już jej nie zobaczą. Nigdy. Aż do dnia w którym ostatni z nich zdechnie. Ostatni z armii Paulusa, która chciała wziąć Stalingrad.

Stróż podniósł się z klęczek.

— Wiesz — powiedział z wahaniem. — Możesz tu zawsze przychodzić. Możesz tu sobie zawsze przyjść i odpocząć pod drzewem. Nawet jak są pomarańcze. Pozwolę ci sobie narwać. A jak by cię ktoś chciał wyrzucić, to powiedz, że Dov Ben Dov pozwolił ci i tamten musi się odkleić od ciebie. Bo ja tu jestem cały główny stróż. Pamiętaj: Dov Ben Dov.

— Dziękuję ci, Dov — powiedział mężczyzna. — Jesteś równy gość. Jesteś gość z hewry.

— Tak — powiedział tamten. — A teraz muszę już iść. — Zawahał się nagle. — Więc jak ty to powiedziałeś? Że mają ogromne oczy i muszą patrzeć przez cały, cały czas?

— Tak — powiedział mężczyzna. — Muszą patrzeć przez cały czas i przez cały czas lecą im łzy, nawet jak się śmieją.

— Nawet jak się śmieją — powtórzył stróż z zachwytem. Drogą pełną pyłu szedł szybko przed siebie, mówiąc: — Lecą im łzy nawet jak się śmieją. Nawet jak się śmieją. Nawet jak się śmieją. — Na końcu pola przystanął, krzyknął do mężczyzny: — Idę to opowiedzieć swojej starej. Chyba dam radę, nie?

— Pewnie — powiedział mężczyzna siedzący pod drzewem. — To nic trudnego. To jak jaszczury albo ropuchy. Albo jak węże na pustyni. A zresztą zostają tu do zmierzchu. Możesz zawsze wrócić i zapytać. — A potem zagłuszył go ryk samolotu.

Policyjny jeep zatrzymał się tuż koło krawężnika. Silnik pracował z hałasem a czterej policjanci — młodzi zdrowi mężczyźni o twarzach spalonych przez słońce, mimo, że osłaniali je daszkami o okutych brzegach, siedzieli nieruchomo i w milczeniu, dopóki żebrak leżący pod murem nie zrzucił z siebie łachmana i nie powstał. Chwilę stał bez ruchu patrząc przed siebie — przynajmniej im, zdrowym i silnym, tak się zdawało — osłепłymi oczyma, potem, popędzony gniewnym warknięciem klaksonu, powlókł się wolno przed siebie niosąc w sztywnej i skręconej ręce białą laskę, z której miejscami poschodziła już farba. Szedł opustoszałą, stygnącą ulicą w kierunku morza gdzie mógł spać choćby do rana na nagrzanym piasku lub w cieniu kamiennego bulwaru; na jego okaleczonej twarzy był gniew i gorycz. Policjant siedzący koło kierowcy włączył radio i powiedział do mikrofonu:

— Macie go już?

— Nie — zaskrzeczało radio. — A u was?

— U nas wszystko w porządku — powiedział policjant i odwiesił mikrofon. Zapalił papierosa i odwrócił się do tyłu. — Trzy dni temu — powiedział — znów jeden oblał naftą swoją dziewczynę i podpalił. A teraz ten... — Zobaczył nagle samotnego mężczyznę idącego po przeciwnej stronie ulicy i zawołał: — Idź lepiej do domu, majorze. Znowu będziemy mieli kłopot z tobą.

Mężczyzna ukosem przeszedł przez jezdnię i podszedł do samochodu.

— Daj papierosa — powiedział do policjanta a ten podał mu papierosa i zapalki; mężczyzna przypalił a czterej policjanci patrzyli na jego chude szczęki oświetlone nagle płomieniem.

— Rozglądasz się za jakimś kłopotem — powiedział policjant. — Nie?

— Nie — rzekł mężczyzna. — *My name is trouble.*

— Wziąłbyś się lepiej do czegoś, majorze — powiedział ten, który siedział obok kierowcy. — Tak będzie lepiej dla ciebie i dla nas. A zwłaszcza dla ciebie.

— Nie wiedziałem, że potrzebujecie chłopaków do policji — powiedział mężczyzna.

— O, Boże — rzekł policjant. — Nawet nie wiesz, jak potrzebujemy. — Odwrócił się do kierowcy. — Jedź — powiedział.

— Do zobaczenia, chłopcy — powiedział mężczyzna. — Jeśli macie coś do mnie, zawsze mnie tu znajdziecie. I jedźcie ostrożnie na Boga; w tym kraju wszyscy wariują za kierownicą...

Jeep odjechał. Wiatr zerwał się znowu, lecz tym razem nie od strony portu i nie przyniósł ze sobą zapachu morza, ryb, i zaćchęłej, lepkiej od oliwy i smaru wody zatoki, do którego mężczyzna idący bulwarem był przyzwyczajony i który polubił. Tym razem wiatr zerwał się od strony miasta rozłożonego na górze ponad portem, ponad bulwarami; kupy śmieci ze straganów, które pozamykali już hałaśliwi sprzedawcy wirowały przez chwilę w ostrym świetle latarni, niby fantastyczne stada srebrnych ptaków przybyłych nagle nie wiadomo skąd i odlatujących nie wiadomo dokąd; i mężczyzna został przez chwilę osłepiony — stał zasłaniając rękami twarz: w kurzu, w wietrze, w kłębach przewalających się po bulwarze śmieci, dopóki nie wpadło na niego kilku marynarzy, którzy wychodzili z pobliskiego baru na rogu i przechodzili po omacku na drugą stronę ulicy, gdzie był inny bar i gdzie wśród tych samych dziewcząt i w obecności niczym nie różniącego się barmana, pragnęli znaleźć dobrą rozrywkę.

— Hej, chłopcy — powiedział mężczyzna. — Tam wasza forsa skona bez sensu. Niech nie dożyję jutra, jeśli nie potrafię was zaprowadzić do lepszej budy.

Lecz marynarze przeszli obok niego bez słowa a cienie ich potężnych ciał chybnęły się na murze; tak, jak przechodzili obok niego ci wszyscy inni marynarze, których zaczepiał na wąskich nigdy nie stygnących ulicach tego miasta; stojąc w kurzu, w mroku, ale akurat tyle, aby przechodzący mogli ujrzeć jego twarz w poblasku dalekiej latarni; i akurat tyle, aby nie mógł ujrzeć jej policjant; i stamtąd, z mroku i kurzu nawoływał ich wszystkich — wrzaskliwych Amerykanów, wrzaskliwych Niemców, pijanych do nieprzytomności marynarzy z północy którzy nie trzeźwili ani na minutę; i marynarzy tej ziemi w języku, który już zaczynał rozumieć, ale którym nie potrafił jeszcze mówić; i uśmiechał się wtedy zawsze, kiedy oni już przeszli, a on uświadał sobie, że nawołuje ich do burdelów w języku, w którym Bóg stworzył ludziom prawa i obyczaje. A potem rano, stojąc koło

portu, w którejs z tych maleńkich kawiarni i pijąc kawę, widział ich wszystkich powracających na statki; zmęczonych, przepitych, szarych; odartych z owej posępnej legendy ludzi morza, która ich osłaniała za dnia — rosłych, opalonych, silnych i młodych ludzi, ze wszystkich miast świata, znajdujących w picciu i awanturze wypoczynek po pracy, której nigdy nie potrafił sobie wyobrazić ściśle i która zawsze pozostała dla niego w sferze dziecinnych wyobrażeń i polegała na myciu pokładu i zwijaniu żagli, choć nie udało mu się w życiu zobaczyć ani jednego żaglowca; i wtedy jeszcze, na początku swego pobytu w tym mieście zazdrościł im trochę i próbował czuć się jednym z nich: w swoich drelichowych, spłowiałych spodniach, w spranej koszuli, chudy, wysoki, brązowy, z włosami białymi od słońca, wyglądał jak jeden z nich; i zdawało mu się, że dostrzega w ich oczach, jeśli nie współczucie, to przynajmniej zrozumienie, jakie ma jeden zbyt wczesnie wstający mężczyzna w stosunku do drugiego; a potem, kiedy przywykł już do swego życia i przestał zazdrościć im i ich legendzie, przestał również dostrzegać owo zrozumienie i nie patrzył na nich wcale; ani rano, ani w nocy kiedy ich nawoływał z mroku, z kurzu swoim ochryplym i gorącym głosem, który dla niego samego brzmiał w ciemnościach niby głos obcego człowieka; i nie dlatego, że brzmiał obco, lecz dlatego, iż przyzwyczał się za bardzo do tych kilkudziesięciu słów wykrzykiwanych w ciemności, i że to już nic dla niego nie znaczyło, i że przekonał się, iż to w co wierzył święcie i niezachwianie, że wstyd trwa wiecznie również nic nie znaczy, i że nawet do wstydu można się przyzwycząić, bo w końcu okazuje się, iż tylko ciało jest ważne, i że tylko to się liczy naprawdę, co człowiek potrafi dźwignąć, uderzyć, lub naprawić; ale nie ma to nic wspólnego z tym, co starał się zrozumieć przez prawie trzydzieści lat swojego życia, i co starał się zrozumieć potem, kiedy opuścił już swój kraj i swoich ludzi i odszedł od swojego języka i od swojej narodowości, do której przyznawał się nie z niechęcią, lecz z nienawiścią; i dlatego pozostał w tym mieście, w tym słońcu i w tym kurzu, że tu nic niczego nie przypominało — ani domy, ani ludzie, ani kurz i wiatr, który ucichł nagle, zamilkł; chwilę jeszcze szeleściły śmieci gnane po asfalcie resztką podmuchu; potem znów napłynęło świeże, przesycone solą powietrze od portu; mężczyzna otrząsnął się jak pies i ruszył naprzód.

— Gorąco dzisiaj — powiedział do człowieka stojącego na rogu, w mroku. Nie widział jego twarzy; w nikłym świetle zapałki dojrzał wykrzywione usta i nieogolony podbródek; tamten rzucił mu papierosa i mężczyzna złapał go w powietrzu małym ruchem. Chciał podejść i odpalić, lecz tamten — czy odgadując jego myśli,

czy też nie życząc sobie tego, rzucił mu również zapalnik. Mężczyzna zapalił i odrzucił zapalnik w ciemność.

— Ty mnie znasz, co? — powiedział a usta tamtego wykrzywiły się jeszcze bardziej i nieogolony podbródek drgnął w uśmiechu. — Możesz mi śmiało powiedzieć, jeśli potrzebujesz czegoś — powiedział mężczyzna. — Przecież mnie chyba znasz.

Lecz tamten poruszył przecząco głową.

— Chcesz czegoś? — zapytał jeszcze raz, lecz i tym razem nie otrzymał odpowiedzi; nie dojrzał również przeczącego ruchu głowy; obcy człowiek stał bez ruchu, bez szelestu a obecność mężczyzny już przestała go interesować. Więc raz jeszcze spojrzął na czerwone światło papierosa i wyzierający spoza poblasku nieogolony podbródek i powiedział: — Gorąco dzisiaj. Jeszcze nigdy nie było tak gorąco.

Lecz była to nieprawda; gorąco było wczoraj i dnia poprzedniego; gorąco było zeszłego roku i tak samo gorąco było trzynaście lat temu, owego dnia kiedy stanął po raz pierwszy na tej ziemi i ujrzał to miasto — jego białe dachy, jego rozpalone mury i martwą zielen drzew: nieruchomych, bezszelestnych, w których cieniu nie zaznał nigdy spoczynku; i pamiętał jak owego pierwszego dnia szedł ku drzewom, aby w ich cieniu znaleźć trochę chłodu; i owo zdumienie i przerażenie, które ogarnęło go wtedy, kiedy stanął już pod zieloną koroną palmy gdzie nie było ani odrobiny chłodniej — w cieniu pełnym suchego szelestu, który wraz z wiatrem od portu narastał w dziki łoskot, a który wydawały liście; pamiętał również owego ptaka, którego obserwował kiedyś leżąc na gorącym piasku plaży — ptak zleciał nagle z nieba pionowo w dół, jakby napotkał nagle jakąś przeszkodę; i pamiętał również kobietę przechodzącą przez jezdnię: kobieta osunęła się na gorący asfalt, bez słowa, bez protestu i tak już pozostała — śmieszna i bez majestatu śmierci w swojej staromodnej, znoszonej sukni; i zawsze już — choć potem pojechał na południe i znowu powrócił na północ, w góry, wędrując krajem od miasta do miasta, wieczorem i w blasku słońca które wschodzi tu szybko i gwałtownie a którego agonია trwa — dla człowieka przybyłego tu z daleka — zaledwie chwilę; tak, że dzień i noc następują tu zaraz po sobie; bez zmierzchu i poranku, bez zorzy i zachodu; po prostu ciemność następuje po jasności niby przywołana niecierpliwym głosem Boga; i tak płyną te złote dni i czarne noce nad tym krajem i jego ziemią: suchą, gorącą, pełną chwały i legendy — towarzyszył mu obraz ptaka osuwającego się nagle z rozpalonego nieba.

— Ej — powiedział mężczyzna do przechodzącego marynarza. — Szukasz czegoś?

Marynarz wyszczerzył w uśmiechu wilcze zęby.

— Nie bądź śmieszny — powiedział. — Jestem tu nie pierwszy raz. Sam potrafię już znaleźć w mieście to i owo.

— Miasto trzeba znać — powiedział mężczyzna. — Nie ma tutaj drugiego takiego, który by je znał tak jak ja.

— Niech mnie szlag trafi — powiedział marynarz — jeśli ja jestem gorszy. — Spojrzał na mężczyznę i znów uśmiechnął się radośnie wyszczerzając swoje białe kły. — Z tym wyglądem nie dasz rady w tym fachu — powiedział. — Alfons musi być elegancki, wesoły; a ty wyglądasz jak by cię wyciągnęli ze śmietnika po dwudziestu czterech godzinach. I mordę masz, za smutną. Z takim jak ty nikt nie pójdzie się bawić. To logiczne, no nie?

— Chyba — powiedział mężczyzna. — Chyba że masz rację... — Szli chwilę nie odzywając się do siebie; marynarz pogwizdywał a mężczyzna milczał ponuro zwiesiwszy głowę. — Potem rzekł do marynarza: — Daj papierosa, kolego. Sprawy nie stoją dobrze.

Złapał papierosa; przystanęli; marynarz zapalił ogromną zapalniczkę i raz jeszcze, uważnie, przyjrzał się z bliska jego wychudzonej twarzy.

— Idź lepiej do pracy, kolego — powiedział marynarz. — Teraz ciężko o frajerów a marynarzom trudno zarobić z boku, teraz jest więcej celników jak marynarzy... — Stali chwilę naprzeciwko siebie a potem marynarz powiedział. — Sam to kiedyś robiłem. Sam Jezus Nazareński widzi, że byłem najlepszym alfonsiem w swoim mieście. Nie poszedłem na morze dla przyjemności. O Słodki Jezu — nigdy nie miałem takiego hobby.

— Jesteś Grekiem? — zapytał mężczyzna.

— No — rzekł marynarz.

— Nie wiedziałem, że w porcie stoi grecki statek — powiedział mężczyzna. — A przecież wiem, co i kiedy. Nie ma statku, którego bym nie znał.

— Wcale nie stoi — powiedział marynarz. — Ale ja tu siedziałem przez trzy tygodnie. Bo ja się lubię bawić — powiedział nagle tonem szczerego wyznania. — I ja się lubię bawić tak, jak mi się podoba. Ale to się całkiem nie podoba tym wszystkim knajpiarzom, którzy myślą, że z każdego marynarza potrafią zrobić idiotę. No i ostatnim razem też tak było, i zawołali policję. — Westchnął, potem powiedział: — Mój statek wróci jutro, a pod wieczór odpływa. O Jezu Słodki, żeby mi się tylko dzisiaj nic nie zdarzyło. — Dał mu jeszcze jednego papierosa i powiedział: — Idź do roboty, kolego. Nie dasz rady tak długo.

— Dam — powiedział mężczyzna. — Nawet pojęcia nie masz, jak dam. Żeby tylko nie było gorzej. Bo przecież chodzi

tylko o to, żeby się przyzwyczać. — Patrzył na marynarza, który stał o krok od niego radośnie uśmiechnięty. — Gdzie się tak nauczyłeś mówić po angielsku? — zapytał mężczyzna.

— Och — powiedział marynarz — kiedyś czekałem na swój statek cztery i pół miesiąca w Liverpoolu. — Wyciągnął do niego rękę. — Jak przyjadę następnym razem, to się zabawimy — powiedział. — Uważaj na siebie, kolego. — Pokazał mu pudełko, w którym zostały tylko trzy lub cztery papierosy. — Więcej naprawdę nie mogę — rzekł. — To musi mi starczyć do jutra. O Chryste żeby mi się tylko nic nie przydarzyło!

Znów potrząsnął jego ręką i uśmiechnął się a jego wspinałe zęby zabłyśły. Potem odszedł przerzucając swoje ciało z nogi na nogę; cicho, bezszelestnie, zanurzył się w mrok i kurz niby młody, głodny wilk.

Mężczyzna stał i patrzył za nim, póki marynarz nie zniknął za zakrętem, potem ruszył w przeciwną stronę ulicy i szedł teraz w kierunku portu. Widział bezkształtne frachtowce, kołyszące się ciężko w zatoce; białe statki pasażerskie; może trzy lub cztery; eleganckie, czyste, luksusowe; okręty, które już dawno przestały być okrętami; pływające maszyny do zabijania czasu z których schodzili na ląd ludzie o oczach zdziczałych od nudy; widział dalekie chybotanie świateł poza zatoką, tam, gdzie półkuliście rozrzucone i zakotwiczone statki rybackie nawoływały się reflektorami przez całą noc a w dzień ginęły w ogóle, oddzielone od lądu masą rozpalonego, drgającego powietrza które zamazywało linię morza i linię gór po prawej stronie miasta; tak, że nigdy właściwie nie widział tego, co zwie się horyzontem; co jest oddaloną ziemią, na którą spogląda człowiek, gdyż wszystko było niewyraźne, rozedrgane, oddane we władanie rozfalowanemu powietrzu i słońcu — ognistej kuli znieruchomiałej w pustce nieba bez chmur, bez zorzy i bez deszczu.

Doszedł do bramy portu, przed którą siedzieli dwaj udreżeni gorącym policjanci z automatami na kolanach i znów zawrócił: spojrzął na zegar umieszczony wysoko ponad bramą celną i ukazujący jednocześnie czas Greenwich i tutejszy; była już godzina jedenasta; więc postawszy chwilę gapiąc się na swój cień przekreślający całą ulicę i kończący się na ścianie gmachu komory celnej — mężczyzna zawrócił w kierunku miasta odprowadzany zazdrosnymi spojrzeniami policjantów, którzy nie poruszyli się nawet, nie drgnęli kiedy przeszedł tuż koło nich i potrącił automat leżący na kolanach jednego z nich. Wszedł do pierwszej z brzegu kawiarni i kupiwszy od barmana żeton, nakręcił numer. Numer był jednak zajęty; odłożył słuchawkę która momentalnie przyklepiła mu się do dłoni i oparty o ladę czekał cierpliwie, pa-

trząc na towarzystwo siedzące obok i na dwie dziewczyny siedzące nieco dalej, przy stoliku jakby specjalnie zarezerwowanym dla przedstawicielek ich zawodu i jakby specjalnie — ręką nieznanego estety — ustawionego na tle czerwonej, zrobionej z koralików zasłony, za którą można się było domyślać ciemnego korytarza pełnego pustych butelek po sodzie i piwie, w którym potykają się wszyscy przy akompaniamencie spłoszonego mysiego pisku: i właściciel, i goście, i barman. Znow nakręcił numer i znow odrzucił ze wstrętem słuchawkę pocierając ręką o spodnie.

— Słyszał pan już? — powiedział barman nachylając ku niemu swoją spiczastą głowę.

— Słyszałem — powiedział mężczyzna. — Pokaż mi pan w tym mieście jednego, który by o tym nie słyszał.

— To była jego siostra, co?

— Tak mówią.

— No, no — powiedział barman. — Miał chłopak krew. Oblać benzyną rodzoną siostrę i podpalić, to chyba nie idzie tak łatwo, nie?

— Nie wiem — powiedział mężczyzna: wciąż ocierał dłonie o drelichowe spodnie. — Ale może ma pan dla mnie łatwiejsze pytania.

— Życzy pan sobie czegoś?

— Daj pan brandy — powiedział mężczyzna. — I nie myśl pan o tej całej historii. To nie dla nas. My, z Europy, mamy za miękkie serca. I to nas gubi.

— Tak — powiedział barman stawiając przed nim kieliszek. — To właśnie to, co nas gubi. — Jego łysa głowa odpłynęła na drugi koniec kontuaru.

Napił się łyk brandy, po czym znow nakręcił numer i trzymając słuchawkę w koniuszkach dwóch palców patrzył w lustro poza ladą, w którym majaczyła jego twarz — spalone włosy, zapadłe, ścięte policzki niby dwie płytki z mosiądzu których przedłużenie musiałoby się gwałtownie spotkać pod kątem niemal ostrym tuż za podbródkiem przeciętym szramą; jasne, skośne oczy i krótki nos, którego lekkie zakrzywienie było widać teraz, kiedy stał odwrócony, nieco bokiem do lustra, przyciskając dwoma palcami lepką słuchawkę do ucha, z wyrazem napięcia na twarzy, który nie ustępował nigdy — w gniewie, ni w radości i który innych ludzi wprowadzał w stan ciągłego oczekiwania; wreszcie człowiek z drugiej strony przewodu uniósł słuchawkę i mężczyzna powiedział:

— Sprawy nie stoją dobrze, Mickey. Przyjdę chyba dzisiaj do ciebie. Nie widzę innego wyjścia.

— Nie — odpowiedział człowiek w słuchawce — to jest zupełnie niemożliwe. Ja cię przecież uprzedzałem, że nie będę mógł tego więcej robić.

— Słuchaj, Mickey — powiedział mężczyzna. — Ja wcale nie będę miał do ciebie żalu, jeśli powiesz „nie” i ja z tym zostanę, chociaż nikomu nie jest przyjemnie słyszeć „nie”, kiedy prosi o coś, czego najwięcej potrzebuje. A ja tego potrzebuję, Mickey. Ja jestem zmęczony, Mickey, cholernie zmęczony i chciałbym chociaż troszkę odpocząć. Ja ci wcale nie chcę powiedzieć, że ja tego nie wytrzymam, bo tak nie jest, bo ja wszystko potrafię wytrzymać, ale chciałbym tylko dwa, trzy dni. I naprawdę nie dłużej.

— Wszyscy tak mówią — powiedział człowiek z drugiej strony przewodu a głos jego brzmiał cicho i łagodnie. — Wszyscy tak mówią, kiedy już się okazuje, że cała sprawa była wymyślona i kiedy wynika z tego cała masa kłopotów.

— Ze mną nie będziesz miał kłopotów — powiedział mężczyzna. — Ja się tak potrafię urządzać, że nikt na świecie nie skapuje, żeby tam nie wiem co. Chodzi tylko o dzień, dwa. Zostało mi tylko na dzisiejszą noc, na hotel, Mickey. I to naprawdę wszystko.

— Słuchaj — powiedział głos w telefonie; znów łagodnie, cicho i bez zniecierpliwienia. — Dzisiaj był już tutaj Anioł sługa Boży, Józef i jeszcze z pięciu innych; i naprawdę nic się nie da dla ciebie zrobić. Ja wiem, że ty jesteś zmęczony. Ja też jestem zmęczony. Ale to nic nie znaczy, bo każdy w tym mieście powie ci to samo i to będzie prawda, święta prawda, która przestała już cokolwiek znaczyć i jakkolwiek działać. Ty musisz coś zrobić. Ty nie jesteś pierwszym człowiekiem, którego to spotkało. I wszyscy oni umierali z tęsknoty przez całe lata i kończyli źle, jeśli nie próbowali robić czego innego, chociaż im się już potem nic nigdy nie udawało naprawdę. Ty musisz coś zrobić i być tak zmęczony, tak strasznie zmęczony, żeby po prostu o tym nie pamiętać. A przecież u ciebie to niedługo, już naprawdę niedługo. I potem wrócisz z powrotem.

— Myślisz, że naprawdę wrócę? — zapytał mężczyzna. — Ja już przestałem wierzyć. Już zupełnie przestałem wierzyć. Dobrze — powiedział — pomyślę o tym. Dobranoc, dziękuję i za to.

— Mogę ci pożyczyć trochę pieniędzy — powiedział człowiek w telefonie. — Możesz wpaść do mnie jeśli chcesz. Ile ci potrzeba?

— Nie — powiedział mężczyzna — dam sobie jakoś radę. — Ja czasami po prostu zapominam, że to jeszcze parę dni. Ale

postaram się o tym pamiętać. Myślę, że pójdę po prostu spać i to będzie najlepsze.

— Hej, Abakarow! — powiedział nagle głos w słuchawce.

— Tak.

— Czy powiedziałem ci, że po raz pierwszy w życiu mam na swoim oddziale całą Trójcę Świętą?

— Nie. Nie powiedziałeś mi.

— Bóg Ojciec wyjdzie chyba z tego. Syn Boży też. Ale z Duchem Świętym jest beznadziejne. To po raz pierwszy w czasie całej mojej praktyki.

— Dobranoc Mickey.

— Dobranoc.

Odłożył słuchawkę i stał jeszcze przez chwilę bez ruchu jakby rozmowa trwała dalej w nim samym; i jakby szukał odpowiedzi na pytania nasłuchując uważnie, wciąż z ręką na ebonitowej słuchawce; patrzył na robotników z portu pijących przy stole brandy z wodą sodową; na dwie dziewczyny znieruchomiałe na tle czerwonej zasłony; na łysego barmana pracującego jak automat przy drugim końcu kontuaru za fantastyczną piramidą szklanek i kufli; potem napotkał w rudziejącym lustrze odbicie swoich wąskich oczu; i znowu wyszedł na ulicę.

Zebrak który był pomyślnym i który przez cały dzień siedział w tym samym miejscu ulicy, nie cofając się w cień nawet o godzinie dwunastej w południe — szyjąc coś bez przerwy i nie odzywając się do przechodniów ani jednym słowem — spał już teraz przykryty jakimś fantastycznym łachmanem. Mężczyzna przechodząc koło niego zwolnił kroku i zerknął w aluminiową miseczkę, na dnie której leżało parę groszy, a potem poszedł dalej. Jakaś dziewczyna uśmiechnęła się do niego i podrzuciła głową i jakaś ciężarówka przejechała tuż obok trotuaru z hałasem a mężczyzna wciągnął z lubością zapach spalin. Wyciągnął z kieszeni papierosa, którego dał mu marynarz oczekujący na grecki statek i spróbował go zapalić, ale wiatr szedł znów od góry, od strony miasta ciężko rozłożonego na zielonych wzgórzach ciągnących się od portu aż do końca zatoki, gdzie sterczała biała wieża opuszczonego minaretu; zapałki gasły jedna po drugiej; więc przeszedł na drugą stronę ulicy i przystanął pod wysokim parkanem pokrytym od góry do dołu reklamami i plakatami filmowymi; stwarzało to względną zaporę od wiatru i tu mężczyzna zapalił swego ostatniego papierosa; trzymał w ręku zapaloną zapałkę i patrzył na afisz, prosto w twarz kobiety o wielkich oczach i dzieciennych ustach, która krzyczała coś bezgłośnie unosząc ręce do góry; tak, jakby chciała poprawić włosy, lub tak, jakby ten gest dawał jej

przed czymś obronę, lecz mężczyzna nie mógł się domyślić istoty tego gestu, gdyż tytuł filmu zaklejony był już innym plakatem reklamującym samoloty TWA, a sam plakat przedarty był na pół; tak, że została tylko piękna twarz kobiety mająca spomiędzy odrzutowców Boeing 707 i kąpielowych mydeł Palmolive; i gest, nie oznaczający niczego; stanowiący może afirmację sytuacji wymyślonej przez nieznanego reżysera, lub może równie dobrze przeczenie. Mężczyzna stał chwilę przyglądając się bezmyślnie dziecinny ustom kobiety, wciąż trzymając zapaloną zapalniczkę nim ból go otrzęźwił; potem przyglądał szarpany wiatrem plakat i poszedł dalej.

Policyjny jeep wyjechał z drugiej strony ulicy; policjant siedzący przy kierowcy oświetlił jego twarz reflektorem; wóz podjechał do krawężnika i policjant powiedział do mężczyzny:

— Idź lepiej do domu, majorze. Dzisiaj już nic nie zarobisz.

Mężczyzna nie przystanął nawet; szedł wolno a samochód włócił się koło trotuaru, tuż obok niego.

— Możemy cię podwieźć — powiedział policjant; wciąż trzymał rękę na głowicy reflektora. — Siadaj.

Mężczyzna wskoczył na stopień samochodu: kierowca jechał wolno; wiatr i kurz osłepiały ich wszystkich.

— W porządku — powiedział mężczyzna — w porządku. Już mi to dzisiaj dwa razy proponowali. Tę historię o facecie który oblał naftą swoją siostrę też już znam. W żadnym innym kraju nie można się tylu ciekawych rzeczy dowiedzieć od policji, co tutaj. Przynajmniej wiem, że nie zmarnowałem życia.

— Kobietki to niebezpieczna rzecz, prawda Abakarow? Człowiek chce się trochę zabawić a nigdy nie wiadomo czym to się kończy.

— Nieprawda — powiedział mężczyzna. — Ja tam zawsze wiedziałem. I nikt mnie jeszcze z tego powodu nie szukał.

Policjant znów oświetlił reflektorem jego twarz.

— Ty jesteś ładny chłopak — powiedział. — Takiego jak ty zawsze ktoś szuka. Tylko że my nie zawsze o tym wiemy. W tym cała bieda.

Przejeżdżali teraz przez zakręt i mężczyzna stojący na stopniu wychylił się całym ciałem w lewo.

— Kiedy zaczynasz? — zapytał policjant siedzący obok kierowcy.

— To już tylko parę dni — powiedział.

— Myślisz, że nie będzie ci trudno?

— Nie — powiedział. — Tego się nie zapomina. To nie jest kobieta. I nie kościół. I nie matka. To jest jedna z tych rze-

czy które się naprawdę pamięta. Macie go już?

— Kogo, kochanie? — zapytał policjant. — Tu jest cała kupa takich, o których można pytać w ten sposób.

— Ja myślę o tym, który podpalił swoją siostrę — powiedział.

— Nie — powiedział policjant. — Ale znajdziemy winnego.

— To nie na tym polega zagadnienie sprawiedliwości — powiedział mężczyzna. — Na pewno nie. Nie chodzi o to kto jest winien, a kto nie. Chodzi o to, żeby mieć winnego.

— Ale ty byłeś winien — powiedział policjant. — Powiedziałeś to sam. Wtedy, trzy lata temu.

— Powiedziałem ci już czym jest sprawiedliwość — powiedział stojący na stopniu. — To, w co ty wierzysz i w co ja wierzę.

Policjant siedzący obok kierowcy odwrócił się ku niemu i stojący na stopniu dojrzał jego twarz o szerokiej szczęce, złamanym nosie i zrosniętych nisko brwiach.

— Czy powiedziałem ci kiedyś, że wierzę w sprawiedliwość? — zapytał.

— Dobranoc chłopcy — powiedział mężczyzna stojący na stopniu. — I uważajcie na zakrętach. Ja tam nigdy nie miałem zaufania do jeep'a.

Zeskoczył na chodnik; policjanci odjechali; skręcił w bok i szedł teraz nadbrzeżem oglądając gwiazdy odbijające się w tłustych plamach oliwy i nasłuchując szumu fal rozbijanych przez betonowe falochrony, w których obliczeniach coś zawiodło, tak, że białe płyty rozbryzgiwały się tuż pod jego stopami.

— Ej, kochanie — zawołał ktoś z ciemności.

Odwrócił się; znów zobaczył nieogolony podbródek rozświetlony czerwonym ognikiem papierosa i znów chciał podejść do niego, ale człowiek stojący w ciemności powstrzymał go ruchem ręki.

— Potrzebujesz czego? — zapytał.

— Kobieta poszła z jakimś gościem na plażę — powiedział tamten. — Jakaś obca. Idź za nimi.

— Daj papierosa, kolego — powiedział.

— Nie — powiedział tamten. — Weźmiesz sobie od niej. A może on ci zapłaci. Ten, który poszedł z nią.

Poszedł szybko nadbrzeżem i zobaczył ich; kobietę leżącą w ramionach mężczyzny. Leżeli za przewróconą dnem do góry łodzią; stanął nad nimi i powiedział do mężczyzny trącając go szpicem buta:

— Chodź do mnie, kochanie. Chciałem cię o coś poprosić. Mężczyzna wstał; odeszli dwa kroki w bok.

— Co to za jedna? — zapytał.

— Nie wiem — powiedział tamten. — Poznałem ją w barze u Jimmy'ego. Wiesz, tego z Afryki. Znam ją dopiero dwie godziny.

— Dorwałś już coś?

— Nie — powiedział tamten. — Ale możesz mi wierzyć Abakarow. Odupałem ci twoją forszę jak tylko coś dorwę.

— Nie wiem — powiedział. — Wcale tego nie wiem. Może się nawet zakochasz i wyjedziesz z nią. Ale ja potrzebuje teraz. Bądź miły i daj teraz. Potem będzie ci się jeszcze lepiej kochać, wierz mi.

— Kto to jest?

Odwrócili się obaj. Kobieta stała przed nimi paląc papierosa i nie widział jej twarzy.

— Kto to jest? — powtórzyła.

— Potrafię być przyjacielem — powiedział Abakarow.

Podeszła do niego; zapaliła zapałkę i oświetliła jej płomykiem jego twarz. Widział, że jest trochę wstawiona.

— Ładny chłopak — powiedziała. — Ale może po prostu mam zły gust. — Zapałka sparzyła jej palce i odrzuciła ją. — A teraz daj mu w pysk — powiedziała do swego towarzysza. — Ale już.

— To chyba pomyłka — powiedział Abakarow. Odwrócił się do mężczyzny. — Powiedz jej, do mnie się tak nie mówi.

— Słuchaj, Abakarow... — zaczął tamten.

— Powiedz jej, że do mnie się tak nie mówi — powiedział.

— Tak — rzekł tamten. — To prawda. Do niego się tak nie mówi.

— Uderz go — powiedziała kobieta.

Ale tamten skoczył długim susem w ciemność i zniknął sprzed ich oczu. Słyszeli jego stopy twardo uderzające o nadbrzeże.

— Casanowa będzie miał dzisiaj złą noc — powiedział Abakarow.

— Czego chcesz?

— Forsy — powiedział. — A może myślisz, że przyszedłem cię prosić o rękę. Nie. Chcę się ożenić z dziewczcą.

— Szkoda twojego czasu — powiedziała. — To już tylko pełna czaru przeszłość.

— Potrzebuję forsy — powiedział. — Nie trzeba mi wcale dużo.

— Więc to jest twój pomysł — powiedziała. — Nakrywać tych, którzy się kochają i prosić ich o forszę, tak?

— W formie pożyczki — powiedział. — Tak to należy rozumieć.

— A jeśli spotykasz się z odmową? Czy to może być połączone z przykrościami dla tych ludzi?

— To nie jest wykluczone — powiedział.

— Więc po co ci forsa?

— Zaczynam pracować za parę dni — powiedział. — Chcę wypocząć, to wszystko. Nie chcę się wplątać w jakąś drakę tylko dlatego, że nie miałem dziesięciu dolarów wtedy, kiedy ich naprawdę potrzebowałem.

— A co byś powiedział o większej pożyczce?

— Ile?

— Jakieś dwieście, trzysta dolarów.

— Chyba bym nie odmówił — powiedział. — Zwłaszcza jeśli chodzi o kobietę. Nie, kobiecie bym naprawdę nie odmówił.

Otworzyła torebkę i pokazała mu, ale kiedy wyciągnął rękę — cofnęła się.

— Nie — powiedziała. — Skocz sobie po nią. Chyba umiesz dobrze pływać, nie? Ponad dwieście dolarów za jeden skok to cała kupa forsy, nie?

Patrzył na torebkę; chwilę kołysała się na wodzie a potem nadbiegająca fala zabrała ją.

— *Two-o-o dollars* — powiedziała kobieta. — Widzisz, nie umiałeś skoczyć. Nie potrafisz niczego jak każdy przystojny mężczyzna. Jak wy wszyscy i te wasze gadanie o miłości. I pewnie, jak każdy przystojny mężczyzna nie wiesz jak wygląda miłość. Wiesz jak to wygląda? To niezapłacony rachunek w hotelu albo prześcieradła, które trzeba prać po kryjomu. I jeszcze ci lekarze, których nazwiska i adresy trzeba zapamiętać, bo taka była przecież umowa.

Pomału wyciągnął rękę w ciemność i przyciągnął ją ku sobie; jej sukienka rozdarła się przy tym. Myślała, iż chce ją pocałować i poddała mu się, ale nie pocałował jej. Z bliska patrzył w jej oczy a potem uderzył ją zniemacka w twarz raz i drugi.

— To ci przywróci wiarę w życie — powiedział.

Mniej więcej w pół godziny później — gdyż tyle czasu zajęło mu kluczenie bocznymi ulicami, zaułkami w których trwał zapach suszącej się bielizny; schodami zaczynającymi się w ciemności i biegnącymi w ciemność, w kurz; wśród popiskiwania kotów i szeptu tych wszystkich, którzy zaczajają się w ciemności i trwają do rana — mętne, rozmazane i wilgotne cienie; czujne i zmęczone oczy patrzące nieufnie znad ognika papierosa; narkomani stojący zwykle po trzech i palący haszysz z nadłamanej butelki w solidarnym, braterskim milczeniu; i wszyscy ci żebracy Orientu o powykrzywianych nogach i rękach, których szept trwał

olbrzymiego, zmęczonego ciała. — Czy mogłaby mi pani pożyczyć pieniądze na powrót do Europy — powiedział. — Jeszcze do niedawna słowo gentlemana wystarczało zwykle w takich wypadkach. Ale jeśli pani zażąda, mogę się postarać o weksle gwarancyjne a w Europie odeślę natychmiast pod wskazany adres. Nie zawiodę pani zaufania, madame.

— Nie — powiedziała twardo kobieta, a siedzący na łożku po raz pierwszy w ciągu tego wieczoru zobaczył jej oczy rozbłyśnięte nagle. — Nie pożyczę pieniędzy ani panu, ani żadnemu innemu mężczyźnie na świecie.

Lecz tęgi człowiek nie usłyszał jej odpowiedzi, jakby wcale jej nie oczekiwał; Arabowie przestali śpiewać i za oknem zrobiło się nagle zupełnie cicho. Herman podszedł na palcach do okna, otworzył je i znów przechylił przez parapet swoje ciężkie ciało. Było zupełnie cicho; przejechał tylko śmieszny wóz-cysterna z naftą; woźnica spał a muł dreptał powoli stukając swoimi kubełkowatymi kopytami w miękką asfalt. Herman odwrócił się porzucając stół.

— Słyszysz — powiedział. — Słyszysz, majorze? Oni poszli. Poszli wreszcie do diabła. Na własne oczy widziałem, że nie ma tam nikogo. Poszli i nie wrócą już więcej. Boże Świąty! Sam nie wiem jak udało mi się przeżyć ten przeklęty czas.

Odwrócił się do kobiety. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął stamtąd cienki zwitek banknotów.

— Madame — rzekł — czy pani widzi: to wszystko, co mi zostało. Może jeszcze na dwa, trzy tygodnie życia. Ale jestem gotów pójść i przepić to z wami żeby zapomnieć o tym koszmarze. Ach, madame, wrócę do Europy i znów zacznę żyć jak gentleman. Proszę, niech pani sobie nie buduje fałszywego zdania o mojej osobie; ten przeklęty hotel w którym jestem teraz, to tylko przypadek, nic więcej. Ale jakie bywają przypadki!

I wtedy Arabowie znów poczęli śpiewać; najpierw jeden, potem drugi dołączył swój głos; i usłyszeli znów pieśń której melodii nikt by nie potrafił powtórzyć i której treści mogli się tylko domyślać. Tęgi człowiek patrzył na nich z rozwartymi ustami; ręka trzymająca zwitek banknotów opadła nagle, jak ręka lalki której ciekawe dziecko wyrwało gumkę. Herman zgarbił się i wyszedł cicho, delikatnie zamykając drzwi za sobą.

Zostali sami; mężczyzna podszedł do okna i oparł się o parapet. Z kawiarni po przeciwnej stronie ulicy wyszedł po chwili kelner, krzyknął: — Cisza tam, na Boga! — Lecz dwa niewidoczne, przykurczone gdzieś cienie nie ruszyły się spod muru; śpiewali dalej; cicho, spokojnie, cierpliwie; z uporem ślepców, którzy brną przed siebie wystukując laską każdy krok i nie zważając na

potknięcia; kelner postąpił chwilę podciągając zbyt obszerne spodnie i poprawiając wytłuszczony pas smokingowy, a mężczyzna widział stąd, z góry, jego umęczoną twarz której usiłował nadać wyraz gniewu i grozy; potem zaklął i wrócił z powrotem do kawiarni.

— Która może być teraz godzina? — zapytała kobieta; siedziała wciąż przy stole trzymając w rękach koc, którym nie okryła się ani na chwilę.

— Dwunasta — powiedział. — Może już zresztą później. Kiedy zamkną kawiarnię, będzie pierwsza. — Podeszedł do niej i dotknął jej ramienia. — Wyszła już — powiedział. — Zaszyciesz ją, oddasz ją jutro do wyprasowania i nie będzie ani śladu.

— Nie dotykaj mnie — powiedziała.

— Nie bój się. Nie jestem groźny. Podniecam się tylko na widok dwudziestu dolarów.

— Chciałabym się czegoś napić — powiedziała.

— Wierzę ci. Jesteśmy w tej samej sytuacji.

— Nie masz niczego?

— Posłuchaj — powiedział — Ja tam nie chcę o tobie niczego wiedzieć. Nie chcę wiedzieć jak się nazywasz i co robisz w tym kraju. Wyjdź stąd i wróć do swojego hotelu.

— Mężczyźni lubią kiedy im opowiadać o sobie — powiedziała. — Może mogłabym cię czymś zainteresować.

— Jedyłą sprawą która mnie interesuje jestem ja sam — powiedział.

— Właśnie tak myślałam — powiedziała. — Ale że ci się to nie znudziło.

— Jeszcze przez jakiś czas musi mnie to bawić.

— Przez jaki czas?

— Nie myślę, żeby to trwało długo.

— Jutro stąd wyjadę — powiedziała cicho. — I będzie spokój.

— Już jutro? — rzekł. — Dokąd?

— Nie wiem jeszcze dokąd — powiedziała. — Mam czas o tym myśleć przez całą noc.

— Pewnie — powiedział. — Ja to rozumiem. Każdy, kto chce zacząć jeszcze raz myśli przede wszystkim o tym, żeby wyjechać. To samo głupcy i mądrzy. Tu jest nowy kraj; i wszyscy którzy tu przyjechali, przyjechali po to, żeby jeszcze raz zacząć. Mimo to fikcja trwa dalej. — Umilkł na chwilę; patrzył w zamysleniu na swoje brązowe, chude ręce a potem powiedział: — Ja właściwie tak wcale nie chciałem. Dam sobie jakoś radę... — Wyciągnął z kieszeni dwa banknoty i podał w otwartej dłoni;

milczał przez chwilę a potem powiedział. — Mam jeszcze dwa funty. Weź je i wróć do domu. — Dam sobie radę.

Ujęła nagle, chciwym ruchem jego rękę i mężczyzna skrzywił się ze wstrętem. Trzymała jego chudą, wąską, brązową dłoń i spoglądała nań w milczeniu.

— Ty masz najpiękniejsze ręce na świecie — powiedziała cicho. — Mój Boże: jeszcze nigdy nie widziałam tak pięknych rąk. — Zaciśnęła swoje drobne palce na ciemnym, twardym przegubie mężczyzny; ale potem odtrąciła jego rękę nagle. — Ale ty przecież o tym wiesz — powiedziała. — Ty musisz o tym wiedzieć.

— Tak — powiedział mężczyzna. — Wiem o tym.

Kobieta wstała nagle, odłożyła koc z powrotem na łóżko. Stała bez ruchu rozglądając się uważnie jakby dopiero w tej chwili poczęło docierać do jej świadomości gdzie jest i co się zdarzyło do tej chwili. Przyglądała się uważnie pustym ścianom i wąskiemu żelaznemu łóżku na którym siedział mężczyzna; potem podeszła do okna i widział teraz jej delikatny profil oświetlony od dołu blaskiem neonu znad kawiarni; potem ujrzał zniecka odbicie swojej twarzy majaczącej w okiennej szybie i ze zdumieniem zauważył, że istnieje między nimi jakieś dziwaczne ale niewątpliwe podobieństwo, choć jego usta były wąskie, z kącikami opadającymi w dół pod ostrymi zmarszczkami, a jej — pełne, uśmiechające się z jakąś smutną pewnością; nos jej był prosty, delikatny — podczas gdy jego zakrzywiony na końcu, zniekształcony trochę uderzeniem otrzymanym jeszcze przed laty; wreszcie — jej oczy były duże, łagodne podczas gdy on spoglądał swymi zielonymi wąskimi oczyma chłodno, niemal arogancko. Kobieta odwróciła się nieco i wtedy drgnął nagle.

— Długo tu już jesteś? — zapytał.

— Trzy dni — rzekła.

— Trzy dni — powiedział. I pokręcił głową. — Nie, to niemożliwe.

— Co takiego?

— Musiałem cię już gdzieś przedtem widzieć — powiedział. — Może wczoraj, lub przedwczoraj, na ulicy.

Kobieta milczała przez chwilę: patrzył na nią uporczywie wciąż kręcąc głową z wyrazem twarzy człowieka, który usiłuje sobie przypomnieć coś i którego już tylko krok dzieli od tej chwili, kiedy uświadomi sobie jasno wszystko i zazna spokoju. Wiatr znów zerwał się od strony miasta i fale gorącego powietrza przewaliły się nad ulicą a włosy kobiety stojącej w oknie okręciły się wokół jej twarzy; delikatnej, zmęczonej, sennej.

— Nie mogłeś mnie widzieć na ulicy — powiedziała. — Nie wychodziłam z hotelu przez ten cały czas. — Odwróciła się i

podeszła do niego; opuściła krąg światła w oknie i twarz jej zgasła. — Może widziałeś mnie gdzie indziej — powiedziała. — Przypomnij sobie. Może wcześniej?

— Nie — powiedział. — To niemożliwe. Widziałem cię niedawno. Wczoraj, może dziś. Na pewno cię widziałem.

— Gdzie?

— Nie pamiętam. Ale na pewno tak było.

— Spróbuj sobie przypomnieć — rzekła. — Spróbuj.

Podeszła jeszcze o krok bliżej i teraz widział już wyraźnie napięcie i niepokój na jej twarzy; więc począł wpatrywać się w nią aż do bólu swymi wąskimi oczyma; stali w milczeniu naprzeciw siebie, poblask neonu chygotał się na suficie, a Arabowie cicho, spokojnie ciągnęli swą pieśń. Wreszcie westchnął zrezygnowany.

— Nie pamiętam — powiedział. — Chryste, nie pamiętam gdzie i kiedy cię widziałem, ale widziałem cię na pewno.

— Spróbuj — powiedziała. — Spróbuj jeszcze raz.

— Nie — rzekł zmęczonym głosem. — Nie pamiętam. Ale to niemożliwe, żebym się pomylił. — Umilkł, po chwili dodał: — Przypomnę sobie na pewno. Ja wszystko pamiętam. Czy widziałeś kiedyś Słowianina, który umiałby cokolwiek zapomnieć?

— Jesteś Słowianinem? — powiedziała kobieta. — No tak, te oczy.

— Właśnie — powiedział.

— Mój Boże — powiedziała. — Przeziębiam się, czuję to. — Rozejrzała się po pustym, niesamowicie czystym pokoju: żelazne łóżko zasłane jednym kocem, stół na którym nie stało nic prócz popielniczki zrobionej z mosiężnej łuski pocisku i otwarta, pusta szafa w której nie wisało nic i nie leżało nic prócz paru starych, porządnie ułożonych gazet. — Nie masz nic do picia — powiedziała. — Prawda?

— Jeśli nie masz na myśli wody — powiedział — to rzeczywiście nic.

— Chociaż pół szklanki koniaku — rzekła. Podeszła znów do okna; patrzyła teraz w uchylone drzwi kawiarni naprzeciwko; potem odwróciła się ku niemu. — Oni by ci nie dali na kredyt, co?

— Ależ tak — powiedział mężczyzna. — Na pewno by dali. Sam nie rozumiem dlaczego tam nie idę po parę butelek Martella i szampana. — Przerwał na chwilę; znów patrzył na jej profil miękko wrysowujący się w noc gdyż znówu stanęła przy oknie i z zimną wściekłością wpatrywała się w drzwi restauracji, przed którymi stali dwaj pijani; stykali się czołami tworząc jakby łuk gotycki, co jedynie decydowało o równowadze ich ciał. Pa-

trzył chwilę na kobietę; pokręcił głową i powiedział: — No, no Chryste. Żeby tak nie mieć pamięci.

— Co mówisz?

— Nic — powiedział mężczyzna. Stał obok niej w oknie i oboje patrzyli na ostry słup światła w drzwiach kawiarni. — Dałoby się właściwie coś wykombinować — powiedział. — Czy umiałabyś coś zagrać?

— Co to znaczy?

— No — powiedział — jakąś małą rolę. Coś zupełnie śmiesznego.

Odwróciła się.

— Głupie żarty — powiedziała.

— Nie — powiedział. — Ale mówiłaś przecież, że chciałabyś się czegoś napić. Tak, czy nie?

— Więc?

— Więc — powiedział. — Z szuflady stołu wyciągnął igłę i nici, podał jej. — Zszyj sobie sukienkę i zaraz nastąpi niespodzianka. Coś jedynego w swoim rodzaju. Ale nie gramy przecież o guziki, warto spróbować.

— Ale co...

— Nic — powiedział. — Ani jednego słowa więcej na ten temat. Za pół godziny będziemy mieli butelkę najlepszej brandy jaką tylko można dostać w tym porcie. Zszyj tylko sukienkę.

— Dobrze — rzekła. Uśmiechnęła się do niego; pierwszy raz tej nocy. — Wobec tego odwróć się.

— Właśnie chciałem cię prosić o to samo — powiedział mężczyzna. Podszedł do szafy i wyciągnął coś spoza niej. Słyszał szelest zdejmowanej sukienki; stał twarzą do ściany, wyprostowany i bez ruchu. Trwało to dwie, może trzy minuty w czasie których obserwował pająka spuszczonego się po nitce; pająk poruszał nóżkami szukając w pustce oparcia; mężczyzna patrzył na niego, myśląc: „Więc właśnie to. To musiało mnie spotkać; w tym mieście nie było nikogo innego, komu mogłoby się to zwać na głowę. A teraz muszę zaufać swojemu pierwszemu wrażeniu i powiedzieć sobie: to jeszcze nie koniec. A koniec nie będzie dobry; bo koniec nie może być dobry w sprawie którą człowiek podejmuje z bezwoli, ze strachu, z przypadku. I to wszystko co wiem; i nie stać mnie na to, żeby tę myśl rozszerzyć i pogłębić. Po prostu nie stać mnie na to i koniec. Zrobią to przypadkowi sędziowie; ci, którzy nie będą mieli na ten temat ani odrobiny pojęcia; niczego, prócz odrobiny pojęcia; niczego, prócz odrobiny ciekawości, kiedy to się już przewali i umrze. Ale ja sam, chociaż chcę, nie umiem nic więcej powiedzieć. Mogę tylko zaufać

swojemu wrażeniu, ale tylko to". Po jakimś czasie usłyszał ponowny szelest sukienki i kobieta powiedziała:

— Już.

— Już — powiedział mężczyzna i odwrócił się.

— Boże — powiedziała kobieta.

— No — powiedział. — To nic strasznego. To tylko pomysł.

Stał przed nią w okularach ślepeca, z białą laską; pochylony, wychudzony: wysoki, silny mężczyzna w spranej koszuli i wypłowiałych spodniach starannie i wielokrotnie cerowanych i uśmiechał się do niej; lecz nawet wtedy nie ustępowało nieznanemu napięciu jego twarzy; tak, jakby nigdy nie zaznał wypoczynku i spokoju.

— Bo przecież w gruncie rzeczy wszystko polega na pomysle — powiedział. — Chodzi właśnie o to, żeby mieć jakiś pomysł na spędzenie życia; na te najbliższe przeklęte pięć minut. Nie o inteligencję, nie o wyobraźnię, ale o pomysł. To nie moja wina, że świat skapitulował przed tandetą. — Wyciągnął ku niej rękę. — A teraz chodź.

— Dokąd?

— Jakto dokąd? — zapytał jakby nie dowierzając. — Na dół, do knajpy.

— Chcesz żebrać?

— O, nie — powiedział. — Żebranina to nie żaden pomysł. — Roześmiał się; tak, jakby go to rozbawiło. — Ja mam coś absolutnie świeżego — powiedział — coś, co ja tylko wymyśliłem. Pracowałem już jako akordeonista w orkiestrze Meksykańczyków, jako żywa reklama, jako kelner, szofer i co chcesz, ale to nie było nic nowego. — Znowu wyciągnął ku niej rękę. — Chodź ze mną, zaufaj mi.

Pomału, z wahaniem wyciągnęła do niego rękę; ujął jej dłoń i przyciągnął ją delikatnie do siebie; ale jak ktoś, kto wyciąga rękę z ciemności, z mroku.

— Jak ty się nazywasz? — zapytał.

— Katarzyna — powiedziała cicho.

— Katarzyna — powtórzył. — A ja się nazywam Abakarov. Ale ci ludzie, tam na dole, będą mówić do mnie „majorze”. Więc tylko nie dziw się. Dobrze?

— Dobrze — powiedziała. — Zdaje się, że już nigdy nie będę się dziwił.

— Tak lepiej — powiedział. I powtórzył: — Katarzyna. A teraz chodźmy.

Przeszli przez ulicę; przez wiatr i kurz i Abakarov pchnął ją delikatnie; otworzyła drzwi kawiarni i wtedy wszedł unosząc

niecو głowę do góry i szedł za śladem jej dłoni stukocząc laską o kamienną posadzkę. Usiedli przy stoliku; wciąż jeszcze trzymała jego dłoń i czuł jak drży; ścisnął nieco mocniej jej dłoń i uwolnił delikatnie rękę. Położył laskę na stoliku i leżała teraz między nimi odgradzając ich białą krechą.

— Nie bój się — powiedział cicho. — Teraz właśnie się nie bój. Bo teraz dopiero się zacznie.

Kelner, ten w wytłuszczonym smokingu, podszedł do nich.

— Co ma być, majorze?

— Brandy — powiedział. — Mój Boże, czy zamówiłem tu kiedy coś innego.

Kelner odszedł a wtedy jakiś mężczyzna wystąpił z mroku i podszedł do ich stolika.

— Hej, majorze — powiedział. — Jak sprawy...

Był nieco podchmielony; wyciągnął dłoń do niego i Abakarow szukał jej przez chwilę w ciemności; najpierw namacał ją swoją lewą a potem dopiero prawą ucisnął dłoń mężczyzny.

— Och — powiedział. — To ty Leo.

— Ja — powiedział mężczyzna. — Cholera jasna, ale to jeszcze ja. A jest już dobrze po drugiej. Gramy dzisiaj?

— Pewnie — powiedział Abakarow. — Masz jeszcze tam kogoś?

— Jest jeszcze paru chłopaków. Zawołać ich? I jest jeszcze paru facetów z tego tankowca który dzisiaj rano przyplłynął. Zawołać ich?

— Dobrze — powiedział Abakarow. — I Leo odszedł. Tłumaczył coś głośno paru ludziom przy barze odwracając się wciąż ku nim i pokazując ręką.

— Abakarow — powiedziała Katarzyna. — Cóż to wszystko znaczy?

W tej chwili wrócił Leo i jeszcze jakichś dwóch z nim.

— Cholera mi tam do tego co jest u was — mówił głośno Leo. — Wcale nie mówię, że lubię to miasto i ten przekłety port. Ale coś takiego jest tylko u nas. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby i gdzie indziej był taki jak on. Wszyscy wytrzeszczają oczy kiedy go widzą po raz pierwszy.

— Ja tam nie będę bił ślepego — powiedział jeden z mężczyzn. — Mogę mu postawić piwo czy co on tam chce, ale walić go nie będę. To nie dla mnie.

— Pewnie — powiedział Abakarow. — Każdy może tłuć w karty czy stać przy automacie do gry. Każdy to potrafi. Ale wyróżnić w mordę inwalidę który stracił wzrok w obronie ojczyzny to co innego. Na to trzeba być mężczyzną, nie? Trzeba być mężczyzną żeby ślepego wyróżnić w pysk tak, żeby mu się mózg

trzy razy obrócił pomiędzy uszami. Zabieraj się stąd jeśli tego nie potrafisz. I do cholery z twoją wódką.

— Ostrożnie, kolego — powiedział ten mężczyzna. — Ja też byłem na wojnie i mógłbym ci to i owo opowiedzieć.

— Każdy potrafi opowiadać — powiedział Abakarow. — No, jazda. Walisz, czy nie?

— Na czym polega ta wasza cholerna gra?

— O, to proste — powiedział Leo. — Najpierw każdy z nas daje mu po próbnym uderzeniu. A potem walimy go znowu i on rozpoznaje kolejność. Jeden trzyma pulę; ten którego najczęściej rozpozna przegrywa. A my forszę dzielimy między sobą. To jasne, nie?

— Niech was diabli porwą z tym waszym miastem — powiedział mężczyzna. Nie mógł się zdecydować; był ciężki, duży i patrzył z odrazą na wychudłe szczęki mężczyzny w czarnych okularach. — Niech was cholera weźmie. Czy jego to nie boli?

— Boli jak cholera — powiedział Abakarow. — Ale to już moje zmartwienie. Ty musisz tylko walić. To wszystko.

Trzeci z nich wysunął się nagle do przodu.

— Poczekajcie — powiedział. — To ja pierwszy.

Abakarow złapał się za poręcz krzesła i wtedy mężczyzna uderzył. Potem uderzył Leo i na końcu ten wielki.

— Dobrze — powiedział Abakarow. — Teraz możecie bić naprawdę. — Uczuł nagle, że kobieta chce odejść i złapał ją za rękę. — W porządku — powiedział. — Teraz możecie zaczynać. Dla mnie dziesięć procent z puli.

— Czy ta dziewczyna musi tu siedzieć przy tobie? — zapytał ten duży.

— Następnym razem przyjdę z psem jeśli tylko będę wiedział, że tu będziesz — powiedział Abakarow. — A teraz jazda.

Znów zacisnął dłonie na poręczy krzesła a wtedy ten chudy uderzył go znowu. Kobieta patrzyła na jego twarz; nieporuszoną, twardą i jakby wyciętą z metalu; nie reagował wcale na uderzenia; tak, jakby go to nie obchodziło; jakby to działo się z kim innym a nie z nim — siedzącym nieruchomo, cicho, z uniesioną głową i dłońmi zaciśniętymi na poręczy krzesła; i tak, jakby nie dochodził do niego gwar tej knajpy i ich ciche, skłócone głosy gdyż kłócili się już między sobą; więc tylko odchyłał się wciąż i wciąż do tyłu kiedy czuł ich oddechy — gorzkie od alkoholu i tytoniu. Teraz uderzył go Leo i Abakarow powiedział cicho:

— Starzejesz się Leo. Potrzeba ci żony.

— No — powiedział Leo. — Nie mówiłem wam? To nie człowiek, to zwierzę. W zeszłym tygodniu jeden facet przegrał

tu do niego przeszło trzysta dolarów i trzeba było policji, żeby go wyprowadzić. A płakał jak dziecko.

— On krwawi — powiedział ponuro ten wysoki.

— No to co, że krwawi — powiedział Leo; przegrał najwięcej i był wyraźnie zły. Złapał wysokiego za rękę: — Grasz dalej, czy nie?

— Nie — powiedział i wyszarpnął rękę.

— A dlaczego nie?

— Nie chce mi się tłumaczyć — powiedział. — Po prostu nie i koniec. Mogę ci wytłumaczyć na ulicy jeśli już bardzo chcesz. — Wyjął z kieszeni parę banknotów i podał je kobiecie. — Kup mu coś — powiedział. — Coś, co mu jest naprawdę potrzebne. — Odwrócił się do swojego chudego kompana. — Mam nadzieję, że tu już nigdy nie przyjadę — powiedział. — Chodź.

— Zagrajmy jeszcze raz — powiedział chudy. — Gdzie pójdziemy teraz? Wszystkie bary są zamknięte. Jeszcze tylko raz.

— Nie — powiedział wysoki. — Idę stąd.

Odeszli wszyscy trzej spierając się głośno. Kelner przyniósł butelkę; Abakarow podał mu pieniądze w otwartej dłoni a kelner odliczył mu resztę.

— Dobranoc, majorze — powiedział.

— Dobranoc.

— Nie będziemy przecież żyć wiecznie.

— Nie — powiedział Abakarow. Namacał laskę i powiedział do kobiety: — Wyprowadź mnie stąd.

Przeszedł sztywnym, twardym krokiem przez salę trzymając w lewej ręce laskę a prawą wczepiwszy się w ramię kobiety; przeszli przez ulicę, minęli dwa przykucnięte cienie pod ścianą; i teraz, w blasku świtu dojrzała po raz pierwszy tych ludzi; nieporuszonych, zastygłych, nie patrzących na nic i na nikogo jakby nie istniał ten port; to miasto opadające skośnymi, białymi dachami ku morzu; słońce wschodzące czerwoną kulą w pustkę, w niebo bez chmur i bez mgieł — nic poza ich martwą pieśnią; słyszała ją ciągle jeszcze w godzinę później siedząc przy stole i pijąc ciepłą brandy z jednej szklanki razem z nim, siedzącym naprzeciw i krzywiącym się po każdym łyku alkoholu parzącym jego rozkwawione usta.

— I dawno to już tak? — zapytała.

— Dawno — powiedział. — Dostyc dawno.

— A dlaczego ci ludzie nazywają cię majorem, Abakarow.

— Ano, tak — powiedział. — Major, który stracił wzrok w obronie ojczyzny. Wydawało mi się, że tak będzie lepiej. Każdy miał w wojsku jakiegoś majora który mu niszczył życie. Więc

przyjemnie się jakoś troszkę odegrać. Tak sobie to wykombinowałem.

— W jaki sposób przyszło ci to w ogóle do głowy?

Uśmiechnął się.

— Tu, na Wschodzie można się wielu rzeczy nauczyć — powiedział. Podszedł do okna i widział stąd miasto powalone w ostrym, białym blasku a linia morza poczyniała już drgać. — Przyzwyczałem się już do tego kraju — powiedział cicho. — I chyba nigdy stąd nie wyjadę.

— Dlaczego?

— O to właśnie chodzi — powiedział — że nie wiem dlaczego. Może dlatego, że po prostu pokochałem ten kraj. A może dlatego, że zbyt wiele się tu nauczyłem i nie chcę tego stracić. — Zamknął okno; śpiew przycichł; Abakarow usiadł z powrotem przy stole. Wypił; potem nalał, podał jej i patrzył jak Katarzyna pije ciepłą brandy nie skrzywiwszy się nawet. — Nie wiem — powiedział. — Może wreszcie dlatego, że uwierzyłem tu w Niego?

Odstawiła szklankę i skrzywiła się.

— We wszystkich prospektach turystycznych piszą o tym — powiedziała. — Ale ja nie przeżyłam tu cudu. Wszystko co widziałam do tej pory, to taki jeden ślepy którego biją po twarzy. — Nalała sobie i znów wypila jednym tchem. — Wydaje mi się, że potrafię się obejść bez Niego i tym razem.

— A ja nie — powiedział. — Bo On jest jedyną istotą którą można kochać wiecznie.

Napiła się znowu; była już trochę wstawiona i patrzyła na niego z uwagą.

— Te twoje ręce — powiedziała. — Te twoje cholerne ręce. Nigdy nie przypuszczałam, że człowiek może mieć tak piękne ręce. — Odchyliła głowę do tyłu i zaczerpnęła głęboko powietrza. — A może ty nie jesteś wcale człowiekiem — powiedziała. — Może właśnie tak wygląda nowy Chrystus bez krzyża. Ślepy człowiek, którego pijani w barze biją po twarzy. Ale jeśli tak wygląda zbawienie, to niech przeklęty będzie Bóg i wszystkie słowa jego.

Delikatnie wyjął szklankę z jej rąk.

— Masz już dość — powiedział. — Idź teraz do domu. O tej porze policja tu często zagląda. Szukają prostytutek. Lepiej idź.

— A może szukają także kurew? — powiedziała. — To bym została jeszcze odrobinę. — Wyciągnęła ku niemu rękę. — Jeszcze jeden łyk — powiedziała.

— Idź do domu — powiedział.

— Dobrze.

Podeszła do okna i otworzyła je; zobaczyła swoje odbicie w szybie; zgarnęła włosy do góry i stała tak przez chwilę w pół obrócona ku niemu i wciąż trzymając w górze uniesione ręce; tak, jak na tym plakacie koło którego przystanął wieczorem, szukając ochrony od wiatru i kiedy dojrzał po raz pierwszy jej twarz wyglądająca spoza reklam Boeing 707 i proszków do prania.

— No, więc — powiedział. — Teraz już wiem. Teraz już wiem skąd my się znamy. Widziałem cię w kinie. Chyba się nie mylę, co?

— Nie — powiedziała. Opuściła ręce i włosy znów rozsypały się wokół jej twarzy; wyglądała na bardzo zmęczoną. — Teraz już chyba pójdę — powiedziała.

— Tak — powiedział. — Jasne. I nie przychodź tu więcej. Najlepiej wyjedź stąd. To chyba nie jest dobry kraj dla ciebie.

— Tak — powiedziała. — Chyba wyjadę stąd. Ale chyba będzie mi się to wszystko śniło od czasu do czasu. Ta twoja biała laska i ci ludzie tam w barze. — Przeszła przez pokój, podeszła do drzwi i tam jeszcze zatrzymała się; uważnie, spokojnie popatrzyła na pusty pokój i na stojącego nieruchomo mężczyznę — skośne zielone oczy, twarde policzki koloru miedzi i włosy spalone słońcem. — I te twoje ręce — powiedziała. — Te twoje cholerne ręce.

Zamknęła cicho drzwi a potem przechylony w oknie widział jak idzie ulicą szybko i nie oglądając się za siebie; wreszcie skręciła za róg i mężczyzna odwrócił się. Patrzył jak drzwi otwierają się cicho i jak gruby człowiek wsuwa się powoli do pokoju.

— Zostało może jeszcze trochę? — zapytał Herman.

— Czego trochę?

— Brandy — powiedział. — Bo zdawało mi się, że pan przyniósł z baru butelkę brandy.

— Panu się wcale nie zdawało — powiedział ponuro Abakarow. — Pan przecież cały czas podsłuchuje pod drzwiami. — Wskazał ręką butelkę stojącą na stole: — Niech pan sobie naleje.

Herman podbiegł do okna a wtedy ci dwaj dostrzegłszy go poczęli śpiewać odrobinę głośniejsze. Zamknął okno z trzaskiem i odwrócił się; był już cały spocony; krople potu spływały po jego grubej i bezkształtnej twarzy i Abakarow patrzył na niego z odrazą.

— Poszła?

— Widział pan przecież.

— Nic nie widziałem — powiedział Herman. — Nie widziałem jeszcze, żeby która z nich odeszła raz i naprawdę. — Pokiwał głową. — Ona tu jeszcze na pewno wróci — powiedział.

— Być może — powiedział Abakarow. — A teraz proszę wypić i iść. Jestem zmęczony, Herman.

— Ładna kobieta — powiedział Herman nie zwracając zupełnie uwagi na jego słowa. Nalał sobie i usiadł na łóżku a sprężyny ugięły się pod nim z jękiem. — Można usiąść? — zapytał.

— Siedzi pan już przecież — powiedział Abakarow.

— Niech pan wyjedzie z tą kobietą — powiedział Herman. — Niech pan rzuci to wszystko i wyjedzie. Jeśli ma pan taką szansę.

— Nie — powiedział Abakarow. — Pan przecież wie, że nie wyjadę stąd, Herman. Niech pan pije, niech pan się nie krępuje.

— Pan nie będzie pił?

— Nie — rzekł Abakarow.

— Pan chce mieć jasno w głowie, prawda?

— Za dużo pytań, Herman — powiedział Abakarow. — Całą noc musiałem wysłuchiwać pytań tej kobiety chociaż ja sam nie spytałem jej o nic ani razu. Niech pan pije i to wszystko.

— Pan wciąż myśli o tym?

Milczał przez chwilę wpatrując się w grubego człowieka swymi skośnymi oczyma a potem powiedział:

— Tak.

— I wie pan już jak to zrobić?

— Czasem mi się już wydaje, że tak — powiedział Abakarow. — Wpada mi do głowy jakiś pomysł, myślę o tym miesiąc lub dwa i potem wydaje mi się, że znowu niedobrze. — Podparł podbródek dłońmi i patrzył przed siebie. — I znowu zaczynam od początku — powiedział zmęczonym głosem. — Czasem nie śpię przez dwie, albo i trzy noce... pan przecież zresztą wie. Ale któregoś dnia ten pomysł przyjdzie. To musi przyjść, Herman.

— Pan już czeka trzy lata — powiedział Herman. — Może pan spróbuje po prostu zapomnieć. Czy pan się tego wstydzi?

— Zapomnieć? — powiedział Abakarow. — Ten człowiek miał starą matkę, Herman. I dwoje dzieci przy matce, bo ta suka, jego żona opuściła go. I ta stara kobieta umierała potem przez rok z głodu a z dziećmi nie wiem nawet co się stało. On nie miał nikogo, Herman. Tylko matkę i mnie. Więc kto będzie pamiętać?

Herman sięgnął po butelkę; było już niewiele.

— Pan naprawdę nie chce pić? — zapytał ze strachem w głosie.

— Nie. Niech pan pije, proszę.

Nalał mu a pustą butelkę odstawił do kąta.

— Panu się po prostu nie chce żyć, Abakarow — powiedział Herman. — I to jest ta cała różnica między nami. Ja to wiem teraz; teraz, kiedy oni śpiewają za oknem. Panu się po prostu nie chce żyć i dlatego pan myśli, że ma pan coś ważnego do załatwienia i że potem będzie inaczej. Ale nie będzie inaczej. Życie, to jedyne co się liczy naprawdę.

— On myślał tak samo — powiedział Abakarow.

— A jeśli pana złapią — powiedział Herman. — Złapią i zabiją. To co wtedy? Pan jest opętany, albo raczej pan jest tylko opętaniem, ale to się wcale nie będzie liczyć. Powieszą pana tak jak każdego innego i nic nie pozostanie z pańskiej nienawiści, i ze wstydu który pan tu przeżył. Po prostu udusi się pan na szubienicy jak i każdy inny. To co będzie wtedy?

Abakarow milczał; wstał wreszcie i podszedł do okna; otworzył je na całą szerokość i słyszeli znów ten śpiew; w ciszy poranka słyszeli ich wyraźnie i czysto. Popatrzyli po sobie i znów krople potu poczęły ściekać po twarzy Hermana; szybko, jedna za drugą.

— To wtedy zobaczymy się, Herman — powiedział Abakarow.

Portier usunął się na bok; przeszła obok niego, przeszła przez hall pusty jeszcze o tej porze i czekała na windę; chłopiec hotelowy nacisnął już guzik i patrzył na Katarzynę oczyma dzikimi z uwielbienia i przestachu. Dwaj mężczyźni siedzący w hallu patrzyli na nią również starając się nadać swym twarzom wyraz obojętności i znudzenia, a potem, kiedy winda ruszyła już w górę, jeden powiedział do drugiego:

— To ona, co?

— Tak — powiedział ten drugi. — Widziałem ją już wczoraj, w barze.

— Więc to jednak prawda co o niej piszą?

Mężczyzna ziewnął obojętnie.

— Postarzała się i to wszystko — powiedział. — Przed paroma laty wyglądała inaczej.

— I po co ona tu przyjechała?

— Prawdopodobnie po to samo co i my — powiedział. — Wypocząć. Wypocząć i nabrać zdrowia. — Roześmiał się. — Ładny wypoczynek — powiedział. — Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak zmęczony. I jeszcze nigdy się tak nie pociełem. — Odłożył na bok gazetę którą trzymał już od pół godziny w ręce; nie czytając jej i nie patrząc prawie na nagłówki i napotkał w lustrze odbicie swojej twarzy; zmęczonej, zmiętej, obwisłej; bez śladów walki i bez śladów rozpacz; nie poranej, nie tragicz-

nej; tak, jakby te worki pod oczyma i bezkształtny podbródek było wszystkim co pozostało z jego marzeń o awanturze, o odwadze i miłości; i może jeszcze z marzeń o okrucieństwie i chamstwie, które przyszyły potem, kiedy przestał już wierzyć iż jest człowiekiem zdolnym do awantury i przekonał się, że miłość to tylko kupa kłopotów, rachunków których nie miał ochoty płacić i piasek pod powiekami na drugi dzień; ziewnął ponuro i odwrócił się od lustra. — Mój statek odchodzi dopiero piętnastego — powiedział. — I chyba będę operowany na woreczek żółciowy.

Otworzyła drzwi pokoju; włączyła *air condition* i zrzuciła z siebie sukienkę. Już wtedy, kiedy woda poczęła napełniać wannę usiadła przed lustrem i przeciągnęła ręką po twarzy; ale nie było ani śladu szminki i tuszu. Rozebrała się, narzuciła szlafrok i już od drzwi łazienki zawróciła z powrotem. Nacisnęła guzik i czekała cierpliwie wpool siedząc, wpool leżąc z przymkniętymi oczyma. Na plaży było jeszcze pusto i szum morza nie dochodził prawie przez szczelnie zamknięte okna; widziała tylko białe, długie grzebienie fal obmywające piasek i rozbijające się o ciemne mury falochronu.

— Proszę wejść — powiedziała kiedy kelner zapukał do drzwi.

— Madame?

— Brandy — powiedziała. — Nie pamiętam jak się ta brandy nazywa; ta w butelkach z żółtą nalepką. I wody sodowej.

— Jest mi niesłychanie przykro, madame — powiedział. — Jest mi naprawdę bardzo przykro, ale bar jest jeszcze zamknięty o tej porze.

Wciąż wpool leżąc, wpool siedząc nie poruszyła się nawet. Patrzyła za okno; plażą szedł jakiś stary człowiek wlokąc chudego psa na smyczy; pies uskakiwał w bok kiedy nadchodziła fala i kulił się z przerażenia a stary włókł go uparcie i cierpliwie; tak, jak na wsi wlecze się zwierzę do zabicia a zwierzę czuje to dobrze.

— Czy mogę jeszcze czymś służyć, madame? — zapytał kelner.

— Brandy — powiedziała. — Tę z żółtą nalepką. I syfon wody sodowej.

Kelner wyszedł; wstała wtedy i zamknęła kran w łazience. Znów wróciła na fotel patrząc przez okno na plażę; wyłączyła *air condition* i słyszała teraz szum morza i wrzask mew uganiających się nad wodą; ale wyglądały one inaczej od tych ptaków znanych jej z Europy, z miasta w którym się urodziła; i od tych, które widywała czasem w Hamburgu, w Nicei i we wszystkich miastach południowych Włoch, przez które przejeżdżała ostatnie-

go lata; w pół leżąc, w pół siedząc na skórzanym siedzeniu samochodu — nie widząc prawie nic i nie słuchając prawie nic z tego co mówił do niej mężczyzna prowadzący samochód a mówił do niej cały czas — od Wenecji aż do Brindisi; i w czasie nocy spędzonej na promie z Neapolu do Palermo i dalej, gdyż pojechali aż do Messyny i Taorminy gdzie nikt jej już nie znał i gdzie nikt jej nie miał przeszkadzać; i tam właśnie, w Taorminie zostawiła jego i swój samochód i jadąc koleją i autobusami, sama, wciąż tylko z tą samą skórzaną torbą z której wyrzucała małe, kwadratowe butelki whisky nie zwracając uwagi ani na przerażone twarze kobiet sycylijskich, ani na zgorzone spojrzenia mieszczuchów włoskich i francuskich wróciła do domu nic nie zapamiętawszy i nic nie dostrzegłszy; i nawet może nie pamiętałaby w ogóle tej eskapady gdyby nie rachunek od towarzystwa ubezpieczeń za dwa rozbite samochody — gdyż ten mężczyzna którego pozostawiła w Taorminie nie umiał ani pić, ani jeździć. Kelner postawił przed nią brandy i teraz dopiero po raz pierwszy poczuła zmęczenie.

Za ścianą zapłakało nagle dziecko; wtedy znów się napiła; znów odeszło zmęczenie na dziesięć lub piętnaście minut lecz nie na dłużej o czym wiedziała dobrze — włączyła *air condition* i nie słyszała już ani szumu morza, ani płaczu dziecka; podniosła słuchawkę telefonu i zażądała dyrektora hotelu.

— Tam jest dziecko za ścianą — powiedziała kiedy wszedł niespodziewanie szybko i przystanął w drzwiach. — Proszę umieścić tę rodzinę gdzie indziej.

— Ależ madame — powiedział. — Pani daruje. To nasi stali goście; przyjeżdżają już tu od paru lat.

Wystąpił z godnością na środek pokoju.

— To dziecko — powiedziała Katarzyna. — Proszę przenieść tę rodzinę gdzie indziej. — Znów postąpił krok ku niej ale powstrzymała go ruchem ręki. — To zanim pan usiądzie — powiedziała.

— Nie uważam tego za możliwe — powiedział. — Proszę darować, Madame. Staramy się respektować wszystkie życzenia naszych gości, ale...

— Proszę mi zawołać taksówkę — powiedziała Katarzyna. — I proszę przysłać pokojówkę, żeby mi pomogła spakować moje rzeczy. A teraz proszę już wyjść.

— Ależ madame — zawołał; zawył prawie tragicznym ruchem unosząc prawicę. — Tego pani nam nie robi; to by było okropne dla naszego hotelu. Proszę mi zostawić odrobinę czasu; chociaż odrobinę...

— Porządni ludzie zawsze mają przykrości — powiedział.
— Pojęcia pan nawet nie ma ile ja w życiu wycierpiałem. Cztery-
sta sześć.

Wysiadł z windy i szedł długim, czystym korytarzem; trwało to chwilę nim znalazł kosz na śmieci i wrzucił tam kwiaty. Potem wrócił i znalazłszy drzwi oznaczone numerem czterysta sześć zapukał dyskretnie. Nikt nie odpowiadał; znów zapukał i wtedy Katarzyna otworzyła po długiej chwili. Stała w drzwiach patrząc przez chwilę na niego; potem w milczeniu wróciła do pokoju.

— Dzień dobry, Katarzyno — powiedział. — Nie poprosisz mnie do środka?

— Po co? — powiedziała. — Przecież wejdiesz tak czy owak, nawet jeśli będę chciała cię wyrzucić.

Wszedł, zamknął drzwi; natychmiast usiadł na fotelu najwygodniej jak tylko było to możliwe; walizkę położył przy sobie, na stole.

— Miałem cholerną podróż — powiedział. — Bujało przez trzy dni. Oka nie zmrużyłem.

— Współczuję ci — powiedziała. — A może jeszcze wyjaśnisz po co tu w ogóle przyjechałeś?

— Porozmawiać — powiedział. Wziął ze stołu szklankę w której zostało odrobinę brandy; powąchał ją, skrzywił się i odsta-
wił szklankę z powrotem. Spojrzał na popielniczkę pełną niedopałków i skrzywił się jeszcze bardziej. — To jest chyba najgorsze ze wszystkiego — powiedział. — Widziałem kiedyś na zdjęciu płuca palacza. Coś okropnego. Tego sobie nawet nie można wyobrazić. — Zaśmiał się nagle i podszedł do okna; rzuciwszy raz okiem wrócił z powrotem na fotel. — Ładnie tu — powiedział. — Pięknie. Tak to sobie właśnie wyobrażałem. Ten kraj i ta jego legenda. Tu każdy człowiek jest aktorem. To bardzo dobrze. Nie mają jeszcze wdzięku, ale to przyjdzie. Wdzięk zawsze można dorobić do legendy. Amerykanie to potrafią. Ale to piękny kraj. Szkoda, że nie możemy zostać tu dłużej.

— Nic o tym nie wiedziałam, że nie mogę jeśli czegoś chcę — powiedziała. — A teraz akurat chce mi się spać.

— Chcesz, żebym wyszedł Katarzyno — powiedział. — Dobrze. Ale przecież przyjechałem tylko po to, żeby ci pomóc. Wcześniej czy później sama byś po mnie zatelegrafowała. Oszczędziłem ci tego. Spróbuj być odrobinę miła, Katarzyno. — Nic nie odpowiedziała; czekał chwilę cierpliwie a potem powiedział: — Żeby ci jeszcze raz pomóc. Ostatni raz.

Odwróciła się ku niemu; zrzuciła jego walizkę ze stołu.

— Wynoś się stąd — powiedziała. — Ale już.

Podniósł walizkę i ostrożnie położył ją na stole.

— Ty umiesz tylko grać, Katarzyno — powiedział. — Umiesz tylko grać i o tym wszyscy wiedzą. Wszyscy którzy ci płacą i wszyscy którzy cię oglądają. Ale to jeszcze nie wszystko. To dopiero połowa. Bo ty nie umiesz wygrać. Ale o tym wiem tylko ja. Nawet ty tego nie wiesz.

— Ale wtedy, w Paryżu wygraliśmy przecież obydwój — powiedziała. — Wtedy, na tych schodach. Czy może tylko ja wygrałam?

Nalał jej do szklanki i podał; czekał cierpliwie aż wypije i pustą odebrał z jej rąk.

— Musisz o tym zapomnieć, Katarzyno — powiedział. — I nie ma na to rady.

— Nie — powiedziała. — Nie zapomnę tego nigdy. A w każdym razie nie wtedy, kiedy będziesz przy mnie. Nie wtedy, kiedy muszę patrzeć na ciebie. A wcale tego nie muszę. I chyba nigdy nie musiałam. Nawet wtedy, w Paryżu. I nawet kiedy spałam z tobą.

— Tak — powiedział. — Tego chyba nie musiałaś. I teraz nie musisz. Ale tylko ja potrafię ci jeszcze pomóc. I na to też nie ma rady, że ja akurat jestem tym człowiekiem. Nikt nie może wybierać, Katarzyno. Wierz mi że tak jest.

— Pięknie mówisz dzisiaj — powiedziała. — Kupiłeś sobie chyba kalendarz ścienny. U was w kraju są bardzo piękne kalendarze. Czy w dalszym ciągu wasze kurwy mówią do swoich gości, że najlepszą poduszką do spania jest czyste sumienie?

— Tak — powiedział. — Myśmy się nie zmienili. Tak jak i wszyscy inni ludzie. To bardzo dobrze. Nie ma nic gorszego jak naród, który zmienia się wtedy, kiedy inni tego żądają.

— Napij się chociaż ze mną — powiedziała. — Napij się ze mną, jeśli już musisz koniecznie siedzieć tutaj i zabawiać mnie.

— Wiesz przecież, że nie wolno mi pić — powiedział.

— Może właśnie dlatego — powiedziała. — I może jeszcze dlatego, że wiesz dobrze, że nie cierpię cię. — Nalała do szklanki i podała mu. — *Prosit.*

Wypił; otarł natychmiast usta chusteczką i odstawił szklankę na drugi koniec stołu. Zabrakło mu tchu; poczerwieniał a jego pulchne wargi drgnęły żałośnie. Patrzyła na niego bez współczucia i bez złości; może jak na coś, co bardziej istnieje w wyobraźni niż w rzeczywistości; z jakąś obraźliwą uczciwością kobiety patrzącej na mężczyznę z którym spędziła dzień czy rok i do którego może zawsze wrócić lub od niego odejść — znów na dzień lub znów na rok — nie licząc tego wcale, jakby jego ciało żyło, oddychało poza kategoriami czasu i moralności w pustym, jasnym

świecie jej sławy i jej szaleństwa. Uspokoił się wreszcie; znów odychał normalnie; znów ruchy jego stały się pewne i okrągłe.

— Ty ciągle myślisz jeszcze o tym, Katarzyno? — zapytał cicho zerkając ze strachem na szklanę stojącą z boku. Nie odpowiedziała mu więc powiedział szybko: — Musisz o tym w końcu zapomnieć. To się zdarza. Nie jesteś pierwszą kobietą która...

— Milcz — powiedziała. — Lepiej milcz.

— Dobrze — zgodził się natychmiast. — Wiesz, to w Rzymie wcale nie było takie głupie. Naturalnie, hałas był piekielny ale w gruncie rzeczy wszyscy chcą przecież hałasu. Ludzie są tchórzami, lubią żeby ich ogłuszać. Z początku myślałem, że wszyscy zwariują ze wściekłości. Ale to ci wyszło na dobre, Katarzyno. Na to trzeba mieć w końcu trochę charakteru, żeby rzucić wszystko do diabła, dać w twarz reżyserowi i wyjechać następnym samolotem jaki się tylko nawinie. Na to trzeba trochę charakteru.

— Nie — powiedziała. — Wcale nie trzeba. Trzeba tylko trochę wypić i nie spać ze dwie lub trzy noce przedtem. I trzeba było przejść przez te brudne schody, tam w Paryżu. I trzeba było jeszcze tego szczura w białym kitlu który niczego nie potrafił i którego nawet nie można za to zabić. A to o charakterze, to już ty wymyśliłeś. I ci twoi kumple z gazet. — Sięgnęła po szklanę ale złapał ją w ostatniej chwili.

— Nie — powiedział. — Potem. Teraz trzeba załatwić sprawę. A potem możesz się upić. Twój samolot leci pojutrze, o szóstej. I w samolocie też będziesz mogła pić ile chcesz.

— I znowu będą pisać o charakterze?

— Będą — powiedział zimnym, jasnym głosem. — Jeszcze jakiś czas będą. Może miesiąc a może nawet krócej. — Patrzył przez chwilę na swoje miękkie, białe ręce a potem powiedział: — Ale potem już nigdy nie będą pisać. To już ostatni raz. — Wstał, podszedł do okna. Zamknął oczy porażony blaskiem jak ciosem; odwrócił się ku niej i nie patrząc na nią powiedział cicho: — I wtedy nawet gdybyś naprawdę miała charakter to nic ci już z tego nie przyjdzie. Tak jak i nikomu i nigdzie nic z tego nie przyszło do tej pory. Bo to tylko w tych cholernych, kolorowych bujdach silni zwyciężają słabych, Katarzyno. W życiu jest prościej. To właśnie silni idą do diabła przez małych i głupich.

— Wiem — powiedziała. — Nie musiałeś mi tego przypominać. Ja też przegrałam przez takiego małego i głupiego. Zgoda. Odwrócił się.

— Ale ja ci się mogę jeszcze na coś przydać — powiedział znów tym samym jasnym i twardym głosem i nie brzmiało to wcale sztucznie. — Tylko ja.

— Nie chcę — powiedziała. — Chociaż wiem, że tak jest. Ale nie będę więcej kręcić. Nawet gdyby Cecil B. de Mille wstał z grobu i prosił mnie o to na klęczkach razem z żoną i dziećmi.

Wrócił na fotel; otworzył swoją walizkę i wyjął stamtąd plik wycinków prasowych. Położył je na stole, nieco dalej.

— To sobie przeczytasz w wolnej chwili — powiedział. — O tobie, i o twoim charakterze. Nie masz dużo czasu, Katarzyno. Za miesiąc, najdalej za pięć tygodni rozpoczynasz zdjęcia. — Wstał, zdjął marynarkę. — Gdzie się tu można wykąpać?

— Nie wiem — powiedziała. — W każdym razie nie tutaj. Popatrzyl na nią z rozbawieniem.

— Śmieszna mała — powiedział jakby nie dowierzając sobie. — Jej się naprawdę zdaje, że potrafi się obejść beze mnie. A może jej się nawet nie zdaje? Może wierzy w to naprawdę? — Włożył z powrotem marynarkę; przeszedł przez pokój i znów zerknął w lustro. — Dobrze — powiedział. — Znajdę sobie jakiś inny hotel. Tu dla mnie za drogo. Nie lubię wyrzucać forsy.

— Lubisz — powiedziała. — Tylko że moją. A tym razem będziesz musiał zapłacić z własnej kieszeni.

Podszedł do niej; krótkim szarpnięciem obrócił ją ku sobie. Stali obok okna i znów musiał zamknąć oczy.

— Nie — powiedziała. — Tego nie zrobisz. Nie uderzysz mnie. Nie pomyślałeś o tym wcześniej, nim tu przyszedłeś. To nie ty. Nie tacy mężczyźni jak ty. Ty myślisz już o wszystkim przedtem. Zawsze. Z jednym tylko wyjątkiem.

Puścił ją.

— Więc dobrze — powiedział. — Przyjdę tu o ósmej. I pójdziemy coś zjeść. Jeszcze tylko jedno: czy mogę zostawić u ciebie tę walizkę?

— Dlaczego u mnie?

— Bo tam jest twój kontrakt, kochanie — powiedział. — Twój nowy kontrakt. I ta nowa historyjka. Jeśli ci dam to teraz do przeczytania, to podrzesz. Ale kiedy wyjdę tylko z pokoju to przeczytasz go punkt po punkcie. Mam nadzieję, że ci się będzie podobać. To w każdym razie cała kupa forsy. Ja w twoim wieku nie zarabiałem tyle.

Otworzyła walizkę. Wzięła do ręki rewolwer; krótki Colt typu Cobra o ciężkiej, głęboko karbowanej rękojeści i obejrzawszy go odłożyła z powrotem.

— I po co ci to?

— Tak — powiedział. — Nowy kraj, dziwni ludzie. Nigdy nie wiadomo co się może zdarzyć, kiedy człowiek jedzie samochodem. Lepiej zawsze mieć coś takiego.

Znów wzięła do ręki rewolwer; ciężkie, ładne żelazo obciążające dłoń w jakimś jednym, pewnym kierunku wyłaniającym się, nierozzerwalnie związanym z tym kształtem, z jego jasnością i precyzją; jedna z niewielu rzeczy która udała się ludziom naprawdę, spontanicznie, i należyć będzie już na zawsze do człowieka i jego legendy; jak chleb, jak woda, jak końska sierść dymiąca od wojennego znoju; i znów odłożyła go do walizki.

— Cóż ci się może zdarzyć — powiedziała cicho, głosem którzy znali ludzie oglądający jej szeroką twarz na płótnie, a którego nie słyszał prawie nigdy on. — Przejrzyj się jeszcze raz w lustrze, Anderson. Czy ty wyglądasz na człowieka, któremu potrzebna jest broń? Wszystko na co możesz liczyć, to to, że ci ktoś nakładzie po mordzie w pisuarze. Ale nic więcej.

— Dobrze — powiedział. — Przyjdę o ósmej. A teraz chciałbym tylko umyć ręce.

Ściągnął z ręki pierścionek i położył go na stole; pierścień był duży i ciężki, ozdobiony jakimś herbem: zębaty gryf na tarczy z mieczami. Nie widziała go nigdy przedtem; obejrzała go ciekawie podczas kiedy on mył się w łazience. Musiał go sobie niedawno kupić, na pewno we Włoszech, u dobrego jubilera, ale o dwie ulice dalej od najlepszego, ogarnięty pragnieniem ukrycia swej pospolitej twarzy i swych pospolitych, słabych i ciężkich dłoni które szorował teraz; i już ze szklanką w ręku, stojąc na balkonie pomyślała o tych ciemnych i pięknych dłoniach widzianych dzisiejszej nocy — gdzieś w tym mieście, na które patrzyła teraz, mieście leżącym po prawej stronie, poprzecinanym cieniami, pełnym gwaru i dźwięku przynoszonego przez wiatr i tłumionego przez wiatr; nie słyszała nawet kiedy wyszedł cicho zamknąwszy drzwi za sobą.

Stał na chodniku, tuż przy jezdni szeroko rozkraczywszy swoje długie nogi; w spodniach koloru khaki i w takiejże koszuli, wypranej zaraz po wyjściu Katarzyny, tak że teraz, o czwartej po południu, miał na sobie czystą i wypraną koszulę, której barwę przydymiło słońce; stojąc w pełnym świetle czekał cierpliwie patrząc w ulicę, której mieszkańcy spali teraz, lub próbowali usnąć polawszy uprzednio kamienne podłogi swych mieszkań wodą i zamknąwszy okna, lub przeciwnie — otworzywszy je na oścież; tak, że widział kolorowe firanki, wiszące nieruchomo, ciężkie, jakby zrobione z żaglowego płótna. Policyjny jeep wyjechał zza zakrętu w tumanie białego kurzu i Abakarow podniósł rękę; jeep stanął obsypując go kurzem; jego i dwóch turystów, białych i spoconych, którzy już od pięciu minut usiłovali sfotografować jednego z żebraków; tego o poranionej twarzy a on wygrażał im

pięścią i odwracał się właśnie wtedy kiedy już byli o krok od sukcesu.

— Czego chcesz — zapytał oficer siedzący przy kierownicy. — Poza papierosem, oczywiście.

— Muszę pojechać do takiej jednej knajpy nad morzem — powiedział Abakarow. — Tam będzie na mnie czekał jeden człowiek. To ważna sprawa dla mnie.

— Siadaj — powiedział oficer. Jechali powoli przeciskając się z trudem wąskimi ulicami a potem musieli przejechać przez targowisko miejskie — ludzie, osły; biali i czarni; rozwrzeszczane kobiety i dostojni starcy gotujący arabskie przysmaki skwierczące na brudnych patelniach o archaicznych kształtach i w miedzianych rondlach pod którymi od świtu do nocy płonął ogień i wszystko pachniało tutaj właśnie ogniem, smażonym olejem i surowym mięsem; Abakarow palił papierosa i rozwalony wygodnie przyglądał się temu wszystkiemu. Znał ten plac i lubił go; to właśnie tutaj kupował swoje spodnie i swoje koszule od sprzedawców walczących o każdy grosz z determinacją gladiatorów i nie zapominających przy tym o aktorstwie; o tragiźmie należącym do ich zawodu; i o przekonywaniu będącym ich powołaniem.

— Mam nadzieję, że jazda cię nie męczy — powiedział oficer. — I że nie zamierzasz złożyć skargi na policję.

— Nie — powiedział. — Jak będziesz grzeczny to zaprowadzę cię kiedyś do jednej Arabki odstawiającej numer z osłem. Mnóstwo forsy już zarobiłem na tej sprawie od rozmaitych turystów. Turyści to lubią.

— Chyba nie tylko oni — powiedział oficer. — Mnie się to też podobało. Serce mi się ścisnęło kiedy zamykaliśmy ten burdel.

— Dobrze — powiedział Abakarow. — Ja tam zawsze znajdę w tym kraju Arabkę i osła którzy mi to załatwią. Jedź trochę szybciej, kolego. To ważna sprawa dla mnie. Ten człowiek jest doktorem. Muszę się już zgłosić na badanie.

— Kiedy zaczynasz?

— Już za parę dni. Jeśli tylko będę zdrowy.

— Zdrowy — powiedział oficer. — Ty przeżyjesz nas wszystkich, człowieku. I jeszcze po śmierci będziesz mi się śnił. Po mojej śmierci oczywiście.

— Ja tam do was nic nie mam — powiedział. — Jesteście porządne chłopaki. I ja wiem, że wtedy nic nie mogliście dla mnie zrobić.

Stał przed skrzyżowaniem zatrzymani przez wojskowego żandarma. Drogą jechały ciężarówki z wojskiem — na południe,

na pustynię gdyż teraz był czas manewrów. Patrzyli przez chwilę na spalone słońcem, młode i ładne twarze tych chłopców którzy karabin poznawali wcześniej od miłości i którzy żenili się często w wojsku, powracając potem do domu z żoną i z dwoma karabinami; a potem oficer odwrócił się ku niemu. Był to młody człowiek o otwartej, sympatycznej twarzy.

— Więc kiedy zaczynasz?

— Szóstego — powiedział Abakarow. — Szóstego o piątej rano. Ale będę musiał wyjechać o czwartej. To jakieś dwadzieścia kilometrów stąd.

— Przyjęli cię już?

— Tak — powiedział. — Wszystko jest w porządku. Jeśli będę oczywiście zdrowy. Jeśli lekarz mi powie: „chu awar”.

— I jeśli będziesz trzymał dziób, prawda? — powiedział policjant.

— Właśnie — powiedział. — Właśnie tak.

— Ja tam się nie mieszam w twoje sprawy, Abakarow — powiedział policjant. — I sam wiesz, że często nie mogłem cię znaleźć, chociaż szukałem cię jak własnego dziecka. Ale będziesz musiał teraz uważać.

Patrzył na brązową, nieporuszoną twarz tamtego; raz tylko drgnęły mięśnie i trójkątna twarz była teraz napięta, nieprawdzwie twarda jak u kogoś, kto złapał ręką za gorące żelazo i teraz chce w milczeniu znieść ból. Potem uśmiechnął się.

— Będę uważać — powiedział. Jechali już brzegiem morza i wiatr, nikły, słony wiatr chłodził trochę ich twarze. — To właśnie tutaj — powiedział w pewnym momencie Abakarow i oficer zahamował.

— Więc kiedy to będzie? — zapytał oficer.

— Szóstego — powiedział Abakarow. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

— Pójdzie wszystko dobrze — powiedział oficer. — Wierzę w ciebie. I chciałbym, żeby ci wreszcie zaczęło iść dobrze.

— Jak pan się nazywa, kapitanie? — zapytał Abakarow.

— Zachawi — powiedział oficer. — Kiedyś nazywałem się Goldman.

— Był pan kiedyś mistrzem armii w boksie — powiedział Abakarow. — Prawda?

— Tak — powiedział oficer. — Widziałeś mnie?

— Tak — powiedział Abakarow. — Widzieliśmy kiedyś pana razem z nim. Kiedy on jeszcze żył. — Dotknął ramienia tamtego. — Był pan dobrym bokserem — powiedział cicho. — Widziałem jak ten Rumun sfaulował pana, a pan potem zrobił

mu miazgę z wątroby. Był pan dobrym bokserem, kapitanie. I jest pan dobrym człowiekiem.

— Nie wiem — powiedział oficer. — Ale jestem na pewno złym policjantem. Więc to szóstego, tak?

— Tak. To mój pierwszy dzień. Wie pan może co się stało z tym Rumunem? Z tym którego pan wtedy...

— Wiem — powiedział. — Zginął w pięćdziesiątym szóstym roku. Ten człowiek był złym bokserem, ale dobrym żołnierzem. Bywa czasem i tak.

Uśmiechnął się; podniósł lewą pięść z wystawionym kciukiem i odjechał. Abakarow usiadł przy stoliku w małej restauracji; tego człowieka jeszcze nie było; zamówił piwo u kelnera wyglądającego na dobre sto lat i czekał cierpliwie patrząc na morze i pijąc to gorzkie piwo o mocnym smaku. Trzy białe tankowce prowadzone przez mały holownik wchodziły do portu z przyrywającym rykiem syren; ludzie, tam, w dole, stali oparci o barierę patrząc na ich potężne kadłuby. Czekali już tutaj od rana; dziewczyny, cwaniacy i złodzieje; i jeszcze ci należący do jakiejś dziwnej rasy; może raczej gatunku którym zawsze i przy każdej okazji udawało się zarobić — stali tu już od rana, niezmczeni i nie czujący upału; niepokonani w swoim pragnieniu zarobienia paru groszy i tej samej jeszcze nocy stracenia ich szybko i bez sensu.

Mężczyzna w miękkim, białym kapeluszu wszedł do baru; stał chwilę nieruchomo; oślepiiony, nic nie widzący jak wszyscy ludzie wchodzący z ulicy; potem zobaczył Abakarowa i podniósł rękę w geście pozdrowienia; nonszalacki, pewny siebie i swego aktorstwa.

— No, Mickey — powiedział Abakarow kiedy tamten usiadł już przy stoliku. — Teraz już czas.

Siedział nieruchomo; patrzył na kapelusz spoczywający teraz na kolanach, tak, jakby nie usłyszał wcale tego co powiedział człowiek siedzący naprzeciw niego i patrzący z napięciem w jego twarz; wykrzywioną teraz, niechętną.

— Czego chcesz ode mnie? — rzekł wreszcie. — Powiedziałem ci już dawno, żebyś wyjechał stąd i zapomniał o tej całej historii. To by było dla ciebie najlepsze. — Podniósł głowę; nie patrzył już teraz na kapelusz ale nie patrzył także na niego. — I dla mnie też — powiedział. — Dla mnie też do cholery. To jest moja rada.

— Mickey — powiedział Abakarow. — Ja jestem tym człowiekiem, który to widział. Ja jestem tym człowiekiem, który to wszystko obmyślił. Jeśli będę potrzebował twojej rady — poproszę o nią.

— Więc czego chcesz?

— Proszę cię o pomoc. A to co innego.

— Źle wyglądasz — powiedział Mickey. — Nie sypiasz pewnie po nocach. Nigdy nie sypiałeś za dobrze. Zapiszę ci coś na spanie jeśli chcesz.

— Do cholery z twoimi proszkami, Mickey — powiedział wściekle Abakarow. — Musisz zrobić dla mnie coś innego. Musisz mnie wziąć do siebie na te parę dni. Chcę odpocząć, to wszystko.

Patrzył na niego zimnymi, niebieskimi oczyma, chłodno i uważnie a kapelusz w jego rękach zataczał niewidzialne, stale nioszące się na siebie kręgi.

— Kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy przed trzema laty — powiedział wreszcie — nie bałem się ani przez chwilę o ciebie, bo wiedziałem że udajesz, a widziałem już takich. I potem też się nie bałem o ciebie kiedy przyszedłeś po raz drugi, i trzeci i czwarty i wymyślałeś takie bzdury, o jakich nie czytałem w żadnym podręczniku psychiatrii. Wtedy wiedziałem, że chcesz odpocząć i kryłem cię. Ale teraz nie mogę cię już kryć. Bo teraz się boję o ciebie naprawdę.

Znów biały kapelusz uniósł się w górę; Abakarow wyrwał mu go, położył na stole i przycisnął rondo łokciem.

— To tylko parę dni, Mickey — powiedział. — A potem już zacznę pracować. Ty wiesz, że ja muszę jeść i być zdrowy. To nie jest łatwa praca, Mickey. Więc teraz chodzi tylko o parę dni spokoju, nic więcej. Żeby się nażreć i wyspać. Nie chciałbym żeby jakiś przekłety przypadek złamał mi szyję.

— Nie wierzę w przypadki — powiedział Mickey. — Bardzo mi przykro. Jestem Amerykaninem i wierzę tylko w charakter. A jako lekarz nie wierzę nawet i w to. — Ten kelner wyłonił się nagle wynosząc z ciemności swoją starą twarz i stanął między nimi, przegradzając ich; postawił butelkę whisky i Mickey nalał sobie do szklanki. — Naucz się pić — powiedział kiedy odszedł już kelner. — Może to cię ocali. I może wtedy łatwiej mi będzie cię wyleczyć.

Podniósł szklankę do ust; Abakarow powstrzymał go.

— Ja tego potrzebuję, Mickey.

Znów spojrzął na niego; chłodne niebieskie oczy, dziecinny uśmiech i twarda szczęka; mógłby pracować jako reklama dla każdej linii lotniczej na świecie, ubrany raz w tweedową marynarkę i szeroki kapelusz farmera z Australii, by za chwilę pozować do kolejnego zdjęcia, w dyskretnym meloniku i czarnym garniturze młodego, robiącego karierę człowieka z City; i równie dobrze mógłby — wychylony nieco, promienny — jechać sportowym,

małym samochodziem poprzez Paryż reklamując zniżkę w okresie wiosennych wycieczek do najpiękniejszego miasta świata a wtedy miałby na sobie po prostu w spodnie i koszulkę z krótkimi rękawami. Należał do każdego świata i do każdej konwencji życia; poza tym jednym, jedynym krajem w którym musiał żyć i pracować; i w którym zaczynał pić już o piątej po południu, kiedy pielęgniarka — jedna z kolejno zakochanych w nim pielęgniarek — pomagała mu zdejmować biały kitel w którym wyglądał nie jak lekarz, ale jak aktor grający lekarza; i o godzinie dziesiątej był już zupełnie pijany i kładł się do łóżka cicho i bez awantur.

— Dobrze — powiedział. — Wezmę cię na te parę dni i niech mnie diabli wezmą, jeśli nie wymyślę podstawy obserwacji. Ale tylko pod jednym warunkiem. Że zapomnisz o tym wszystkim co się tam stało i że wrócisz tam tylko po to, żeby pracować. — Położył szklanekę na stole; to pozostało jeszcze z jego dawnych, dobrych obyczajów; ze świata który opuścił — wyciągnął do niego rękę; trwało to chwilę o potem znów tą samą ręką sięgnął po szklanekę i wypił jednym tchem.

— Nie — powiedział Abakarow.

— Przykro mi — powiedział Mickey. — Ale to naprawdę wszystko, co mógłbym dla ciebie uczynić. — Znów nalał sobie; patrzył na port, na statki wpływające wolno i na czarny dym holownika. — Mam dość tego kraju — powiedział. — I chyba stąd wyjadę. Tu śmierć za długo trwa, Abakarow. A ta reszta jest przekłęcie krótka. — Wypił, wyprostował się. — Byłem najgorszym lekarzem w tym kraju — powiedział. — I mnie tylko to będzie bawić kiedy już stąd wyjadę. To i tylko to. I niczego nie będę pamiętał i niczego nie będę nikomu opowiadał. — Znów nalał sobie i wypił. — Owszem — powiedział. — Może zresztą będę opowiadał, że w tropikach nie daje się pić. Ale to będzie już naprawdę wszystko.

— I dokąd chcesz pojechać, Mickey?

— Nie wiem jeszcze — powiedział. — Ale na pewno nie do Stanów. Może pojedę do Paryża. A może do Londynu. Może dostanę pracę w instytucie chorób tropikalnych; zdaje się, że mam tam kogoś. Ale mój kontrakt kończy się za rok. Więc jeszcze za wcześniej o tym gadać.

Abakarow uśmiechnął się.

— Kiedy jeszcze byłem tam — powiedział — myślałem czasem o was, o Ameryce. I o tym, jakimi ludźmi jesteście. A potem już w Europie widziałem waszych chłopców, którzy latali z aparatami fotograficznymi i fotografowali każdy śmieć na ulicy, a kiedy chciałem się dowiedzieć czegoś o Ameryce — mało kto mi potrafił odpowiedzieć. — Milczał chwilę patrząc w zamyśleniu na

swoje brązowe ręce. — I to jest chyba to, co was zgubi — powiedział. — Po prostu nie zdajecie sobie z tego sprawy ile jesteście warci. A to jest złe dla narodu.

— Ja mogę ci wiele powiedzieć o Ameryce — powiedział Mickey. — Ale musiałbym zacząć od tego, że za to, co chcesz zrobić, jest tylko jedna kara. I żaden adwokat by cię z tego nie wyciągnął. — Pokręcił głową. — Nie — powiedział. — A to nie to samo co na wojnie. Bo na wojnie nikt nie umiera ani ładnie, ani brzydko. Po prostu o niczym się nie pamięta w tym przeklętym bałaganie. — Popatrzył na niego. — Pamiętasz coś jeszcze z wojny, Abakarow?

— Jego pamiętam — powiedział. — Pamiętam jak mnie ciągnął kilometrami po śniegu chociaż sam był ranny i mógł mnie zostawić, i nikt by się nigdy nie dowiedział, jak zginąłem. Ale on ciągnął mnie dzień i noc, bo chcieliśmy się dostać do naszych. Tylko że kiedy mnie tam nareszcie dociągnął, w tym mieście siedzieli już Niemcy. Więc tylko jego, Mickey.

— A ja nie pamiętam nic — powiedział Mickey. — Choć może zresztą... Dziewiątego maja miałem akurat trypra i nie mogłem upić się razem ze wszystkimi chłopakami.

— Więc nic z tego nie będzie Mickey, co?

— Nic — powiedział. — Dam ci teraz trochę forsy i coś na spanie. I nie martw się o tamto. Zostaw to tym na górze.

— Tak — powiedział Abakarow. — Ale to nie dlatego tak mówisz Mickey, że masz coś przeciw temu co ja chcę zrobić. To nie dlatego. To tylko dlatego, że tamten człowiek był Żydem i kochał ten kraj i zginął tutaj. Kochał ten kraj i żył tutaj jak król mając forsy i nie mając forsy a wszyscy którzy go znali kochali go także. To dlatego, że jesteś Żydem, Mickey.

— Przykro mi bardzo — powiedział tamten. — Jestem Amerykaninem. To jedyne, co się liczy dla mnie naprawdę. Byłem nim, jestem i będę. I nie mam zamiaru stwarzać ci alibi człowieka niezrównoważonego psychicznie. To jest ten pomysł, nie?

— Nie — powiedział Abakarow. — Jesteś Żydem, który nienawidzi tego kraju. Tego kraju, który on kochał. Tego kraju, do którego ty się nie umiałeś przyzwyczaić. To nie dlatego Mickey. Po prostu jesteś za słaby na ten kraj. Nie jako Amerykanin. Jako Żyd. I to wszystko.

— Tak — powiedział tamten. — Jestem za słaby. Masz rację.

— Przykro mi, Mickey — powiedział. — Nie chciałem cię obrazić. Zapomnij po prostu o czym żeśmy tu gadali. To jedno możesz dla mnie zrobić. Nie jako Amerykanin. Jako Żyd. Jeśli już nie masz siły na nic innego, to zapomnij. *Forget it.*

— *It's just forgotten* — powiedział Mickey. Patrzył w zamysleniu na butelkę stojącą przed nim. — Wiesz — powiedział. — Mam siostrę w Stanach. Może byś się z nią ożenił? Taka mała, słodka idiotka. Ona ci już da radę. Po tygodniu będziesz przeklinał tylko ją i o wszystkim innym zapomnisz. Możesz zawieźć mnie do domu, Abakarow? Coś mi się zdaje, że jestem trochę pijany.

— Ciągłe pijesz tak dużo, Mickey?

— Nie tak dużo — powiedział. — I robię przerwy dla zdrowia. Bo muszę przecież spotkać w Europie tego skurwysyna który mi powiedział, że w tym klimacie łatwiej odzwyczaić się od picia. Więc tylko chcę sobie z nim trochę pogadać. A potem nie będę już robić żadnych przerw. — I kiedy już siedzieli w samochodzie, raz jeszcze odwrócił ku niemu swoją czystą, spokojną i jasną twarz. — Abakarow — powiedział cicho. — Ja nie umiem ci w niczym pomóc. Ja jestem tylko amerykańskim lekarzem który nie umie nic ponad to, czego go nauczyli na uniwersytecie za forse mamusi i tatusia. Ale jedno ci powiem: człowiek który zapomniiał o miłosierdziu jest śmieszny. Przede wszystkim śmieszny. To ci mogę powiedzieć. Bo tego nauczyłem się sam. — Osunął się nagle; patrzył przed siebie zmaconymi oczyma. — A moja siostra — powiedział sennym głosem. — Ta mała, słodka idiotka. Powiedz coś, Abakarow...

Usnął nie doczekawszy się odpowiedzi. Abakarow przyciągnął go ramieniem gdyż Mickey osunął się głębiej i głowa jego opadła bezwładnie; prowadził wóz jedną ręką a drugą przytrzymywał Mickeygo. I odezwał się dopiero wtedy, kiedy usłyszał ciężki, równy oddech tamtego.

— Cholera mi do tego co śmieszne, a co nie — powiedział Abakarow. Ale ja wolę zginać na swój sposób, niż żyć i cieszyć się na wasz.

Ale nie powiedział tego jak wyzwanie; jadąc powoli drogą biegnącą wzdłuż morza i patrząc na światła statków rybackich kołyszających się w oddali i dobrze widocznych w powietrzu chłodnym już i czystym, powiedział to w swoim języku surowym i spokojnym, tonem przyrzeczenia, gdyż wyzwał już dawno; więc może nawet nie przyrzeczenia a przypomnienia własnemu ciału i własnej duszy; a potem, kiedy wjechał już na górę zobaczył wszystkie światła portu rozciągające się w dole i czuł już świeży, nocny wiatr; lecz trwało to tylko chwilę i skończyło się wraz z pracowitym szumem motoru ciągnącego pod górę, bo teraz znowu zjeżdżał w dół; z dnia prosto w noc; bez wieczoru i jego zorzy i czuł już inny wiatr: gorący, suchy wiatr z pustyni; spoza pasma stygnących wzgórz dokąd odchodziły te złote, długie dni po-

konywane przez ciemność; dzień za dniem w beznadziejnym rachunku zmęczenia i rozpaczy wystawianemu milczącemu Bogu.

Obudził ją telefon. Spojrzała na zegarek: była godzina za piętnaście ósma i Katarzyna uśmiechnęła się.

— Jesteś już gotowa? — zapytał.

— Tak — powiedziała. — Zaraz będę gotowa.

— Dobrze. Za piętnaście minut będę na dole — powiedział. — I pójdziemy coś zjeść. Czy chcesz wziąć wóz?

— Nie — powiedziała. — Myślę, że chciałabym się trochę przejść. Może tu jest niedaleko jakaś dobra restauracja. Tam, nad morzem.

— Zdaje się, że już wiem o takiej — powiedział. — A więc.

Odłożyła słuchawkę; zapaliła światło i podeszła do lustra. Nie było jej potrzeba ani szminki, ani tuszu; tak wyglądała najlepiej: czysta, ładna twarz trzydziestoczteroletniej kobiety; trochę tylko zbyt zmęczona, co było może właśnie najładniejsze; najciekawsze w tej twarzy o szerokich kościach policzkowych i dużych oczach; nie oczekiwała tego w każdym razie po dwóch latach picia i bezsennych nocy w czasie których leżała z szeroko otwartymi oczyma; nie zmęczona i nigdy nie na tyle pijana aby przespać siedem, lub chociaż sześć godzin bez przerwy — leżała nasłuchując ciężkich oddechów tych wszystkich przypadkowych mężczyzn z którymi zaczynała pić już o piątej lub szóstej po południu spodziewając się, że może wreszcie zaśnie przy którymś z nich; przy którymś z tych pyszałkowatych pijących z nią i rozglądających się uważnie po ludziach znajdujących jej twarz: wierną i czystą twarz kochanki, zakonnicy lub żony nędzarza któremu powinna się noga i z którym umierała razem — ale nie zasyiała prawie nigdy mimo, że piła równo z nimi a czasami nawet więcej; a potem, kiedy okna jednego z tych przypadkowych hoteli poczęły już jaśnieć ubierała się cicho i wychodziła pozostawiając ich; ich i ich pijackie sny i wściekłe rozczarowanie w godzinę czy dwie później. Wracała taksówką do swego hotelu gdzie czekał już Anderson: ogolony, świeży, o twarzy zaróżowionej jeszcze ze snu i połknąwszy jedną lub dwie pastylki nasenne kładła się spać, podczas gdy on zapuszczał stopy, wydawał telefonistce polecenie wyłączenia aparatu i wychodził na palcach nie pytając o nic i nie żądając żadnych wyjaśnień odzwyczajony przez nią od tego raz na zawsze — nawet wtedy kiedy znikwała na dwa lub trzy dni i nawet wtedy, kiedy wyjechała z młodym Amerykaninem, poznanym w barze o godzinie piątej nad ranem, kiedy wszystkie twarze wyglądają jednakowo — jak na starym i pry-

mitywnym obrazie gdzie kobiety nie różnią się od mężczyznym poza ubiorem i gdzie wszystko stłoczone jest razem bez perspektywy i dystansu w szaleńczym pragnieniu zatrzymania i zapamiętania czasu: ludzie, sprzęty i zwierzęta — i kiedy wszyscy są już mniej więcej jednakowo pijani i mają dosyć a jeśli siedzą jeszcze i zamawiają kolejne brandy lub whisky, to już nie dlatego aby bawić się dalej, lecz tylko po to, żeby do końca dotrzeć w złudzeniu, że jedna noc różni się czymś od drugiej i że jeden człowiek potrafi w końcu czymś zabawić drugiego; tam właśnie poznała tego silnego i ładnego chłopca o amerykańskiej twarzy, wyglądającej jak wyzwanie rzucone czasowi i będącej jednakowo zuchwałą tak w dwunastym jak i sześćdziesiątym roku życia — i który potrafił kilometrami pływać w dzień i pić od szóstej po południu do świtu i wyjechała razem z nim, wprost z tego baru nie wstępując nawet do hotelu, gdzie zostały jej wszystkie rzeczy, pieniądze i samochód i gdzie spokojnie, cicho spał Anderson; a potem, w małym hotelu w Santa Margherita oczekiwali na jego rodziców, bogatych ludzi z Południa, którzy stracili jednego syna na Pacyfiku, tak, iż ten właśnie chłopiec miał odziedziczyć ich pieniądze i ich dobre, stare imię i którzy mieli specjalnie przyjechać ze Stanów i poznać ją — kobietę mającą wejść do ich rodu. Wtedy przestała pić — chodzili całymi kilometrami po plaży a wieczorami jechali do Genui gdzie kolega tego chłopca — niemal tak samo wyglądający, poruszający się i mówiący — był lekarzem któregoś z towarzystw okrętowych i spędzali wieczory we trójkę siedząc na tarasie małej restauracji a ten lekarz opowiadał im, że w czasie swojej siedmioletniej praktyki spotkał się tylko z trzema wypadkami chorób u marynarzy; albo marynarz jest pijany, spada ze schodów łamiąc rękę lub nogę; albo marynarz bije się na noże i wtedy trzeba go szyć; albo marynarz łapie trypra u dziewczyny, która wyglądała na wszystko inne, tylko właśnie nie na to czym się trudniła. Ona nalewała im whisky myśląc: „Więc jednak będę musiała. Więc jednak będę musiała mu powiedzieć”. Nie piła jednak ani kropli — aż do dnia, w którym przyjechali ci starzy i godni ludzie, którzy całe życie ciężko pracowali i mimo pieniędzy i luksusu pozostali na zawsze chłopami wstającymi o świcie i umierającymi z rozpaczy i nudów kiedy przychodziło im opuścić chociaż na krok własną farmę, w której zmieściłby się ładny kawałek Europy i gdzie rodzili się od pokoleń, gdzie urodził się on i gdzie miało urodzić się jego dziecko; i właśnie tego dnia kiedy ci starzy siedzieli już uroczyście i sztywno w oczekiwaniu przyszłej córki, która miała wejść do ich rodziny i do ich domu — postanowiła mu powiedzieć o wszystkim i przyszła zupełnie pijana; pijana

po raz pierwszy od długiego już czasu i ten chłopiec uderzył ją w twarz przy rodzicach, tak, że zatoczyła się i upadła i podniosła się dopiero wtedy, kiedy tamci już wyszli nie odezawszy się ani słowem — na zawsze znieważeni i na zawsze nienawidzący tego kraju, który przyjął ich obrazą; dwoje starych ludzi żyjących czysto i sprawiedliwie o parę tysięcy mil stąd, które zechcieli pokonać, aby zadość stało się dobrym obyczajom — jedyną rzeczą którą przywieźli z Europy przodkowie, ci spoczywający teraz pod kamiennymi nagrobkami pokrytymi wersetami z Biblii — kiedy to ojciec mężczyzny szedł do ojca kobiety i pierwszy wyciągał do niego rękę.

Telefon zadzwonił po raz drugi; więc nie podnosząc już słuchawki wzięła tylko torebkę i płaszcz i już od drzwi zawróciła zobaczywszy na stole zapomniany przez Andersona pierścień. Hall był teraz pełny; przed godziną przybił do portu statek pasażerski i obwieszeni aparatami fotograficznymi turyści — już zmęczeni upałem, już zniechęceni — tłoczyli się teraz przy biurze recepcji.

— Tu jestem, Katarzyno — zawołał głośno; o wiele głośniej niż zachodziła po temu potrzeba; dostrzegła go zresztą już w pierwszej chwili: ubrany w tropikalny garnitur koloru khaki siedział przy stoliku trzymając w rękę pismo, którego nie czytał i którego czytać ani przez chwilę nie zamierzał i jeśli trzymał je w ogóle w rękę, to z niejasną nadzieją iż inni domyślą się z jego twarzy pogardy dla tego, co jedni ludzie piszą i myślą o innych. Wstał teraz kiedy podeszła: szybko, sprężysto niemal ale z wysiłkiem nie dającym się ukryć i musiał zaraz obciągnąć marynarkę khaki zbyt ciasno leżącą na jego okrągłych plecach. — Wziąłem jednak wóz na wszelki wypadek — powiedział. — Może się gdzieś przejedziemy.

— Cicho — powiedziała. — Mów cicho.

— Chcesz może pojechać do arabskiej restauracji? — zapytał. — Tu jest podobno świetna arabska restauracja obok minaretu, czy meczetu. Diabli wiedzą jak się to w końcu nazywa. Mój portier powiedział mi, że tam bardzo zabawnie. Śpiewy i tak dalej. Więc jeśli chcesz...

— Dobrze — powiedziała. — Tylko mów cicho jeśli to w ogóle możliwe. Albo chociaż troszeczkę ciszej.

Wyszli przed hotel a wtedy fotograf który czekał tu już od trzeciej po południu wyskoczył nagle i tylko w ostatniej chwili Andersonowi udało się wykręcić mu rękę; tak, że ostre jasne światło chlasnęło gdzieś z boku, w niego. Wyrwał z kasety film i oddał aparat z powrotem.

że w górnej kieszeni marynarki pod zalotnie wywiniętą chusteczką nosi maleńką fiolkę z kwadratowymi tabletkami nitrogliceryny — odkryła to przypadkiem, już przed rokiem; już po tej historii z amerykańskim chłopcem i już po eskapadzie do Taorminy; pewnego dnia, kiedy weszła do jego pokoju, aby mu powiedzieć raz jeszcze, że wszystko jest pomiędzy nimi skończone — chciała mu to jakoś powiedzieć, jakby rzeczywiście istniały słowa na określenie nicości, pustki którą nosiła w sobie i którą czuła konkretnie umiejscowioną; tak, jak dzieci wskazując palcem na swoje ciało mówią, że je coś boli — wtedy właśnie rozerwał kołnierzyk i bez słowa wskazał jej marynarkę wiszącą na krześle obracając ku niej twarz wykrzywioną bólem; i tam właśnie, w górnej kieszeni jego marynarki z wyhaftowanym godłem yacht-klubu do którego należał, pod zalotnie wyłożoną jedwabną chusteczką znalazła małą, szklaną fiolkę; kilkanaście tabletek ratujących mu życie w pewnych odstępach czasu, pomiędzy jednym jej odejściem a drugim, zamkniętych w cienkim, kruchym szkłe. I wtedy właśnie zrozumiała, że Anderson umrze; że musi umrzeć i przeraziła się że zostanie sama i że nie będzie mogła już nigdy mówić z nim o tym; że to nieszczęście stanie się tylko jej sprawą — wtedy, kiedy nie będzie już Andersona; i wtedy znowu zaczęli jeszcze raz od początku.

— Więc dobrze — powiedziała. — Weź swoje rzeczy i przyjdź. Już jest dobrze. Tylko mów cicho. Albo chociaż troszeczkę ciszej.

— Tak — powiedział. — To niestety przyzwyczajenie. Przykre przyzwyczajenie. Ale wojna nie zostawia przyjemnych przyzwyczajień.

Kelner postawił na stole butelkę wina; butelka była pięknego, dziwnego kształtu. Musiała być zrobiona w jakiejś małej i prymitywnej hucie szkła i na pewno stanowiła jedyny egzemplarz; coś, czego już nigdy nie powtórzyły płuca nieznanego gisera.

— Chcesz się napić — powiedział. — Czy poczekamy na rybę?

— Mogę się napić — powiedziała. — Trochę.

— Ciekaw jestem tej ryby — powiedział. — Całkiem sprytnie ją złapał ten chłopak z Tripolis. To właśnie tacy jak on i z takimi nożami rzucali się na wojska Duce...

— Do cholery z wojną — powiedziała. — Wolę już mówić o rybie.

Wypiła łyk wina; było chłodne, mocne; wciąż patrząc na białe wieże minaretu; na płaskie dachy i morze szumiące w stygnącej ciemności i na tych tam rozkołysanych w łodzi i wyciągających znów brunatną sieć, pomyślała, że już nie będzie inaczej i

że w końcu będzie musiała pogodzić się z tym i znieść to jak wiele innych kobiet znoszących to z pokorą lub z rozpaczą; lub może jak ci wszyscy ślepy, potykający się po ulicach i śmietnikach; jak wszystkie starzejące się kurwy, koło których przechodzą obojętnie młodzi, starzy i pijani mężczyźni; jak alkoholicy wciąż powracający do nałogu, do picia i awantur i płaczący ze wzruszenia w kinie już podczas tygodnika; jak ci wszyscy okaleczeni w wojnie przez drugich ludzi; a może wreszcie jak każdy, kto naprawdę potrafi odwrócić się wstecz i przekonać, że jednak nic się nie udało; nic, poza tym co przyszło niespodziewanie i niezasłużenie. Potem patrzyła znów na jego zmęczoną twarz i rozdęte żyły, gdyż kołnierzyka mimo wszystko nie chciał rozpiąć, nie rozpiął go nigdy jakby w obawie, że straci coś ze swej schludności i drogiej a banalnej elegancji; i myślała, że jednak w końcu zostanie z tym człowiekiem, bo miłosierdzie to tylko jeden ślepiec stojący naprzeciw drugiego; jedna starzejąca się dziwka obok drugiej i jeden pijak bełkoczący do drugiego, lub dwa fotele paralityków stojące gdzieś na końcu zakurzonego korytarza; i może właśnie jeszcze chore, zniszczone serce tego mężczyzny wyglądającego jak kondensat miliona mężczyzn reklamujących witaminy, podróże statkami turystycznej klasy i pieniące się najbardziej ze wszystkich mydła do golenia — ale nigdy nic innego, nic poza dwójkiem ludzi jednakowo złamanym lub znieważonym — a nie ci wszyscy dobrzy i wyciągający rękę w geście pocieszenia lub uspokojenia wędrujący jakby krawędzią świata; bo wreszcie liczy się tylko strach przed lustrem i pragnienie aby dojrzeć siebie w źrenicach drugiego; i pomyślała, że on wiedział o tym dobrze kiedy pisał to do nich; lub kiedy mówił to do nich przestrzegając i nawołując do miłosierdzia. I to co mówił o twarzy i o lustrze. Ale w końcu Paweł był tylko mężczyzną, tak jak i ten i jak ci wszyscy; ci, których pamiętała i ci o których nie chciała i nie mogła pamiętać; i nie czuł w sobie tego co ona czuła, co mogła wskazać i przekląć.

— Ładnie jest tutaj — powiedział. — Przyjedziemy tu chyba jeszcze parę razy. Czuję się tu całkiem nieźle. A ty?

— Ja też — powiedziała. — Ja też nie czuję się tu źle.

— Chciałbym kupić od niego ten nóż — powiedział. — Wtedy nie było czasu na zbieranie pamiątek. Lubiłem pustynię. Nie chciałem tego zapomnieć. To śmieszne. Nigdy nie przypuszczałem, że pustynię można lubić. Wszystko, ale akurat nie to. Chcesz jeszcze wina?

— Nie — powiedziała. — Dziękuję. Poczekam chyba na tę rybę.

— Zawsze lubiłem na to patrzeć — powiedział. — Ale sam nigdy nie łowiłem. W mojej rodzinie wszyscy szaleli z wędkami. Mój ojciec i moi bracia. Wychodzili o świcie, brali ze sobą koniak i wracali dopiero pod wieczór jakoś dziwnie rozbawieni. To chyba najlepszy pretekst do pijaństwa a kobiety jakoś ciężko na to wpadają.

— Nigdy mi nie mówiłeś że masz braci — powiedziała.

— Już ich nie mam — powiedział.

Patrzyli na morze i na tych trzech tam w łodzi; ściągnęły już swoje sieci i teraz, idąc powoli, rozkładali je na plaży, trochę dalej, gdzie piasek był suchy i dokąd nie podchodziły białe grzebienie fal; a potem, po rozłożeniu sieci obciążali je kamieniami białymi i płaskimi, gdyż kolor i ich pierwotny kształt zabrało im morze; wreszcie wrzucili do łodzi wiklinowe kosze i krótkie ostre noże do patroszenia ryb; zabrali swoje swetry i odeszli rozmawiając między sobą, z przyzwyczajenia nienaturalnie głośno a Katarzyna i Anderson patrzyli na wodę różowiącą się jeszcze przez chwilę wokół łodzi, nim nie nadeszła nowa fala poprzedzona dalekim, cichym poszumem i uderzywszy łagodnie o płaskie, szerokie dno wyrzuciła rybie wnętrzności na piasek, gdzie było już ciemno i zaskrzeczały nagle koty.

— Odwalili chłopaki ładny kawałek roboty — powiedział Anderson. — A teraz pójdą się chyba zabawić. Poszedłbym chyba z nimi, gdyby wolno mi było pić. Ale tego mi już nigdy nie będzie wolno.

Ktoś dotknął nagle jej ramienia i Katarzyna odwróciła się. Była to mała, może pięć, może sześćioletnia, dziewczynka o ciemnej twarzy. Nie zauważyła tego od razu. Zauważyła to dopiero po chwili; zmiążdżone i wykrzywione ramię tego dziecka wyciągające się teraz ku niej.

— Madame — powiedziała podczas gdy Katarzyna patrzyła na jej wykrzywione ramię rozszerzonymi oczyma. Mała zauważyła to i wpadła od razu w ton hysterii, rozpaczy. — Madame, mój brat. *My brother, my brother sic, very sic, nothing to eat...*

Sięgnęła do torebki; szybciej jeszcze niż zdążyła pomyśleć i nim zdążyło obudzić się w niej współczucie i wstręt. Ale kelner który nadchodził już z olbrzymim, srebrnym półmiskiem, na którym leżały dwie pięknie upieczone ryby, uprzedził ją. Odstaawił półmisek po drodze, na którymś z wolnych jeszcze stolików i podbiegł do małej.

— Przeklęta, mała żebraczko — powiedział. Wyciągnął ją za ucho z kąta a mała próbowała zasłonić się ręką. — Przeklęta żebraczko. Proszę wybaczyć madame. Tyle ich się tu kręci.

Szarpnął ją w bok, popchnął; a potem drugi kelner — ten w bufiastych spodniach — wziął ją za włosy i poprowadził ku wyjściu; tak, że dziewczynka szła teraz na palcach niby uczennica szkoły baletowej; i usłyszeli, że uderzył ją i ten; ale nie usłyszeli ani płaczu, ani krzyku. Dziewczynka nie odezwała się ani słowem.

— To nie Europa, madame — powiedział kelner nakładając jej rybę podczas gdy ten drugi, mówiący gardłowo, wrócił już i stał za jego plecami niby dekoracja niezbędna do tego obrzędu. — Niestety. Wszystko dobre zostało w Europie.

— Nie powinien pan bić tego dziecka — powiedział Anderson. Twarz jego wciąż jeszcze wykrzywiona była wstrętem. — To w końcu nasza sprawa, czy chcemy temu dziecku dać parę groszy czy nie.

— *Sorry, sir* — powiedział. — Ale tu każdy staje się dziki. Jeśli nie po roku, to po pięciu czy dziesięciu latach. — Nałożył już rybę i teraz cofnął się w cień; stał teraz obok tamtego Araba który nie odzywał się a tylko wyrazem twarzy aprobował słowa mówiącego. — To nie zupełnie tak, jak pan myśli — powiedział kelner urażonym tonem. — W tym kraju bywają dziesięcioletnie hm... hm... pan rozumie, sir. A poza tym to oni tu czasami specjalnie kaleczą swoje dzieci. — Odwrócił się do swojego kolegi. — Brandy na trzeci stół — powiedział.

Obróciła się ku niemu.

— Kaleczą dzieci — powiedziała. — Kto je kaleczy?

— Rodzice — powiedział. — Oczywiście, że rodzice. Tyle się o tym słyszało. Robią z nich kaleki, żeby potem siedzieli na ulicy i pokazywali te swoje ręce i nogi. Widziałem mnóstwo takich wypadków, madame. I wciąż jeszcze słyszy się o tym.

— Małe dzieci?

— Tak. Oczywiście. Zupełnie małe dzieci. Tu można kupić żonę jeszcze w kołysce. — Znów westchnął. — Wszystko dobre zostało w Europie — powiedział. — Tam, dokąd już nie ma po co wracać. — Chciał odejść, ale Katarzyna powstrzymała go.

— Brandy — powiedziała cicho.

— Za chwilę, madame.

— Nie za chwilę — powiedziała. — Już jest za późno o jedną chwilę. Teraz.

Z tacy na której niósł zamówioną już dla innych brandy zdjęła butelkę i postawiła ją na stole. Wylała z kieliszka wino, w tył za siebie, nie patrząc i jakaś kobieta pisnęła głośno. Nalała sobie brandy i wypiła ją jednym tchem.

Anderson pochylił się ku niej; kelner odszedł już, i tylko w tyle ta kobieta mówiła głośno, ostro, wycierając serwetką wino z sukni.

— Nie będziesz pić, Katarzyno — powiedział. — Uspokój się. Opanuj się. Chociaż na jedną chwilę.

Ale piła już drugi kieliszek; a potem nalała trzeci.

— Będę pić — powiedziała. — I upiję się. Możesz stąd odejść, Anderson. Nie będziesz miał dzisiaj przyjemnego wieczoru. Nie ze mną w każdym razie. A ja się upiję i będzie mi się zdawać, że mam małą córeczkę i że ją kaleczę, tak aby mogła żyć. — Podniosła kieliszek do góry; patrzyła prosto w szkło i jej źrenice pełne były teraz zmaconego światła. — Taką właśnie jak ta mała — powiedziała nienaturalnie głośno i nienaturalnie spokojnie. — Ta właśnie. — Znów wypiła i nalała sobie z butelki. W dalszym ciągu mówiła głośno i wyraźnie, w najlepszym angielskim języku; tak właśnie jak nauczyła się mówić w Londynie, w Królewskiej Akademii Teatralnej; i jak mówili Hamlet, Macbeth i Shylock unosząc przy tym nieco swoje tragiczne twarze, w wyrazie niepokonanej dumy i rozpacz; mówiła tak, że rozumieli ją wszyscy siedzący tutaj i znający język angielski. — A może oni tutaj nawet zabijają swoje dzieci? Bo w końcu jeśli mogą je kaleczyć... Jak myślisz, Anderson: czy to ciężko zabić takie małe dziecko? Bo ja wiem tylko o tym, jak się je robi...

Roześmiała się nagle a wtedy, wychyliwszy szybko swoje ciężkie ciało uderzył ją w twarz; wyrwał jej z ręki kieliszek a butelkę rzucił szerokim łukiem w morze. I wtedy oprzytomniała. Ludzie przy sąsiednich stolikach pomału poczęli udawać, że cały czas zajęci byli zajadaniem swoich ryb i niechętnie odwracali głowy.

— Przykro mi — powiedział. — Ale chyba nie można było inaczej.

— Nie — powiedziała. — Na pewno nie można było inaczej. Dziękuję ci. W każdym razie spróbowaliśmy jeszcze raz.

Nie odpowiedział nic; nie poruszył się nawet kiedy wstała i odeszła i nie patrzył za nią kiedy szła przez długi, kamienny taras pomiędzy białymi stolikami — mocna, ładna kobieta o nogach tancerki i zaciętej twarzy; sięgnął do górnej kieszeni marynarki i odwróciwszy się bokiem bez wody przełknął dwie tabletki o mdłym, nieprzyjemnym smaku i znów starannie wygładził jedwabną chusteczkę i kołnierzyk białej koszuli czując przy tym nagłe zgrubienie żył przetaczających ciężką, martwą krew; i siedział nieporuszony kiedy już zeszła z tarasu; i jeszcze potem, kiedy wysiadała z taksówki przed swoim hotelem a ci dwaj przysłani przez niego wyskoczyli nagle; tak szybko, że ledwie miała czas odwrócić się i blask magnezji uderzył jej oczy odbiwszy się od karoserii auta. Wsiadła z powrotem; tym razem obok kierowcy a oni dwaj biegli przed samochodem: dziwna rasa ludzi biegną-

cych tyłem szybciej i pewniej niż do przodu i teraz, błysk magnety uderzył ją twardo i prosto jak dobrze wymierzony cios.

— Czego oni od pani właściwie chcą? — zapytał kierowca.

— Nie wiem — powiedziała. — Oni też nie wiedzą.

— Ktoś musi wiedzieć.

— Nie. Nikt nie wie.

Popatrzył na nią uważnie i już otwierał usta aby coś powiedzieć; rozradowany iż nareszcie zrozumiał i poznał, ale uprzedziła go; tak brutalnie i zimno jak tylko kobieta potrafi powiedzieć i tylko do mężczyzny:

— Nie. Pan nie wie. Ja panu dopłacę, żeby pan się męczył dalej.

— Dobrze — powiedział. — Ale dokąd my właściwie jedziemy?

Przyhamował nagle gwałtownie; to jakiś człowiek nieprzytomnie przechodził przez jezdnię i podczas kiedy oni dwaj — kierowca i przechodzień wymyślali sobie i wygrażali pięściami, ona pochyliła się i zbierała rzeczy które wysypały się jej z torebki: pieniądze, chusteczkę i pierścień pozostawiony przez Andersona na jej stole, którego nie zwróciła mu przez zapomnienie. A potem popatrzyła na dłoń kierowcy, podczas gdy on, wciąż wychylony przeklinał matkę tamtego i jego siostry, które nigdy nie powychodzą za mąż, i jego córki, które staną się ladacznicami i będą cierpieć na wszystkie choroby nękające ladacznice; patrzyła na jego dłoń leżącą na kierownicy tego starego auta sprzed lat piętnastu i roześmiała się; kierowca także nosił pierścień; z fałszywego złota i z fałszywym brylantem a dłoń jego była równie gruba i ciężka jak dłoń Andersona.

— No więc — powiedział wreszcie kiedy tamten już odchodził, już zniknął w ciemnościach wciąż jeszcze przemawiając głosem najczystszej tragedii — to dokąd w końcu jedziemy?

— Szukam jednego człowieka w tym mieście — powiedziała. — Ale nie wiem jak on się nazywa i gdzie mieszka. Zna go pan?

— Znam całą kupę takich — powiedział. — A co on robi?

— Tego też nie wiem — powiedziała. — Ale nie przypuszczam, żeby się ostatnio przepracowywał. Nazywają go majorem. Zapomniałam jego nazwiska. Wysoki. Bardzo wysoki.

— Nie wiem, czy to ten — powiedział. — Ale tu jest taki jeden Rosjanin. Wysoki, bardzo piękny. Może to ten.

— Ten — powiedziała.

— To ten lotnik, któremu odebrano licencję — powiedział. — Chyba o nim pani mówi.

— Zna go pan?

Roześmiał się. Był miły, przystojny i wyglądał na porządnego chłopaka. Popatrzył na nią z sympatią.

— Mój Boże — powiedział. — Pewno, że go znam. I on mnie też zna. I znałem tego jego kolegę od którego zaczęła się draka. W tym cholernym fachu zna się każdego, proszę pani. Gdyby tak człowiekowi płacili nie za to co robi, ale za to co wie. — Przekreślił tarczę licznika i znów fałszywy brylant mignął przed jej oczyma. — Zawiozę panią za darmo — powiedział. — Abakarov to równy gość. Wie pani, to taki przesąd w naszym fachu. Na szczęście. I czasem wiezie się pasażera za darmo. Czyba się pani nie pogniewa?

— Nie — powiedziała. — Z pana też jest równy gość.

— No — powiedział. — Ale to już nie to, co było. Wie pani, ożeniłem się głupio. — Znów popatrzył na nią. — A najgorsze to to — powiedział z żalem — że nikt mi nie będzie wierzyć, kiedy powiem chłopakom, że z panią gadałem. Ale powiem swojej żonie. Żeby nie spała do świtu. — Zatrzymał się nagle przed jakimś straganem gdzie stary Arab sprzedawał smażone mięso. — Zapytam o niego — powiedział.

Wysiedli razem; Katarzyna jadła prażone mięso a kierowca zniknął nagle i słyszała tylko jego głos; pytał kogoś najpierw po hebrajsku, potem po jidysz i w końcu wynurzył się wraz z jakąś starą i chudą kobietą, do której on zwracał się po angielsku a ona odpowiadała mu po francusku i doskonale się przy tym rozumieli.

— To dziewczynka — powiedział. — Ona mówi, że zna taką knajpę gdzie on przesiaduje wieczorami i gra w jakąś przekleśną grę. I mówi, że chce za to dwa funty. Za to, że pojedzie z nami i pokaże nam gdzie to jest. Chce pani pojechać z dziewczynką?

— Tak — powiedziała. — Oczywiście. Jak pan powiedział? Dziewczynka?

— Właśnie — rzekł. — Nie chciałem się po prostu inaczej wyrazić.

Wsiadli do taksówki i po jakimś czasie zatrzymał się a Katarzyna zapłaciła starej pięć funtów i stara natychmiast odeszła. Wysiadła; stała chwilę patrząc na ten bar, w którym byli wczoraj i na ciemne okna hotelu. Silnik starej taksówki pracował z hałasem i zawrodożenie Arabów dosłyszala dopiero po chwili.

— Tutaj? — zapytał.

— Tutaj — powiedziała. — Może pan wstąpi ze mną na kieliszek? Przyjechałam się tutaj upić, jeśli to panu nie sprawi różnicy.

— Nie — powiedział. — Ale to by mnie mogło kosztować moją licencję. Niech pani wypije za moje zdrowie. Za kogoś, kto nazywa się Joshua i walczył podczas wojny w angielskiej armii.

— Tak — powiedziała. — Zrobię to. — Obeszła szybko wóz i pocałowała kierowcę w policzek. — W naszym fachu też są przesady — powiedziała. — Chyba się pan nie gniewa.

Stała jeszcze chwilę; jeszcze potem kiedy taksówka odjechała. W oknie naprzeciw nagle zapaliło się światło i dojrzała cień: ten człowiek był gruby i wypełniał sobą kwadrat oświetlonej przestrzeni. — Cisza! — krzyknął. — Cisza! — Ale oni śpiewali dalej; tym razem nie siedzieli pod murem; tym razem byli to dwaj młodzi chłopcy ubrani w czarne, wąskie spodnie i białe koszule. Po jakiejś chwili światło zgasło; gruby człowiek cofnął się w mrok a ci dwaj przeszli obok Katarzyny nie spojrzawszy nawet na nią i nie śpiewając już teraz, nucąc tylko; cicho i gardłowo.

— Lotnik — powiedziała cicho. — I zabrali mu licencję. I była jakaś draka. A więc wszystko tak, jak powinno być. To znaczy tak, jak powinno być ze mną. A może tylko tak, jak ze mną.

I weszła do środka; w dym i hałas.

Tym razem byli to marynarze; możliwe nawet że z tych tankowców które widział w chwili cumowania siedząc z Mickey Cohenem na tarasie arabskiej restauracji; a teraz siedział znowu tutaj; w najdalszym i najciemniejszym kącie tego lokalu, tuż przy drzwiach wiodących do korytarza — bezsensownie długiego korytarza którym można było wyjść na drugą ulicę i gdzie sypiali czyściciele butów oparliszy głowy na swoich stojakach na których w dzień przechodnie opierali swoje zakurzone buty; siedział nieruchomo skrzyżowawszy ręce z tyłu, na oparciu krzesła, a ci trzej bili go po kolei a potem odchodzili do baru, aby pomiędzy jedną rundą a drugą wypić kolejkę.

— Chcesz się napić? — zapytał jeden z nich.

— Dziękuję — powiedział Abakarow.

— Dlaczego nie?

— Bez dlaczego — powiedział. — Po prostu nie.

— A może po prostu nie chcesz ze mną — powiedział i pochylił się ku niemu. Był już porządnie pijany i patrzył na niego czule, nieomal gorąco; zmęczony tymi bezsensownymi uderzeniami pragnął teraz prawdziwej awantury.

— Może — powiedział Abakarow. — Może po prostu z tobą nie.

Stał przed nim, trochę rozkołysany, rozkraczony i szykował się do uderzenia a wtedy jego kompani odciągnęli go na

siłę do baru. Odszedł z ociąganiem, ale odwrócił się jeszcze przytrzymywany przez nich za łokcie; jak dziecko zmuszone do czegoś rozkazem rodziców.

— Ty skurwysynu — powiedział. — Ty skurwysynu. Obraziłeś mnie.

Nie odpowiedział; tak, jak starał się nie odpowiadać nigdy. Kelner podszedł ku niemu: wycierając ścierką stół na którym nic nie stało i przy którym nikt nie pił, powiedział cicho:

— Lepiej pryskaj stąd. Korytarzem.

— Nie — powiedział. — Tu nic nie będzie, nie bój się. Ten człowiek jest tchórzem.

— Dlaczego nie znajdziesz sobie jakiejs pracy?

— Nie potrzebuję jej wcale szukać powiedział. — Nie zapomniałem swojego zawodu.

— Tak — powiedział kelner. — To dobrze. Ale uważaj. — Postawił na stole szklankę. — Jeśli tu się coś zacznie, to ja skoczę ratować to szkło. Uważaj.

— Tak — powiedział. — Będę uważać.

Kelner odszedł a on patrzył na czystą, suchą szklankę i myślał o tym, ile już razy prowadził z nim i z innymi tę rozmowę; i o tym, że nikomu nie umiał, nie próbował nawet tego wytłumaczyć — nie próbował tłumaczyć tego nawet na samym początku, kiedy mógł stąd wyjechać lub pracować jako kierowca czy mechanik w porcie; albo nawet na okręcie gdyby tego naprawdę chciał gdyż miał tu wielu kolegów, którzy w ten czy inny sposób chcieli a potem mogli mu pomóc, a on nie skorzystał z niczyjej pomocy i z niczyjej przyjaźni choć wiedział dobrze, że ludzie nie przebaczą tym, którzy upadają nie wyciągając ręki, nie dopełniając obrazu i sytuacji; i że niczym nie czują się tak obrażeni jak widokiem kogoś, upadającego i kończącego w milczeniu. Może by i chciał tłumaczyć to i owo gdyby był złodziejem wygnanym z miasta, który może pójść do innego miasta i tam kraść, lub gdyby był może jednym z tych, którzy coś utraciwszy mają szansę znalezienia czegoś choćby odrobinę podobnego i przyzwyczajania się do tej nowej sytuacji czy miejsca. I wiedział, że gdziekolwiek by nie poszedł i czegokolwiek by próbował lub chociaż chciał próbować, to nic mu to w niczym nie pomoże i z niczym nie pogodzi. Nie chciał zgody i nie pragnął jej nigdy od owego dnia; wędrował tym krajem pokonanym przez blask i wieczny żar i wciąż, poprzez rozedrgane, rozfalowane powietrze ponad morzem i ponad pustynią widział fioletowy, nieprawdopodobny blask słupa płonącej benzyny i czuł jej żar; nawet wtedy, kiedy pracował na pustyni wymierzając ziemię; tam, gdzie mieli potem przyjechać ludzie z buldozermi i pozakładać ogrody i użyźnić ziemię potasami — zaczął pracować z

pięcioma ludźmi, od godziny czwartej rano do siódmej wieczór, gnał ich poprzez piaski wymyślaniami i popchnięciami gdyż chcieli pić to nigdy nie przestaną i nie skończą tej pracy, powaleni przez biegunkę, próbował im to wytłumaczyć, ale ci ludzie nie byli urodzeni tutaj, przyjechali świeżo i nie chcieli mu wierzyć, kiedy tłumaczył im i wrzeszczał, że biegunka gorsza jest jeszcze od pragnienia, że nie mają samochodu i że do najbliższego miasta jest ponad osiemdziesiąt kilometrów; więc rozlał w końcu tę wodę która wsiąkła w ciągu paru sekund; tak, że idąc ku niemu przystanęli tylko na pół kroku, nie trwało to dłużej — a potem rzucili się na niego płacząc i złorzecząc; a wtedy zbijał ich z nóg, jednego po drugim, wściekłymi, twardymi uderzeniami pięści stojąc rozkraczony ponad tą ciemną plamą; bił czterech normalnych i silnych ludzi a kiedy upadli już wszyscy i leżeli osłaniając rękami głowy — nie było nawet śladu po tej wodzie.

A potem powrócił znowu do miasta i zaczął pracować z Arabami przy wyrobie betonowych progów, którymi oddziela się trotuar od jezdni, a Arabowie zniechęcili go już od pierwszej chwili gdyż była to ich specjalność i bali się, że kiedyś biali zajmą ich miejsce i że sami będą ręcznie mieszać beton i wylewać go w prymitywne formy z żelaznej blachy; każdy z tych progów ważył ponad sto trzydzieści kilo i od razu pierwszego dnia jeden z Arabów, który nazywał się Samson, przygniótł mu rękę takim blokiem niby niechcący, przy ładowaniu; już w trzeciej godzinie pracy; siedząc i czekając na samochód który miał go odwieźć do szpitala, patrzył tylko na nich i uczył się na pamięć ich twarzy, tak, żeby w sześć tygodni później, jeszcze z ręką sztywną od długiego uwięzienia w gipsie, odnaleźć go i wieczorem, kiedy tamten wracał do domu, zastąpić mu drogę w środku arabskiej ulicy i zwalić w kurz uderzeniem łokcia w twarz. I kiedy tamten próbował się dźwignąć, oparł jego przedramię o skraj trotuaru; o taki właśnie betonowy próg i rzucił się na niego całym ciężarem swojego ciała tak, że kość przebiła ciemną skórę tamtego; i tego dnia, mimo że był na wojnie i wiele już widział, po raz pierwszy zauważył, że kości ludzkie są żółte a nie białe, jak to sobie zwykle wyobrażał i co śpiewał wraz z innymi lotnikami, kiedy jeszcze był w szkole i kiedy maszerowali czasem poprzez miasto śpiewając o białych, zetlących kościach w kurhanach, nad którymi szumią wiatry. I wtedy właśnie, podczas sześciu miesięcy spędzonych w więzieniu za tego Araba, na jesieni, w porze deszczu który wcale nie jest tu deszczem, bo dzieje się to tak, jakby świat zanurzał się nagle w wodę, milczał nie odzywając się do nikogo i nie odpowiadając na pytania swych kumpli z celi, on; wygnany z nieba myślał o tym, że tylko jedno liczy się naprawdę

— ten fioletowy słup benzyny dniem i nocą płonący przed jego oczyma i że dobrze się stało, iż siedzi teraz w więzieniu bo więcej ma czasu, żeby myśleć i pamiętać.

Ale wtedy jeszcze, w więzieniu, nie umiał tego wszystkiego sprecyzować i określić; nie umiał nawet stworzyć sobie pełnego obrazu tej sprawy w którą wkroczył z szaleństwem, z furią, która potem zamieniła się w cierpliwość i wyczekiwanie; i może nawet w łagodność mnicha trapisty lub wiejskiego lekarza; i wtedy Mickey Cohan bał się nawet trochę o niego i dawał mu po sześć pastylek Miltownu lub Largaktilu dziennie, które Abakarow przetrzymywał pod językiem a potem wypluwał, kiedy tylko Cohan odwracał się na chwilę do innego pacjenta, albo kiedy siedzieli u Cohana w gabinecie — po szklanekę alkoholu; jeśli był to akurat dyżur Cohana i jeśli już było po piątej. Bo jeszcze wtedy był niespokojny i wypluwał wszystko co dawał mu Cohan gdyż bał się o swój niepokój. Ale pewnego dnia zaczął połykać wszystko co dawał mu tamten nie czując działania tych leków i ich smaku, bo wtedy przyszedł nareszcie spokój i Cohan zapytał go: „Dlaczego jesteś taki cholernie spokojny?” a on odpowiedział mu patrząc prosto w jego jasną i czystą twarz aktora-lekarza: „Bo jestem zdecydowany”; i była to prawda i jeszcze tego samego dnia Mickey Cohan wyrzucił go, ale to już nie było ważne. Potem dostał pracę na nocnej zmianie w hucie szkła, i wtedy, nocami, wsłuchany we wściekły szum pieca o temperaturze dwóch tysięcy dwustu stopni Celsjusza, który musiał — ubrany w azbestowy kombinezon, maskę i buty o ołowianych podeszwach — otwierać w ciągu nocy osiemnaście razy i do którego ładował w ciągu dziewięciu godzin szesnastcie i pół tony materiału, tak, iż skóra zgrubiała mu na rękach i nie mógł ich bez bólu otwierać, gdyż zamieniły się w szpony — myślał już tylko o tym jak, i o tym także, że najważniejszy jest obraz, ważniejszy może od faktu bo tylko do obrazu można szukać dopełnienia będącego drugim obrazem; i wtedy zdawało mu się, że widzi rzucony aż stąd do gwiazd swój cień w świetle nieprawdopodobnego, fioletowego słupa płonącej benzyny. Milczał, kiedy go pytano; kiedy go ciągle pytali i namawiali bo mógłby powiedzieć tylko o faktach; ale nie umiałby wytłumaczyć i przekazać obrazu, a to było najważniejsze.

Marynarze znów powrócili od baru i ten sam, jeszcze bardziej rozkołysany, ale z martwą, napiętą twarzą, zapytał:

— Napijesz się jednego?

— Nie — powiedział.

— Dlaczego nie? Obrażasz mnie, kolego.

— Nie jestem twoim kolegą — powiedział Abakarow. Odchylił się jeszcze bardziej do tyłu, wraz z krzesłem a suche prze-

guby jego rąk zachrzęściły nagle. — Staraj się mówić do mnie jak najmniej, *Sonny boy* — powiedział.

Postąpił już krok do przodu, ale tamci znów go powstrzymali.

— Zostaw go — powiedzieli niemal jednocześnie. A potem jeden z nich: — Przecież to ślepy. — A drugi: — To kaleka.

Wtedy zatrzymał się; wciąż jeszcze dłonie ich leżały na jego ramionach i strącił je dopiero po chwili.

— Ale grać chyba możemy dalej, nie? — zapytał.

— Tak — powiedział Abakarow. — Możesz grać nawet całą noc. To ty biłeś pierwszy ostatnio?

— Ja.

— Dobrze — powiedział. Jeszcze mocniej splótł ręce na plecach i zamknął oczy. I wtedy, właśnie w tym momencie zrozumiał, że naprawdę nie ma tu oszustwa, że wszystko dzieje się jak najbardziej prawidłowo, gdyż już od wielu miesięcy — w czasie tych nocy spędzanych w dymie i w cichym, skłóconym szumie tej knajpy — zamykał oczy, sam o tym nie wiedząc, nie myśląc wcale o tym, że naprawdę nauczył się ich rozpoznawać po uderzeniach, po głosach nie widząc wcale ich twarzy. Otworzył nagle oczy i wtedy właśnie zobaczył ją idącą powoli ku niemu między szeregiem rozmazanych twarzy. Nie poruszył się nawet; wiedział już, pochylił tylko trochę swoją twarz ku niej — ciemną i twardą o skórze jakby grubszej od wszystkich innych twarzy, a ona zdjęła mu okulary i rzuciła je w bok, gdzie prysnęły o ścianę.

— Dobrze — powiedziała. — Dobrze. Bijcie go teraz. Jeśli potraficie go bić. A chyba będziecie potrafili.

Odwróciła się, odeszła z powrotem między ludzi; ktoś jej zrobił miejsce i usiadła przy stoliku, gdzie siedziały dwie dziewczyny i jacyś robotnicy z portu. Wszystko zaczęło się teraz dziać w przyspieszonym tempie i tylko on w dalszym ciągu siedział nieruchomo, trochę tylko mrużąc oczy od nagłego światła. Kelner podbiegł do drzwi i zamknął je przekręciwszy na zewnątrz tabliczkę z napisem: zamknięte; ludzie którzy stali najbliżej niego, przy barze, cofnęli się w głąb ze szklankami piwa w rękach; a ci przy stolikach brali do rąk butelki z alkoholem, aby je ustrzec przed rozbiciem.

— Dawaj forszę z powrotem — powiedział ten który chciał z nim pić. I do kolegów: — Ja wam mówiłem, że to nie żaden ślepy. To skurwysyn. Forszę.

— *Sonny boy* bredzi — powiedział Abakarow. — *Sonny boy* przegrał forszę do ślepego człowieka. Do inwalidy, który stracił

wzrok w obronie ojczyzny. Ale odebrać będzie musiał *Sonny boy* od zdrowego człowieka. Jeśli już *Sonny boy* koniecznie chce.

— Ostrożnie, panowie — zaczął mówić kelner; ale odepchnęli go tak szybko że wyprysnął, wbił się w tłum. Miał tylko sekundę czasu, żeby zabrać ze stołu szklankę; ze stołu gdzie leżała jego laska i nie zdążył już — wyrzucony w powietrze ich ramionami — zabrać stamtąd ścierki.

— Ej — powiedział ktoś z tyłu. — Zostawcie ich sam na sam. Nikt tu nie będzie patrzył jak trzech wali jednego.

— Tak — powiedział jakiś Arab. — Wy dwaj. Zabierzcie stąd wasze trupy.

Ci dwaj cofnęli się bez pośpiechu, spokojnie i cicho a wtedy nóż szczyknął w rękę tego, który pozostał.

— Forsa — powiedział.

— Dobrze — powiedział Abakarow. Złapał ścierkę i nóż leżący pod nią; i otworzył go w chwili w której tamten leciał już na niego; pochylił się i z pochylenia odrzucił go ramieniem, i znów stali spokojnie naprzeciw siebie.

— Abakarow odwali tu kawałek ładnej roboty — powiedział ktoś z tyłu.

— W dwie minuty będzie po wszystkim.

— Marynarz też nie jest zły.

Znów skoczyli na siebie i znów, pochyliwszy się zwarli ramionami i niemal jednocześnie, jak bokserzy wychodzący ze zwarcia po wymianie ciosów, odskoczyli od siebie. Ale nóż marynarza prześliznął się po dłoni Abakarowa.

— Abakarow — powiedział błagalnie Arab. — Pokaż.

— Cicho — powiedział ktoś inny. — Dajcie im się bić.

Tym razem marynarz poleciał na niego z nożem wzniesionym wysoko ponad głowę w prawej ręce a w ostatniej chwili wypuścił nóż chwytając go lewą i pięścią uderzył Abakarowa w twarz; i znów odskakując w tył, na czubkach palcy, chwycił nóż w prawą.

— No — powiedział ktoś przy stoliku. — Major dostał teraz porządnie. Marynarz jest lepszy.

— Kończ go — powiedział jeden z marynarzy. — Kończ go i chodź się zabawić. Jeśli tutaj jest jakaś zabawa.

Wtedy właśnie, pod nagłym sierpem jego prawej ręki uskokzył w tył i cofał się podczas gdy tamten nadchodził trzymając nóż w prawej ręce przyciśnięty trzonkiem do piersi. Cofał się delikatnie wyczuwając stopami chłodne trociny i rozgarniając je sandałami krok po kroku; a potem zerwał nagle czapkę z głowy któregoś z siedzących i skoczył do przodu odbijając się od twardej posadzki, z której zgarnął uprzednio trociny idąc do tyłu po-

chylony, z wyszczerzonymi w uśmiechu zębami i krwawiącą ręką — poprzez grube sukno czapki złapał klingę jego noża.

— Rzuć — powiedział stojąc niemal pierś w pierś z nim; tak jak i on przed chwilą napierając ramieniem trzonek noża podczas gdy klinga delikatnie oparła się o pierś tamtego. I wtedy marynarz otworzył pięść i nóż upadł na podłogę a Abakarow kopnął go w bok, tak, że prześliznął się poprzez salę niby wąż pozostawiając ślad w rozdeptanych trocinach.

— Ty też, Abakarow — powiedział ktoś z tyłu.

— Już — powiedział. — Już rzuciłem.

Nie spieszył się teraz; odwrócił się w bok powoli, zupełnie jakby pozując do zdjęcia i z pół obrotu, z całej siły uderzył go wierzchem dłoni w twarz; i podczas gdy tamten leciał już na ścianę, znów tak samo, bijąc drugą stroną ciała zawrócił go z powrotem; i złożwszy obie ręce razem trzasnął go od dołu w szczękę a wtedy w tamtym człowieku załamało się coś i powoli opadł na kolana, podczas gdy dłonie jego ślizgały się bezradnie w wilgotnych trocinach.

— Hallo — powiedział. — *How d'you like our city? Did you enjoy it?*

— *Sure* — powiedział marynarz. — *Its not bad at all. But I prefer Frisco. I'm sure you can like it too.*

— *You wanted to show me you had guts?*

— *Sure.*

— *Now you can have a drink with me.*

— *Thanks, I dont want to.*

Wstawał powoli i Abakarow musiał mu pomóc. Wrócili do stolika na którym leżała jego biała laska. Usiedli; on, marynarz, Katarzyna i ci dwaj. Kelner zabrał swoją ścierkę i przyniósł im butelkę. Marynarz wziął do ręki jego laskę i roześmiał się.

— Wcale nie głupio to wykombinowałeś — powiedział. — I dużo frajerów daje się na to wziąć?

— Nie — powiedział. — Nie tak dużo. Ale wszyscy, którzy tu przyjeżdżają. To mały port.

— To nie było wcale takie głupie z tą czapką — powiedział marynarz. — Muszę to sobie zapamiętać. Czy ten facet tam siedzi specjalnie?

— Nie — powiedział Abakarow. — Ale przecież to nie takie trudne. Zawsze się znajdzie tam ktoś w kapeluszu, czy w czapce. To tylko rutyna, nic więcej.

— Tak sobie to właśnie pomyślałem — rzekł tamten.

— Byłeś w comando?

— Nie — powiedział. — Ale przechodziłem to samo przeszkolenie. A to nie było wcale takie proste. A teraz napijmy się.

Patrzyła na twardą, napiętą twarz człowieka siedzącego obok niej; czuła gorąco jego krwi po nagłym i szybkim wysiłku; i nagle uczuła, że napięcie jej mija, odchodzi, ucisza się w niej wraz z uciszającym się oddechem tego mężczyzny, i wtedy odstawiła szklankę.

— *You dont want too?*

— *No. I cant today.*

— *Now I understand his fury.*

Wypili po szklance a ona myślała: To jest właśnie najśmieszniejsze. Że przyjechałam się tutaj upić. I chyba nawet wierzyłam w to. I siedziała jeszcze potem z godzinę z nimi; podnieconymi, trochę nawet zbyt serdecznymi i nie piła nic czekając cierpliwie aż skończą butelkę; i kiedy tamci pożegnali się już obiecując mu, że następnym razem kiedy tu wpadną skują mu lepiej mordę, i że będą pamiętać o czapce — wstała od stolika i wzięła do ręki jego laskę.

— Zostaw — powiedział. — To już niepotrzebne, numer się skończył, major nie żyje.

— Niepotrzebne?

— Nie — powiedział. — Za parę dni zaczynam pracować.

— Właśnie dlatego — powiedziała. — Właśnie dlatego weźmiemy ją ze sobą. Żeby w to nigdy nie wierzyć. Bo tylko tak udaje się czasem coś zapomnieć.

Byli już na ulicy; stali w tym samym oświetlonym miejscu które poprzedniej nocy widziała z okna jego pokoju. Odwrócił się ku niej i delikatnie położył ręce na jej ramionach a potem dłonie jego przesunęły się po jej piersiach i położył je, a raczej oparł o jej biodra a ona nie drgnęła nawet, gdyż wszystko co robił wydało się zupełnie naturalne i prawdziwe. Nie drgnęłaby chyba nawet, gdyby ją pocałował tutaj, na ulicy, rozbierać. Przysunęła się tylko ku niemu i czuła jego oddech; gorący i czysty jak u dziecka.

— Ja nie chcę niczego zapomnieć — powiedział cicho. — Pamiętaj, że powiedziałem ci o tym.

— Tak — powiedziała. — Dobrze. Będę o tym pamiętać.

I wyobraźnia jej znów poczęła pracować; stali w wietrze ciągnącym od morza, w kurzu i wtedy wiedziała już, iż przegrała, a jeśli jeszcze nie, to przegra i tego mężczyznę, ale przegra go inaczej jak tamtych wszystkich; więc nie chodziło już o nic, tylko o to, żeby tym razem przegrać i siebie; nieodwołalnie i ostatecznie zapaść się ze swoją pustką w pustkę wszystkich innych; proroków, dobroczyńców i kurew; w pustkę wszystkich miast, kościołów i słów; i stojąc tutaj, razem z nim, pomyślała, że tym razem uda jej się to chyba na pewno. Odwróciła się i poszła przez ulicę; przez jakieś niewidzialne mury gorąca pozostawione przez

ną po użyciu natychmiast umyte i zwrócone. Mówił jeszcze coś długo o pokoju który powinien zapanować w ludzkiej duszy, zdaniem i gestami zapożyczonymi od Billy Grahama; wreszcie Abakarow wyrwał mu maszynkę z rąk i wrócił do pokoju.

— Cukru nie dał — powiedział. — Nie lubi mnie. Ale to nic, przyniosę cukier z dołu.

Wrócił po chwili; pili kawę o kiepskim smaku i jedli bułki z wędliną i pomarańcze.

— Jesteś zmęczony? — zapytała.

— Nie — powiedział. — Wcale nie. A ty?

— Och — powiedziała. — Do wieczora to przejdzie. Wieczorem nie będę już zmęczona. Przrzekam ci.

— Przejdź się po mieście — powiedział. — Albo pójdz nad morze i tam się spotkamy. Ja teraz muszę iść do lekarza. Chcesz jeszcze kawy?

— Nie — powiedziała. — Dziękuję. Myślę, że jak wyjdiesz to położę się jeszcze i będę próbowała spać. A potem pójdziemy gdzieś razem. — Siedział pół nagi, bez koszuli nawet, i Katarzyna patrzyła na jego brązową pierś i ciężkie ramiona. — Po cóż ci ten lekarz potrzebny?

— To tylko roentgen — powiedział. — Za parę dni zacynam pracować. Za trzy dni. Muszę mieć wszystkie możliwe świadectwa, że jestem zdrowy. To właśnie dzisiaj wyznaczyli mi to badanie. Przykro mi.

— To nic — powiedziała. — Będę dalej oglądać ten sufit. To jedyna rzecz której się w tym kraju naprawdę przyjrzałam.

— Obejrzymy jeszcze ten kraj — powiedział. — Jak już zacznę pracować. I jeśli będziesz chciała.

— Tak — powiedziała. — Naturalnie. Jest jeszcze tylko jedna rzecz: czy musisz teraz zacząć pracować? Akurat teraz?

— Tak — powiedział. — Trzy lata na to czekałem, Katarzyno. Nie mogę teraz tego stracić. Jeśli nie zacznę latać teraz, to nie zacznę już nigdy.

— Czy nie mógłbyś pracować w Europie?

— Ciężko — powiedział. — Nie wiem, czy byłaby tam dla mnie taka praca. Musiałbym zacząć od linii pasażerskich a to nie jest proste, bo wyszkolenie pilota kosztuje za dużo, a potem trzeba latać jako drugi pilot zanim się dostanie maszynę. To już się ze mną nie opłaci. Wtedy będę już za stary.

— A jak było tutaj? — zapytała. Milczał; powiedziała pośpiesznie: — Ja cię nie chcę o nic pytać i nie musisz mi na nic odpowiadać jeśli nie chcesz. Jestem za stara na to, aby myśleć, że uda mi się wyciągnąć coś od mężczyzny który nie ma ochoty mówić. Wystarczy mi to, że siedzisz tutaj i pijesz kawę a wie-

czorem znów będziemy razem — w tym hotelu czy w innym. To tylko jest ważne. I może jeszcze to, że nigdy nie byłam tak zmęczona. Więc chciałabym tylko, żebyś o tym wiedział. Zanim mi powiesz, że mnie kochasz. I zanim to pomyślisz.

Uśmiechnął się.

— Miałem przyjaciela — powiedział. — Byliśmy razem w niewoli a potem, po wojnie namówił mnie żeby tu przyjechać. Był Żydem.

— A gdzie on teraz jest?

— Nie żyje — powiedział. — Ale wtedy żył jeszcze i namówił mnie żeby tu przyjechać razem z nim. Bo wtedy już wiedzieliśmy co dzieje się z tymi, co wracali z niewoli do domu. A byliśmy wtedy za młodzi, żeby po raz drugi umierać bez wojny. Wtedy chodziło tylko o to. A tutaj, w tym kraju była bez przerwy wojna i nikt się nikogo nie pytał o nic, nikt nie znał tego języka i zostaliśmy. A potem zaczęliśmy latać. — Umilkł; wyglądał na zmęczonego; jakby nagle przebiegł milę albo zrąbał pień drzewa. I Katarzyna pomyślała, że źle zrobiła zaczynając tę rozmowę.

— Więc dobrze — powiedziała. — Ale jak już zaczniesz pracować, to powiesz mi. Wtedy powiesz mi co będzie dalej. Ale tylko wtedy, jeśli będziesz chciał. Może nawet nie tak. Jeśli będziesz musiał.

— Tak — powiedział myśląc przy tym: Jak będę musiał. A może lepiej: jeśli będę żył. Albo jeszcze inaczej: jeśli będę żył i jeśli będę mógł decydować o tym co muszę. On, Izaak też myślał, że musi i dlatego ja, po trzech latach czekania idę tam tylko po to, żeby za jedną chwilę pychy, za jedną chwilę odwagi człowieka którego uderzono w twarz, zapłacić czymś co muszę uczynić a czego wcale nie chcę, tak, jak on Izaak nie chciał. I wtedy wrócić może do tej kobiety i powiem jej to, co powinienem powiedzieć jej już teraz gdybym był uczciwy; gdyby była możliwa uczciwość wobec dwojga ludzi, wobec człowieka i wobec cienia; powinienem jej powiedzieć, że i ja jestem zmęczony, że żadna z kobiet nie dała mi tego co ta, i że nie domyślałem się tego; nie potrafiłbym nawet domyślić się, że obcy oddech, obcy brzuch i obce nogi potrafią tak zmęczyć. I nie domyślałbym się nawet tego, że człowiek pragnie być czasem pokonany. Więc jeśli to jest właśnie miłością, to wtedy powiem jej to. Ale tylko wtedy i ani o chwilę wcześniej. — Tak — powiedział głośno. — Wtedy powiem ci to. I wtedy pomyślimy razem.

Ten misjonarz zapukał do drzwi; wszedł poważny i teatralnie obrażony; człowiek który przyjechał nawracać ludzi do jedyne-
nego kraju, jedynej ziemi na świecie gdzie czuło się jeszcze Boga

i gdzie gniew Boga i Jego łaska były obecne w każdej odrobinie czasu; w świetle, w ciemności, w morderczym wietrze ciągnącym od pustyni przez pięćdziesiąt dni w roku. Stał teraz przed nimi z wyrazem klęski na twarzy która mogłaby być twarzą każdego z subiektów w sklepie z guzikami, ale nie mogłaby być twarzą ani jednego z robotników pracujących na polach Izraela.

— Maszynkę — powiedziała. — I szklanki. Szklanki proszę starannie wypłukać, Abakarow. — Skłonił się patrząc zimno, z wyuczoną surowością na twarz Katarzyny, zmęczoną i szczęśliwą; i wyszedł.

— Teraz już chyba pójdę — powiedział Abakarow. — Muszę się jeszcze tylko przebrać.

Wskazała ręką na pustą szafę gdzie stała jego biała laska.

— Nie przyjdzie ci to chyba zbyt ciężko — powiedziała.

— Rzeczy mam u kolegi — powiedział Abakarow. — W sąsiednim pokoju.

Wyszedł; poszedł korytarzem który nie był teraz ani o odrobinę jaśniejszy niż w nocy i wszedł do któregoś pokoju przez takie same obskurne drzwi za jakimi mieszkał. Trzej mężczyźni siedzieli za stołem zastawionym butelkami piwa i grali w karty a czwarty leżał na łóżku chrapiąc; nie zdjął nawet butów i krawata. Abakarow podszedł do stołu i trącił jednego z nich, a człowiek ten uniósł głowę. Oczy miał mętne, przekrwione i teraz jeszcze, w ostatnich godzinach nocnego pokera miał piasek pod powiekami a kolory kart rozmywały mu się wraz z twarzami siedzących naprzeciw.

— Czego chcesz? — powiedział. Rzucił pieniądze na stół: — Otwieram z trzech — powiedział.

— Trzy i dziewięć.

— Pożycz mi spodni — powiedział Abakarow. — Oddam po południu.

— Dobrze — powiedział. Wstał trzymając karty w rękę — Dwadzieścia siedem — powiedział. Abakarow ściągnął mu spodnie i ten usiadł z powrotem przy stole w krótkich kalesonach. Przebrał się szybko; zdjął z nóg chrapiącego buty i wziął jego marynarkę koloru khaki wiszącą na poręczy krzesła. Potrząsnął nim i tamten otworzył oczy.

— Biorę marynarkę — powiedział Abakarow. — Ale oddam.

— Odpierdol się — powiedział tamten jasnym, niezaspianym głosem. — Wszystko przegrałem — I natychmiast zasnął z powrotem.

Napił się trochę piwa z butelki i wyszedł z ciemnego pokoju nie zauważony ani przez jednego z nich.

— Tak jest lepiej — powiedziała Katarzyna kiedy wrócił do pokoju. Leżała już na łóżku zasypiając; pochylił się, pocałował ją szybko, wstydliwie i jego ciemna twarz rozpląnęła się w ciszy, w ciemności i w zmęczeniu pachnącym jeszcze jego twarde i brązowym ciałem. Stał chwilę w drzwiach patrząc na śpiącą, równo oddychającą kobietę a potem wyszedł; spieszyło mu się; tym razem nie zauważył człowieka stojącego na korytarzu o krok od niego — jego nieogolonej, grubej i spoconej twarzy i wygasłego papierosa w kącie wykrzywionych ust. I nie widział już, jak tamten wszedł.

— Madame — powiedział Herman. — Wiem, że przeszkadzam pani. Ale jeśli interesuje panią ten człowiek, to zdaje mi się, że mógłbym pani w czymś pomóc.

— Pomóc — powiedziała. — Pan chce pomóc? Komu? Mnie, czy jemu? Nikt pana chyba...

— Wiem — powiedział. — Podeszedł na palcach do okna i zamknął je cicho. Stał tam nieruchomy, wykrzywiony i patrzył w dół, na ulicę bębniąc palcami po szybie. — Ale kiedy się już prosi o pomoc jest zwykle za późno — powiedział. — Albo może być za późno.

— Więc czego pan właściwie chce?

— Chciałbym powiedzieć pani coś o tym człowieku — powiedział. — Coś, co panią chyba zainteresuje.

— Dlaczego pan przypuszcza, że może mi pan powiedzieć o nim coś, czego ja sama nie mogłabym usłyszeć — powiedziała. — Ale może mi pan nie odpowiadać. Może pan po prostu wyjść już teraz.

— Madame — powiedział. — Ten człowiek tego nikomu nie powie. A już na pewno nie kobiecie, którą może kocha.

— Rozumiem — powiedziała. — Więc kim ona jest i o co chodzi? Czy jemu też ktoś śpiewa pod oknem?

Uśmiechnął się; wygasły papieros drgnął.

— On i kobiety — powiedział. — Mój Boże. Jedyna kobieta z którą spał, to jego rodzona matka kiedy jeszcze był niemowlęciem.

— Nie — powiedziała. — Spał ze mną. To już się nie zgadza. Więc cóż pan zamierza dla niego uczynić?

— Lubię tego człowieka — powiedział; palił teraz znowu, a jego twarz przekreślona dymem papierosa wykrzywiła się w bezradnym grymasie, w niedokończonym uśmiechu. — Więc kiedy patrzę na niego i na panią...

— Rozumiem — powiedziała. — To jest ta szlachetna połowa pańskiej duszy. Więc ile pan za to chce? Za to, co pan zamierza powiedzieć?

— Proszę mi pomóc wyjechać stąd — powiedział. — To wszystko. Chodzi tylko o bilet. Wtedy mogę poprosić policję, żeby mnie odwieźli na lotnisko czy do portu. Albo mogę wywołać jakiś przeklęty skandal i wtedy wywożą mnie jeszcze szybciej. Ale nie mogę prosić policjantów, żeby mnie odwieźli do Europy. I nie mogę ich też prosić o to, żeby tu stali przy mnie dzień i noc. Bo przecież nic się nie stało. Jeszcze nic się nie stało. A z drugiej strony nie popełniłem żadnego przestępstwa i nie zachodzi również możliwość ekstradycji. To wszystko.

— Tak — powiedziała. — Ale to wszystko co pan powiedział, dotyczy tylko pana. To na pewno bardzo piękna historia, ale to nie starczy jeszcze na bilet. Ja też mogłabym o sobie opowiadać to i owo, ale mimo to muszę płacić ile razy mam ochotę gdzieś jechać. Więc co to za kobieta?

— To nie kobieta — powiedział. — To mężczyzna. Mężczyzna, którego on chce zabić. To znaczy którego zabije. — Przybliżył się nagle i znów, tak jak i pierwszego wieczora poczuła temperaturę jego ciała lecz tym razem nie cofnęła się. Papieros jego zgasł; znowu go zapalił i dym znów przekreślił tę twarz w którą patrzyła teraz uważnie i zimno, niemal chciwie.

— Więc to tak — powiedziała. — Czy pan zna tego człowieka? Tego, którego on chce zabić?

— Nie — powiedział. — Nikt go nie zna. Tylko on, Abarow. Wiem o co pani chodzi. Nikt go nie może uprzedzić. Ani pani. Ani ja.

— Więc skąd pan to wie?

— Powiedział mi kiedyś o tym.

— Czy był pijany?

— Nie. On nie pije. Pani to źle rozumie. Powiedział mi to tak, bez niczego. Może dlatego, że trudno mu było to wytrzymać. I chyba wiem dlaczego. Człowiekowi silnemu czasem trudno wytrzymać własną siłę. Tacy ludzie mówią o czymś zupełnie nagle, bez przygotowania a potem znowu milczą. Ja to u niego zauważyłem.

— I pan jest pewny, że on nie był pijany?

— Nie. Mówiłem pani, że on nie pije. Bardzo rzadko, ale nie upija się. To jest najgorsze. Rosjanin który nie pije. I zdaje mi się, że wiem dlaczego on nie cierpi alkoholu. On chce być trzeźwy; chce mieć jasną głowę. To tak jak węże, które śpią z otwartymi oczyma. Jemu po prostu szkoda każdej minuty, on chce myśleć tylko o tym jak to zrobić.

— Ale kim jest tamten człowiek? Pan musi wiedzieć.

— Nie wiem — powiedział. — Mogę się tylko domyślać. Ale będę się domyślać po cichu. Bo pani mu naturalnie powtórzy a wtedy nie będę już potrzebował biletu do Europy.

— Dlaczego go nie zabił do tej pory?

— Tego też nie wiem — powiedział. — Ale znam Abakarowa. Przypuszczam, że chce zabić tamtego człowieka w jakiś specjalny sposób. To znaczy zabije go tak, jak jeszcze nikt nikogo nie zabił. Abakarow to maniak. On jest opętany. Chce się zemścić i wydaje mu się, że jedna śmierć różni się czymś od drugiej.

— Wszyscy ludzie myślą tak samo — powiedziała.

— I wszyscy ludzie się mylą. Tak, Madame. To zresztą jedyna rzecz, która jest piękna w ludziach. Jeśli w ogóle jest w ludziach coś pięknego.

— Tak — powiedziała. — Myślę, że chyba ma pan rację. — I pomyślała przy tym: Oczywiście, że ją ma. Oczywiście, że nie kłamie. I jeszcze bardziej oczywiste jest to, że tamten zabije jeśli chce zabić. Więc to jest właśnie to przeklęte napięcie w jego twarzy, ten cichy chód, ten zimny spokój, prawie pokora. I oczywiście, że mi tego wszystkiego nie powie. A jeśli zapytam go, to stracę go tak czy owak; i wtedy tak czy owak Abakarow zabije tamtego. I zapytała głośno: — Więc cóż zdaniem pańskim należy robić?

— Uciec — powiedział. — Albo spróbować ucieć. Albo spróbować zmusić go do ucieczki.

— Jeśli mnie kocha...

— Nie — powiedział. — To nie tak. Tylko nie tak. Jeśli mężczyzna chce zabić drugiego mężczyznę to zabije go bez względu na swoją miłość. Te sprawy się nie łączą. Przykro mi, ale tak jest.

— Proszę mi jednak powiedzieć, kim jest ten człowiek.

— Nie powiem pani — powiedział. — I nie radziłbym pytać go o to. Nikt nie ma w życiu wszystkiego do zrobienia. Każdy tylko trochę. Ja zrobiłem już swoje. Niech pani teraz próbuje uczynić swoje. — Poszedł do drzwi; już z ręką na klamce odwrócił się ku niej. — I proszę mi pomóc — powiedział — Teraz pani już chyba wie. Nie będę pani nawet pytać, kiedy mi pani pomoże. Ale wiem, że pani to zrobi. Bo jeśli ja tu umrę, to znaczy że Abakarow też tu umrze. To znaczy, że pani nie będzie umiała uczynić nic dla niego. Bo ja zginę przed Abakarowem. Ale przede mną zginie ten człowiek. A jeśli ten człowiek zginie to mój bilet do Europy...

— Dobrze — powiedziała. — Pomogę panu.

Wyszedł, jak zwykle cicho zamknąwszy drzwi poza sobą a Katarzynie zdawało się jeszcze wciąż, że czuje obok siebie to ciało nieprawdopodobnie gorące i na zawsze przerażone. Leżała cicho założywszy ręce pod głowę, myśląc: Więc będę musiała mu jednak powiedzieć. Więc może to się przyda na coś właśnie teraz: te brudne schody w Paryżu i ten film, który zaczynają kręcić za trzy czy cztery tygodnie. I ten skandal w Rzymie; i to, co te kanale z gazet piszą o mnie i o moim charakterze. Może to się przyda. Może to właśnie będzie ta siła, która czegoś dokona. Ta siła; te śmieci, które ja pozostawiłam po za sobą, a których teraz bardziej potrzebuję od słów Ewangelii. I to musi mi być wybaczone.

Było duszno; podeszła do okna i otworzyła je. Stała teraz nieruchomo oparłszy ręce na rozgrzanej, kamiennej framudze i po raz pierwszy zobaczyła tę ulicę. Widziała teraz knajpę naprzeciw, w której Abakarow spędzał swoje noce; stację benzynową i dwóch żebraków śpiących opodal stacji w pełnym świetle, w pełnej jasności. Zobaczyła także salę gimnastyczną na pierwszym piętrze domu naprzeciw: okna były otwarte i młodzi ludzie trenowali przrzucając i podnosząc ciężary a ich ciemne ciała lśniły jak miedź. Jeden z nich odłożył sztangę i podszedł do okna a ona patrzyła na jego szeroki tors pokryty potem i drżący jeszcze od wysiłku. Chłopiec podniósł wzrok i zobaczył ją. Uniósł do góry rękę i pozdrowił ją a ona oddała mu pozdrowienie tym samym swobodnym, trochę nonszalanckim ruchem ręki, myśląc przy tym: Więc to się tylko liczy. Ciało które może żyć i ciało które musi umrzeć. Ale gdzie jest jeszcze dusza która przechowuje wspomnienia; śmieci i wstyd, kurewstwo i rozpacz po to, żeby żyło ciało. A jeśli mu powtórzę to wszystko, co powiedział mi o nim ten człowiek, to stracę go. Może właśnie za to go kocham i nie mogę go stracić, bo jeśli stracę to ciało to stracę również i własne; i nie zostanie mi nic prócz duszy. On i ona; ten chłopiec w oknie naprzeciw i Katarzyna odwrócili się niemal jednocześnie. Wróciła na łóżko i zasnęła od razu pogrążając się w sen jak w wodę; jak w falę której wypływa się naprzeciw; i spała aż do szóstej, kiedy Abakarow wrócił i nie spytała go nawet jaki jest wynik badania. Popatrzyła tylko jak starannie układa swoje papiery na półce w szafie absolutnie pustej; tak, że ta zaklejona przez niego koperta była jedyną rzeczą leżącą tam teraz; podczas gdy on, jak skąpiec powierzający swój skarb szafie pancernej lub szkatule o miedzią okutych brzegach — takich właśnie, jakie widuje się w filmach o piratach lub na ilustracjach do baśni Grimma — mocował się teraz z kluczem, którego na pewno nie przekręcił ani razu od trzech lat i którego nie przekręcał

nikt z biedaków mieszkających w tym pokoju przed nim; niekończącej się plejady biedaków przybywających do tego kraju aby zacząć od nowa i trwających w złudzeniu że można by zaleczyć swoje dusze.

Było już teraz nieco chłodniej; szybko zjedli obiad w knajpie naprzeciw i poszli spacerem do najbliższego garażu, gdzie Abakarow chciał wypożyczyć jeepa. Był taki jeep, ale garażysta żądał gwarancji.

— Dobrze — powiedział Abakarow. — Wrócimy tu za chwilę.

— Dlaczego za chwilę? Dlaczego nie teraz? — przeraził się garażysta.

— Dowiesz się i tego — powiedział Abakarow. — Jesteś niedobrym Żydem. Targujesz się w piątek po południu.

Wyszli na ulicę; znów wrócili do knajpy i napili się piwa. Siedzieli patrząc na słońce zniżające się coraz bardziej ponad morzem; wreszcie Abakarow wstał i powiedział do niej:

— Teraz.

Wrócili z powrotem do garażu.

— No więc? — zapytał Abakarow. — Namyśliłeś się już?

— Tak. To cię będzie kosztować trzydzieści funtów. I sto gwarancji.

— Znasz mnie już — powiedział z wściekłością Abakarow. — Przecież nie ucieknę ci tym przeklętym gratem. Będę szczęśliwy, jeśli dojadę nim z powrotem.

— Właśnie dlatego, że cię znam — powiedział garażysta patrząc z rozpaczą na zachodzące słońce. Już mówił głośno; już był tragiczny: — Wszystko straciłem na tym interesie. Wszyscy mnie oszukali. A teraz jestem już stary i napiszą mi na nagrobku: Tu leży szaleniec Dov, syn szaleńca Dova, człowiek stary i pobożny, który przyjechał tu w dzień chamsinu i w dzień chamsinu poszedł drogą wszystkich ludzi. Przez ten interes. Wspólnik mnie okradł i wtedy moja żona się rozchorowała. A teraz ja jestem chory. Za dużo dołożyłem.

— Więc ile chcesz tej gwarancji?

— Sto funtów.

— Dlaczego sto? Przecież od innych chcesz tylko pięćdziesiąt — powiedział Abakarow.

— Pięćdziesiąt — powiedział ten człowiek z rozpaczą. — Pięćdziesiąt. On chce jeepa za pięćdziesiąt funtów. On, Abakarow. On właśnie musiał przyjść do mnie pożyczyc ten samochód. Kiedy moja żona jest chora. — Krzyknął prawie zwracając się do Katarzyny: — To piękny kraj na suszenie bielizny, ale nie na prowadzenie interesu.

— Ej — powiedział Abakarow. — Słońce zachodzi, potem nie będziesz się już mógł targować. Bierzesz pięćdziesiąt funtów, czy nie?

— Nie.

— Jesteś złym Żydem — powiedział Abakarow. — *Schalom Adoni. Schabat Schalom.*

I wtedy właśnie słońce zaszło; w ostatnim blasku; w ostatniej minucie światła Abakarow wcisnął mu pięćdziesiąt funtów do kieszeni i odjechali pozostawiając go stojącego niemo z wyrazem prawdziwej klęski i prawdziwej rozpacz.

— Myślisz, żeby ci nie dał tego jeepa? — zapytała Katarzyna.

— Pewno, że by dał — powiedział. — Ale trwałoby jeszcze trochę. Ja go znam. Sprzedałem mu kiedyś własnego jeepa a wtedy krzyczeliśmy przez trzy dni. Ale to dobry człowiek. Pożyczał mi często pieniądze, kiedy było źle. To znaczy pożyczał mi pieniądze przez trzy lata.

Zjedli kolację w Akko; w starej restauracji arabskiej, której taras wrzynał się w morze i do której trzeba było dojechać ulicami tak wąskimi, że jeep mieścił się z trudem i nie zostawało do ściany więcej jak na dłoń, a cała chmara dzieci biegła za samochodem; a potem, już wieczorem, jadąc z szybkością sześćdziesięciu mil tym starym jeepem, który powinien rozlecieć się na kawałki już przy trzydziestu, zawiózł ją na granicę libańską, na wysoką skałę skąd widzieli światła portu Haify i góry Carmel, jaśniejące ponad morzem i miastem. W dole, na brzegu, jacyś młodzi ludzie rozpalili ognisko i bawili się tańcząc i śpiewając; wszyscy prawie w wojskowych mundurach i przyjechali tu także wojskowymi samochodami pomalowanymi na barwę piasku; na barwę pustyni skąd dochodził długi poszum gorący i suchy wiatr przechodzący niebem z południa na północ ponad białymi miastami Galilei.

— Oni zdaje się potrafią lepiej żyć — powiedziała do niego, patrząc w dół, na ludzi tańczących wokół ognia. — Lepiej od nas w każdym razie.

— Ale żyją czasami cholernie krótko — powiedział.

— I co się stanie w końcu z tym krajem?

— Nic — powiedział. — Będzie żyć. Bóg go zachowa. Musi go zachować. — Patrzył w zamyśleniu na ogień płonący w dole pomarańczowym ogniem i na roztańczony krąg chłopców i dziewcząt. — Albo zginie razem z nimi — powiedział. — Ale wtedy, bez Izraela nie będzie już Boga. I wtedy nawet nie da się udawać, że jest po co żyć.

— Ty lubisz tych ludzi, prawda?

— Tak — powiedział. — Gdyby nie to, że mi pomogli byłoby ze mną chyba całkiem źle. Ale ciężko z nimi żyć. Każdy jest jakoś skaleczony. I kiedy z nim rozmawiasz o kwiatach, to nie wiesz o czym ten człowiek myśli w tej chwili, i co go dręczy. To jest ciężkie. Nie dla nich. Dla mnie. Bo ja wiem, kto ich pokaleczył. Albo może nawet i nie tak. Może po prostu nie znam takich, którzy by ich nie kaleczyli.

Schodzili ku morzu trzymając się za ręce i wiedziała już, że do niczego go nie namówi i że ten człowiek, idący koło niej w blasku ognia bijącego od dołu, nie opuści tego kraju, w którym ktoś go zdradził czy obraził; ten ktoś kogo nie znała i nie widziała, a który szedł teraz za nimi nierozzerwalnie należący do tego ciała; do tej napiętej, spokojnej twarzy pogrążonej teraz w gorącym ogniu. Więc nie przydało się jednak i to, pomyślała spokojnie. Nie mogło się przydać. Kiedy zaczęła wreszcie mówić, to mówił tylko głos, przyzwyczajenie, podczas gdy w niej uciśzało się wszystko, stygło.

— To było właśnie w Paryżu — powiedziała. — Dwa lata temu w Paryżu, właśnie na wiosnę, kiedy zjeżdżają się turyści, żeby zatruwać życie Francuzom i zostawiać im swoje pieniądze w tych wszystkich knajpach gdzie każdy kelner potrafi mówić sześcioma językami. Ja tam byłam z jednym chłopakiem. I właśnie ten chłopak i ja mieliśmy tę jedyną szansę. Ja już zrobiłam parę filmów, ale on nie zrobił jeszcze ani jednego. Był zawsze drugim reżyserem, a tam właśnie, w Paryżu, znalazł jednego gościa któremu dał pomysł i ten pomysł się spodobał tym, którzy mieli forszę, żeby z tego coś zrobić. I znalazł dla mnie dobrego partnera. Tak, widziałeś go chyba. Więc miało to być coś dobrego, i tylko ja jedna wiedziałam, że to nie skończy się wcale dobrze. Bo nie mówiłam mu wcale przedtem o tym, i kiedy mu powiedziałam, to czekałam że uderzy mnie może w twarz, albo że zacznie szaleć. Ale on zaczął płakać, i chyba nigdy w życiu nie płakał tak naprawdę. Miał chyba nawet dłaczego płakać, bo mógł już przedtem robić filmy ale nie chciał, czekał na ten dobry, na ten prawdziwy, który potem pozwoli mu zrobić dziesięć innych, dziesięć prawdziwych i po których nie będzie już potrzebował żyć za moje pieniądze i ten dobry, prawdziwy film przyszedł akurat w Paryżu i miał się rozpocząć za miesiąc i trwać sześć tygodni i wtedy by już było oczywiście widać, bo miałam tam sceny na plaży, w kostiumie, no i było już za późno, żeby to zrobić bez ryzyka, u jakiegoś dobrego specjalisty, który wzięłby za to Bóg jeden wie ile pieniędzy, ale przecież chodziło wtedy o nas dwoje, o wszystkie prawdziwe, dobre filmy które chciał robić potem ze mną, a może dla mnie, a ten partner miał akurat wtedy trochę

czasu i można go było dostać za tanie pieniądze, bo nudził się akurat i rozwodził po raz trzeci, więc jemu także trzeba było forsy, ja myślę, że on o tym wiedział nawet, bo zaczął być uprzejmiejszy i nie opowiadał już nawet tych swoich chamskich dowcipów, przy których Anderson skręcał się ze śmiechu, bo jemu chodziło tylko o ten film, tylko o ten raz, i w końcu mógł przypuszczać, że uda mu się powtórzyć coś, czego nie udało już się nigdy powtórzyć mnie i wtedy właśnie zaprowadził mnie do takiego jednego, który miał to zrobić dobrze i mieszkał na szóstym piętrze w takim brudnym domu, w algierskiej dzielnicy, bez windy i on sam nawet nie wysiłał się, żeby wyglądać czystiej, chyba mu wcale na tym nie zależało kiedy wyciągał te swoje narzędzia ze skórzanej teczki, leżącej na fortepianie a ja siedziałam na kanapie i patrzyłam na niego jak wyjmował ceratę z szafy i rzucił mi ją w milczeniu, takim ruchem jakbym ja była tu już dziesiąty raz a nie pierwszy i jakbym już dobrze wiedziała, co z tą ceratą zrobić a ja rzeczywiście wzięłam ją od niego takim ruchem, jakbym tu już przyszła ze swoimi małymi kłopotami — jak to powiedział do niego Anderson — dziesiąty już raz, i patrzyłam na niego jak przysunął do tej otomany na której ja siedziałam dwa zwyczajne krzesła, rozstawił je szeroko, i ja dalej robiłam wszystko tak, jakbym już wiedziała, jakbym już tu była więc nawet mi nie musiał powiedzieć co mam robić z moimi nogami, a potem wszedł pomiędzy te krzesła otworzywszy uprzednio radio na cały głos, tak, że chyba Anderson nie słyszał nic siedząc w sąsiednim pokoju; może zresztą nie mógł słyszeć, bo myślał tylko o tym jednym, dobrym filmie który miał zrobić dla nas obojga bo kiedy wyszłam już do niego, to właśnie tak wyglądał, jak by go zbudzono; i jeszcze ciągle tak wyglądał podczas gdy tamten tłumaczył mu co należy teraz robić — więc leżeć, przede wszystkim leżeć w spokoju przez trzy, cztery dni i nie mógł wiedzieć oczywiście o tym, że już na drugi dzień wieczorem ja wstanę a musiałam wstać, bo taki jeden dziennikarz z którym Anderson umówił się na koniec tygodnia zatelefonował, że niestety musi jeszcze dziś wieczorem nocnym pociągiem pojechać do Rzymu, i że jeśli Anderson chce robić te swoje przekłete *publicity*, to on weźmie swojego fotografa i przyjedzie za pół godziny do hotelu, więc ja wstałam bo nie czułam się wcale tak źle i chodziło przecież o ten film i nie umiałam przewidzieć tego, co zacznie się w nocy, i tego, że trzeba będzie już rano opuścić ten drogi, dobry hotel, gdzie sprzątaczką zauważyła zbyt wiele i powiedziała o tym swojemu dyrektorowi a ten przyszedł i było mu szalenie przykro, ale zupełnie zapomniał, że ten pokój był już dawno zarezerwowany a inne niestety są już także zajęte, i że

bardzo mu przykro, okropnie przykro, szalenie przykro i następnego dnia, kiedy przeprowadzaliśmy się do taniego małego hotelu musiałam im jeszcze ukraść ręcznik, tak, że kiedy zobaczyłam się w lustrze wyglądałam na coś, czym już nigdy nie będę, ale o tym nie wiedziałam jeszcze wtedy, dopiero po tym, kiedy musiałam jeszcze raz wejść na te schody a ręcznik był już całkiem mokry, a ten Algierczyk nie chciał mi otworzyć drzwi i tylko z drugiej strony, powiedział do mnie: „Pani się myli. Pani tu nigdy nie była. To są głupie sztuczki, ale ja się tym nie dam zastraszyć. Marie, czy była tu jakaś pani dwa dni temu? — Nie — powiedziała Marie. — Lucienne — czy była tu jakaś pani dwa dni temu? — Nie” — powiedziała Lucienne i wtedy nie dzwoniłam już więcej ale nie mogłam zejść na dół, bo już chyba było widać na sukience i pierwszy policjant by się do mnie przyczepił, więc poszłam jeszcze o pół piętra wyżej gdzie były drzwi na strych i tam czekałam, aż zrobi się ciemno a po jakiejś pół godzinie — Marie albo Lucienne — przyniosła mi nowy ręcznik, bo oni chyba musieli słyszeć, że ja nie zesłam w dół tylko poszłam na górę, pod te drzwi na strych i siedziałam tam aż do wieczora, i wtedy przyszedł ten pies, taki całkiem mały, wesoły pudel z drugiego, czy trzeciego piętra który to zwęszył i stał koło mnie piszcząc a ci ludzie z dołu wołali go, ale on nie chciał odejść po poczuł krew i piszczał coraz bardziej, a wtedy złapałam go i udusiłam a ci ludzie z drugiego, czy z trzeciego piętra wołali go jeszcze z godzinę a kiedy w końcu zamknęli drzwi, to wstałam i poszłam, i wtedy już chyba czułam, już chyba przeczuwałam, że zostawiłam tam dwa trupy na tych schodach. A potem dopiero, kiedy było już lepiej, dobry, prawdziwy doktor powiedział mi: Nigdy więcej.

Wziął ją na ręce i szedł teraz samym brzegiem morza zostawiając na mokrym piasku głęboki ślad; to ziemia ugiwała się pod ciężarem tych dwojga ciał, a ona przycisnęła do jego piersi swoją mokrą twarz i tak przeszli przez roztańczony krąg wokół ognia a ci ludzie nie zauważyli ich wcale albo po prostu nie chcieli zauważyć. Ułożył ją delikatnie na piasku i pochylił się ku niej.

— To nic, Katarzyno — powiedział. — To nic. Nie musisz o tym myśleć. Nie. Wcale nie musisz.

— Ale ty teraz będziesz o tym myśleć — powiedziała. — Może czułeś to wczorajszej nocy.

— Nie — powiedział. — Niczego nie czułem. Niczego, co by mi przeszkadzało czuć to, co chciałem.

— I ja tego nie czułam — powiedziała. — A czułam to zawsze. I zawsze zdawało mi się, że wszyscy inni muszą to czuć.

Ten mój przeklęty, pusty brzuch. I zawsze o tym myślałam, że oni to wiedzą, że muszą to jakoś wiedzieć, przeczuwać. Więc prosiłam ich zawsze, żeby uważali i uważali cholernie. Ale ja nic nie czułam. I dopiero teraz poczułam to znowu. Z tobą.

— Będziesz to czuć — powiedział. — Ile razy będę przy tobie. Tylko się nie bój. I nie myśl o tym.

— Ale ty tego nie wiedziałeś.

— Nie. Nie wiedziałem.

— A może było to po prostu dlatego, że ten człowiek stał tam za drzwiami a oni śpiewali na ulicy? Może to dlatego? I może bez nich...

Zatrzęsa się nagle i wtedy nie zważając ani na ogień, ani na tańczących ludzi którzy mogli ich dostrzec, począł ściągać z niej sukienkę; nie szło mu to, jego ręce plątały się; zerwał z niej sukienkę i odrzucił ją w bok, w ciemność.

— Nie — powiedział. — To nie oni. To my sami. I zaraz będziesz to czuć tak jak przedtem, tak jak tej nocy. — Potem nie mógł już mówić i czuła tylko jego siłę podnoszącą się w nim samym wyżej i wyżej i łomot jego serca szybki i twardy, i wtedy w niej poczęło dziać się tak samo; to tak, jakby jej siła wychodziła naprzeciw jego sile pragnąc nie zwycięstwa, lecz pokonania i klęski, i zniszczenia; i potem już, kiedy spotkali się jednocześnie i leżeli bezsilnie obok siebie a ona ocierała z piasku jego twarz i jego ramiona, powiedział do niej: — Więc widzisz. Więc to my sami. Nie oni i nie ten ich strach.

— I myślałeś przy tym o tym? — zapytała.

— Tak — powiedział. — Myślałem. Do jakiegoś tam czasu myślałem. A potem nie mogłem już myśleć. I myślę, że zawsze tak będzie.

Okryła się sukienką: siedzieli paląc ostatniego papierosa: raz on, raz ona.

— Przedwczoraj rozdarłeś mi też sukienkę — powiedziała. — I dzisiaj znowu.

— Tak — powiedział. — To bardzo proste. Potrzebujesz trzysta sześćdziesiąt pięć sukienek w roku. To już coś jest. Będziemy musieli ciężko pracować. Ty i ja. W dzień będziemy robić te sukienki a wieczorem je drzeć. I to jest wszystko, o czym warto myśleć.

Odrzucił papierosa i znów położył się przy niej czując jej ciepłe, gorące ręce uczące się jego ciała tak, jakby je chciała gdzieś potem z sobie tylko wiadomej materii w i sobie tylko wiadomym miejscu odtworzyć możliwie najdokładniej; szerokie ramiona o twardo występujących mięśniach delty; twarda pierś prawie bez zarostu, brzuch spięty dwoma łukami i nogi trochę

zbyt szczupłe a może po prostu trochę długie, i wtedy, czując jej ręce wciąż, niestrudzenie wędrujące po jego ciele z zimnym, twardym zamiarem zapamiętania go na zawsze, wiedział, że ktoś jej musiał o wszystkim powiedzieć i że po prostu będzie walczyć już nie o niego, ale o czas który jej jeszcze pozostał w tym pojedynku, w próbie zapamiętania obrazu i zapomnienia obrazu, i że teraz chodzi jej tylko o to, aby na miejsce jednego obrazu stworzyć sobie inny obraz, i że właściwie osiągnęła już to i że nie będzie pamiętać już więcej o tych schodach ale o nim, właśnie o nim, a kiedy go nie będzie, będzie starała się myśleć o jego ciele leżąc obok innego mężczyzny; ale on sam nie mógł osiągnąć tego, chociaż leżąc teraz z zamkniętymi oczyma i czując znów dawną siłę przychodzącą z daleka, ze zmęczenia i przywołaną jej rękami i jej ciałem, starał się o to samo, ale ognisty fioletowy słup płonął w jego wyobraźni — zapach ognia, zwęglonego ciała i płonących szmat nasyconych impregnowanymi środkami i może czegoś jeszcze zupełnie już nieuchwytnego, niemożliwego do odtworzenia co zostaje z rozbitego samolotu i człowieka, który spłonął żywcem z czarnymi, zwęglonymi rękami zacisniętymi na parcianym pasie, którego już nie miał siły rozluźnić i który spłonął razem z nim; był zwęglony i zachował swoją starą barwę tylko w tym miejscu w którym zacisnęły się jego ręce, co zobaczył dopiero potem, po czterech godzinach, kiedy przyjechali ci ludzie z miasta i kiedy było już dla wszystkich po wszystkim, z wyjątkiem jego — leżącego teraz znów bezsilnie, zmęczonego jak dziecko i ogłuszonego nagłym łoskotem własnego serca.

— Już teraz nie myślałaś chyba o tych schodach?

— Tak — powiedziała. — Nie myślałam wcale o tym. Nie miałam nawet czasu o tym pomyśleć. Ale przedtem myślałam tylko o tym. I o tym, żeby z nich nareszcie zejść. Nie o tym dziecku i o tym bólu.

— Właśnie — powiedział. — Nie myśli się wcale o tym najważniejszym. Myśli się tylko o czymś całkiem kiepskim, co do tego należy. — Wierzył jej teraz, bo wiedział że w życiu mało jest szans na prawdziwą tragedię; na coś, co człowiek mówi pełnym głosem od początku do końca; że na scenę wchodzi się trzymając w ręku coś zupełnie nieważnego wobec czego inni przechodzą obojętnie; ona myślała wtedy tylko o tych schodach, którymi dziennie przechodzą dziesiątki zapracowanych ludzi — służące, robotnicy, subiekt i nigdy nie przyjdzie im na myśl, że te schody istnieją jeszcze gdzieś indziej, poza tym domem, we wściekłym, jasnym świetle ludzkiej wyobraźni i rozpacz; tak samo jak i on, bezsilny wtedy i złamany ożył dopiero w chwili, kiedy pokazali mu ten parciany, pas ze śladami

zwęglonych rąk Izaaka; i że właśnie w tej chwili wyobraźnia jego poczęła pracować i wtedy dopiero fioletowy słup, ostro, nieodwołalnie wzniósł się ku niebu aby tam pozostać i prowadzić go poprzez Izrael, jego miasta i jego pustynię. — Tak — powtórzył. — Myśli się właśnie o tym z czego inni mogliby się tylko śmiać.

— Abakarow — powiedziała cicho. — Chcę ci jeszcze coś powiedzieć. Coś, co dla innego mężczyzny mogłoby być obrazą. Ja muszę zrobić teraz jeden film. Ten właśnie najważniejszy. Ten dla mnie i dla ciebie. Tamten doprowadził mnie do ciebie, a ten zrobię dla nas i muszę go zrobić. Ale tym razem nie chodzi już o nic innego jak o pracę, jak o pieniądze, które będą nam potrzebne. A nie umiem ich inaczej zarobić.

— Może ich wcale nie potrzebujesz — powiedział.

— Nie — powiedziała. Potrzebujemy ich. Mogę ich nie zarobić, ale to już jest inna sprawa. Pomożesz mi?

— Jak ja ci mogę pomóc, Katarzyno — powiedział. — Nie jestem przecież ani reżyserem ani amantem, ani niczym takim. Więc jak?

— Nie umiem stąd wyjechać — powiedziała. — Nie umiem stąd wyjechać sama. Nie chcę. Bo to by było właśnie to, czego bym sobie nie mogła wybaczyć. Reszta mnie nie obchodzi. Ale właśnie to. To jest moja ostatnia szansa. To tak jak w kowbojskich filmach: „Mac, daję ci ostatnią szansę, żeby zniknąć z Dodges City”. I tak dalej. I dobrze, że tak jest. Spróbuj mi pomóc.

Milczał przez chwilę a potem zapytał:

— Herman?

— Tak — powiedziała. — Ale ty mu nie zrobisz niczego, Abakarow. Nie proszę cię wcale o to. To jest moja sprawa z nim.

— Boję się tylko, że ta twoja sprawa z nim potrwa cholernie krótko — powiedział. Obrócił ją ku sobie i patrzył z bliska w jej twarz. — Bo on wyjdzie pewnego dnia na ulicę. Będzie musiał wyjść. Kiedy nie będzie już miał pieniędzy, a może wcześniej, może po prostu zwariuje i będzie musiał wyjść tak; jak ty chciałaś wtedy zejść z tych schodów. No więc. I wtedy oni podejną do niego. Ci dwaj, może trzej. A on nie poruszy się nawet, nie będzie miał siły żeby uciekać i żeby się bronić. Może nawet nie będzie wcale chciał. Więc będzie stać i patrzeć jak tamci idą ku niemu przez ulicę i jeden z nich powie wtedy do niego: święte towarzystwo. Tylko te dwa słowa, nic więcej, ale może będzie już właśnie szczęśliwy, że wreszcie słyszy, bo przecież czekał na nie Bóg wie jak długo. I wtedy dostanie to

miał kontrakt na pracę w Guatemala City. I z tym spadochroniarzem, którego poznałaś w Nicei. I z tym młodym Amerykaninem, który miał być milionerem, a który był tylko Polakiem bez paszportu a forszę widywał w kinie na kowbojskich filmach i to też tylko wtedy, kiedy ktoś za niego płacił bilet. Więc ten człowiek jest Rosjaninem?

— Tak — powiedziała.

— No — powiedział. — To nie jest tak dobrze, jak myślałem. Rosjanin. Kiedy ucieka Polak, albo Węgier, albo Żyd to zawsze jest szansa, że w końcu złączą kraść albo czasami nawet pracować i wreszcie będzie z nimi spokój. Ale to zawsze będzie już tak, jakby im wytoczono połowę krwi. I oni to już zawsze będą czuć. Oni i ci, którzy ich muszą znosić. Ale Rosjanie się nie zmieniają. Oni nawet nie wiedzą, że człowiek może się zmienić albo zapomnieć. I kiedy ktoś ucieka z jego ojczyzny, to tak, jakby mu wytoczono całą krew. I z nimi już nigdy nie będzie spokoju. Znam tylko jeden rodzaj spokojnych Rosjan. To ci Rosjanie, którzy już nie żyją. Tak. Więc kim jest ten człowiek?

— Lotnikiem.

— Lotnikiem — powtórzył. — A dlaczego nie lata?

— Ty już o nim wiesz, Anderson — powiedziała. — Ktoś ci już o nim powiedział. Więc musiał ci także powiedzieć dlaczego nie lata.

— Nie — powiedział. — Nie znam go. Nie słyszałem o nim nigdy. Dopiero teraz, od ciebie. Znam po prostu ciebie, Katarzyno. I jeszcze parę innych kobiet, którym się zdaje, że mogą coś uczynić dla mężczyzny który prawdopodobnie wcale tego nie pragnie. Musi być zawsze jakaś komplikacja. No więc?

— Tego nie wiem — powiedziała. — Ale zaczyna z powrotem latać. Zdaje się że już jutro. Miał jakiś wypadek, czy coś takiego. Ale to nie o to chodzi.

— Więc o co właściwie chodzi, Katarzyno — zapytał. — Czy po to chciałaś tej rozmowy ze mną, żeby poinformować mnie, że spędzasz noce z lotnikami? Czy mam uklęknąć przed tym uczuciem? Teraz, na ulicy, czy może mam nawet zejść na plażę? Nie, nie muszę chyba. Każdy cię może mieć, Katarzyno. Każdy, kto przyczepi się do ciebie, kiedy zaczynasz pić. Wszyscy Z wyjątkiem tylko jednego Świętego Mikołaja. I to też tylko dlatego, że on po prostu nie istnieje.

— Anderson — powiedziała. — Ty bardzo pięknie mówisz. Ale zapominasz o jednym. O tym filmie, który chcesz zrobić. To w twoim interesie leży zmiana tonu.

— Więc co mam robić? — zapytał. — Udusić jego, czy udusić siebie, czy wstać i odejść, co by mi chyba najbardziej odpowiadało. Czy rzeczywiście istnieje jakiś powód po temu, że bym całe życie musiał rozmawiać poniżej pewnego poziomu? Może już jestem na to po prostu zbyt stary.

— Nie — powiedziała. — Pomóż mi.

— W czym mam ci pomóc?

— Namów go — powiedziała. — Namów go, żeby ze mną wyjechał.

— Ja?

— Ty, Anderson. Oczywiście, że ty.

— A może możesz mi powiedzieć przynajmniej, dlaczego przypuszczasz, że będę miał ochotę prosić go o to?

— Mogę — powiedziała. — Przecież to ty chcesz robić ten film, Anderson. Ty, nie ja. To jedyna rzecz, którą ty naprawdę lubisz robić. I chyba umiesz. I chcesz. A jeśli on stąd nie wyjedzie, to ja także stąd nie wyjadę. I wtedy twój film pęknie.

— Tak — powiedział. — Rozumiem. Ale dlaczego akurat ten? Dlaczego muszę ci organizować transport kochanka aż stąd. Przecież można to załatwić w Europie. W Europie jest cała kupa lotników, których wyrzucili z pracy za picie, czy wypalki. Sam znam przynajmniej pięciu. Z Luftwaffe. Z Royal Air Force. Z Air France. Znam również jednego Polaka, który zestrzelił podczas wojny drugiego Polaka za to że mu uwiódł narzeczoną. Więc dlaczego akurat ten?

— Dobrze — powiedziała. — Powiem ci jeśli chcesz. Ale to będzie odpowiedź niecenzuralna. Coś, co niechętnie słyszy jeden mężczyzna o drugim od kobiety.

— Tak — powiedział. — Rozumiem. Przepraszam cię na chwilę.

Wstał i odszedł i wiedziała dokąd idzie; zgarbiony, ciężki, łapiąc z trudem powietrze poszedł do garderoby gdzie wisiała jego marynarka — tym razem lekka, dobrze zrobiona marynarka z ciemno niebieskiej angielskiej gabardiny, ozdobiona jak zwykle nonszalancko wyłożoną chusteczką, która miała maskować niewygodną wypukłość fiolki z nitrogliceryną. Wrócił po chwili i usiadłszy przysunął się teraz bliżej z krzesłem; tak, że mógł trzymać swoje ręce pod stołem; swoje ciężkie, miękkie dłonie z których jedna ozdobiona była pierścieniem i które drżały teraz.

— Anderson — powiedziała. — Więc jest aż tak źle?

— Nie jest gorzej niż było — powiedział.

— Przykro mi.

— Nie — powiedział. — Nie jest ci przykro. Nie mów, że ci jest przykro. Nie kłamaliśmy nigdy do tej pory. Przynaj-

mniej ja nie kłamałem. Myślę zresztą, że i ty także nie. To jedyne, co było coś warte w tej historii. Nie róbmy wyjątku dla tego lotnika. Nawet jeśli jest tak zręczny w łóżku.

Położył już swoje dłonie na stole i patrzył na nie uważnie, ale nie drżały już teraz; leżały ciężko i bezwładnie i tylko żyły na jego szyi rozdęte były jeszcze od krwi.

— Tak — powiedział. — Więc mam teraz iść do niego i przerazić go. O to chodzi. Mam przyjść i powiedzieć mu: ja, człowiek ciężko chory na serce, który to ukrywam od dwóch lat tak starannie jak tylko mogę, bo inaczej żaden z producentów nie da mi filmu do roboty, w obawie żebym mu czasem nie skończył na planie, zabieram panu Katarzynę, która siedzi teraz w hotelu i jeśli nie wrócę z panem za parę minut, to przyleci do pana zanim jeszcze zdąży wyrzucić mnie pan za drzwi. Albo może mam mu o tobie coś opowiedzieć. Coś, co by go wzruszyło. Coś, co ty mu zapomniałaś opowiedzieć o sobie.

— Nie zapomniałam niczego — powiedziała. — Ale to też nie pomogło.

— A więc on wie?

— Tak. On wie wszystko.

— Więc jak to ma wreszcie wyglądać — powiedział. — Teraz ty będziesz musiała wymyślić mi historyjkę. Zdaje się, że jestem bezradny.

— Nie wiem — powiedziała. — Ale może istnieje po prostu coś takiego jak uczciwość. Może będziesz mu umiał powiedzieć jak ważny jest ten film. Dla mnie i dla niego. I że nie mogę zrezygnować z tego filmu. Tak samo, jak nie mogę stąd wyjechać bez niego.

— Dobrze — powiedział. — Ale jeśli ten człowiek cię kocha, to dlaczego po prostu nie pojedzie z tobą. Mam chyba prawo do tego pytania. Albo dlaczego nie miałybyś wrócić do niego po tym filmie? Tu jest jakaś historia, której nie rozumiem. Coś całkiem kiepskiego.

Nie patrzyła na niego; udawała że patrzy teraz na morze, na kąpiących się ludzi i białe łódki wyskakujące nagle na wysokich falach, myśląc: Więc jednak złapał mnie. Więc zapytał mnie jednak o to, czego się bałam. Nie on. Jego rutyna. I tego właśnie nie mogę mu powiedzieć. I dlaczego tak jest, że zawsze jeśli kobieta opuszcza mężczyznę to automatycznie zaczyna myśleć o nim jak o idiocie. Zawsze. Gdyby Michał Anioł nie był pederastą, gdyby miał żonę albo kochankę i gdyby porzuciła go pewnego dnia dla Cygana czy gondoliera, jeszcze tego samego wieczora mówiłaby gondolierowi czy Cyganowi o Michale Aniele: „Ten mój głupi stary. Ten głupi nudziarz Michał Anioł”. —

Nie wiem — powiedziała głośno. To lotnik. Lotnik który nie latał trzy lata i który już nie jest młody. To znaczy, który nie będzie już długo latać. A ja nie mam siły rozstać się z nim. Resztę sam sobie jakoś dorób. Potrafisz to chyba.

— Tak — powiedział. — Chyba. Myślę, że umiem. Myślę, że po prostu muszę dla ciebie zrobić ten film, żebyś potem umiała jakoś żyć, kiedy on odfrunie, albo kiedy go zamkną do kryminalu. I myślę, że po prostu zaufajmy prawdę uczciwości. Która w tym wypadku polega na tym, że ja, który jeszcze raz chcę cię wyciągnąć, pójdę do tego człowieka i namówię go, żeby żył z tobą dopóki on ci się nie znudzi, a wtedy i tak wrócisz do mnie.

— Umiesz przegrywać, Anderson — powiedziała Katarzyna. — A jednak prawdę mi przykro.

— Nie — powiedział. — Nie przegrałem jeszcze. I nigdy z tobą nie przegram. Przegrałem wtedy, w Paryżu. I na to nic nie mogę poradzić. Ale mogę spróbować odpowiedzialności. I będę zawsze starał się być odpowiedzialnym za to, co się tam stało. Więc zawsze możesz wrócić do mnie, kiedy go będziesz miała dosyć, albo kiedy on się tobą znudzi. I wtedy będę zawsze próbował robić coś dalej, z tobą czy dla ciebie. Dopóki się da. Przykro mi, że nie jestem toreadorem. Ale jestem tylko tym, czym jestem. Tym, czym chciałem być. I nigdy się nie zmienię w stosunku do ciebie. To jest ta nieefektywna męskość, o której niechętnie się słyszy. Mimo wszystko nie zapomnij o tym.

— I dlaczego musiało się tak stać z nami — powiedziała cicho. — Dlaczego? Przecież przedtem było wszystko inaczej. Ty wiesz.

— Nie będziemy żyć wiecznie — powiedział. — Ani ty, ani ja. Nikt. Każdy jest sam. Świat jest sam. Nie warto o tym nawet mówić. — Wstał; nałożył marynarkę wyglądziwszy starranie chusteczkę. — Więc gdzie on jest? — zapytał.

Zatrzymał wóz przed stacją benzynową a wtedy dwaj zebracy obudzili się, unieśli na łokciach i patrzyli jak opada powoli wzniecony przez niego tuman białego kurzu wirując w słońcu; iak Anderson wysiada powoli z samochodu i rozgląda się przez chwilę. Kurz już opadł; przestali się krztusić ale nikt nie wyszedł z budynku stacji benzynowej — on sam stał samotnie obok samochodu usiłując złapać powietrze i przyzwyczaić oczy porażone kurzem i blaskiem; wreszcie położył rękę na sygnale a wtedy miękkie, drętwe powietrze ulicy ugięło się pod żelaznym dźwiękiem.

— To on — powiedział jeden z zebraków.

— Tak — powiedział drugi. — To ten sam.

Chłopiec w niebieskim kombinezonie wyszedł powoli trzymając w ręku kawał chleba z wędliną.

— Co ma być, szefie? — zapytał.

— Pełny tank — powiedział Anderson. — I może wymyjesz mi wóz?

— Nie — powiedział chłopiec. — Nie teraz. Teraz za gorąco.

— Jutro też będzie gorąco.

— Jutro panu też nie umyję — powiedział chłopiec.

— Dobrze — powiedział. — To oczyść mi chociaż szyby. I jeszcze jedno: jest tu gdzieś jakiś hotel na tej ulicy?

— To naprzeciwko tej restauracji — powiedział chłopiec. — Widzi pan? Tam gdzie stoi cysterna z naftą. I tam gdzie jest szkoła sportu. Zaraz za domem, gdzie był przedtem burdel.

— W Europie burdele bywały zawsze pomiędzy kościołem a apteką — powiedział Anderson. — Ale koło szkoły sportu też nie jest źle.

— Tam są jeszcze dwie dziewczyny — powiedział chłopiec. — Za dolara mógłbym sobie przypomnieć gdzie to jest.

— Nie, synu. Nie będę fatygował twojej pamięci.

Odszedł już; szedł teraz środkiem ulicy oddychając z trudem a chłopiec zawołał za nim:

— Hej, szefie!

Musiał przystanąć i odwrócić się. Nie widział go; nie widział nawet stacji benzynowej i swojego wozu. Czuł tylko kurz w wyschniętych ustach i krew bijącą do głowy.

— Czego chcesz, synu — zapytał zwracając się w pustkę, w biały kamienny żar.

— Nie wziął pan kluczyków — powiedział chłopiec; nie on, jego bezczelny, trochę zachrypnięty głos, podczas gdy on sam stał gdzieś niewidoczny; osłonięty żarem jak dymem. — Może znowu przyjsć policjant.

— To mu daj te kluczyki — powiedział. — I dołoż mu ten samochód na dodatek.

Odszedł. Jeden z żebraków leżał już odwrócony twarzą do ściany a drugi wciąż patrzył za Andersonem.

— I co on teraz robi? — zapytał ten leżący.

— Nic. Stoi teraz i szuka hotelu. O, już wszedł. Pewnie poszedł szukać majora. Bo to mąż tej kobiety, która przychodzi do majora. Ona ukradła mężowi pieniądze, i dała majorowi a potem wzięli jeeпа i pojechali się bawić i wrócili dopiero rano. A major wszystko przegrał w karty. A teraz ten poszedł do niego i chce odebrać te pieniądze. Ale major mu ich nie da. On nie może się

równać z majorem. On, ani nikt. Ja go znam najlepiej. I znałem też Izaaka. Widziałem jak oni się bawili. Kiedy Izaak jeszcze żył. Przyjeżdżali każdego piątku do miasta i szli się bawić do najlepszego lokalu. A potem zamykali lokal i bawili się sami. I wszyscy pili na ich konto a policja stała całą noc z jeepem pod drzwiami i pilnowali porządku. Ale nigdy nie było porządku. I kiedyś przyszło do lokalu paru marynarzy z greckiego statku i zaczęli się bić. Izaak był mniejszy od Abakarowa, ale tak samo silny. Więc on tylko podprowadzał ich a Abakarow rozwaliał jednego po drugim. Wtedy weszła policja na salę i zabrali ich wszystkich do więzienia. A w więzieniu bili się dalej i rozwalili całą ścianę... Ty nie słuchasz?

— Słucham — powiedział drugi nie odwracając przy tym głowy. — Ale opowiadałeś to już. Opowiedz coś innego. O tej dziewczynie, która zakochała się w majorze.

— Tak — powiedział ten drugi. — Dobrze. Tu była taka jedna dziewczyna z Ameryki, którą rodzina przysłała, żeby się nauczyła mówić po hebrajsku i znalazła sobie męża. A ona zobaczyła majora. To było przed rokiem. I zakochała się w nim i błagała go, żeby wrócił z nią do Ameryki, bo ona była bardzo bogata. Abakarow nie chciał. „Nie — powiedział — nie pojedę z tobą”. Wtedy ta dziewczyna napisała do ojca i jej ojciec przyjechał: taki pobożny Żyd, bogaty Żyd. I poszedł do niego i powiedział: „To takie nieszczęście. To takie nieszczęście. Moje biedne dziecko zakochało się w tobie, co nie jesteś Żydem, robisz ludzi na ulicy...”

Patrzył spod oka i mówił ciągle; wysokim, monotonnym głosem zawodowego żebraka, który woła jak ptak; głosem podobnym do śpiewu i pomyślanym jak śpiew, którym chciał uspić tamtego; leżącego nieruchomo twarzą do ściany; porażonego upałem i bezwładnego; i patrzył wciąż w jego miseczkę na dnie której leżało parę groszy i wiedział już, że jest tam o parę piastrow więcej jak w jego własnej; i czekał już od rana aż do teraz — do godziny szóstej po południu, kiedy cienie wydłużają się, miękną, uchodzą w noc, w chłód; w pustynię dymiącą wiecznym, czerwonym wiatrem, przenikającym przez ściany, przez ubrania i karoserię samochodów — aby wyciągnąć rękę i ukraść mu te parę piastrow; coś, co mu się wcale nie należało, ponieważ wszyscy przechodzący tutaj starali się dzielić między nich sprawiedliwie i tylko jakaś podpita prostytutka, wracająca nad ranem do domu i podmywająca się pod kranem stacji benzynowej na ich oczach, wrzuciła mu te parę groszy do miski i wycierając swoje białe uda małą chusteczką wyciągniętą z torebki i stojąc nad nimi z podniesioną sukienką, rozkraczona, niczym nie osłonięta,

powiedziała do nich: „Wy biedni ludzie. Podzielcie się” — a potem odeszła pozostawiając w nim wieczny niepokój; i teraz, kiedy był już pewien że tamten śpi; wciąż przemawiając wysokim, śpiewnym głosem sięgnął do jego miski a wtedy wrzask tamtego poraził go jak uderzenie. O tej porze ludzie spali jeszcze po pracy, albo chcieli spać; więc kiedy nie uciszył się po pięciu minutach — ktoś wylał na nich z góry wiadro wody i wtedy uspokoili się; zasnęli niemal jednocześnie pełni słodkich, ostrych i dzikich snów o zemście.

Zapukał do drzwi i wszedł, kiedy tamten powiedział mu że może wejść; a potem stał przez chwilę w progu — nie widząc go jeszcze; nie wiedząc jak wygląda i znów usłyszał jego głos powtarzający mu, żeby wszedł i zamknął drzwi; cichy, niechętny głos — stał jeszcze w progu przyzwyczajając oczy do jasności i pustki tego pokoju, podczas gdy mężczyzna siedzący na łóżku patrzył na niego jasnymi, skośnymi oczyma z zimną uwagą, która pozbawiona była wrogości niemal do arogancji; i Anderson wiedział już stojąc w progu i nie zaproszony jeszcze do zajęcia miejsca, że tamten wie kim on jest i po co przychodzi; i że wie także, że Anderson będzie kłamać i w niczym nie zamierza mu tego kłamstwa ani utrudnić, ani ułatwić. Czuł krople potu spływające mu na kołnierzyk i rozluźnił go.

— Anderson — powiedział wreszcie.

— Niech pan wejdzie — powiedział Abakarow. — I proszę zamknąć drzwi. Tu podsłuchują.

— Podsłuchują? Kto podsłuchuje?

— Wszyscy. Nie wiem dlaczego. Ale podsłuchują. Niech pan siada. Niech pan siada na łóżku. Ja usiądę na stole. Krzesło złamane.

Anderson usiadł. Nie było mu lepiej; czuł wciąż krople potu spływające jedna po drugiej; teraz, kiedy musiał przejść pięćset kroków w słońcu i wdrapać się po ciemnych schodach. Pomyślał z rozpaczą, że za ileś minut będzie musiał zejść i dojechać do samochodu, który nie będzie stać ani o jeden krok bliżej.

— Powiedziałem jej przecież, żeby pan do mnie nie przychodził — powiedział Abakarow; niechętnie, jakby z odrazą. — I powiedziałem nawet, żeby to panu odradziła. Jeśli pan chce ze mną rozmawiać, to proszę mi to jakoś ułatwić. Nie umiem prowadzić takich rozmów. Nigdy chyba nie umiałem.

— Tak — powiedział Anderson. — Dobrze, ułatwię panu. Nie mamy chyba wiele do rozmowy. Oczywiście, że panu ułatwię. Nie ma pan czasem lustro?

— Nie. Na co panu lustro?

— Jestem chyba spocony?

— To nie szkodzi. Wszyscy ludzie się pocą. To nieprzyjemne, ja wiem. Nie ma rady. Chce pan kawy?

— Tak — powiedział. — Jeśli to nie sprawi panu fatygi. Duszno tu u pana.

Znów napotkał uważne, obojętne spojrzenie jasnych oczu mężczyzny siedzącego na stole.

— Ma pan kłopoty z sercem? — zapytał Abakarow.

— Z sercem? Dlaczego? Dlaczego pan przypuszcza, że mogę mieć kłopoty z sercem?

— Nie wiem — powiedział Abakarow. — Trochę pan zbladł. Może mi się wydawało.

— Katarzyna powiedziała panu, że mam kłopoty z sercem? — zapytał szybko Anderson wpatrując się w niego. Proszę powiedzieć.

— Nie — powiedział. — Nie rozmawialiśmy o panu. Niczego mi nie mówiła. Wydawało mi się, że pan zmęczony. Nie wszyscy ludzie dobrze znoszą ten klimat. Proszę poczekać. Zrobię kawę.

Zeskoczył ze stołu a raczej zsunął się miękko; przeszedł obok niego i Anderson słyszał jak dobija się pięścią do jakichś drzwi i głośno pertraktuje o pożyczenie maszynki i dwu szklanek, a tamten drugi człowiek odpowiadał coś ostrym, niechętnym głosem, a potem znów usłyszał pięść tamtego walącą w drzwi. Siedział nieruchomo a pot spływał po nim paląc policzki i sparzony słońcem kark; wreszcie usłyszał szamotanie; tak, jakby ktoś wdarł się siłą do obcego pokoju i wyrwał komuś z rąk jakąś rzecz, której tamten nie chciał dać i bronił zaciekle do ostatniej chwili w milczeniu, w rozpaczliwym postanowieniu nie ustąpienia; i Abakarow wrócił do pokoju niosąc maszynkę do kawy i dwie szklanki.

— Nie chciał dać — powiedział.

— Kto?

— Misjonarz. Tu mieszka jeden taki. Wszyscy pożyczają od niego maszynkę i kawę i nikt nie oddaje. Teraz już nie chce więcej pożyczać. Trzeba siłą. Za każdym razem. To męczy.

— Proszę wybaczyć — powiedział Anderson. — Nie chciałbym pana fatygować ale rzeczywiście nie czuję się zbyt dobrze. Przykro mi bardzo. Czy nie moglibyśmy pojechać gdzieś gdzie jest więcej powietrza i tam porozmawiać.

— Gdzie pan chce jechać?

— Tu jest taka jedna restauracja gdzie podają świeżo złowione ryby. To nad morzem. Długi, kamienny taras. Zna pan?

— Tak — powiedział Abakarow. — Wiem. Jak pan chce. Napijemy się kawy i pojedziemy. Ale nie myślę, żebyśmy koniecznie musieli.

— Chyba jednak musimy — powiedział Anderson. — Jeśli pan ją lubił...

— Lubię ją i teraz — powiedział Abakarow. — Czyżby się coś zmieniło?

— Myślę, że tak — rzekł Anderson. — Katarzyna wyjeżdża ze mną pojutrze. Prosiła, żebym to panu jakoś powiedział.

— I tylko po to wszedł pan na czwarte piętro — powiedział Abakarow znów jakby z odrazą, nie patrząc przy tym wcale na Andersona. — Żeby mi to powiedzieć? Ja bym nie wchodził.

— Tak — powiedział Anderson patrząc na niego. — Myślę, że ma pan rację. Myślę, że pan by nie wchodził.

— Niech pan pije — powiedział Abakarow podając mu szklankę. — Cukru nie ma. Przepraszam pana. Przykro mi. Ale to nie dlatego, że jestem chamem. To dlatego, że nigdy ich nie będę rozumieć. I chyba nawet nie chcę.

W piętnaście minut później, wymywszy szklanki i oddawszy je misjonarzowi, który oczekiwał przez cały czas na korytarzu, jechał z Andersonem w kierunku arabskiej dzielnicy miasta, myśląc: Więc jednak udało jej się to, czego się nie udało dotychczas nikomu ze mną zrobić. Więc jednak muszę kłamać, mówiąc, że jej nie rozumiem i że nie chcę ich rozumieć. Bo wiem przecież, po co go tu przysłała; i wiem dlaczego ten biedak udaje teraz ważnego i będzie go jeszcze udawał przez piętnaście minut, może pół godziny o ile uda mi się wytrzymać. Ona to czuje; ona wie, że ja przespaceruję się przed psami i próbuje mnie przestraszyć i dlatego ten człowiek poniża się teraz tak bez sensu. Ona mu kazała. Nie wystarczy jej to, że chce od niego odejść i że już pewnie dzieśięć razy od niego odchodziła; musi go jeszcze obrazić, i poniżyć, i wszystko mu zniszczyć. Temu człowiekowi, w którym nie ma ani za grosz siły i którego musiałbym tylko raz uderzyć. Patrzył na jego słabe, ciężkie ręce leżące na kierownicy tego szybkiego, sportowego wozu, którym brawurowo ścinał zakręty i wymijał po trzy ciężarówki na raz; wciąż te same ciężarówki z wojskiem jadące na pustynię; czuł zimną, powolną furię ogarniającą go powoli. I to właśnie ten samochód mu zabierze, pomyślał. Ten samochód, który on wyraźnie lubi i do którego jest chyba przywiązany, tak, jak mężczyzna potrafi się przyzwyczaić do czegoś zrobionego z metalu, do czegoś ciężkiego co zaczyna żyć tylko w jego rękach; i co w jego rękach zaczyna być szybkie, i niezawodne i niebezpieczne; i czego nigdy nie zrozumie kobieta.

— Zna pan tę restaurację? — zapytał Anderson. Wjechał już na parking i wyłączył motor. Wysiadł, a Abakarow patrzył na kluczyki chybotające się jeszcze przez chwilę w stacyjce.

— Tak — powiedział. — Byłem tu parę razy.

— Ja tu przychodzę codziennie — powiedział Anderson. — Przyjemnie tu wieczorem. Jest trochę chłodniej. A może to tylko złudzenie kiedy się patrzy na morze.

— Tak — powiedział. — To złudzenie. — Wysiadł z samochodu i wskazał Andersonowi na kluczyki tkwiące ciągle w stacyjce. — Proszę zabrać klucze — powiedział.

— Wie pan — powiedział Anderson. — Wszyscy mnie torturują z tymi kluczami. Policjanci, i chłopcy ze stacji benzynowej. A ja po prostu nie cierpię noszenia czegoś po kieszeniach. I nigdy nie cierpiałem.

Wskazał mu drogę i Abakarow poszedł pierwszy a Anderson idąc za nim skrzywił się, pomyślawszy że niepotrzebnie kłamał; że nosił przedtem przy sobie i klucze od wozu, i wiele innych rzeczy; i że dopiero przed rokiem opanował go strach, że wszyscy widzą fiolkę z nitrogliceryną tkwiącą w jego kieszeni i że wtedy właśnie zaczął nosić te jedwabne, figlarne chustki w lewej górnej kieszeni; i że wtedy nabrał nienawiści do wszelkiego rodzaju przedmiotów obciążających kieszenie. Wiedział, że ona tam jest, że sprawdzał to przed pół godziną — stojąc na dole, na samym początku ciemnych, nieprzeliczonych schodów wiodących do pokoju Abakarowa — ale nie wytrzymał; musiał się przekonać i wymacał fiolkę z nitrogliceryną szybkim, bezwiednie aroganckim ruchem, nad którym długo i ciężko pracował stojąc przed lustrem i patrząc, czy wygląda to naturalnie i czy niczego nie można się domyśleć.

Usiedli przy stoliku i przywoławszy kelnera — tego w bufiastych spodniach o posępnej twarzy proroka — zamówili piwo. Kelner odszedł a wtedy wyszedł z dołu, od morza ten czarny, niosąc wiklinowy, ociekający wodą kosz napełniony rybami. Zobaczywszy Andersona przystanął i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Hallo — powiedział. — Jak panu smakowała nasza ryba?

— Dobrze, przyjacielu — powiedział Anderson. — No, co: namyślił się już pan?

— Nie rozumiem pana, monsieur — powiedział czarny.

— Chce pan już może sprzedać ten nóż?

— Ach — powiedział. — To naprawdę ciężko. Pan to rozumie, jeśli pan lubi pamiątki. Prawda, monsieur? Ale niech pan jeszcze wpadnie.

— Dobrze — powiedział Anderson. — Wpadnę jeszcze. I postaram się dobrze zapłacić, jeśli się pan naprawdę zdecyduje. — Czarny odszedł a Anderson powiedział do Abakarowa: — To śmieszny czarny. Wie pan, chciałem od niego kupić nóż. Byłem kiedyś w Libii i widywałem tam takie noże. Lubię wspominać te czasy. On ma taki nóż. Obserwuję go. Codziennie, kiedy kończy pracę zostawia ten nóż w swojej łodzi i na myśl mu nie przyjdzie, że mogę mu go po prostu ukraść. Zejść tam w dół, wyjąć go z łodzi i nie zapłacić mu ani grosza. To jest nawet jakoś ładne. Zaczynam wierzyć w ten kraj i w tych ludzi. Niech pan mi pokaże Włocha albo Francuza, który by nie chciał sprzedać turyście noża, a zostawiał go na noc w łodzi.

— Co to za nóż? — zapytał Abakarow.
— Nic — powiedział Anderson. — Nic nadzwyczajnego. Po prostu obosieczny nóż arabski. Widywałem takie w Tripolisie. Chciałbym mieć coś takiego na pamiątkę. Mimo wszystko lubię te czasy.

— Był pan u Rommla?
— Tak — powiedział Anderson. — Byłem u niego. Chyba widziałem co on potrafi. A potrafił wiele. Nawet wtedy jeszcze, kiedy już miał piętnastu żołnierzy Montgomery'ego przeciwko jednemu niemieckiemu żołnierzowi. I jeszcze wtedy wiele potrafił. — Umilkł, a po chwili powiedział: — I to się chyba tylko liczy. Nie to, kto wygrywa wojnę. To nieważne. Przynajmniej dla żołnierzy, którzy w tej wojnie walczyli.

— Tak — powiedział Abakarow. — Myślę, że ma pan rację. I wiedział już, że te same słowa powiedział kiedyś do niego Izaak; kiedyś kiedy byli jeszcze w Niemczech i kiedy wojna skończyła się już a oni wciąż jeszcze siedzieli w obozie *Displaced Persons*; wymęczeni, głodni, nie znający niemieckiego języka i mający pewność, że nigdy go się już nie nauczą. Wtedy Izaak powiedział to do niego, patrząc jak Niemcy zbierają się z powrotem i zaczynają żyć; a potem powtórzył te słowa w parę lat później — tutaj, na tarasie tej restauracji, kiedy siedzieli przy piwie a Izaak patrzył na piękną, ciemną dziewczynę, siedzącą w głębi tarasu z dwoma angielskimi oficerami, a było to już po wojnie czterdziestego ósmego roku, i ci oficerowie pracowali w Angielskiej Ambasadzie w Jerozolimie. I zamówił wtedy u kelnera butelkę whisky i zaczął wlewać w siebie tę whisky tak szybko, jakby chciał nadrobić cały czas stracony przez wieczór i powiedział do Abakarowa: „Ja się chyba zakochałem w tej dziewczynie. Całe szczęście, że ona ma okropne nogi”. A jeszcze wcale nie widzieli jakie ta dziewczyna ma nogi, gdyż siedziała cały czas przy stoliku gadając z ofice-

rami a potem podniosła się nagle, powiedziała coś do nich i przeszła przez salę i wtedy Abakarow z Izaakiem zobaczyli, że dziewczyna ma piękne, smukłe nogi i Izaak znów powiedział do niego: „Ja się chyba w niej zakochałem”. Wtedy roześmiał się i powiedział do niego: „Dobrze. Ja cię z nią ożenię”. Był tak samo nieśmiały jak Izaak i tak samo wstydlivy, ale to nie chodziło o niego i o jego własną dziewczynę. Począł kiedy ona wróciła, a potem podniósł się; i jeszcze z środka sali zawrócił zobaczywszy, że przy jej stoliku nie ma wolnego krzesła i że wszystkie stoliki są już zajęte. Wrócił do Izaaka i wziął swoje własne krzesło; i niósł je w wysoko wzniesionej ręce ponad głowę idąc ku niej a potem postawił to krzesło przy ich stoliku i usiadłszy wskazał ręką na Izaaka. „Ten chłopak chce się z tobą ożenić” — powiedział. — „To mój kolega. Lotnik. Ja też jestem lotnikiem. Wyjdź za niego”. Wtedy jeden z tych oficerów wstał i zapytał go, czy może z nim wyjść na chwilę na ulicę a on powiedział, że tak, że wyjdzie ale tylko wtedy, jeśli ten drugi oficer też wyjdzie z nimi bo jemu się nie chce dwa razy wychodzić, i że oni to chyba rozumieją. Więc wyszli wszyscy trzej i podczas gdy tłukł się z jednym z tych oficerów, drugi oczekiwał spokojnie paląc papierosa i nie patrząc wcale na nich i na ich walkę; a potem rozłożył tego drugiego oficera, a właściwie tego pierwszego bo to on powiedział do niego: *are you a man? Stand up, come outside.* A kiedy wrócił na salę Izaak siedział już przy niej i milczał, a ona śmiała się z niego. I umówili się na następny dzień, w jakimś prywatnym domu i podczas gdy ubrany w garnitur Izaak oczekiwał w jeepie — stremowany i onieśmielony — Abakarow pukał do drzwi, i w tym momencie, kiedy jakiś człowiek otworzył mu je wreszcie, uświadomił sobie, że zapomniał nazwiska tej dziewczyny. „Umówiłem się tutaj z narzeczoną” — powiedział a kiedy ten człowiek zapytał się jak ona się nazywa, powiedział mu: „To nie będzie wcale trudne dla pana. To ta najładniejsza”. Wtedy ten roześmiał się i po chwili przyprowadził tę dziewczynę która nazywała się Talila i po trzech miesiącach była żoną Izaaka, po roku urodziła mu bliźniaki a po dwóch latach opuściła go i wyjechała stąd razem z jakimś bogatym Żydem z Niemiec, którego nie kochała, tak samo jak nie kochała Izaaka, i na dzień przed odjazdem z Izraela przysłała do Abakarowa i powiedziała mu, że kochała przez cały czas tylko jego, tylko Abakarowa i że cały czas wierzyła jakoś w to, że Abakarow się domyśli. Ale nie domyślił się; przeciwnie, był przekonany że Izaak jest szczęśliwy i że ona jest szczęśliwa przy Izaaku. A teraz nie było już ani jego, ani jej. Siedział tylko na tarasie tej samej restauracji wpatrując się w zdrową, najczystsza na świe-

cie twarz Andersona. — Tak — powiedział. — Myślę, że ma pan rację. Ale nie po to mnie pan tu chyba zaprosił, żeby rozmawiać o wojnie. Jeśli pan był naprawdę na wojnie, to pan chyba wie, że wojny się nie pamięta. Pan tu przyszedł tylko dlatego, że ona pana prosiła. A może panu nawet kazała. I jeszcze o coś. O to, żeby mnie pan przestraszył. O to, żebym z nią wyjechał. Pan mi to wszystko dokładnie powtórzył. Nie mógł pan tego zrobić lepiej. Co teraz?

— Dobrze — powiedział Anderson. — Wie pan, nie widziałem pana nigdy przedtem i kiedy jechałem do pana, myślałem sobie że załatwię jej to o co mnie prosiła i nie będę się w to już więcej mieszać. Jestem zmęczony tą kobietą. Ale dobrze się stało, że pana widzę. Z kimś takim jak pan, przyjemnie jest wygrać. I ja z panem wygram. — Uniósł szklanke do góry. — *Prosit* — powiedział.

— I jeszcze jedno — powiedział Abakarow. — Dlaczego pan nie zapyta mnie po prostu czy mam ochotę widzieć ją jeszcze kiedy? Bo dlaczego miałbym? Czy jest już ze mną tak źle żebym miał ochotę żyć z kobietą, która była kiedyś z takim jak pan? Pan daruje. Nawet wtedy jeśli sobie powiem, że kiedy one wszystkie są mniej więcej takie same i nie ma powodu, żeby ta akurat była inna. To po prostu starzejąca się dziwka, która potrzebuje trochę szumu naokoło siebie a ja muszę jutro o piątej wstać. Nawet nie o piątej. O czwartej.

— Oczywiście — powiedział Anderson. — To bardzo szlachetne z pańskiej strony. Pan myśli, że ja teraz pójdę do niej i powtórzę jej to co pan powiedział a ona rozplacze się i zapomni o panu. Ale pan zapomina, że ja żyję z takich historyjek. Więc nie. Ona o panu nie zapomni. Bo ona pana kocha. Dokładnie tak samo jak i pan ją. Więc musi pan jej pomóc. Niech pan wyjedzie z nią. Niech pan jej pomoże zrobić ten film. Ona nie zrobiła niczego porządnego od dwóch lat. To jest ostatnia chwila. A potem, jeśli ona tego filmu nie robi, to ci faceci z gazet skończą ją raz na zawsze. Pan nie zna dziennikarzy. Pan nie zna tych skurwysynów. Oni, jeśli czasem myślą o Jezusie Chrystusie, to tylko wtedy, kiedy są na Niego wściekli że nie urodził się teraz. Oni by mu już urządzili *publicity* tak jak trzeba. To jedna sprawa. A druga: pan sobie chyba pozwoli powiedzieć, że nie zna pan kobiet. One nie potrafią przegrywać. To jest u nich najgorsze.

— Nie Kocham jej — powiedział Abakarow. — Nic na to nie poradzę. Nie powiedziałem jej nigdy, że ją Kocham. Proszę myśleć co pan chce. Nie umiem jej pomóc.

— Pan musi.

Abakarow wypił swoje piwo i wstał. Patrzył na niego uważnie ale już bez tej zimnej arogancji, obojętności.

— Nie — powiedział. — Nie umiem jej pomóc. Nie wyjadę stąd. O to panu przecież chodzi. Proszę mnie więcej nie ostrzegać. I proszę do mnie więcej nie przychodzić.

— To nie było mądre z pańskiej strony — powiedział Anderson. — Ona musi ten film zrobić. I już ja w tym, że ona go zrobi. I proszę pamiętać o tym, co panu powiedziałem. One nie potrafią przegrywać. Nie. Żadna z nich. Więc i ona także nie. I nie bardzo wierzę, żeby się pan wyspał akurat dzisiejszej nocy. — Odstawił swoją szklankę i skinął na kelnera. — Proszę poczekać — powiedział. — Odwiozę pana.

— Dziękuję — powiedział Abakarow. — Chcę się jeszcze trochę przejść. Dobranoc. I proszę nie kłamać. Proszę powiedzieć tylko to, co słyszał pan teraz ode mnie.

Zszedł powoli kamiennymi stopniami ku morzu i począł iść plażą w kierunku miasta. Przystanął na chwilę obok łodzi i popatrzył na tych trzech; dwóch białych i czarnego pracujących w milczeniu, zwijających już swoje sieci i ściągających wiklinowe kosze. Czarny zobaczył go; w pół odwrócony ku niemu, z nożem w uniesionej ręce, wyszczerzył zęby.

— Chcesz rybę, majorze? — zapytał. — Za darmo.

— Nie — powiedział Abakarow. — Dziękuję ci. Już nigdy nie będę kradł waszych ryb. Nigdy nie będę kradł waszych ryb. Nigdy ich nie lubiłem. Przykro mi, ale muszę ci o tym powiedzieć.

— Nie szkodzi — powiedział czarny. — Siedzieliśmy w jednej celi. Ja też nie lubię ryb. I nie lubię tych, którzy je lubią. Nie.

— Dawno tu już pracujesz, Arie? — zapytał Abakarow.

— Nie, nie dawno — powiedział czarny. — A jak u ciebie?

— Jutro.

— Już jutro?

— Tak.

— On chce ode mnie kupić mój nóż.

— Sprzedaj.

— Sprzedam. Pewnie, że sprzedam. Ale poczekam, żeby był bardziej gorący. Żeby się palił do tego noża, jak do butelki wódki.

— Tak. Dobranoc, Arie.

— Dobranoc, Abakarow — powiedział czarny. — I wszystkiego dobrego. Cieszę się, że będziesz znowu latać.

— I ja się cieszę — powiedział. Szedł powoli brzegiem morza uskakując przed napływającymi grzebieniami fal i patrząc

w niebo uginające się od gwiazd jak sieć, myślał, starał się myśleć o niej, czekającej teraz w hotelu na Andersona, który powróci bez niczego, niepotrzebnie ośmieszony i niepotrzebnie poniżony przez niego, przez obcego mężczyznę, którego nawet nie mógł nienawidzić za to, za co zwykle jeden mężczyzna nienawidzi drugiego; musiał go nienawidzić inaczej, o wiele bardziej; i Abakarow roześmiał się cicho. Już na korytarzu w hotelu Herman zastąpił mu drogę ale odepchnął go na ścianę i w milczeniu wszedł do pokoju.

— Za miesiąc — powiedział w kierunku zamkniętych drzwi za którymi stał tamten. — Za miesiąc, nie wcześniej. — I pomyślał: nigdy. Chyba nigdy. Chyba nigdy. Chyba ona się nie myli. Nie myli się w tym, czego jeszcze nie wie. To wie tylko jej krew i jej brzuch. I tak zasnął.

Obudził się od razu; jak tylko usłyszał jej głos; nie krzyk nawet, nie wołanie ale jej głos, którym wypowiedziała jego nazwisko. Leżał nieruchomo, nie zapalał światła; a wtedy, po długiej chwili głos jej rozległ się znowu. Nie poruszył się i tym razem; leżał z zamkniętymi oczyma i starał się wyobrazić ją, stojącą tam na dole obok samochodu, którego silnik pracował przez cały czas i obok mężczyzny siedzącego nieruchomo w skórzanym fotelu i tak samo nie reagującego na nic jak on. A potem położyła rękę na sygnale i Abakarow widział światła zapalające się stopniowo po drugiej stronie ulicy wypełnionej teraz żelaznym jękiem. I wtedy ludzie zaczęli dobijać się do jego drzwi.

— Niech pan zejdzie na dół, Abakarow — zawołał ktoś i rozpoznał głos misjonarza. — Niech pan zejdzie na dół i uspokoi tę kobietę.

— Tak — powiedział. — Już schodzę.

Nie wkładał koszuli; nałożył tylko spodnie i sandały i wyszedł na korytarz; w dwuszereg mętnych, zaciekawionych twarzy wyzierających spoza pootwieranych drzwi; i nawet ci mężczyźni grający w karty przerwali na chwilę grę i patrzyli na niego jak przechodził korytarzem; w kurzu, w półmroku a jego brązowe ramiona lśniły od potu.

— Następnym razem zawołam policję — powiedział misjonarz uskakując jednocześnie w głąb korytarza w bezpieczne i ciemne miejsce gdzie nie mógł go już dosięgnąć Abakarow. — Niech pan pamięta.

Wyszedł na ulicę i przeszedł obok tych dwóch dla których nie istniała ani awantura, ani obcy głos; nic, prócz ich własnego cichego śpiewu załamującego się wciąż powracającego. Starał się nie patrzeć na nią; patrzył tylko na jej rękę zaciśniętą na przegubie Andersona; i patrzył, już stojąc naprzeciw nich i patrząc na nich

Nie boję się tego, ale to jednak trzy lata. Myślę, że pan mnie rozumie.

— Tak. Myślę, że rozumiem pana — powiedział człowiek zwany majorem.

Wyszli przed barak i wtedy, kiedy szli już poprzez pole w kierunku maszyny stojącej samotnie i której skrzydła lśniły jeszcze od wilgoci a silnik przykryty był brezentem — obrócił się powoli ku człowiekowi idącemu obok — ostrożnie, bez pośpiechu jak złodziej odwracający się przed wystawową szybą sklepu za krocącym poza nim tajniakiem, lub jak stary i doświadczony rozpusznik obracający się za dziewczyną i wiedzący, że pośpiech może wszystko popsuć, spłoszyć lub zniechęcić; że pośpiech oznacza demaskację i przegraną — i przyzwyczajając swoje oczy do tej twarzy, tak, jak chory, leżący w ciemnościach, przyzwyczajają od początku swoje oczy do światła wtedy, kiedy lekarz powie już że wolno otworzyć okno lub zapalić żarówkę. Widział jego wąską, ruchliwą szczękę, mały wąs zdobiący górną wargę i nadający mu wyraz niczym nie powstrzymywanego zadowolenia, płynącego z własnej osoby i ze słuszności wszystkiego co przedsięwziął w życiu; miał siwe skronie i jasne oczy; był przy tym suchy, kościsty; szedł twardo i prosto — o wiele za twardo i o wiele za prosto jak na jego sześćdziesiąt prawie lat i dwadzieścia parę lat zawodowej służby w wojsku i trzy ciężkie rany które otrzymał; i wszystko to wiedziało się o nim już od pierwszego rzutu okiem — te dwadzieścia parę lat służby, pogardę dla cywilnego życia i dla cywilnego prawa i żelazne pragnienie zostania generałem. Ale nie został generałem tak jak tego pragnął, jak to przewidywano i jak przepowiadali jego przyjaciele; opuścił armię polską w randze majora; nie awansował od chwili wybuchu wojny ponieważ sprzeciwił się wyrokowi sądu wojennego, skazującemu na karę śmierci dwóch żołnierzy, którzy skradli parę puszek mięsa w trzecim dniu wojny i którzy przyznali się, kiedy wezwał ich do tego publicznie, gwarantując im słowem honoru, że otrzymają najmniejszą karę, jeśli tylko zgłoszą się dobrowolnie — a potem, kiedy stali już z zawiązanymi oczyma a kapelan trzymał wzniesiony wysoko krzyż — odwrócił się i opuścił plac egzekucji, swoim sztywnym, twardym krokiem który miał być niegdyś krokiem frontowego, dzielnego generała i którym, jak przypuszczał, szedł Ludendorff w Monachium opuszczony przez Hitlera i którym wkraczał Hindenburg do namiotu cesarza Wilhelma mówiąc przy tym suchym, sztywnym i nie znoszącym sprzeciwu głosem: *Majestät, Sie sind mein Gefangene*. I wtedy wiedział, już, że nie zostanie generałem ale wierzył jeszcze w to, że zawezwą go do złożenia wyjaśnień i że — w wypadku jeśli

zaistnieją wątpliwości co do prawdziwości jego słów — będzie mógł trawestując słowa Ludendorffa powiedzieć do przewodniczącego sądu — znów tym suchym, szorstkim i niecierpliwym głosem: „Zabraniam panu wątpić w prawdziwość słów polskiego oficera”. Ale nie doszło do tego; po prostu przestał awansować i nie awansował już nigdy; wrócił po wojnie tutaj i pozostał, ożeniony z dziewczyną młodszą od niego o dwadzieścia parę lat, o cały okres jego służby i był szefem lotniska w prywatnej firmie chemicznej trudniącej się walką ze szkodnikami i używającą do tego celu najtańszych i najgorszych samolotów, których wartość nie przekraczała wartości dobrego samochodu i pokazał już nieraz, że interesów firmy potrafi bronić z tym samym męstwem i wściekłością z jaką bronił każdego kawałka ziemi w rozbitej przez Niemców armii „Poznań”, a potem, nie chcąc się poddać — przeszedł przez Rosję, został skazany na śmierć przez „trójkę” z NKWD, którzy do niego mówili podsuwając mu rozmaite papiery, których nie chciał podpisać: „Dlaczego jesteś dla nas taki niedobry”, bijąc go przy tym po twarzy tak, jak zniecierpliwiony nauczyciel bije krnąbrnego ucznia; został następnie „amnestiowany” i przyjechał tutaj, i tutaj dopiero, w armii Andersa, został przesłuchany przez dwóch z Drugiego Oddziału, którzy podejrzewali go od czasów tej historii z czterema puskami mięsa o sympatię dla bolszewizmu i którzy do niego mówili: „Dlaczego nie ma pan do nas zaufania, majorze”, podsuwając mu przy tym do podpisania wymyślone przez siebie deklaracje prawomyślności których nie chciał ani czytać, ani podpisać — powrócił po wojnie do Izraela pełen szczerego, prawdziwego podziwu dla piękna kraju i dla ludzi — i został w tym właśnie czasie szefem lotniska. Teraz szedł poprzez mokre i lśniące pole krokiem starego, samotnego i opuszczonego Ludendorffa, idącego samotnie ku nastawionym w swoją pierś karabinom żołnierzy Weimaru a Abakarow patrzył chciwie w jego twarz.

— No — powiedział do Abakarowa kiedy stali już przy samolocie. — Polecimy chyba razem pierwszy raz.

— Jak pan sobie życzy, panie majorze.

— Może pan mówić do mnie po rosyjsku — powiedział. — Lubię ten język i chciałbym sobie go przypomnieć od czasu do czasu.

— Mówmy po angielsku — powiedział Abakarow. — Ja ciągle jeszcze mówię kiepsko. Dla mnie to szansa uczyć się od pana.

— Cóż — powiedział. — Jak pan chce. Widzi pan, w polskiej armii wymagano bardzo wiele od zawodowych oficerów. I

to się przydało. Niestety. Ale przyjemnie mi będzie od czasu do czasu mówić po rosyjsku.

— Będziemy jeszcze mówić — powiedział Abakarow. — Jeszcze trzy lata.

— Urządzi się pan jakoś potem — powiedział tamten. — Pan wie, że firma pana ceni i że wszyscy pana uważamy za jednego z najlepszych. — Przerwał a po chwili powiedział: — I to pan także chyba wie, że żadna inna firma nie przyjęłaby lotnika po trzech latach przerwy.

— Ja tej przerwy nie chciałem — powiedział Abakarow. — Ale o tym wiemy tylko my dwaj.

— Nie tylko o tym — powiedział tamten. — Wiemy także i o tym, że próbował pan zamordować swojego przełożonego. Ale o tym na szczęście wiemy także tylko my dwaj.

Zerwał już brezentowy pokrowiec i wszedł do kabiny wyszczerzając z bólu zęby, kiedy podnosił swoją przestrzeloną nogę; Abakarow pomógł mu, co tamten przyjął pełnym wdzięczności milczeniem; a potem, kiedy silnik pracował już, usiadł koło niego i położył ręce na sterach czując twarde i powolne uderzenie tłoków podczas gdy silnik kaszlał jeszcze i przerywał. Ale nie patrzył ani na altimetr, ani na kompas, ani na licznik obrotów, którego strzałka drgała niezdarne — silnik nie miał podgrzewacza karburatora i rozgrzewał się ciężko; patrzył wciąż na jego suchą, ruchliwą twarz i tamten musiał mu dwa razy powtórzyć, już po długiej chwili, kiedy silnik pracował wolno i bez zakłóceń. Siedział obrócony bokiem do Abakarowa nie patrząc ani na niego, ani na jego ręce ściągające powoli ster ku sobie — patrzył obojętnie w lewo, w rzędy drzew uciekających w bok co miało znaczyć zaufanie dla niego, który przez trzy lata nie przechodził nawet obok samolotu i który czuł nieznośny ciężar swoich rąk — patrzył teraz w dół, na ziemię uciekającą szarym, zamazanym pasem i drugi, oddalony pas drzew odchodzący w tył niby dekoracja w teatrze; powoli i godnie, w śmiesznej sprzeczności z uciekającym szaleńczo pasmem ziemi a potem byli już nad morzem i widzieli białe, powalone w blasku miasto i port do którego wdarło się już światło i żar.

— Tego się nie zapomina, co? — powiedział major Stan (nazywał się kiedyś inaczej, ale zmienił nazwisko) — patrząc przy tym na jego ciemne, gibkie dłonie, które mogłyby być dłońmi Murzyna grającego w orkiestrze jazzowej. — Przynajmniej pan nie zapomniał.

— Nie — powiedział Abakarow. — Nie zapomniałem.

— Niech pan zejdzie niżej — powiedział Stan. — Niech

pan się przyzwyczajają. O godzinie dwunastej zrobimy pierwszy, prawdziwy lot.

— Zdaje się, że mógłbym i teraz — powiedział Abakarow.

— Tak. Ale nie mogę się na to zgodzić. Pierwszy raz musi pan polecieć nad tyczkami. Tyczki kazałem już ustawić. Musi pan zapomnieć, że istnieje w ogóle coś takiego jak altimetr. Bo dla pana on nie istnieje naprawdę. — Zakrył dłonią licznik wysokości i powiedział do niego: — Niech pan zamyka gaz i schodzi nad morze. Tak, jeszcze niżej. I proszę bez gazu. A za tymi łodziami niech pan wyrówna maszynę. Dobrze. Teraz niech pan spróbuje zobaczyć swój cień. Ja trzymam maszynę.

Abakarow miał słońce po prawej stronie; wychylił się w lewo i widział płaski cień samolotu przemykający po zmarszczonej wodzie; i kiedy cień był o parę metrów w tyle, dobrze widoczny i trzymający się równo wody — wyrównał ster i odprowadził w tył manetkę gazu; tak, że samolot leciał teraz z minimalną szybkością i Abakarow czuł wolne, płaskie uderzenia wiatru od dołu nie czując jednak kołysania maszyny a widząc tylko skaczący cień.

— Ile ma pan teraz wysokości? — zapytał tamten wciąż zakrywając dłonią tarczę altimetru.

— Dwadzieścia stóp — powiedział Abakarow. — I zero na altimetrze.

Tamten odsłonił tarczę.

— Tak — powiedział. — Może dwadzieścia dwie. Nie więcej. Skąd pan to wie?

— Wcale tego nie wiem — powiedział Abakarow. — Tak jak i pan tego nie wie. Czuję to. Jest teraz godzina ósma. O dziesiątej będę miał cień prawie pod sobą. A o dwunastej cień będzie się kleić do mnie. Do drugiej. A potem zaczniesz uciekać. Nie zapomniałem jeszcze tego.

— To jest jasne — powiedział tamten. — Ale niech pan jednak nie zapomina i o tym, że altimetr kłamie. Do trzydziestu metrów kłamie. A na trzydziestu metrach zaczyna pracować mniej więcej porządnie. Ale pan nie będzie latać na trzydziestu. Pan będzie latać na trzech. Więc dla pana altimetr nie istnieje.

— Tak — powiedział Abakarow. — Spróbujemy jeszcze raz, panie majorze. Wejdę teraz na pięćset a potem będę schodził w dół. Widzi pan teraz te łachy tam po prawej stronie? Te łachy obstawione bojami?

— Widzę.

— Więc ja teraz zawrócę i zrobię skręt. Będę wracał i

zejdę nad tę łacę a pan wtedy zakryje licznik i powiem panu jak wysoko jestem a potem przeczytamy altimetr. Zgoda?

— Oczywiście. Proszę próbować.

Siedział z zamkniętymi ostentacyjnie oczyma nie patrząc już na jego ciemne i gibkie palce ściągające ku sobie manetkę gazu podczas gdy lewa jego dłoń niezauważalnie powoli ściągała ster; i nie otworzył oczu nawet wtedy, kiedy Abakarow robił przechył na skrzydło i wyrównał maszynę idącą teraz równo, na wysokości pięciuset stóp, wskazywanych przez twardo leżącą strzałkę altimetru podczas gdy licznik obrotów wskazywał cztery i pół tysiąca a silnik pracował z rykiem w jasnym i cichym powietrzu, które nie zgęstniało jeszcze od upału. Siedział nieruchomo i otworzył oczy dopiero wtedy, kiedy Abakarow powiedział do niego:

— Proszę teraz spojrzeć, panie majorze. Widzi pan te łacze? Są teraz przed nami.

— Tak — powiedział patrząc przed siebie za śladem jego ciemnej dłoni wskazującej na wybrzuszenie dna morza w odległości około kilometra od brzegu; już za pasmem przyływu i morze było tu nieruchome, czyste i widział dobrze jasną i długą linię piachu rysującą się wyraźnie pod powierzchnią wody.

— Widzi pan? — zapytał raz jeszcze Abakarow.

— Tak, widzę.

— Dobrze pan widzi?

— Oczywiście. Do czego pan zmierza?

— Będę teraz schodzić — powiedział Abakarow odprowadzając ster od siebie i redukując obroty zwolnieniem manetki. Obrócił ku niemu twarz pobladłą nagle i ściągniętą. — Chodzi mi tylko o to, czy pan ją dobrze widzi — powiedział.

— Hej — powiedział tamten. — Co z panem, Abakarow? Źle się pan czuje? Zbladł pan chyba a może mi się tylko wydaje?

— Wydaje się panu — powiedział Abakarow. — Schodzę. Proszę zakryć altimetr.

Tamten zakrył dłonią tarczę i patrzyli na linię piasku doskakującą teraz do samolotu w długim i łagodnym skoku; a potem ciętą szybko przez ostry i wyraźny cień samolotu lecącego z szybkością siedemdziesięciu mil.

— Dobrze — powiedział Abakarow. — Altimetr śpi. Ale powiem panu dokładnie. Cztery metry. A teraz tylko trzy. Proszę przeczytać.

Odsłonił dłonią altimetr i patrzył przez sekundę na strzałkę tkwiącą nieruchomo w pozycji zero. Potem wychylił się i patrzył na powierzchnię wody rozbijanej teraz na boki pędem śmi-

gła; tak, że biały i czysty piach zniknął nagle pod zmaconą powierzchnią.

— Miał pan rację — powiedział do Abakarowa. — Ma pan teraz nie więcej jak trzy metry. Trzy metry i siedemdziesiąt mil, to wszystko czego panu potrzeba. Nie może być lepiej. — Przerwał a po chwili powiedział: — Ale to jest tylko woda, Abakarow. Tylko woda. Ziemia jest twardsza od wody. Niestety. Musi pan i o tym pamiętać.

— Pozwoli pan zapalić?

— Proszę.

Zapalił i zaciągnąwszy się głęboko milczał przez chwilę; a kiedy odwrócił ku niemu swoją twarz — tamten nie widział jej prawie wcale spoza dymu wydmuchniętego w jego oczy.

— Woda jest także niebezpieczna, panie majorze — powiedział do niego Abakarow. — Nawet pan wyobrażenia nie ma jak.

— Uważaj no pan z tym dymem — powiedział niecierpliwie tamten. — I jakie pan papierosy pali do nagłej cholery?

— Przepraszam — powiedział Abakarow.

— Nic, w porządku — powiedział Stan. — Ma pan rację, że woda jest niebezpieczna. Ale można się ratować. W czasie wojny Amerykanie opracowali specjalną instrukcję dla lotników startujących z lotniskowców, jak mają się ratować w wypadku gdyby im przyszło siadać na wodzie. Wie pan, zdarzały się takie sytuacje; na przykład kiedy jeden z samolotów rozwał się przy lądowaniu a reszta facetów w powietrzu nie miała już benzyny żeby czekać. Wtedy siadali na wodzie.

— Zna pan tę instrukcję? — zapytał Abakarow. — To ciekawe.

— Nie, nie znam jej. Mam dosyć instrukcji, które przysyłają mi ciągle i które uczą mnie jak zachować bezpieczeństwo w czasie lotu na tych samolotach bez altimetrów i silników. Chryste Panie, mało ich w życiu musiałem przeczytać! Ale to nie tak samo. Nie ma cwaniaka który by się wyratował kiedy rąbie o ziemię przy siedemdziesięciu milach i nie jest na to przygotowany. Pan o tym wie najlepiej. Niestety. Przykro mi, że muszę panu o tym przypomnieć.

Odwrócił się ku niemu ale twarz tamtego pozostała spokojna i skrzywiona; papieros wciąż tlił się w kąciku jego ust.

— Cóż — powiedział po chwili Abakarow. — Nie umiera się dwa razy, panie majorze. Tak czy owak mam to już poza sobą.

Głos jego brzmiał zimno i obojętnie i tamten popatrzawszy na niego jeszcze przez chwilę odwrócił się z niechęcią.

— Ma pan rację — powiedział. — Ale to była przykra historia. Dla mnie, i dla firmy, i dla pana o ile dobrze pamiętam. Proszę mi wierzyć, że to nie było dla nikogo przyjemne. Nie miał szczęścia ten chłopak. To wszystko. Ale kto ma w końcu szczęście w tym zaszranym zawodzie. — Popatrzył na zegarek. — Latamy już przeszło godzinę — powiedział. — Będziemy teraz wracać. Chce pan sam siadać?

— Proszę o to — powiedział Abakarow.

Wrócili z powrotem nad lotnisko i Abakarow zrobił przepisową wstążkę na bezpiecznej wysokości a potem, kiedy któryś z obsługi lotniska — istniejącego tylko jako pojęcie, nawet nie jako nazwa, gdyż po zakończeniu pracy lecieli gdzie indziej i nikt nie przypuszczał, że stały tu samoloty i że tu zarabiali na chleb lotnicy, o których zawodzie nikt nie wiedział i do którego przyznawali się z niechęcią; tak jak przyznaje się człowiek, który przed paroma laty walczył przeciwko niemieckim lub egipskim samolotom, a teraz skrapia pola proszkiem DDT; po tym to lotnisku tylko raz przejechał zrównywacz odrzucając w bok kupę kamieni, przy której stał teraz człowiek z raketnicą; wystrzelił; i Abakarow usiadł spokojnie i pewnie; trochę może tylko zbyt twardo, o sekundę wcześniej niż tamten mógł się tego spodziewać, tak, jak zwykle siadali z Izaakiem, który raz tylko dotykał kołami ziemi przy lądowaniu i czego zazdrościł mu Abakarow dopóki sam się tego nie nauczył. Tylko oni dwaj potrafili siadać od razu na tych lekkich, kiepskich samolotach, podskakujących przy lądowaniu niby bociany — aż w końcu jeden z lotników, który próbował tego samego, rozwalił maszynę i dyrekcja postawiła im ultimatum, żeby latali trochę gorzej. Wysiadł z kabiny i stał teraz zapalając nowego papierosa i widział jak tamten gramoli się ciężko z kabiny, z wyszczerzonymi z bólu zębami; a wtedy odrzucił papierosa, którego nie zapalił, którego wcale nie chciał zapalić, i który drżał w jego palcach — i podskoczył niemal do samolotu podając tamtemu ramię.

— Dziękuję — powiedział tamten. Wciąż jeszcze rozcierał zdrętwiałą nogę nieco powyżej kolana; i wciąż jeszcze szczyrzył z bólu zęby.

— Boli? — zapytał Abakarow.

— Właściwie już nie — powiedział tamten. — Tylko czasami. No i oczywiście kiedy pada deszcz. Na to nie ma rady. — Przyjął podanego papierosa i patrzył na dużą, ciemną dłoń umykającą wciąż w bok z płomykiem zapałki; tak, że musiał przytrzymać w końcu jego przegub i pochylić się ku zapałce. — Dziękuję — powiedział. — Mamy jednak trochę tremy, co?

— Trzy lata — powiedział Abakarow.

— Tak — powiedział. — To oczywiste. Pójdziemy teraz napić się kawy. — Znowu zasyczał. — Ta noga — powiedział. — Ta cholerna noga. Myślę, że to dlatego, że lataliśmy trochę nad wodą. Rozumie pan: wilgoć. I te moje stare kości, które to zaraz czują. Taka jedna kula z maszynowego karabinu „Span-dau”, który w dodatku nie był wcale takim dobrym karabinem maszynowym, o czym nie wiedział nawet Rommel. Ale dla mnie był dobry wystarczająco.

Poszli powoli przez długi i zielony plac a Abakarow myślał: Ona cię jeszcze nie trafiła. Ona cię dopiero teraz trafi naprawdę. Ta kula którą dostałeś w czterdziestym trzecim roku. Osiemnaście lat temu. Ta kula, którą wojskowy chirurg wyciągał kiedy byliście pijani, tak samo jak ja i mój chirurg byliśmy pijani kiedy on wyciągał ze mnie jeden po drugim odłamki granatu. Więc to nieprawda, że granat jest gorszy od kuli o kalibrze dziewięciu czy jedenastu milimetrów i zabezpieczonej pięknym, mosiężnym pancierzem. Na wojnie nie można się nauczyć niczego poza tym, że każdym człowiek jest złodziejem i że jeśli nim nawet jeszcze nie jest, to nim na pewno będzie. I nie wiadomo nigdy, kiedy wojna się kończy. Bo ta kula trafi cię dopiero teraz; pewnego dnia kiedy poczujesz się gorzej, ale nie na tyle źle aby nie przyjść do pracy. Więc weźmiesz ze sobą laskę i będziesz pracował dalej złoszcząc się i przekładając ją przy tym z jednej ręki do drugiej; tak, żeby ci jak najmniej przeszkadzała. Wtedy ta kula powróci; i wtedy wojna skończy się dla ciebie naprawdę. Przy wejściu do baraku przystanął i przepuścił go przodem a potem wszedł za nim i stał przed jego biurkiem ze zwykłym, stałym wyrazem pokory i spokoju wprowadzającym w napięcie wszystkich innych ludzi, których znał, i obok których przeszedł; i usiadł dopiero wtedy, kiedy tamten podsunął mu krzesło, mówiąc przy tym:

— Dziękuję, panie majorze.

— Więc wszystko jest jasne — powiedział tamten podpisując jego papiery i zamykając je w żelaznej kasetce stojącej na biurku. — Niech pan teraz idzie do kantyny i każe sobie podać śniadanie. Potem niech pan trochę odpocznie a o dwunastej polecimy nad tyczkami. Zaliczę panu dzień dzisiejszy a zaliczkę spróbuję wydostać dla pana już po tygodniu. I jeszcze jedno: chce pan spać tutaj czy w mieście?

— Chyba w mieście — powiedział Abakarow.

— Ma pan wóz?

— Nie — powiedział. — Ale pożyczę sobie jakiegoś jeepa. To mi wystarczy żeby dojechać do pracy.

— Kobieta?

— No, cóż — powiedział. — Zgadł pan.

— Musi pan wcześniej wstawać — powiedział major. — Ale jak pan chce. — Wstał i wyciągnął do niego rękę. — Cieszę się, że pana znów widzę — powiedział. — Chociaż panu przyjdzie w to ciężko uwierzyć. Ale cieszę się. I dobrze, że pan jest w takiej formie. A teraz proszę iść na śniadanie. I niech pan już nie myśli o tamtym, kiedy pan będzie szedł na trzech metrach i bez tego cholernego altimetru. Nie miał chłopak szczęścia. Ale kto je w końcu ma.

— Tak — powiedział. — Któż je ma.

Odwrócił się ale wiedział, że tamten go jeszcze zawoła. Obracając się powoli widział jego wąską czaszkę, nerwową twarz i wyraz napięcia malujący się na niej; tak, że nie wyglądał już na zadowolonego ze wszystkiego co robił, robi i czynić będzie.

— Abakarow — powiedział cicho. — Jeszcze jedna sekunda.

— Tak, panie majorze.

— Mimo wszystko nie przypuszczałem, że pan wróci — powiedział tamten. — Nie. Mogę się chyba domyśleć co pan przeszedł i nie muszę nikogo o to pytać. Właśnie tak, niech pan mi wierzy. Nie wiem, czy komu innemu starczyłoby siły na to, żeby wrócić po tej przekłętą historią. — Podeszedł nagle ku niemu; za szybko i stał z zębami wyszczerzonymi z bólu, który szarpnął nagle jego nogą, ale on o tym nie wiedział, nie czuł tego; to widział tylko Abakarow, przed którym stał teraz i patrzył w jego twarz. — Dlaczego pan wrócił, Abakarow? — zapytał cicho. — Pan wie, że ja potrafię milczeć.

Milczał; czekał na to pytanie i mógłby mu odpowiedzieć. Mógłby mu odpowiedzieć: Dlatego, że myśleliśmy iż nas jest dwóch. Ale to była nieprawda. I chyba w gruncie rzeczy obaj wiedzieliśmy o tym; i Izaak i ja; i chyba obaj wstydzieliśmy się tego, ponieważ byliśmy po prostu za młodzi, żeby uwierzyć w to, że wbrew wszystkiemu co dzieje się ciągle z nami i z innymi — istnieje również miłość, sprawiedliwość, opieka i świętość tego, co człowiek czasem myśli i czasem robi. Byliśmy za młodzi na to; nie na wojnę, nie na zabijanie, ale na to, właśnie na to. Więc dlatego wróciłem. I dlatego jeszcze, że ludzie zanim ustalili prawo, zanim obwarowali się nim i osłonili — wiedzieli już przedtem jak można je łamać, i że zawsze można je łamać. I dlatego pewnie wymyślili małżeństwo, i miłość, i przysięgę wierności, iż wiedzieli, że nic na świecie nie pasuje tak źle do siebie jak mężczyzna i kobieta. Więc dlatego wróciłem. I jeszcze dlatego, że wbrew prawu, przysięgom i zakazom, istnieje w życiu coś dzięki czemu żyjemy jeszcze wszyscy i pewnie będziemy żyć wiecznie na tej planecie; i dzięki czemu istnieją zakochani ludzie, którzy

nie mogą żyć bez siebie — naiwność i wiara, że zło zostanie zniszczone przez Boga, kiedyś ostatecznie i raz na zawsze, czego na szczęście nikt nigdy nie dożyje. Ale to właśnie to; więc dlatego wróciłem. Powiedział głośno do niego: — Jestem lotnikiem, panie majorze. Nie umiem inaczej zarabiać. Jestem na to za stary, a może za leniwy, żeby się jeszcze raz nauczyć czegoś od początku i porządnie. To ta wojna, która zniszczyła nas raz i na zawsze. A w każdym razie niektórych z nas.

— Tak powiedział tamten. — Może ma pan rację. To ona To ona.

Wyszedł i szybko przeszedł przez jasny, pusty plac — poszedł do kantyny. Wszedł i wtedy ci siedzący przy stole po pierwszej turze lotów, przy kawie i przy papierosach umilkli nagle. Nikt nie mówił do nikogo; było zupełnie cicho i słyszał tylko ich oddechy i skrzydło wentylatora wolno poruszające się pod sufitem. Stał odwrócony do nich plecami; i nie odwrócił się nawet wtedy, w chwilę później — stojąc już przy okienku i biorąc kubek kawy i talerz z jedzeniem — kiedy jeden z nich powiedział młodym i jasnym głosem, który zabrzmiał nagle w ciszy niby głos Boga lub Anioła — twardy, jasny i wyraźny głos kogoś, który nie rozumie jeszcze niczego i nawet nie wie, że będzie kiedyś rozumieć; kiedyś, kiedy głos jego straci już ten czysty i święty ton niecierpliwości.

— Uważajcie, chłopcy — powiedział. — Nie wdepnijcie czasem w niego. To ten facet, który się przykleja. Przykleja się do firmy. Nawet wtedy, kiedy musi czekać na kumpla. Na kumpla, który już nie żyje. Po to, żeby się przykleić do firmy.

Nie odwrócił się. Patrzył tylko na swoje spokojne dłonie, nakładające na talerz porcję chleba i wędliny; a potem podpisał kwit podany mu przez bufetową. Odwrócił się dopiero wtedy, kiedy któryś z nich; nie człowiek, nie twarz a tylko znowu głos należący do kogoś, kogo nie widział i kogo nie chciał zobaczyć; tak samo młody i jasny głos jak i głos należący do jego poprzednika, powiedział do niego:

— Pan zdaje się wdepnął w coś, przyjacielu. Czy nie byłby pan łaskaw wyjść przed kantynę i obejrzeć raz jeszcze swoje obcasy? I czy nie byłby pan łaskaw pozostać tam, dopóki lotnicy nie skończą śniadania?

— Tak — powiedział. — Zrobię to.

Przeszedł powoli przez kantynę uważnie niosąc blaszany kubek z kawą i pełen jedzenia talerz i wtedy, w ostrym i jasnym świetle padającym od okna zobaczyli jego twarz; jasną, szczęśliwą twarz, o wyrazie wyzwania podjętego w sobie tylko wiadomej

sprawie; ta twarz przesunęła się powoli przed nimi — siedzącymi nieruchomo, pełnymi obrzydzenia i pogardy jaką mają silni i zdrowi mężczyźni dla słabego, dla kaleki; impotentą lub idioty — a potem odszedł przeniósłszy przez cichą salę, przez porę odpoczynku i papierosa, swoją radość i swoją pychę w której oni — zbyt młodzi i niezdolni do kompromisu, pogardzający nim jak śmiercią — nie potrafili domyśleć się dumy; i postawiwszy na trawie kubek z gorącą kawą, cicho zamknął drzwi poza sobą.

— Ten gość wyglądał dzisiaj rano całkiem inaczej — powiedział któryś. — Całkiem, ale to całkiem inaczej.

— Bo kiedyś był inny naprawdę — powiedział drugi. — Ale taki już nigdy nie będzie. Kiedyś potrafił dużo. Izaak mi opowiadał.

— Co to było?

— To wtedy, jak oni uczyli się latać. Dwadzieścia lat temu. I mieli takie głupie dwupłatowce w których instruktor siedział z tyłu i wrzeszczał cały czas do ucznia co ma robić. Izaak mi to mówił. I mieli takiego jednego instruktora, który nienawidził Abakarowa. Ale nie wiem już o co to chodziło. To nieważne. W każdym razie ten instruktor miał taki jeden trick, który ludzi doprowadzał do choroby serca. Bo oni nie mieli w tych samolotach sprzężonego steru, tak jak my, tylko po prostu knipel — taki kawałek metalu jak przekładnia biegów w ciężarówce. I taki knipel można było wkręcać i...

— Wykręcać — powiedział któryś. — To te cholerne rosyjskie dwupłatowce. A Niemcy je nazywali *Der stille Tod*. Więc jednak to nie musiało być takie całkiem głupie.

— Nie. To nie było głupie. Ale ten bydlak który ich uczył, wymyślił coś całkiem świeżego. Tak mu się przynajmniej zdawało. Więc ten facet chodził w długich butach; w cholewie miał zawsze jeden zapasowy knipel, albo kładł go w swojej kabinie; przed lotem, tak, że uczeń za Boga się tego nie domyślał. I kiedy już wychodzili na pięćset metrów, ten facet walił ucznia w plecy a kiedy ten odwracał się — wyrzucał przez kabinę swój knipel a uczeń nie wiedział, że ten facet ma w cholewie taki sam zapasowy kijek — i ten uczeń konał ze strachu. I tak było ze wszystkimi, ale nie z nim. Bo on to jakoś przeczuł, zwęszył.

— Abakarow?

— Tak, Abakarow. I kiedy weszli na dwa tysiące metrów — ten instruktor trzasnął go w plecy, Abakarow obejrzał się, a wtedy tamten wyrzucił knipel przez widok. I myślał przy tym że drugi knipel leży pod jego nogami w kabinie. Ale nie było tam nic takiego. Dlatego, że Abakarow sprzątnął jego knipel. I kiedy tamten wykręcił swój knipel i wyrzucił — Abakarow zro-

bił to samo; jak wierny uczeń naśladowający mistrza. Patrzył mu wiernym spojrzeniem w oczy i wyrzucił przy tym swój knipel. I lecieli sobie na otwartej przepustnicy bez sterów a tamten instruktor umierał, a właściwie już umarł i tylko czekał chwili kiedy się rozwałą. I wtedy Abakarow wyjął skądś zapasowy knipel; może nawet ten sam, który ukradł przed lotem z kabiny instruktora, wkręcił go z powrotem i zawrócił na lotnisko. Ale tamten nie wysiadł z kabiny — musieli go wynieść we czterech bo to był kawał chłopa; a potem, po szpitalu, przenieśli go gdzie indziej. — Umilkł, a po chwili powiedział: — Taki był kiedyś Abakarow. Ale taki już nigdy nie będzie.

Popatrzyli przez okno na człowieka siedzącego na ziemi, na gorącym piasku, i jedzącego z ziemi a wtedy jeden z lotników siedzących przy stole poruszył się niespokojnie; nie czuł się dobrze i nie umiał tego ukryć. Był młodym chłopcem, który nauczył się latać w wojsku; a teraz, po odbyciu służby, w czasie której zestrzelili egipskiego „MIG'a” — co stało się nagle, niespodziewanie, w czasie lotu patrolowego i w co nie bardzo wierzył do dzisiaj gdyż stało się to zbyt nagle i zbyt nieoczekiwanie; tak, że właściwie czuł się głupio w chwili, kiedy jego dowódca wręczał mu odznaczenie i gdy dostał dwa tygodnie urlopu, który próbował spędzić w rodzinnym kibucu, ale spędził tam tylko trzy dni, gdyż wszyscy zanudzali go prośbami, aby opowiadał o tym jak to się stało, więc mówił: „Byłem na trzech tysiącach i wtedy go zobaczyłem...”; potem milkł i patrzył ze wściekłością na swoich dręczycieli; po trzech dniach miał tego dosyć, pojechał do Haify i w barach, z marynarzami dokończył swego urlopu; ostatniego dnia — na prośbę dwóch dziewczyn znów opowiedział swoją historię, potem rozwalił bar, pobił policjantów i został odwieziony do jednostki przez policję wojskową a jego dowódca patrząc mu surowo w oczy, powiedział: „Tego się po was nie spodziewałem”. Pracował w tej firmie od czterech miesięcy i dziś po raz pierwszy zobaczył Abakarowa.

— Czego od niego chcecie — powiedział. — Wygląda na swojego gościa. I chyba potrafi latać. Widziałem go jak siada. Nie każdy tak potrafi po trzech latach pauzy.

— Nic od niego nie chcemy — powiedział któryś. — Chodzi tylko o to, żeby jemu się niczego od nas nie zachciało. I nie martw się o niego. O niego martwi się firma.

— Ach — powiedział chłopiec. — Więc to ten.

— Tak, to ten. Gdyby to ode mnie zależało — wydałbym mu licencję na naprawę lokomotyw, ale nie na latanie. Jego kumpel wykręcał wstążkę na trzydziestu metrach, może na

czterdziestu a wiatr rąbnął go o ziemię szybciej, zanim zdążył otworzyć gaz.

— A któż to robi wstążkę na trzydziestu metrach — powiedział ten chłopiec. — I po co ją w ogóle robić. Czy tamten lubił bawić się w cyrk?

— To brudna historia — powiedział któryś; znów jakiś inny. — W tym cała bieda, że właściwie nie wiadomo jak to było. To znaczy on wie, Abakarow. Bo tamtego zmusili do lotu jakimś szantażem. A potem, po wypadku poczuli od niego brandy i namówili go, żeby przyznał się, że tamten pił z nim przed lotem. No i oczywiście policja pobrała krew od Abakarowa, a w krwi był alkohol. A od tamtego nie mogli pobrać, bo spłonął jak lalka ze słomy.

— Nie rozumiem tego wszystkiego — powiedział chłopiec. — Kto mu dał brandy i dlaczego? A w każdym razie po jaką cholere ją pił?

Nie wiadomo dlaczego pili. Lubili sobie popić, on i Izaak. A on zaczął szaleć po tym, jak jego kumpel spadł i spalił się żywcem i oni to jakoś zwąchali, że pili z tamtym przed lotem on był na tyle głupi, że się przyznał, że powiedział to komuś — komuś, kto od niego poczuł. A kiedy się połapał, było już za późno. Ale wtedy miał jeszcze szansę. Mógł się wyprzeć, mógł powiedzieć, że tamten wcale nie pił. Ale nie zrobił tego, bo się bał. Bał się, że nie wróci nigdy do latania, jeśli zadrze z firmą, no i nie zadarł. Zawiesili go w lotach na trzy lata, ponieważ pił już po pracy, ale na terenie lotniska. Więc powiedzieli mu, żeby lepiej nie otwierał mordy — wtedy, jak w teście było już czarno na białym, że w krwi jest piękna porcja brandy — i żeby lepiej przyznał się, że pił z tamtym. To znaczy, żeby przyznał się jeśli chce jeszcze latać w tej firmie i dobić się do emerytury. Bo i to mu pewnie obiecali. To wszystko; no i Abakarow wrócił jak widzisz. Gdyby powiedział, że tamtego zmuszono do lotu, to firma musiałaby zapłacić rodzinie tamtego całą kupę kolorowej forsy. A nie musiał tego wcale mówić, bo tamten spłonął i ciało było nie do zidentyfikowania. Ale nie doszło do tego. Zostawił jeszcze dług w kantynie a pochowaliśmy go ze składki.

— Więc on stał i patrzył — zaczął znowu mówić, ale znowu mu przerwali.

— Tak. Stał i patrzył, i widział że tamtego w jakiś cholerny sposób zmusili do lotu. Oni pracowali na innym polu, o czterdzieści kilometrów od nas. Tylko oni dwaj i szef, w tym cała bieda. To wszystko co o tym wiemy. Ale on wiedział więcej. I miał już prawie czterdzieści lat i chyba myślał o tym; chyba musiał o tym wszystkim jasno i zimno myśleć i chyba wie-

dział, że żadna inna firma nie przyjęłaby do pracy lotnika, który ma prawie czterdzieści lat i kiepsko mówi po hebrajsku. On o tym wszystkim wiedział. Nie miał wielkiego wyboru, to prawda. Ale wiedział przecież, że wybiera pogardę. I wybrał ją. — Umilkł; znów popatrzyli przez okno; na szerokie plecy człowieka siedzącego na ziemi, a potem któryś z nich powiedział: — A teraz nie mówmy już więcej o nim. Lepiej napijmy się za tamtego.

Podał swój blaszany kubek pod stołem i któryś z nich, trzymający butelkę, nalał mu trochę alkoholu do ciepłego jeszcze kubka od kawy. Podniósł go do ust i skrzywił się ze wstrętem.

— Izaak Eisenmann — powiedział ktoś cicho. — Przyjechał tutaj, bił się o ten kraj i zmienił nazwisko na Barzylai. Ale nie długo nazywał się Barzylai. Nie. On by się bił o Abakarowa, gdyby Abakarow spłonął. Ale spłonął Izaak. Właśnie Izaak. Więc nawet nie można powiedzieć „na zdrowie”. Nawet tego nie można powiedzieć.

Wypił swoją whisky i podszedł znów do okna, które przeszkadzało mu i które budziło w nim niepokój. Było mu teraz trochę gorąco; mógł latać, bić się i mówić ich głosem; zimnym, obraźliwym tonem pogardy i groźby. I kiedy szedł już do swojej maszyny, splunął pod nogi tamtego siedzącego nieruchomo z kubkiem kawy w opuszczonej ręce i palącego papierosa, a Abakarow nie poruszył się nawet i nie spojrział w jego stronę, kiedy przechodził, zwalniając specjalnie kroku, młody, trochę tęgi chłopiec o porządnej, uczciwej twarzy usiłując nadać jej wyraz okrucieństwa, pogardy i zawiedzionego zaufania, które zawierzyło im wszystkim — wszystkim młodym ludziom w kombinizonach i mundurach — jasne, wiecznie palące się niebo.

O godzinie ósmej Katarzyna nie spała już. Siedziała przy oknie usiłując dojrzeć w szybie odbicie swojej twarzy i uczesać się, ale słońce świeciło teraz prosto w jej twarz; wstała i wyszła na korytarz przechodząc wprost z jasności w ciemność, w kurz, i musiała zamknąć oczy i otworzyła je dopiero po chwili, kiedy ściana mroku rozstała się, odpłynęła pozostawiając ból pod powiekami; więc czuła tylko kurz i ostry zapach wypranej białizny, którą suszył ktoś na korytarzu. Ale nie widziała go jeszcze; jeszcze jej oczy nie pracowały; pracowała tylko wyobraźnia i węch; czuła temperaturę jego ciała zbliżającego się ku niej i dopiero potem przyszedł obraz, już po dźwięku jak w kiepskim kinie na przedmieściu kiedy miłosny dialog toczy się już po scenie miłosnej, kiedy kamera jedzie nad dachami Paryża albo wzdłuż Tamizy — wyszedł z korytarza i stanął przy niej.

— Nie ma pan czasem lustra, Herman — zapytała.

— Nie — powiedział. — Ale mógłbym się chyba wystarać. Proszę poczekać, madame. Może misjonarz pożyczycy.

— Nie wiem, czy on pożyczycy — powiedziała. — On nie bardzo lubi Abakarowa.

— Tak. Ale lubi mnie. To właśnie jego bielizna suszy się na korytarzu. On sam pierze. Jest bardzo oszczędny. A ja pilnuję. Mnie pożyczycy.

— Dobrze — powiedziała. — Zaczekam w pokoju.

— To niemożliwe, madame — powiedział. — On się będzie droczyć. Musi pani poczekać w korytarzu. Tam jest moje krzesło. Proszę usiąść i popatrzeć na bieliznę.

Poszła za nim i usiadła na krześle zwrócona twarzą ku sznurowi rozwieszanej bielizny, którą tamten starannie poprzyczepiał klamerkami w równych odstępach i porządnie rozciągając koszulę na grzbietach; tak, jakby to mogła uczynić kobieta; może biedna włoska kobieta, która ma już pięcioro dzieci i właśnie spodziewa się szóstego; i pomyślała sobie, że to nie Herman powinien siedzieć na tym krześle i nie ona, ale Anna Magnani a Toto powinien spróbować ukraść jedną z tych koszul, a wtedy, przywołane rozwścieczonym głosem Magnani — głosem w którym nie byłoby złości i pogardy a tylko miłość do ojca tych pięciorga i tego szóstego, które przyjdzie lada dzień — zastępy Aniołów Pańskich przepłynęłyby cicho tym korytarzem starego, arabskiego domu, pełnego kurzu i dręczącego upału; a wtedy, ich celulojdowe skrzydła przyniosłyby zapach śniegu, trawy i zimnej wody.

— Hallo — powiedziała do jakiegoś człowieka, który wynurzył się nagle z mroku jak pływak, który nurkuje i któremu potrzebny jest tylko jeden haust powietrza; tak i temu potrzebna była tylko jedna chwila, aby odpiąć klamerkę przyczepioną na skarpetce misjonarza. — To nie ładnie z pańskiej strony przyjacielu. Chciałby pan w taki piękny poranek dostać po pysku?

Odkoczył gdzieś w bok; długim i cichym susem i gdzie nie mogła go już dostrzec. Podniosła się i podeszła aby podnieść leżącą na ziemi klamerkę a wtedy usłyszała spoza zamkniętych drzwi ich głosy; ostry, zniecierpliwiony głos misjonarza i spokojny, cichy głos Hermana.

— Opowiedz pan jeszcze raz — powiedział misjonarz.

— Opowiadałem już panu — powiedział Herman. — Nie mogę panu za każdym razem opowiadać tej historii.

— Ale lustro to pan chce?

— Pilnuję za to pańskiej bielizny.

— Nie wiem — powiedziała. — Wcale tego nie wiem. Ale to może właśnie dla tego kobiety tak mało znaczą dla mężczyzn takich jak on. Więc i ty go znasz?

— Tak jakby — powiedział. — Ale wolałbym go nie znać, chociaż to całkiem miły chłopak. Zaoszczędziłbym sobie całą kupę kłopotów i czasu. Chyba nie ma w tym kraju faceta, któremu by on nie podeptał niechcący nóg. I za każdym razem jest mu bardzo przykro. Jak tam z nim? Lata już?

— Tak — powiedziała. — Dzisiaj pierwszy dzień.

A potem, wieczorem, leżąc już obok niego — śpiącego spokojnie i cicho — patrząc w okno, w księżyc przechodzący nisko, wielki i jasny jak słońce, myślała o tym, że rzeczywiście nikt się nie uczy tak szybko jak kobieta od mężczyzny i nikt nie potrafi tak akceptować tej wiedzy jak kobieta. Jego głosu, pomyślała, jego głupoty, mądrości i przyzwyczajień; tego, żeby uważać że papierosy które on pali są najlepsze w świecie, i tych wszystkich głupstw które wypowiada czytając książkę czy gazetę, z której nic nie rozumie. I może to tu jest ta nędza, a jeśli by ktoś nawet chciał, ta wielkość; te kurewskie przemieszanie rzeczy w rozpaczliwym pragnieniu zdobycia całego człowieka, które ma kobieta a którego wcale nie ma mężczyzna nawet wtedy jeśli kocha naprawdę. Samotny mężczyzna stanowi zawsze jakąś całość której nigdy nie stanowi samotna kobieta; kobieta, która nigdy nie potrafi znaleźć oparcia w samej sobie — w swoim ciełe, w swoich przyzwyczajeniach i w swojej głupocie — to właśnie, co potrafią miliony samotnych mężczyzn którym wystarcza pies, pieniądze czy alkohol. I dlatego w życiu kobiet jest tak wiele przypadkowości, które mężczyźni uważają za kurewstwo, tylko za kurewstwo a nie za nic innego; a co jest tylko wечно podejmowaną i wечно przegrywaną próbą akceptacji drugiego głosu i drugiego ciała; nawet jeśli ten drugi głos, to drugie ciało chce zabić lub zniszczyć — to, czego nigdy nie zaakceptowałyby drugi mężczyzna. Nawet jeśli by to rozumiał; nawet jeśli by to w jakiś sposób pochwalał, czy chciał pochwalić, bo myślałby przy tym o samym sobie i to by zabawiło jego próżność. I to jest właśnie to biedne, rozpaczliwe i niezmiennie kurewstwo kobiet; moje i wszystkich innych kobiet świata, śpiących czy płaczących o tej godzinie. Zasnęła i nie słyszała jak o czwartej rano — nie zbudzony przez nikogo, cichy — ubrał się i wyszedł z pokoju i wsiadłszy do wynajętego jeeпа — odjechał pustą o tej porze ulicą, odprowadzony obojętnym, nic nie widzącym wzrokiem tych dwojga siedzących teraz pod ścianą — a znów byli to dwaj młodzi chłopcy w białych koszulach i czarnych, obcisłych spodniach, wyglądający na statystów grających w jakiejś

sztuce; na dwu z wielu tak samo ubranych statystów — i nucających swoją gardłową pieśń. Tak minął dzień i noc następna; i dzień następny, po którym wrócił wieczorem; poszli gdzieś jeść a potem wrócili do tego pokoju, który nie wydawał się już tak pusty jak zazwyczaj, gdyż leżała tam już jej torebka, i pończochy i parę drobiazgów, które wypełniały jakoś tę pustkę ale wносиły niepokój, pośpiech, coś czego nie znosił i co mu wyraźnie przeszkadzało chociaż nie powiedział jej tego — zaczęli wcześniej swoją noc; żyjąc i kochając się w wściekłym, niemy nieomal pośpiechu a ona myślała wciąż — kiedy znów minął dzień i noc, i kiedy nad ranem usłyszała warkot jego starego jeepa: „Powiem mi to. Kiedyś będzie musiał mi to powiedzieć. To co mi przyrzekł powiedzieć, kiedy już będzie wolny”. Trzeciego dnia rano kiedy wychodził — cicho jak zwykle, z tą swoją drażniącą bezszelstnością, zatrzymała go. Stał już w progu; już w pół obrócony, z wyrazem zniecierpliwienia, pośpiechu który pojawiał się nagle na jego twarzy w ciągu tych ostatnich paru dni.

— Nie możesz mi jeszcze tego powiedzieć? — zapytała.

— Nie — powiedział. — Jeszcze nie.

— Tak — powiedziała. — Dobrze. Nie mów nic. Ale ja ci powiem. Może powiem ci to właśnie wtedy, przypomnę ci tylko, kiedy będziesz wychodzić z tego pokoju. I kiedy będzie ci się spieszyć tak jak i teraz. Powiem ci to, co myślę teraz i co myślę zawsze kiedy jesteś i kiedy cię nie ma.

Nie ruszył się od progu. Stał tam patrząc na nią siedzącą teraz nago na łóżku; na jej drobne kruche ręce, małe piersi i mocne nogi o szerokich udach; i brzuch na którym nie było ani grama tłuszczu, ani jednej fałdy — nawet teraz, kiedy siedziała oparłszy podbródek o kolana. Nie zrozumiała od razu; dopiero po chwili kiedy dostrzegła wstyd na jego twarzy; wtedy przykryła się prześcieradłem.

— Może będzie lepiej dla ciebie — powiedział — jeśli zaczekasz na mnie gdzieś w Europie?

— Poczekam tutaj — powiedziała. — I dzisiaj jeszcze kupię sobie nocną koszulę. Najdłuższą jaką uda mi się kupić. I jeśli to możliwe z koronkami.

— Wróć między żywych, Katarzyno — powiedział.

— Idź już — powiedziała. — Jest już po czwartej.

Popatrzył na nią przez chwilę; wciąż pół obrócony, zatrzymany; w geście pośpiechu i zniecierpliwienia; a potem uśmiechnął się do niej i wyszedł. Teraz słyszała tylko oddalające się jego kroki; jego stopy mocno i cicho uderzające o kamienne stopnie progów; w równych, niezmiennie powtarzających się odcin-

kach czasu — a potem, już usypiając, usłyszała warkot samochodu w jasnej, twardej ciszy poranka.

Wystrzelili mu raketę; wiązkę białych iskier żyjących krótką chwilę na niebie i Abakarow spojrział na zegarek. Była godzina piąta: duża wskazówka tkwiła pośrodku dwunastki i zapewne tak samo wyglądał w tej chwili zegarek majora Stana który stał na skraju pola z raketnicą w ręku. Abakarow wychylił głowę i widział swój cień płynący w tyle poza samolotem; niewidoczny już z pozycji siedzącej — płaski i ostry cień jednopłatowca, biegnący po zielonym polu, które było jeszcze przed rokiem pustynią i lotnym piaskiem wyglądającym z wysokości jak sen o księżycu; z wysokości sześciuset metrów, na które nie wchodzili prawie nigdy — teraz już widział młyny Beigera unoszące powoli pióropusze wody; buldozery i ludzi pracujących przy wymierzaniu pola; widział także wojskowego jeepa z karabinem maszynowym, wymierzonym w stronę granicy, który miał chronić robotników przed atakiem; i dwa białe samochody UN które przywiozły tu dziś rano żołnierzy kanadyjskich i kanadyjską whisky, o której tamci mówili czułym, zachrypniętym głosem: *The Holy water*. Potem znów rakietka wzniosła się ku górze; znów rozsypała się wiązka zielonych iskier a wtedy odprowadził w tył manetkę gazu i położył ręce na sterze czując tylko jedno, krótkie i silne uderzenie, którym przyjmowała go zawsze ziemia.

— Hallo, majorze — powiedział do tamtego, stojącego przed barakiem z raketnicą w ręku. — Nie było dzisiaj chyba źle.

— Czy powiedziałem panu kiedy, że było źle — rzekł tamten. — Chyba pan ode mnie tego nie słyszał. — Szli obok siebie i Abakarow ściągnął przeпоconą koszulę. — Jeszcze jedno — powiedział tamten. — Może pan każe przynieść sobie kolację do mnie, do biura. Nie myślę, żeby kantyna była dla pana czymś przyjemnym. Oni muszą się z powrotem do pana przyzwyczaić.

— Nie — powiedział Abakarow. — Nie muszą tego wcale. Ani dziś, ani jutro. Tak długo, jak będą żyli.

— Nie chciałbym awantur na lotnisku — powiedział tamten.

— I nie będzie pan ich mieć — powiedział Abakarow. — Proszę mi zaufać.

— Oczywiście, że panu ufam. Ale znam pana. I znam także tamtych. Chciałem panu oszczędzić przykrości, to wszystko.

— Tak — powiedział. — Dziękuję. To naprawdę w po-

rządu z pana strony. Ale nie pogniewa się pan na mnie, jeśli pójdę do kantyny.

— Pan wie, co pan robi — powiedział tamten. — I zawsze pan chyba wiedział, Abakarow. — Spojrzał na zegarek i znów nabił raketnicę. — Przepraszam — powiedział. — To rąbie jak armata. — Uniósł w górę rękę; chude, brązowe ramię staro człowieka, które odskoczyło bezsilnie w tył szarpnięte od rzutem raketnicy.

Wszedł do kantyny a wtedy głosy ich zamarły; uciszyli się nagle jedząc ze zdwojonym pośpiechem i starając się nie patrzeć na niego — idącego powoli przez salę z mokrą koszulą w rękę, z papierosem którego dym przekreślał jego twarz, teraz aktorsko spokojną i aktorsko nieprawdziwą kiedy stał już przy okienku a bufetowy nakładał mu na talerz *corned-beef* i nalewał kawę do kubka przenosząc spłoszone spojrzenie z twarzy Abakarowa na twarze tamtych. Wtedy się odwrócił; szybkim, krótkim spojrzeniem obrzucił stół obok którego nie stały krzesła a tylko ława przysunięta do ściany; ława na której mogło siedzieć dwunastu ludzi, a na której siedziało tylko czterech w momencie kiedy wszedł tutaj jako ostatni z nich, gdyż zawsze lądował ostatni nie lubiąc, żeby na to patrzyli — i wtedy siedzieli blisko siebie a teraz rozparli się nagle, z łokciami na stole, nie pozostawiając ani odrobiny miejsca dla niego, stojącego z talerzem gorącego *corned-beef*'u w jednej i kubkiem kawy w drugiej ręce; patrzyli na niego w milczeniu z zimną, urągliwą pogardą a łokcie ich rozsuwały się szerzej i szerzej; tak samo ciała ich pękały od nagłego i gorącego wysiłku zdobycia miejsca i odgrodzenia się od niego. Więc kiedy wyszedł już, tylko ten młody lotnik spojrzał w okno i widział go siedzącego na piętach i jedzącego z talerza, który ustawił na dwóch zestawionych ceglach podczas gdy w lewej ręce wciąż trzymał kubek z gorącą kawą a mokra koszula leżała na jego ramieniu. Wstał nagle i gwałtownie; z wściekłością o którą nie podejrzewali jego młodej twarzy i tęgiego, nieruchomego ciała i wzięł ze stołu swój talerz.

— Nie mogę się z tym zgodzić — powiedział. — To jest w końcu tylko głupie. I nawet nie wiecie, jak to tam dokładnie było.

— On wie — powiedział któryś. — Abakarow wie.

— Nie po to tu przyjechałem — powiedział. — I nie po to się biłem o ten kraj. Nie. Nie po to.

— Idź i usiądź koło niego — powiedział któryś.

— Tak właśnie zrobię — powiedział trzęsąc się z wściekłości. — Tak właśnie zrobię. Pójdę i usiądę koło niego.

— Joram — powiedział ktoś ostrzegawczo a wtedy odwrócił się ku niemu uderzając swoim ciężkim ciałem o kant stołu i rozlewając im kawę.

— Zamknij się — powiedział. — Zamknij się ty skurwysynu.

Wyszedł; zatrzasnął drzwi poza sobą; kopnięciem przysunął sobie cegły poniewierające się po placu i usiadł koło Abakarowa.

— Tylko niech pan nie mówi, że nie życzy pan sobie mojego towarzystwa — powiedział wciąż jeszcze dygocząc; musiał obetrzeć zgęstniałą nagle ślinę w kącikach ust. — Tylko niech pan mi tego nie mówi. Niech panu to nawet do głowy nie przyjdzie.

Nie spojrział nawet na niego. Jadł dalej słysząc jego przerywany, zdyszany głos i dzwonienie kubka o zęby. Skończył potem i odstawił talerz i kubek; zapalił papierosa a zapalniczka tamtego o sekundę za późno trzasnęła przed jego twarzą.

— Wracaj pan do kantyny — powiedział nie patrząc na niego; na dygoczącą zapalniczkę, której płomyk palił się jeszcze. — Można człowiekowi obrzydzić życie, jeśli się tego naprawdę chce.

— Joram — powiedział tamten. — Nazywam się Joram. Proszę tak do mnie mówić, Abakarow. Jak panu właściwie na imię? Nie chciałem tamtych pytać o to.

— I dobrze pan zrobił — powiedział. Wstał; pochylił się ku niemu opierając ręce o łokcie a wtedy tamten zobaczył jego przeraźliwie jasne, nieco skośne oczy; zbyt jasne, jakby w nich zniszczono światło i blask, i tylko tęczołki zachowały dawny, zielony kolor, który widział teraz, kiedy ciężkie i ciemne ciało pochyliło się ku niemu w cieniu; o godzinie szóstej wieczorem kiedy trwał jeszcze blask słońca; jego wspomnienie podczas gdy słońce zeszło już w wodę; w daleką i ciemną wodę o której myślał jak dziecko że jest zimna i do której tęsknił jak dziecko. — I po co panu moje imię, przyjacielu — powiedział Abakarow. — Dlaczego pan chce wiedzieć jak się nazywam i kim jestem. To niepotrzebne. Pan się chce nauczyć czegoś o drugim człowieku, tak jak i ja tego chciałem. Wtedy, kiedy jeszcze nie wiedziałem ile to kosztuje. Nie. Pewnego dnia może się zdarzyć, że zwalę się i spłonę jak kupa szmat, a pan będzie na to patrzeć własnymi oczyma i mimo to trudno będzie panu w to wierzyć. A potem będą pana pytać i będzie pan musiał mówić albo przeciwko sobie, albo przeciwko mnie i będzie pan przy tym cierpieć. Ale mnie to już ani nie pomoże, ani nie zaszkodzi. Więc po co mnie pan pyta. W tym zawodzie nikt nie ma za dużo czasu, żeby się czegoś porządnie nauczyć, ale niech pan się nauczy przynajmniej

jednego. Niech pan nie wierzy w to, w co zawsze wierzą żołnierze i więźniowie. Że niebezpieczeństwo zbliża ludzi i łączy ich. Tak nie jest. To wymyślili tylko generałowie i inne kanalie, żeby ludziom było łatwiej umierać. Ale mimo to wcale nie jest łatwiej. A pan jest za młody, żeby o tym myśleć. I proszę, niech pan o tym nie myśli. Ani o tym, ani o mnie. I proszę do nich wrócić.

Odrzucił papierosa i odszedł; poszedł wprost do baraku w którym mieściło się biuro a człowiek zwany majorem zapytał go:

— Czego ten mały chciał od pana?

— Tego, czego i ja bym się chciał dowiedzieć, gdybym miał jeszcze raz dwadzieścia lat — powiedział Abakarow. — Tego, czego nie powinien wiedzieć. To śmieszny mały. Ale będzie chyba dobrze latać. Kiedyś, kiedy się już nauczy, że ze wszystkich rzeczy na świecie samolot najmniej nadaje się do latania.

— Ale on pana naśladuje — powiedział tamten. — To niedobrze. Widziałem go dzisiaj jak lądował... chyba ze trzy razy. Zdaje mi się, że oprócz niego tylko pan tak potrafi.

— Izaak potrafił — powiedział Abakarow. — Izaak mógłby siadać na lotniskowcach. Ja się tego od niego nauczyłem. Jeśli to w ogóle umiem.

— Umie pan — powiedział major Stan. Podał mu papierosa; Abakarow zapalił a tamten powiedział do niego: — Będę miał chyba do pana prośbę. Mam defekt pływaka karburatora w jednej maszynie. To znaczy mechanik tak przypuszcza, bo przy przechyle silnik zaczął kaszleć i nie mogę tej maszyny puścić do pracy, dopóki nie będę wiedział o co chodzi i czy to naprawdę tylko pływak. A nie myślę, żeby to się dało załatwić jutro przed południem, bo ten mechanik jeszcze nie wie, w którym miejscu jest karburator a już na pewno nie wie, po co tam się w ogóle znajduje. Czy mógłby pan teraz położyć się spać a zacząć jutro od trzeciej rano?

— O trzeciej nie będzie jeszcze słońca — powiedział Abakarow.

— Właśnie dlatego proszę pana o to — powiedział Stan. — Pana a nie tamtych.

— Słuchaj pan — powiedział Abakarow nachylając się ku niemu. — Oni mnie nic nie obchodzą. Ani oni, ani to co o mnie mówią. Ale oni będą się wściekać na pana, że to akurat ja.

— A mnie akurat o to chodzi — powiedział Stan. — A mnie właśnie o to chodzi, żeby tamci grzecznie poczekali na słończko. I żeby patrzyli na pana i żeby ich krew zalewała. A jeśli któryś z nich wsiądzie do maszyny przed piątą, to zawie-

szę go w lotach na miesiąc. Za trzy dni muszę skończyć to pole. A potem polecimy dalej.

— Tak — powiedział Abakarow. — Dziękuję panu. Ale nie wierzy pan chyba w to, że tamci będą mnie więcej lubić za to.

— Nie.

— Dobrze — powiedział Abakarow. — Jeśli dostanę osobny pokój i jeśli pozwoli mi pan zatelefonować.

— Niech pan dzwoni, proszę — podsunął mu aparat a potem krzesło. — Proszę usiąść. Przepraszam, że zapomniałem pana poprosić.

— Dziękuję, panie majorze — powiedział Abakarow. Wykręcił numer i powiedział do telefonistki: — Panią Rodgers.

— Pani Rodgers nie ma w hotelu — powiedziała po chwili. — Czy mam coś przekazać?

— Proszę powiedzieć, że będę spał dzisiaj na lotnisku — powiedział Abakarow. — I że wrócę dopiero jutro wieczorem.

— Pana nazwisko, sir? — zapytała.

— Wystarczy jeśli pani powie, że będę spał na lotnisku — powiedział i odłożył słuchawkę. Wstał; mokrą koszulę trzymał wciąż jeszcze w ręku.

— Rozumiem pana — powiedział cicho. — To nie chodzi o te dwie godziny bez słońca. Pan mi daje szansę. Pan chce, abym mógł im pokazać, że jestem od nich wszystkich lepszy. Nawet wtedy, jeśli muszę jeść siedząc na cegłach przed kantyną. I nawet wtedy, jeśli nikt z nich nie chce ze mną mówić.

— Ja chcę z panem mówić — powiedział Stan. — I ja jestem szefem tego lotniska. Dziwi to pana?

— Co?

— Ze po trzech latach może pan mówić ze mną? Tylko ze mną?

— Nie — powiedział Abakarow. — Wiedziałem o tym. Przez całe trzy lata. A teraz pójde się chyba wykąpać. To mi dobrze zrobi przed snem. Mam starego jeepa, za godzinę będę z powrotem. Czy mogę poprosić o klucz od pokoju?

— Czy pozwoli pan, że pojadę z panem? — zapytał tamten podając mu klucz. — Chciałbym z panem pomówić, jeśli pan się zgodzi. — Podeszedł do tablicy i napisał na niej kredą:

„Pierwszy 'J-3' — Abakarow o godzinie trzeciej rano. Następne maszyny po wschodzie słońca w odstępach dziesięciminutowych”.

Sam stał przy tablicy i powtórzył głośno:

— Właśnie po wschodzie słońca. Ale ani odrobinę wcześniej, moi bohaterowie kantyny. Zastrani bohaterowie przestworzy, latający na maszynach po dwa tysiące dolarów.

Nie patrzył teraz na niego; — patrzył na brudną koszulę trzymaną w opuszczonej ręce i starał się myśleć o jego twarzy nie widząc jej, nie patrząc na nią — chociaż stał o krok od niego; pięćdziesięciosiedmio, może ośmio-letni człowiek o wąskiej czaszce, chudym ciele i twardym spojrzeniu, który patrzył teraz na niego przygotowując się do wytrzymania jego spojrzenia i do wysłuchania jego odpowiedzi; ale on patrzył tylko na swoją brązową rękę w której nie trzymał niczego poza przepoconą, kiepską koszulą a ramię jego zwisało ciężko jakby trzymał lub podnosił ciężar przed którym mogłoby się bronić jego ciało.

— No więc jak tam, Abakarow — zapytał. — Pojedziemy sobie pogadać?

Wtedy usłyszał swój głos do którego nie przyznawało się ani jego ciało, ani jego dusza: — Oczywiście panie majorze. To będzie chyba dobre dla nas obu.

— Niech pan mi zrobi tę przyjemność i mówi ze mną po rosyjsku — powiedział tamten kiedy siedzieli już w jeepie i kiedy jechali przez pole ku drodze wiodącej w morze. — Nie ma pan pojęcia jak ja lubię ten język. Niech pan posłucha, to Lermontow: *A żyżń kak pasmotrisz z chałodnym wnimaniem wokrug; takaja pustaja i głupaja szu'ka. I gody uchodit' samyje, łuczyje gody i ruki nikamu...* Jak tam dalej, pamięta pan?

— Nie bardzo — powiedział Abakarow. — Ale chyba pan coś pokręcił.

— Nie lubi pan swojego języka?

— Nie potrzebuję go — powiedział. — Chciałbym mówić po angielsku tak jak pan. Potrzebny mi ten język. Mam kobietę, która mówi tylko po angielsku i muszę z nią gadać.

Wjechał na plażę; zatrzymał wóz i wysiedli zdjawszy z siebie ubrania. Nie było tu prawie nikogo; stały tylko te dwa samochody UN które widział już dzisiaj z góry i żołnierze kanadyjscy — brązowi i lśniący od wody — siedzieli na plaży wrzeszcząc i pijąc swoją *Holy water*.

— Napije się pan? — zapytał Stan. — Dlaczego mielibyśmy patrzeć tylko na tamtych?

Podał mu płaską butelkę; Abakarow wypił połowę i podał jemu a on także wypił na raz połowę tej płaskiej, niewielkiej butelki chociaż nie przyszło mu to z łatwością. A potem butelkę zabrała fala.

— Myśli pan jeszcze o tamtym?

— Nie uwierzyłby pan przecież, gdybym panu powiedział że nie — rzekł Abakarow. — I chyba on by o mnie też myślał.

— Tak — powiedział. — Rozumiem. Ale nie można było inaczej. Z panem nie można było wtedy rozmawiać, Abakarow. Pan strzelał do mnie z czterech kroków i nie trafił pan. A wyrąbał pan cały magazyn. To panu chyba wystarczy, aby uwierzyć, że nie można było z panem gadać. — Uśmiechnął się. — Nie myślę, żeby pan chybił dzisiaj — powiedział. — Gdyby panu przyszła ochota rąbnąć do mnie z pistoletu; do faceta który stoi o trzy metry przed panem. Nie, nie myślę.

— I po co o tym mówić — powiedział Abakarow; niechętnie, jakby z odrazą. — Przeszło. Dajmy mu spać. Nie mówmy o nim. On też nie lubił dużo mówić. Proszę mi wierzyć.

— A jednak — powiedział tamten. — Pomówmy ostatni raz. Chciałbym, żeby mi pan uwierzył, że nie mogłem inaczej. I chciałem, żeby pan wrócił jeszcze kiedyś do latania. I musiałem bronić interesów firmy. Nie będę o tym wspominał, że jestem stary, mam dwoje dzieci i nie znam ani tego kraju, ani tego języka. A pan też już nie był młody. Miał pan wtedy prawie czterdzieści lat. I co z tego, że zachowałby pan licencję? Licencja to tylko świstek papieru. Lotnikowi potrzebny jest jeszcze samolot żeby zarabiać i żyć. A pan by już nigdy nie wsiadł do samolotu, Abakarow. Pan dobrze wie, że nie.

— Nie — powiedział Abakarow.

— No więc. Założmy nawet, że poszłoby wszystko na mnie i że ja bym wyleciał z firmy. Bo tak by było, byłem rzeczywiście winien. Ale tym następnym, którego by firma się pozbyła — byłby pan. Bo to nie chodzi już o te maszyny które są nic nie warte i o te altimetry, które nie pracują i które nigdy nie będą pracować. Nie. Bo o tym wszyscy wiedzą. Ale nie trzeba wiedzieć za dużo, jeśli się chce wylatać do renty i mieć potem jeszcze trochę spokoju w życiu. To wszystko. A jemu tak czy owak nie można już było pomóc. Bo jego już nie było. Nie było nawet jego ciała które można by z godnością pochować. Ten człowiek już nie żył. Niech pan pamięta o tym. O to pana proszę. A nie mogłem pana o to prosić wtedy, kiedy pan walił do mnie z pistoletu. I o ile pan pamięta nie wspominałem o tym nikomu. Nikomu z firmy i nikomu z policji. Ktoś z nas dwojga musiał wtedy myśleć i to ja, niestety, musiałem. Nie tylko za siebie. Również i za pana. I nie miałem za dużo czasu; może pół godziny, nie więcej, bo policja była już po pół godzinie na lotnisku. To było zimne równanie. Ale nie umiałem inaczej. A on już nie żył. Nie miał po prostu szczęścia. Ale kto ma szczęście w tym zaszranym zawodzie?

— Tak — powiedzia. Abakarow. — Kto?

Wstał.

— Idzie pan popływać? — zapytał.

— Dziękuję — powiedział. — Nie umiem pływać niestety. To uraz. Kiedyś w dzieciństwie topiłem się i z trudem mnie odratowano.

— Tak — powiedział Abakarow. — Zapomniałem o tym. Mówił mi pan o tym już kiedyś.

— To dziwne — powiedział tamten. — Pan ma taką dobrą pamięć, Abakarow. I pamięta pan nawet takie śmieszne drobiazgi. Bo ja chyba tylko raz z panem chodziłem się kąpać, tylko raz, i teraz to sobie przypomniałem. To było chyba wtedy, kiedy pracowaliśmy niedaleko Genezaret. A jednak nie mogę się oprzeć wrażeniu, że pan się jakoś zmienił. Nie wiem jeszcze na czym to polega. Ale ludzie się w końcu zmieniają. I ludzie, i okoliczności.

— Ludzie — powiedział Abakarow. — Przepraszam. Popłynę trochę.

Wszedł do wody i płynął szybko a tamten patrzył za nim aż do bólu oczu; za jego brązowym ciałem wyskakującym nagle na białych grzebieniach fal i płynącym dalej; wciąż szybko i nieustrudzenie, krótkimi i oszczędnymi ruchami, jakby nie poddając się wodzie a omijając tylko jej opór; potem nie widział go już; Abakarow był już za pasmem przypływu i nie mógł go widzieć; był zbyt stary i zbyt zmęczony aby widzieć daleko; zasnął na chwilę i obudził go cień. Podniósł oczy i ujrzał go stojącego nad sobą; lśniącego od wody i dyszącego ciężko a jego jasna głowa dymiła w ostatnich blaskach słońca; w świetle trwającym w chmurach i w białym, gorącym piasku. Stał nad nim w milczeniu; jego twarz była skrzywiona, napięta; powiedział po chwili patrząc wprost w jego stare oczy i widząc przy tym jego stare, zeschnięte ciało:

— *Ja wam razkażu. Ja wam razkażu kak ludi izmieniajut'sa. Majewo dieda nazywali Kniazem Dagiestana. A patom wziali jewo w tiurmu i dziesiat' liet jewo nie było. A patom pawiernułsa. I moj otiec jewo wstrietił; i drugoje przysli wstrieczat' jewo. I skazali: Twoje zdarowie, Kniaz Dagiestana. A on odwietit: Ja už nie Kniaz Dagiestana. Ani sprosili: A kto ty takoj? A on takda odwietit: Ja tiepier Oriol Dagiestana. Ot, kak ludi zmieniajut'sa.*

Leżący na ziemi patrzył przez chwilę na niego a potem wstał.

— Zimno mi — powiedział. — Za długo leżałem na tym piasku. — Kulejąc doszedł do samochodu i wsiadł z trudem. A potem, na lotnisku, kiedy już wsiadał do swego wozu, powie-

dział: — Chyba zrozumiałem. Nawet nie mogę udawać, że nie zrozumiałem tego. Jest pan dzielnym człowiekiem. — Położył swoje stare dłonie na kierownicy i milczał przez chwilę. — Niech pan nie wyciąga ręki ku niebu, Abakarow — powiedział. — I niech pan nie próbuje czynić czegoś, co należy tylko do Boga. Bóg łamie takie ręce. A jutro proszę zacząć o trzeciej. I niech pan uważa. Tamci pojechali sobie popić. Dobranoc.

— Dobranoc, panie majorze — powiedział Abakarow.

Tamten odjechał a Abakarow poszedł do baraku i położył się spać. Nie spał długo; obudził go szum motoru i ich głosy — skłócone, pijane głosy w którym rozpoznał głos tego młodego chłopca; tak samo pijany i powtarzający wciąż jego nazwisko. Wtedy wstał i wyszedł przed barak ale nie dojrżeli go w pierwszej chwili.

— On nie jest taki — mówił ten chłopiec. — Nie. Nikt nie jest taki. A może jest lepszy od was i lepszy ode mnie.

Wtedy otrzymał pierwsze uderzenie; krótki, twardy cios w głowę i zatoczyli się wszyscy czterej — on i ci trzej w których się wczepił i których pociągnął za sobą na ścianę baraku; był chyba najbardziej z nich pijany i walczył z bezradną, zaciekłą furią ogarnięty czarnym, pijackim dymem spoza którego doskakiwały do niego tamte trzy twarze i ich ręce walące to nieruchome, ciężkie ciało, zbyt słabo jednak aby go powalić od razu. Nie poruszył się; palił papierosa nieruchomy, oparty gołymi plecami o ścianę — gorącą jeszcze i szorstką i widział, że tamci patrzą na niego pomiędzy jednym doskokiem a drugim do tamtego, który już nie walczył a tylko próbował się osłaniać i także widział go, czuł jego obecność. A w końcu jeden z nich — podczas gdy tamci trzymali go z tyłu za ręce — złapał go za włosy szarpnięciem przechylił jego głowę w bok i kantem dłoni uderzył go w szyję a wtedy upadł. Podnieśli go i rzucili pod jego nogi ale nie spojrzął nawet na jego rozbitą, pokrwawioną twarz leżącą w piasku; nie patrzył ani na nich, ani na ich wściekłe zacząjenie kiedy stali przed nim o krok w ciemności paląc się do bójki; zdyszani, zmęczeni jak zawodnicy po biegu.

— Nic z tego nie będzie — powiedział. — Wiem o co wam chodzi. Ale nie. Nie będę się z wami bić. Nie tutaj. A jeśli któryś z was mnie uderzy to po prostu zadzwonię po policję i po szefa a oni już wam powiedzą, że lotnisko jest świętsze od waszych żon i od waszych matek. I nie zabraknie wam czasu, żeby to przemyśleć w spokoju. Tak jak i ja to przemyślałem.

— Ty tchórze — powiedział któryś z nich. — Ty tchórze, ty przekłety skurwysynu. — Podniósł z ziemi garść piachu

i rzucił mu w twarz. Ale nie poruszył się nawet i tym razem; otarł twarz z piachu bez pośpiechu i nawet bez zdziwienia, jakby był od dawna przygotowany, i nie był to nawet gest — jego ciemna dłoń wolno przesuwająca się po twarzy — lecz tylko ruch tak samo naturalny jak ruch dłoni unoszący lub gaszący papierosa; stał dalej z wygasłym papierosem przyklejonym do wargi i wykrzywiającym ją. Nie poruszył się nawet kiedy już odeszli i nie pomógł wstać tamtemu. Patrzył jak chłopak ściąga poszarpaną koszulę i ociera nią krew; a potem podszedł ku niemu trzymając w wyciągniętej ręce koszulę pełną krwi. Uśmiechnął się a jego pełne wargi drgnęły żałośnie.

— Nauczyłeś się wiele w życiu — powiedział. — A jeśli nawet nie wiele, to na pewno tego jednego. Stać i patrzeć jak kończą faceta. Tak jak i wtedy stałeś i patrzyłeś. Nauczyłeś się tego, nie?

— Miałem dobrych nauczycieli — powiedział. Patrzył za nim jak idzie poprzez pusty plac przyciskając ręce do rozbitej głowy i zataczając się w żalostnej resztkę pijaństwa; w ciemnym wietrze który przeszedł; w ostatnich chwilach przemijającej i zwyciężonej furii — a teraz był już słaby, niezdolny do wiary i niezdolny do walki, gdyż był już przekonany; teraz, kiedy już wytrzeźwiał i odrzucił ze wstrętem swoją pokrwawioną koszulę i zatrzasnął za sobą drzwi baraku. Wtedy on także wypaliwszy do końca papierosa, wrócił i położył się spać.

Krótko przed trzecią obudził go jeden z ludzi i stojąc przed barakiem pił z mechanikami gorącą kawę; przekładając z ręki do ręki blaszany kubek i paląc papierosy patrzyli w jasność dźwigającą się na niebo; a potem, po trawie lśniącej jeszcze resztkami rosy poszli do maszyny i ściągnęli zeszywniały od wilgoci pokrowiec silnika.

— Będzie dzisiaj trochę wiatru — powiedział mechanik. — To tak zawsze, kiedy robi się jasno trochę za szybko. Nie wiem dlaczego musiałem wstawać o wpół do trzeciej. Może pan to wie?

— Długo pan tu już tyra? — zapytał Abakarow. Było mu chłodno i musiał okręcić pod szyją rękawy zielonego swetra.

— Całe dziesięć dni — powiedział tamten. — Za stary już jestem, żeby wstawać o godzinie drugiej w nocy. Chociaż podobno starym ludziom nie trzeba wiele snu. Widocznie ja jestem jakiś inny stary. — Wyciągnął do Abakarowa paczkę z papierosami i Abakarow zapalił. — Będę miał do pana jedną prośbę — powiedział mechanik. — Nie zapalałem jeszcze nigdy silnika lewą ręką. Czy zgodzi się pan zapalić silnik a ja wleżę do kabiny i dam kontakt?

— Tak — powiedział Abakarow. — Niech pan włązi, proszę. I niech pan nie włącza kontaktu dopóki nie powiem. Jeśli ten samolot miał kiedyś pomocniczy wtrysk, to mnie przy tym nie było. Przerzucę go parę razy na sucho.

— Jasne — powiedział tamten.

Wszedł do kabiny a Abakarow począł przerzucać śmigłem słysząc jak tłoki pracujące w gęstym oleju ciężko zasysają powietrze; odrzucił sweter, ramię jego pracowało szybko i ten stary w kabynie powiedział wychyliwszy się do niego:

— Siły panu nie brak. Ja też tak kręciłem w pańskim wieku. A teraz już nie mogę. Jeszcze w taki dzień.

— Pewnie — powiedział Abakarow. — Jesteś pan w końcu mechanikiem, nie? A teraz kontakt. — Silnik zaskoczył i tamten wyszedł z kabiny.

— Porządny z pana chłopak — powiedział. — Ci młodzi lotnicy, to już nie to. Nie mają tej siły. Nie potrzebują jej. Do odrzutowców biorą teraz chętniej chłopców małych jak dużych. Dlaczego właściwie?

— Nie wiem — powiedział Abakarow. — Ale muszę panu powiedzieć, że ze wszystkich rzeczy na świecie samoloty akurat najmniej mnie interesują. — Podniósł z ziemi swój stary, zielony sweter, który należał kiedyś, przed szesnastoma laty, do ekwipunku żołnierza Armii Stanów Zjednoczonych i znów okręcił wyrudziałe rękawy wokół szyi. — I jak pan sobie właściwie chce dać radę? — zapytał.

— Z czym?

— Pańska ręka — powiedział Abakarow. — Będzie pan musiał zacząć kręcić lewą. To jest trudne, ale widziałem takich. I co panu właściwie jest?

— Głupstwo — powiedział stary. — Złamałem rękę przed dwoma laty i czasami, kiedy jest wilgoć, boli mnie. Te stare kości nie zrastają się tak, jakby człowiek tego chciał. A może to dlatego, że mieszkamy po prostu zbyt blisko morza. — Podniósł do góry pięść z zaciśniętym kciukiem. — Uważaj pan — powiedział. — Będzie trochę kołysać...

Ale nie czuł kołysania mimo, że w czasie skrętu nad morzem przepadł trochę na wysokości i poderwał maszynę za mocno ściągając do siebie manetkę gazu zbyt szybko; zimny silnik prychnął nie uzyskując przejścia; leciał potem już ponad polem otworzywszy dźwignie uwalniacza proszku, który wszyscy nazywali *spray*; mówiąc o sobie samych *spray-pilots* a o szefie lotniska *spray-monkey* co dziwnie brzmiało przy surowej powadze języka hebrajskiego; a leciał z szybkością siedemdziesięciu mil i na trzech metrach wysokości roztaczając za sobą

ciemno-żółtą chmurę; tak, że kiedy nadciągał chwilami wiatr z lewej strony, od morza, nie widział własnego cienia; patrzył na zegarek wiedząc, że *spray* skończy mu się za pół godziny, gdzieś około czwartej — i za pięć czwarta usiadł na lotnisku tuż po wystrzeleniu rakiety. Było już gorąco; brakowało mu tchu kiedy szedł przez pole do kantyny i otworzywszy z hukiem drzwi, tak, że wszyscy siedzący tam drgnęli nagle, wbiegł z rozpędu do środka — ale nie było go tam. Znow szedł poprzez pole nie ocierając potu spływającego mu grubymi kroplami spod okularów — szkielec osadzonych w cienkie złoto nie dające odbłasku; tych okularów które przez całe prawie trzy lata spoczywały w lombardzie w Haifie i kiedy je wreszcie wykupił kosztowały więcej od nowych; i zobaczył go wreszcie drżące spokojnie w cieniu baraku, który był magazynem paliwa; stary poderwał się z przestachem kiedy stanął nad nim i chwycił go za ramię.

— Czy stało się coś, panie Abakarow? — zapytał.

— Nic — powiedział. Przykleknął na jedno kolano. — Wie pan — powiedział — mam z ręką to samo zmartwienie co pan. Kiedyś jeden Arab...

— Wiem — powiedział stary. — Kiedyś jeden Arab strzaskał panu palce a pan go potem załatwił. On także ma to same zmartwienie, panie Abakarow.

— Tak — powiedział. — Ale chodzi mi o jedno: czy zawsze czuje pan wilgoć, czy zawsze pana wtedy boli?

— Zawsze — powiedział tamten. — Pan tego nie czuje. Pan był młody, kiedy to się zdarzyło. Ale ja mam prawie sześćdziesiątkę. Ja to czuję. I jeszcze jak.

— Więc ja to będę czuł, kiedy będę już stary? — zapytał Abakarow.

— Wszyscy starzy to czują — powiedział tamten. — Ale to nie o to chodzi. Pan tego nie będzie chyba czuł. Pan po prostu nie dożyje do starości. — Chciał się cofnąć, ale ciemna dłoń uchwyciła nagle przegub jego prawej ręki. — Tak — powiedział pośpiesznie stary. — To właśnie tutaj. To był tylko żart, panie Abakarow. Przepraszam pana. To właśnie tutaj. — Lewą ręką podniósł okulary na czoło i patrzył w zmęczone oczy, napełniające się łzami bólu i nie wypuszczał starej, słabej ręki tamtego ściskając ją mocniej i mocniej patrząc przy tym na niego z chłodną, uważną ciekawością czternastolatka, podglądającego kobietę, aż wreszcie stary człowiek krzyknął. Wtedy puścił go i stary odczołgał się na kolanach patrząc na niego z nienawiścią. — To był tylko żart, panie Abakarow — powtórzył.

— Wcale nie — powiedział Abakarow. — Ale może się panu i tak zdawać. A teraz śpij pan dalej.

Znow wystartował i leciał w kierunku morza i tam dopiero — po wysoko i spokojnie wykonanym skręcie, podczas którego nie stracił nic z wysokości — spojrzął raz znowu na pole starając się zapamiętać raz jeszcze wszystko, co widział prawie od tygodnia; dzień po dniu kiedy patrzył na cień swojej maszyny, wędrujący samotnie po wypalanej ziemi, nikły i kruchy niby cień zabawki w rękę dziecka — widział zabronowaną linię granicy, białe samochody UN i karabiny maszynowe po drugiej stronie — po stronie arabskiej — których ryje wymierzone były w Izrael od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego; a potem odprowadził manetkę gazu i stery i zszedł powoli ponad pole lecąc na wysokości sześciu może siedmiu metrów i nie patrzył już na swój cień wynurzający się chwilami spoza żółtej chmury — podciągnął manetkę ku sobie kiedy słyszał już szybkie, równomierne klekotanie karabinu maszynowego; i już wchodząc w skręt — może o pięćset metrów poza granicą — widział żołnierzy arabskich ustawiających we wściekłym pośpiechu karabin maszynowy pionowo ku niemu kiedy przelatywał ponad zabronowanym pasem ziemi; następną serię usłyszał już kiedy był po stronie Izraela i widział zielone rakiety raz po raz wzbijające się w niebo z lotniska i pędzące w chmurze czerwonego piasku białe auto UN. Wtedy znow zrobił skręt ponad morzem i siadając już, widział drugie auto armii Narodów Zjednoczonych pędzące ku lotnisku. Wyłączył silnik i wysiadł z kabiny a ci lecieli już ku niemu; żołnierze UN i mechanik z raketnicą która waliła go po kolanie podczas gdy karabin maszynowy jeszcze wciąż terkotał po tamtej stronie.

— Co jest z panem, człowieku? — zawołał jeden z oficerów. — Czy nie widział pan granicy? Teraz będzie piekło przez cały dzień. Dlaczego naruszył pan granicę?

— Schowaj no pan ten rewolwer — powiedział Abakarow odpychając rękę tamtego. — Może wystrzelić, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa.

— Pan naruszył granicę — krzyczał tamten wymachując wciąż rewolwerem; miał jasną i tak czerwoną twarz, jakby ją szorował ryżową szczotką do paznokci przez dziesięć godzin z rzędu. — Ja pociągnę tego lotnika do odpowiedzialności. A gdyby pana stręcili?

— Nikt jeszcze nie słyszał, żeby Arabowie trafiali, kiedy strzelają — powiedział Abakarow. — Może się pan zapytać każdego w tym kraju. I weź pan ten rewolwer, bo inaczej ja go panu zabiorę. — Tamten schował broń do kabury a Abakarow

kaj laski. Nie dasz rady. Po to wziąłem twoją laskę, żeby blokować nią stery.

I widział już wodę otwierającą się pod nim. Teraz skurczył się, tak, że głowa jego nie wystawała ponad oparcie fotela; ręce trzymał skrzyżowane przed twarzą chroniąc oczy a nogi oparł, wparł z całej siły w tablicę rozdzielczą. Runął w wodę słysząc syk rur wydechowych; a potem widział jeszcze raz niebo — w momencie kiedy samolot przewalał się poprzez śmigło na plecy pokonany oporem wody; i wtedy uczuł uderzenie pasa którym był przywiązany — jak cios boksera odbierający oddech i wzrok. Otworzył po chwili oczy, rozpiął pas i czekał aż woda wypełni kabinę. Potem spojrzął na tamtego; głowa jego uległa zmiażdżeniu kiedy wylatywał z fotela; uderzył głową najpierw o stalowy pręt mocujący przeciwśłoneczną szybę a potem tablicę rozdzielczą. Wypłynął, kiedy woda wyrównała już ciśnienie w kabinie i pływał jeszcze minutę, dopóki nie upewnił się, że samolot osiadł na głębokości dwóch, może dwóch i pół metra — i o pięć metrów od wyrzuczenia, na którym można było siadać. A potem siedział tam; na suchym gorącym piasku i patrzył na motorówkę płynącą szybko ku niemu.

— Bo nie mogłem inaczej — powiedział głośno do siebie. — Bo mógłbym tylko wyłączyć motor; po prostu wyłączyć silnik a wtedy rzuciłby się na mnie i wtedy byłyby jakieś znaki. Więc nie mogłem mu tego wcześniej powiedzieć. Nie. — Patrzył na posępne widmo samolotu wyglądające z czystego dna. — To ta fala — powiedział. — To ta fala, która zrzuciła mnie w bok kiedy chciałem siadać. Ale tego już nie mogłem przewidzieć. Chciałem tylko jednego: ratować maszynę. No i nie chciałem zabić nikogo na plaży. A nie miałem już czasu, żeby wymyśleć coś lepszego. Tak jak i on nie miał wtedy czasu. I to jest właśnie to jego zimne równanie. — A potem siedział już w motorówce; zupełnie nagi a jeden z mechaników ścigał spodnie, aby mu je podać, zerkając przy tym bojaźliwie na zwłoki leżące między nimi. — Będzie można wyciągnąć — powiedział do nich. Trzeba zamówić ze dwa, albo ze trzy pontony i wszystko będzie w porządku. Wyciągniemy. — Potem już, leżąc w łóżku i usypiając powiedział: — Nawet nie rozpiął pasa. Nie dlatego, że nie mógł. Dlatego, że wiedział. Wiedział, chociaż mu dałem czas. Całe szczęście, że ja mu ten pas rozpiąłem.

O godzinie dwunastej zadzwonił telefon i Katarzyna powiedziała Andersonowi żeby wszedł. Schudł trochę; był opalony i wyglądał nieźle.

— Pojeździłem sobie trochę po tym kraju — powiedział usiadłszy w fotelu; w pozycji jak najwygodniejszej jakby mu dana była jakiś specjalna umiejętność przystosowywania wszystkiego na czym siadał i o co się opierał do kształtu swego ciała; i pomyślała sobie, że właściwie to on powinien być pierwszym człowiekiem w kosmosie; wtedy siedziałby lub leżałby wygodnie w kabine i patrzyłby na oddalający się świat swoimi zimnymi oczyma, którymi potrafił tak dobrze oceniać i obliczać; i pewnie oddalający się, malejący świat nie zyskałby nic pochlebnego w tych oczach patrzących na nią; na jej twarz zmęczoną teraz bardziej niż kiedykolwiek miłością i upałem. — A teraz wyjeżdżam — powiedział. — Wyjeżdżam za dwa dni. Przeczytałaś tę historię, Katarzyno?

— Tak — powiedziała nie patrząc przy tym na niego.

— No — powiedział. — Cieszę się, że potrafisz kłamać z takim wdziękiem. To znaczy, że wszystko z tobą na razie dobrze. Ale będziesz musiała to przeczytać. Wpadnę tu jeszcze przed wyjazdem. A za tydzień musisz być w Europie, Katarzyno. Nic na to nie mogę poradzić.

— Za tydzień?

— Tak, za tydzień. To naprawdę wszystko, co mogę zrobić. Nie upieraj się przy paru dniach. Może ten chłopak poleci za tobą. Może się wreszcie omyliłem. Chciałbym, żeby tak było. W każdym razie...

— Wiem — powiedziała. — Nie bój się, nie zrobię ci żadnego kawału. Będę za tydzień. Zamówię sobie jeszcze dzisiaj bilet.

— No więc — powiedział. — To by było właściwie wszystko. I jeszcze jedno: uważaj teraz z tymi facetami z gazet. Nie rzucaj w nich szklankami, ani nie strzelaj. Nie zrób nic takiego, co mogłoby ich rozwścieczyć. Przedtem ja się wygłupiałem za ciebie, teraz ty będziesz musiała sama sobie z nimi dawać radę. Przykro mi, że muszę cię o to prosić.

— No — powiedziała. — Jakoś to chyba będzie.

— Tak — powiedział. — A teraz stąd pójde. Chciałem ci kupić parę kwiatów na pożegnanie, ale wszystkie były do niczego. Obiecali mi wieczorem. I wieczorem dostaniesz swoje róże. Wszystko będzie tak jak trzeba.

— To wcale nie było potrzebne — powiedziała. — To tylko dlatego, że wydaje ci się to jakoś dowcipne. Ale mnie wcale nie jest wesoło. Nie jest mi wesoło, chociaż cię nie Kocham. Więc i róże nie będą chyba potrzebne.

— A jednak — powiedział. — Chyba się nauczyłem czegoś tutaj. I będę się upierał przy tych różach na koniec romansu.

I będę się chyba upierać od dzisiaj przy wszystkim głupim i nieważnym. Tak jak i ci ludzie tutaj, którzy uparli się przy swoim ubiorze, przy swoim jedzeniu i przy tych wszystkich rzeczach, które nie budziły sympatii w Europie. Ale oni przetrwali. Może właśnie dlatego, że mieli odwagę aby uprzeć się przy tym wszystkim co dla innych było śmieszne i nieważne. — Wstał z fotela i podszedł do okna. — To ta odwaga o której się nic nie wie — powiedział. — Ta odwaga, aby uprzeć się przy czymś co dzisiaj jest śmieszne a jutro może być straszne. Jechałem tutaj statkiem i widziałem jakichś Żydów, którzy wrzeszczeli na stewardów, że chcą tylko koszerne jedzenie chociaż to był grecki statek i ci Grecy patrzyli na nich z wściekłością kiedy tamci jedli przez pięć dni tylko winogrona i chleb. To nie było i dla mnie przyjemne. Ani chyba dla nikogo z pasażerów nie Żydów. Bo była to jakaś chęć odizolowania się od innych ludzi, odróżnienia się od innych ludzi a tego nikt nie lubi. Ale teraz rozumiem ich. — Odwrócił się ku niej i znów patrzył na szczęśliwą, zmęczoną twarz mrużąc przy tym oczy. — Więc i ty dostaniesz róże, kochanie — powiedział. — Przykro mi, że nie stać mnie na zimną stal sztyletu, ale przecież muszę zrobić ten film dla ciebie.

— Anderson — powiedziała. — Nie mów tak. Bo mimo wszystko jest mi przykro.

— I mnie jest przykro — powiedział. — Za stary jestem na to, żeby się jeszcze raz zakochać. I zdaje się, że nie potrzebuję już miłości. I to jest śmieszne, bo przecież jestem zakochany. A teraz chciałbym już pójść. Boję się, że nie mam nic do powiedzenia. Ani jednego ważnego słowa.

— Tak — powiedziała. — Idź już. Chciałabym, żeby było ci dobrze.

— Ależ naturalnie — powiedział. — Będzie mi dobrze. Wierzymy przecież w to oboje. Ty i ja. — Wziął swoją marynarkę która leżała starannie złożona na poręczy fotela. — Wpadnę tu jeszcze po swoją walizkę — powiedział. — I przeczytaj koniecznie tę hecę.

— Przeczytam — powiedziała.

Wyszedł przed hotel; dał portierowi funta i portier poszedł sprowadzić na parking jego samochód. Stał w pełnym świetle patrząc na ludzi powracających z plaży; opalonych, brązowych o włosach wyblakłych od słonej wody i słońca; jakaś dziewczyna przystanęła obok niego i zapytała go czy umie mówić po francusku.

— Tak, mademoiselle — powiedział. — Byłem tam przez parę lat.

— Czy nie wie pan czasem gdzie jest przystanek autobusu? Jestem tu dopiero od wczoraj.

Wy tłumaczył jej a potem patrzył jak idzie szybko przez ulicę; młoda, dwudziestoletnia dziewczyna, której nie potrzeba jeszcze niczego prócz kolorowej sukienki i odrobiny słońca, żeby się w niej zakochać i żeby za nią pójść dokąd i ona idzie. Ale nie miał już dwudziestu lat i nie chciało mu się uczynić ani kroku; wciąż stojąc w pełnym słońcu czekał na portiera który zagubił się gdzieś na parkingu; i jeszcze raz pomyślał o tych kobietach, które spotkał i o tych kobietach przy których mógł zostać, mieć dzieci i być zdrowym człowiekiem; zdrowym mężczyzną, który lubi dobre książki i dobre jedzenie i trochę alkoholu od czasu do czasu. Pomyślał o tej dziewczynie, z którą żył przed wojną i do której przychodził tylko wieczorem i tylko wtedy kiedy był pijany i rano odchodził mówiąc, że przyjdzie wieczorem na pewno, ale przychodził po miesiącu, albo po dwóch; aż pewnego dnia ta dziewczyna zaczęła prać jego rzeczy — tak, że musiał czekać cały następny dzień aby wyschły i aby je wyprasowała; i w ten sposób miała go o parę godzin dłużej dla siebie. Ale nie rozumiał tego wtedy; rozumiał to dziś, kiedy miał dosyć pieniędzy aby być porządnie ubranym i spać w hotelu kiedy jechał przez obce miasta. Nie rozumiał jej i nie rozumiał innych; tej którą poznał na zaręczynach swego kolegi jako jego narzeczoną, a która poszła z nim spać tej samej nocy zostawiając tamtego, jego i jej rodziców; a potem matka tej dziewczyny prosiła go, żeby pisał do niej listy, że ją kocha bo zaczęli bać się o nią; ale nie napisał tego listu; nie poszedł za nią; poszedł za tą jedną — a teraz nie miał dzieci, ani domu i nie chciało mu się ani czytać, ani próbować czegoś, co mogłoby być naprawdę ryzykowne; wciąż stojąc i czekając na durnia-portiera wiedział już, że jest za stary i za leniwy, żeby przemyśleć to wszystko jeszcze raz i od początku, i że nie uczyni tego nigdy. Twarz jego była pełna niechęci do podjętego wysiłku kiedy sięgnął ręką do górnej kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd fiolkę z nitrogliceryną: rozcierał ją obcasem a chusteczką — jedną z nieprzebranych tuzinów figlarnych, batystowych chusteczek nadających mu wyraz staroświeckiego lowelasa — wytarł ręce i wsunął ją do kieszeni spodni. Raz jeszcze przejechał obcasem po okruchach zgrzytającego szkła; potem wszedł do wozu i odjechał.

Zatrzymał wóz przed stacją benzynową; ale tym razem nie trąbił już i nie czekał. Wyszedł z wozu; przeszedł obok dwóch leżących żebraków i zaraz go znalazł — chłopiec siedział w cieniu i jadł bułkę z wędliną.

— Wszystko wiem — powiedział Anderson. — Jest gorąco i źle się czujesz, ale będziesz musiał umyć mi wóz, synu. I jeszcze zmienisz mi olej w silniku, w skrzyni biegów i w dyferencjale. A potem przesmarujesz mój wóz — łożysko po łożysku i ja to dokładnie sprawdzę. Tak, kochanie. Życie ma również swoje cienie i będziesz musiał się z tym pogodzić. — Wyrwał mu z ręki bułkę i pożarł ją w dwóch kęsach a chłopiec patrzył na niego. — Do roboty — powiedział Anderson. — Ale już.

— To potrwa przeszło godzinę, szefie — powiedział chłopiec. — Będzie pan czekać na tym słońcu?

— Nie, kochanie — powiedział Anderson. — Pójdę do tej restauracji na rogu i będę pił kawę a od czasu do czasu podejść sobie do okna i spojrzę jak ci idzie. Ale to ładnie z twojej strony.

— Ta restauracja jest zamknięta, szefie — powiedział chłopiec z triumfem. — Była jakaś przykra sprawa z właścicielem. Bił własnych gości.

— Więc może jest tu jakaś inna — powiedział Anderson. — Mogę sobie zresztą pospacerować.

— Jak pan chce, szefie — powiedział chłopiec.

— Ej — powiedział nagle Anderson. — Czy nie mówiłeś czasem o jakichś dziewczynach tutaj? O jakichś dziewczynach, które mieszkają koło szkoły sportu?

— Nie — powiedział chłopiec. — To był mój brat, bliźniak. Ale zapytam go o to. — Złapał zwiniętego w kulkę dolara i powiedział: — Widzi pan ten dom? To na drugim piętrze. Tam są zresztą tylko jedne drzwi. Proszę powiedzieć...

— To już zostaw mnie — rzekł Anderson. — Już powiem to, co trzeba. I nie bój się o to, będę taktowny.

— Tak, szefie — powiedział chłopiec.

Przeszedł przez ulicę; wszedł na drugie piętro i zapukał ale nikt nie otwierał. Słyszał tylko radio: dźwięk gitary i ryk Presley'a; zapukał znów i jakaś dziewczyna otworzyła drzwi.

— Fred — powiedział Anderson. — Hallo, kochanie. Nie pamiętasz mnie? Nazywam się Fred. Ostatni raz byłem w niebieskim garniturze.

— Fred — powiedziała. — Wejdz, proszę. — Poszedł za nią korytarzem; weszli do pokoju i Anderson pomyślał, że film zrobił i tutaj swoje — w tym starym, arabskim pokoju stał olbrzymi, nowoczesny tapczan ustawiony i zasłany poduszkami według wzorów, które światu nieodwołalnie i despotycznie narzucił Hollywood; na tapczanie nie brakło nawet japońskiej lalki; story były zasłonięte, na stoliku płonęła lampka, której abażur obklejony był nalepkami ze szkockiej whisky, które jakiś idiota pracowicie zdierał ze szkła dopomagając sobie ciepłą wodą. —

Hallo, Fred — powiedziała niskim i zachrypniętym głosem, pożyczonym od jednej z nich; od tych jasnych i głupich i czystych twarzy, którymi oblepiła ściany — napijesz się przecież czegoś. Lubieś brandy o ile pamiętam.

— Dobrze pamiętasz — powiedział Anderson. — Nie mam nic przeciw brandy.

— To ty jesteś ten facet który pływa na tankowcu?

— Tak — powiedział. — Ale nie pływam już na tankowcach. Pracuję teraz w firmie dentystycznej.

— To ciekawe — powiedziała podając mu brandy.

— Bardzo ciekawe — przyznał Anderson. — Z początku żałowałem, że zmieniłem zawód ale teraz jestem zadowolony. To dobra robota jeśli człowiek żyje w portowym mieście. I gdzie są takie knajpy, z których kelnerzy wynoszą zęby koszami.

— A co z twoim kumplem?

— Z tym handlarzem samochodów? Dziękuję, idzie mu nieźle.

— Rozbierzesz się chyba, kochanie — powiedziała. — Dzisiaj jest bardzo gorąco.

— Tak — powiedział. — Ale napijemy się jeszcze po jednej brandy. — Trzymając w ręku ciepłą szklankę rozglądał się po pokoju myśląc, że sztuka zniszczyła to, co było dobre i ważne w ludziach — pragnienie odrębności, chęć stania się innym, potrzebę improwizacji; i że jednak paru cwaniakom, którzy w życiu nie przeczytali dziesięciu książek udało się doprowadzić do tego, że burdel w Casablance wygląda tak samo jak burdel w Rzymie; a teraz nie było już burdeli tylko samotnie mieszkające młode dziewczyny, których pokoje nie różniły się niczym tak jak i one same nie różniły się niczym; paląc, pijąc i opowiadając historię swego nieślubnego dziecka którego ojciec był amerykańskim żołnierzem; i że to jest właśnie ta sprawa, której oddał swoje życie i życie Katarzyny; te tony wyeksponowanego celuloиду i twarze tych wszystkich straszliwych dziewcząt i pięknych mężczyzn amerykańskich jaśniejące ponad głowami ludzi wpatrzonych w nie i czekających na słowo Boga, które mogło się rozlec w charczących głośnikach pomiędzy jednym a drugim dialogiem kochanków, lub między szwargotem gangsterów. Wypił swoją brandy i odstawił szklankę na stół. — Tak — powiedział.

— To jeszcze najlepsze w taki upał.

— Zrób sobie jeszcze coś do picia, Fred — powiedziała. — Zaraz wrócę.

Odeszła; przeszła obok niego unosząc zapach dobrej ale taniej wody kolońskiej, która uchodziła tu zapewne za perfumy — tak jak i ten straszliwy tapczan z japońską lalką żywcem

przeniesiony z amerykańskiego filmu, którego producenci płacili fałszywymi czekami — uchodził tu zapewne za symbol mieszczańskiej rozpusty; i pewnie ona — nie różniąca się niczym od tanich, ładnych dziewczyn z Paryża czy Genui uważała się sama za coś niepowtarzalnie nieszczęśliwego; i pewnie mówiła to wszystkim tym, którzy przeżywali tu krótkie chwile rozkoszy; i pijąc trzecią już szklankę brandy Anderson zastanawiał się kto tu zastąpił żołnierza amerykańskiego — tego Don Juana płacącego czekoladą i papierosami. Potem szum wody skończył się nagle i dziewczyna wróciła.

— No, Freddy — powiedziała.

Potem leżał obok niej odwrócony głową do ściany podczas gdy Presley ryczał znów tę samą pieśń, którą już słyszał na schodach — i przeklinał chwilę w której tu przyszedł. Czuł pot spływający po jego ciele; te trzy szklanki brandy z sodą, którą wyparowywało jego ciało porażone teraz wstydem i upałem; niezdolne do miłości tęgie ciało, należące do mężczyzny tuż po czterdziestce, któremu przy najlepszych chęciach nie można było dać więcej jak trzydzieści trzy lub cztery lata. I pomyślał o tamtym po raz pierwszy z nienawiścią; z prawdziwą wielką rozpaczą do której — jak przypuszczał — nie był już zdolny; o suchym, twardej ciele tamtego mężczyzny który odebrał mu jedyną rzecz liczącą się naprawdę; nie kobietę, ale rzecz tak jak to jest w jego języku — i nie kosztowało go to ani odrobiny rozpachy, niepewności lub chociażby emocji. „Chciałbym umrzeć — pomyślał. — Właśnie teraz. A nigdy przecież tego nie chciałem”.

— To nic, Freddy — powiedziała. — Takie rzeczy zdarzają się przecież. To te upały. Nie przejmuj się.

— Nie — powiedział. — Nie przejmuję się.

— Jeśli chcesz, to zawołam koleżankę — powiedziała. — Tak jak ostatnim razem, pamiętasz?

— Tak — powiedział. — Oczywiście. Ale nie trzeba. Teraz się chyba ubiorę i pójdę. Może wpadnę do ciebie wieczorem.

— Tak, aleczko — powiedziała. — Nie trzeba się przejmować. Takie rzeczy zdarzają się każdemu mężczyźnie.

Już w pół ubrany podszedł co stołu i nalał sobie brandy; tym razem prawie bez sody.

— Tak, aleczko — rzekła. — Odpocznij sobie. — Podszedła do szafy a potem wróciła do niego i podała mu plik zdjęć. — Obejrzyj to sobie — powiedziała. — No, Freddy aleczko. Tylko spokojnie. Obejrzyj to sobie. Może to cię weźmie.

— Coś mi się zdaje, że widziałem już w życiu całą kupę takich obrazków — powiedział Anderson. Wziął do ręki zdjęcia i zaczął je oglądać. Trzeba było je oglądać w pewnej kolejności;

tak, że wychodziła z tego historia: prymitywny scenariusz filmu pornograficznego wymyślony przez jakiegoś fotografa, który po dwudziestu latach spokojnego pożycia z żoną powiedział sobie, że potrafi zarobić. Najpierw młoda dziewczynka, może trzynastoletnia wywołuje na korytarz chłopca w jej wieku — oczywiście brata; dziewczynka trzyma przy tym palec na ustach i rozgląda się tajemniczo. Idą do łazienki; chłopiec kopuluje z dziewczynką, które nie wygląda już teraz na trzynaście lat i na której twarzy maluje się rozkosz, tak, jak ją rozumiał nieznaną Andersonowi fotograf — przymknięte oczy, rozchylone usta. Nagle wpada dorosła kobieta w szlafroku; kobieta ma twarz sadysty, który mógłby być kapo w obozie koncentracyjnym lub dozorcą niewolników w czasach Spartakusa — to matka. Matka bije dziewczynkę, która zanosi się teraz od płaczu podczas gdy chłopiec stoi z boku zasłoniwszy oczy ręką. Nagle wzrok matki pada na chłopca który stoi wciąż jeszcze z członkiem wzniesionym do kopulacji. Puszczą córkę; zaczyna kopulować z synem przy czym jej potworna twarz nabiera wyrazu niebiańskiej rozkoszy; znów rozchylone usta, przymknięte oczy i szyja odrzucona w tył niby u cwałującego konia. Do tego dołącza się dziewczynka.

— Nie wiedziałem, że istnieje jeszcze tyle ciepła rodzinnego na świecie — powiedział Anderson oddając jej zdjęcia. — Ale czegoś tu chyba brakuje.

— Czegoż tu może brakować?

— Nie wiem — powiedział. — To jakaś niedokończona historia. Czegoś tu brak. Fotografowi nie starczyło pomysłu, to wszystko. Często tak bywa. Tu jest tylko uczciwość spojrzenia i świeżość uczuć, ale nie ma jeszcze historii. Widziałem już całe mnóstwo lepszych zdjęć.

— Poczekaj — powiedziała. — Zdaje się, że masz rację. — Podeszła do szafy i szukała tam przez chwilę. Potem trzymała trzymając w ręku dwie fotografie. — Tak — powiedziała. — Wygrałeś, Freddy laleczko. To jeszcze to.

Patrzył teraz na mężczyznę, który wkroczył z pejczem w rękę a potem, w następnym zdjęciu kopulował z matką i z córką podczas gdy chłopiec trzymał pejcz wzniesiony wysoko nad głową i jego młoda twarz była teraz twarzą okrutnika; może kogoś, kogo bał się fotograf — zimna, pozbawiona wściekłości twarz; ale nie patrzył na niego — patrzył długo na wykrzywioną, napiętą twarz mężczyzny który grał w tym scenariuszu ojca-lubieżnika i którego fotograf nawet pieniędzmi nie potrafił zmusić do uśmiechu; tak, że jego ostra, zmęczona twarz o szerokich kościach policzkowych i skośnych, jasnych oczach czyniła tu wrażenie nieprawdziwej, psuła; potem Anderson odłożył zdjęcie.

— Tak — powiedział. — Teraz to już coś jest. Teraz to jest porządna, zamknięta historia. Ile chcesz za te zdjęcia?

— Nie są do sprzedania — powiedziała. — Potrzebuję ich. Rozumiesz Freddy lalczko? Mężczyźni są czasem zmęczeni i potrzeba im czegoś a wtedy...

— Rozumiem — powiedział. — Ale pięćdziesiąt dolarów to będzie akurat dobrze. — Włożył marynarkę; zdjęcia schował do portfela. — Jesteś porządną dziewczyną — powiedział. — I pewnie chciałaś zostać artystką. Tylko ci rodzice nie pozwolili.

Zatrzymał teraz swój błyszczący, wielki samochód przed kwiaciarnią, i wszedł do środka. Sprzedawczyni podała mu zamówione kwiaty.

— Chciałbym dołączyć list do tych kwiatów — powiedział. — Czy może mi pani dać kopertę? — Włożył zdjęcia do koperty i zakleił ją starannie. — Pani Rodgers — powiedział. — Pani Katarzyna Rodgers. Wie pani?

— Tak — powiedziała sprzedawczyni. — Oczywiście, że wiem.

— Nic pani nie wie — powiedział Anderson. — Nie wie pani, że po niemiecku się mówi „Róże dla Róży”. A może się zresztą już nie mówi. Ale tego pani też nie wie. — Wyszedł do samochodu na ułamek sekundy tylko zatrzymując się przed lustrem. — I chyba będą się jej podobać — powiedział. — Chyba.

Siedzieli w pustej o tej porze kantynie; przy stole za którym siedział po raz pierwszy; on, dwóch rzeczoznawców i dwóch z policji — podczas gdy tamci wszyscy chodzili przed kantyną odpędzani przez trzeciego policjanta stojącego zewnątrz — stał na szeroko rozstawionych nogach, czapkę z metalowym okuciem zsunął na oczy i przeklinał wszystkich cichym, monotonnym głosem podobnym do modlitwy. Była godzina szósta po południu; słońce oświetlało jego twarz i arkusz papieru na którym narysował już uprzednio szkic wypadku i nad którym pochylali się teraz śledząc jego ciemną, wąską dłoń tak bardzo nie pasującą do tej twarzy, jakby należąca do innego ciała a nie do tych gotyckich rąk.

— Niech pan nie mówi już o defekcie trymerów — powiedział jeden z rzeczoznawców. — Proszę powiedzieć, co według pana doprowadziło do utopienia maszyny.

— Nie utopiłem maszyny — powiedział Abakarow. — Przeciwnie, uratowałem ją. Wyciągnęliśmy ją przecież. Zrobiłem wszystko co tylko można, żeby ratować samolot.

— Ale utopił się szef — powiedział jeden z rzeczoznawców. — A pan mówi ciągle tylko o maszynie. To bardzo piękne z pana strony, że starał się pan ratować maszynę ale zapomina pan, że mamy tu jeszcze trupa, z którym trzeba coś zrobić. Nie weźmie pan go chyba na pamiątkę do domu i nie zasuszy w albumie. — Odetchnął, napił się trochę wody. — Przepraszam, że tak brutalnie formułuję swoje myśli — powiedział. — Ale niech pan wreszcie zrozumie, że chodzi nam o tego człowieka.

— Tak — powiedział niespodziewanie drugi z rzeczoznawców, który nie odzywał się wcale do tej pory i wszyscy popatrzyli na niego ze zdziwieniem. — Tak.

— Postaram się — powiedział Abakarow. — Widzi pan, to tak jak na wojnie. Jak wtedy, kiedy się jest naprawdę w niebezpieczeństwie. I kiedy człowiek myśli jak by się z tego wygrzebać. I powiem panu: to bardzo niedobrze, jeśli się ma wtedy za dużo pomysłów. Lepiej mieć tylko jeden i realizować go nawet jeśli jest najgłupszy ze wszystkiego. Tylko na tym polega szansa. — Odsunął od siebie arkusz papieru. — Powiem panu — powiedział. — Bardzo dobrze się stało, że lecieliśmy ponad morzem. Pan wie, że ja nie latałem całe trzy lata. I wie pan, dlaczego. Więc gdyby mi silnik nawalił nad ziemią, to pierwszą rzeczą którą bym zrobił — wyłączyłbym kontakt. Często myślałem o tym i bałem się tego. Nawet nie defektu, tylko przerwy w pracy, kaszlnięcia. Bo widziałem jak to jest, kiedy człowiek płonie w maszynie i kiedy nie można nawet do niej podejść, żeby ją ugasić; i widziałem co zostaje potem z człowieka. I tego się bałem; tego, że nie będę mógł powstrzymać własnej ręki wyłączającej kontakt. A przecież takie przerwy w pracy zdarzają się czasem w powietrzu — kaszlnięcie kiedy człowiek za szybko ściąga manetę lub przy przechyle jeśli karburator nie jest całkiem w porządku. A potem leci się dalej; więc chodzi tylko o to, żeby przetrwać ten moment, tę sekundę w której człowiek spodziewa się defektu. — Przerwał; po chwili powiedział: — I to nie ja kupiłem te maszyny, panowie. Nie wiem kto je kupił.

— Kto ustalał trasę lotu?

— Szef.

— I powiedział panu, żeby pan leciał ponad morzem?

— Tak — powiedział Abakarow. — Bo miałem rano defekt trymerów, naruszyłem granicę i ci faceci z UN zrobili nam piekło. Szefa jeszcze wtedy nie było; odstawiłem maszynę i czekałem na niego. A potem poleciliśmy ponad morzem bo potrzebna nam była wysokość. Nie można próbować balansu samolotu jeśli się leci na trzech metrach. Nie mogliśmy lecieć w głąb

kraju, bo musielibyśmy meldować przedtem lot i korygować go z wojskiem, a na to nie było czasu. Więc powiedział mi żebym wchodził na morze.

— I wtedy nastąpił defekt?

— Tak. I szef powiedział mi, żebym lądował na brzegu, na plaży. Ale to było niemożliwe. Pozabijałbym całą kupę ludzi a nie wiem zresztą czy bym doleciał bo przy skręcie bez silnika przepadłaby mi wysokość. Więc powiedziałem mu, że będę siadać na wybrzuszeniu, na tej łasze. I wszystko byłoby dobrze gdyby nie fala która zrzuciła mnie w bok. O trzy metry, może o cztery. Byłem pewien, że płynię za mną ale kiedy odwróciłem się — nie było go. Wtedy dałem nurka, ale nie miałem siły, żeby go wyciągnąć. Nie wiem dlaczego nie ratował się. Może stracił przytomność. Może uderzył głową o coś przy siadaniu.

— Tak — powiedział jeden z rzeczoznawców. — Ma pęknętą postawę czaszki. Ale można by go jeszcze ratować, gdyby go w porę wyciągnąć. Śmierć nastąpiła na skutek uduszenia. Tak mówi lekarz.

— Więc cóż ja mogę panom powiedzieć — rzekł Abakarow. — To było chyba wszystko.

— Jeszcze jedno pytanie — rzekł któryś z policjantów. — Pan powiedział przed chwilą, że niemożliwe było dociągnięcie do brzegu, prawda?

— Tak — powiedział Abakarow.

— Ale przecież mógł pan starać się usiąść gdzieś bliżej brzegu. To znaczy — usiąść na wodzie gdzieś blisko brzegu, tak, żeby możliwa była jeszcze akcja ratownicza. Nie na plaży, ale przypuśćmy o dwadzieścia metrów od brzegu, tam, gdzie nie kąpali się już ludzie.

— Nie — powiedział Abakarow. — To nie było możliwe. Tam jest już głęboka woda.

— Ale można by go ratować.

— Nie — powiedział Abakarow. — Pan daruje, pan jest dyletantem. To jest samolot o podwoziu stałym. Ja miałbym szybkość lądowania — może sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Przy tej szybkości podwozie stawia opór i samolot przewala się poprzez łeb na plecy. Rozumie pan? Stało się właśnie to o czym mówię a tego się bałem — kapotaż. Starałem się usiąść na tym wybrzuszeniu, gdzie nie ma prawie wcale wody ale w tym momencie przyszła fala. I poszliśmy przez łeb na plecy. Więc niepotrzebnie rozpiął pas. Gdyby nie rozpiął pasa żyłby do tej chwili. Stracił po prostu głowę, może chciał przede mną wyskoczyć z maszyny i opór wody przy

lądownianu wyrzucił go z fotela, tak, że musiał uderzyć czaszką o żelazo, może o armaturę.

— Czy zawsze samolot musi ulec kapotażowi? Mam na myśli przymusowe siadanie na wodzie?

— Jeśli samolot ma stałe podwozie, to jest więcej niż prawdopodobne. Wie pan chyba, gdzie jest środek ciężkości samolotu. Tego się nie trzeba uczyć. Więc jeśli opór jest zbyt duży...

— Ale czy można usiąść na wodzie samolotem o stałym podwoziu bez kapotażu.

— Można — powiedział Abakarow. — Trzeba wytracić szybkość i starać się spaść na wodę. Prawie bez szybkości.

— Czy są tacy lotnicy, którzy to już robili?

— Jest ich mnóstwo — powiedział Abakarow. — Na cmentarzu. Pan mi zadaje pytania z teorii pilotażu i ja panu będę dawać teoretyczne odpowiedzi. Ale nie wielu było chyba takich, którym się to naprawdę udało. Ja wiem o co panu chodzi. O ten film z Gary Cooperem gdzie on był kapitanem lotnikowca. Mnie się ten film też podobał. Nie ma na świecie człowieka, który by nie poszedł do kina kiedy Coop odwala swoje kawałki. Ale to chodzi o Coop'a a nie o samoloty.

— Teraz proszę pójść z lekarzem — powiedział jeden z rzeczoznawców. — I proszę dać się zbadać. Czy policja ma jeszcze jakieś pytania?

— Jego licencja jest w porządku?

— Tak.

— Być może, że sprawę zbada prokurator — powiedział jeden z policjantów. Poprawił się zaraz: — To znaczy zbada ją na pewno. Jeśli zajdzie podejrzenie o niewykonanie czynności służbowych, czy o nie przestrzeganie bezpieczeństwa lotu, prokurator wyda odpowiednie zarządzenia. Trzeba poczekać, aż rzeczoznawcy opracują materiał. Kto według prawa jest odpowiedzialny za próbny lot?

— Szef lotniska.

— Próbnny lot; to znaczy lot wykonany w celu sprawdzenia maszyny może być wykonany tylko na polecenie szefa lotniska?

— Tak.

— To znaczy, że nikt inny poza szefem lotniska nie może zadysponować próbnym lotu i wydać polecenia pilotowi? Nawet szef mechaników?

— Tak.

— I szef musi być przy tym obecny?

— Tak. To znaczy...

— Co?

— Szef lotniska może być obecny w czasie próbnego lotu, ale może go zlecić pilotowi.

— Czy szef lotniska miał licencję?

— Przekroczył limit wieku.

— To znaczy chce pan powiedzieć, że sam nie mógł wykonać próbnego lotu? Krótko mówiąc, że szef lotniska mógł wszystko poza tym jednym, poza lataniem.

— Tak.

— Może pan zna jeszcze jakieś inne słowa, poza „tak” — powiedział drugi policjant. — A jeżeli nie, to nie będziemy zadawać więcej pytań. Może się panu zdaje, że nam jest niedostatecznie gorąco? Tak czy owak firma będzie musiała wypłacić odszkodowanie jego żonie i dzieciom. A o tym zadecyduje sąd bo chyba ta kobieta znajdzie jakiegoś adwokata, który jej wytłumaczy, że powinna zaskarżyć firmę.

— Czy próbował go pan jakoś ratować? — zapytał pierwszy policjant.

— Tak — powiedział Abakarow. — W chwilę potem, kiedy zorientowałem się, że nie wypłynął. Wtedy dałem nura, podpłynąłem do maszyny i chciałem go wyciągnąć ze swojej strony, bo nie byłem pewien czy zdążył otworzyć drzwi od swojej strony. Mógł o tym zapomnieć. Więc podpłynąłem i złapałem go za pas od spodni, ale nie dałem rady bo woda wypychała mnie w górę więc złapałem jeszcze za coś drugą ręką, chyba za kabel albo za spiralę speedometru ale nie udało mi się. Zdaje mi się, że wyrwałem nawet tę spiralę ale mimo to nie dałem rady. Wtedy zabrakło mi już tchu i poszedłem w górę. A potem nie miałem już siły. Chyba już nie żył. Nie mógł żyć. Powiedziałem mu w górze, żeby nie rozpinał pasa i żeby zaparł się z całej siły dopóki nie usiądę. Przypuszczam że stracił przytomność podczas wstrząsu. Przypuszczam, że za wcześnie rozpiął pas.

— Pas był rozpięty — powiedział niechętnie rzeczoznawca. Bufetowy podał mu kawę i patrzyli przez chwilę w milczeniu na zmęczoną twarz tego człowieka. — Napij się pan kawy, Abakarow — powiedział. — I weź się pan w garść.

— Jezu Chryste — powiedział Abakarow. — To wcale nie takie proste jak pan myśli. Ten człowiek ma żonę i dzieci.

— Jeszcze jedno pytanie — powiedział rzeczoznawca. — Powiedział pan przecież, że starał się pan wyciągnąć go z samolotu?

— Powiedziałem to dwa razy — rzekł Abakarow. — Ale nie dałem rady. To chyba widać kiedy się na niego patrzy, nie?

— Spokojnie — powiedział rzeczoznawca. — Nikt nie chciał pana obrazić. Ale powiedział pan, że starając się wyciągnąć starego z maszyny zerwał pan kabel kontaktu, nie?

— Tak — powiedział. — Kiedy byłem pod wodą nie myślałem wcale o tym czego będę się chwycić. Chciałem wyciągnąć starego. Bardzo mi przykro, że zerwałem kabel.

— Ale przecież w samolocie „J-3” kontakt kabla znajduje się po prawej stronie w górze, przy szybie. Kabel jest obudowany. Nie widać go wcale.

— Myśmy przerabiali te „J-3” — powiedział Abakarow. — Nasi mechanicy wykombinowali to tak, żeby można było otwierać dach w czasie lotu i przewietrzyć się trochę. Więc kontakt kabla wmontowany był w tablicę rozdzielczą, tak jak w samochodzie.

Wszedł trzeci policjant.

— Te skurwysyny pytają mnie czy mogą już jechać do domu — powiedział. — Powiedziałem im już trzy razy żeby się odpierdolili.

— Uważajcie sierżant — powiedział jeden z policjantów. — Uważajcie ze słowami, sierżant. Powiedzcie im, że mogą.

— Tak — powiedział. Wszedł przed kantinę i powiedział: — Możecie odpłynąć. Te skurwysyny będą pewnie mówić do wieczora.

— Skąd pan wziął tego sierżanta — zapytał jeden z rzeczoznawców. — Pierwszą rzeczą jaką powinien zrobić, to zaarrestować samego siebie i odprowadzić na posterunek.

— To bokser — powiedział niechętnie jeden z policjantów. — Mamy jednego kapitana, który kiedyś boksował i oni się lubią czasami prac.

— W jakiej wadze?

— W średniej.

— To kapitan Zachavi?

— Tak.

— Ale Zachavi był chyba lepszy od niego?

— Ten też nie jest zły.

— A co będzie z Pattersonem?

— To trudno powiedzieć.

— Zapytajmy go.

— Dobrze. Sierżant Lahola.

Sierżant wszedł.

— Dany — powiedział jeden z policjantów. — Jak to będzie z Pattersonem?

— Rozpierzdzi go — powiedział Dany. — W drugiej albo w trzeciej rundzie. Patterson to *fighter*. A tamten to tylko skurwysyński reklamiarz.

— Uważajcie sierżant — powiedział surowo policjant. — Nie zapominajcie, że mówicie do zwierzchnika. Możecie odejść. Ostrożnie, sierżant.

Sierżant odszedł. Znowu stał przed kantyną na szeroko rozstawionych nogach i słyszeli jak przeklina wszystkich i wszystko swoim cichym, dobrotliwym głosem.

— Czy możecie mi wziąć krew — zapytał Abakarow.

— Krew? Po co komu pańska krew?

— Byłem zawieszony w lotach na trzy lata — powiedział Abakarow. — Za to, że piłem z kolegą po pracy na terenie lotniska. Nie chciałbym żeby ktoś przypuszczał, że i tym razem piłem.

— Jeśli pan tego żąda...

— Tak — powiedział. — Muszę tego żądać. Nie mogę stracić swojej licencji.

— Czy to potrzebne, doktorze?

— Kiedy pan pił ostatni raz?

— Nie pamiętam — powiedział Abakarow. — Może przed miesiącem. Ale proszę to zrobić dla mojego spokoju. — Podał ramię a doktor pobrał mu krew. Potem powiedział: — I proszę to wpisać do protokołu.

— Pan będzie musiał przerwać pracę — powiedział rzeczoznawca patrząc przy tym w sufit. — Dopóki komisja nie zakończy swoich prac.

— Czy to znaczy, że stracę licencję? — zapytał Abakarow.

— Panu potrzebny jest wypoczynek — powiedział rzeczoznawca. — Trzeba to tak sformułować. Pan mógł ulec szokowi psychicznemu; nawet jeśli się panu zdaje, że teraz jest z panem wszystko w porządku. Prawda, doktorze?

— Istnieje taka możliwość — powiedział lekarz. — Czasami szok następuje później, po wypadku. Tak to ma miejsce ze wstrząsami mózgu na przykład. Ale nie wydaje mi się, żeby w tym wypadku...

— No, widzi pan — przerwał doktorowi znowu ten sam rzeczoznawca wpatrując się w niego. — Doktor też jest naszego zdania.

— Kiedy mogę zacząć latać z powrotem?

— O tym zawiadomi pana firma. Na razie potrzebny jest panu wypoczynek. Prawda, doktorze?

— Wypoczywałem trzy lata — powiedział Abakarow. — I chyba długo będę czekać na to zawiadomienie z firmy. Nie

— Może to wróci — powiedziała. — Chyba można coś zrobić. Jakiś lekarz. Może spróbowałabym się modlić. — Patrzyła na niego przez chwilę podczas gdy pod oknami znów przetaczała się kolumna wojska w nocnym kurzu i w zgrzycie zmienianych biegów. — To na tym zdjęciu zobaczyłam po raz pierwszy, że masz trochę siwych włosów — powiedziała. — Nie wtedy, kiedy po raz pierwszy przyszedłam tutaj. I nie wtedy kiedy po raz pierwszy z tobą spałam, ale właśnie na tym zdjęciu. Ale od tego się przecież nie siwieje, prawda?

— Nie — powiedział. — Na pewno nie. Żadna z kobiet nie osiwiła od tego. Świat pełen byłby wzruszających staruszek. To po prostu ten klimat i to wstawanie o czwartej rano kiedy człowiek ma pracę. I to niespanie, kiedy jej się nie ma.

— Czy chcesz powiedzieć...

— Nie — powiedział. — Wcale tego nie chciałem powiedzieć. Człowiek jest tym, czym chce być. Jeśli nie zawsze, to przynajmniej od czasu do czasu. Nie warto myśleć inaczej. Nie spotkało nas żadne nieszczęście. Po prostu nie potrafilismy inaczej. — Mówił przy tym do siebie: Nie umiem jej niczego powiedzieć chociaż powinienem. Jestem jej winien jakąś ilość porządných słów tak jak jeden człowiek bywa drugiemu winien pieniądze, ale nie znam ich. Nie znam ani jednego z nich. Mówił to do siebie jasnym, prawdziwym głosem milczenia w jakim człowiekowi udaje się czasem myśleć, uczyć lub marzyć czując teraz jej usta i jej ręce wędrujące po jego ciele, podczas gdy jej własne ciało kurczyło się, odsuwało od niego, skręcało w pragnieniu stania się jak najmniejszym i jak najbardziej dalekim; a potem czuł jej łzy — nie upokorzenia, wstydu lub żalu lecz wściekłości, tak, jakby wściekłość istniała w jakiejś czystej formie nie powiązanej z żadnym innym ludzkim uczuciem; nawet nie z bólem; i znów pomyślał — tym samym jasnym i cichym głosem uczniaprymusa: Teraz zaczyna to rozumieć. Zaczyna do tego dochodzić. Zaczyna stwarzać sobie obraz, który trwać potem będzie w niej niepowiązany już z niczym innym, nie z rozumem i nie z sercem. Tak właśnie wygląda szaleństwo; jak jasna klisza wyjęta z wywoływacza i którą można oglądać tylko samemu przy nędznym świetle. Teraz pokonywał tę drogę samotnie wiedząc, że nie spotka u końca jej krzyku i jej gorąca chociaż brzuch kobiety nie poddawał mu się, lecz przeciwnie — wznosił go, pędził pod nim jak grzbiet trzyletniego konia po pustej i jasnej drodze pełnej jeszcze zamierających dźwięków, głosów i obrazów; wszystkiego co przeżyli wśród kilku nocy i kilku ulic tego miasta — jasnego już teraz, pokonanego przez jasność w ciszy i spokoju, które ma tylko miasto leżące nad morzem i żyjące z morza; a

teraz leżał i patrzył jak kobieta ubiera się i wciąż myślał: Jestem jej przecież coś winien. Muszę coś do niej powiedzieć.

— Teraz już chyba pójdę — powiedziała.

— Odprowadzę cię, jeśli chcesz.

— Nie — powiedziała. — Spij. Znam już drogę.

— Spotkamy się jeszcze — powiedział.

— Tak — powiedziała. — Pewnie przyjdę tu jeszcze. Dobranoc, Abakarow.

— Już jest dzień — powiedział. — Już mi się chyba nie uda zasnąć.

— A gdybyś mi spróbował powiedzieć — rzekła raz jeszcze. — Coś, co usłyszałyby chociaż moje uszy. Że tu jest taki człowiek, albo że może był. Ktoś, kto ma twoje ręce. Spróbuj mi to powiedzieć, Abakarow.

Stojąc w drzwiach czekała patrząc na niego podczas gdy on tylko patrzył przed siebie z wyrazem niechęci i niewiary; wyglądając tak jak wygląda człowiek niesłusznie znieważony, myśląc przy tym znów krótkimi, jasnymi zdaniem ucznia, który zaczął i skończył szkołę siedząc w pierwszej ławce zwrócony czujną i zimną twarzą ku nauczycielowi i zamierający z pragnienia aby go wyrwano: Więc dlaczego miałbym kłamać teraz, akurat teraz kiedy wszystko stało się tak jak chciałem po trzech latach niekłamania i nie udawania. To jest wszystko co mógłbym jej powiedzieć. I jeszcze to, co słyszałem od innych ludzi — że kobiety ściągają w dół, w głupotę, w niekończące się kompromisy, które człowiek czyni wbrew sobie dla spokoju, a potem dla złudzenia spokoju a potem tylko dla chwili ciszy. I że mężczyźnie trzeba lat głodu, więzienia, lub choroby aby pozbawić go charakteru i moralności jeśli miał charakter i był moralny; ale wystarczy jedna noc aby zdemoralizować każdą z nich; nawet nie cała noc — nawet kilka godzin na tylnym siedzeniu samochodu aby z każdej z nich zrobić kurwę i to nawet wtedy, kiedy są chore; lub kiedy ich mężowie czekają na nie przy barze.

— Nie — powiedział. — Nie jestem kogutem. Nie odpieję tego.

Wyszedł potem na korytarz zanurzając się w znajomy zapach kurzu i wapna; wykąpał się i zszedł na dół. Kawiarnia naprzeciw była jeszcze zamknięta; poszedł o parę ulic dalej i usiadłszy przy barze zamówił *espresso*. Siedząc na wysokim, niewygodnym stołku patrzył na dziewczynę stojącą za maszyną od kawy i pomyślał przy tym, że nie widział tu chyba tak ładnej dziewczyny. — I to nie w tym *espresso* — powiedział głośno do siebie. — W tym kraju.

— Mówisz coś? — zapytała.

— Tak — powiedział. — Spędź ze mną tę noc. Przyjdę tu wieczorem.

— Mam narzeczonego — powiedziała.

— Ach — powiedział. — Narzeczonego. — Myślał przez chwilę patrząc na brązowe, pełne ramiona i na ich ciepły blask. — To spędź ze mną pół nocy — powiedział.

— On tam siedzi — powiedziała.

Odwrócił się; zobaczył chłopca siedzącego przy stoliku. Było jeszcze pusto; chłopiec siedział odwrócony do nich tyłem i coś czytał.

— Co słyhać, Dov — powiedział Abakarow. Ale chłopiec nie odwrócił się; dziewczyna powiedziała do Abakarowa:

— On nie rozumie po hebrajsku. To nowy. Przyjechał tu niedawno.

Wziął od niej filiżankę.

— Kiedy się pobierzecie? — zapytał.

— Najpierw musi iść do wojska — powiedziała.

— A ty?

— Ja już byłem w wojsku — powiedziała.

— Skąd chłopak?

— Z Rosji. Możesz do niego mówić po rosyjsku.

— Mogę — powiedział. — Ale wolę mówić z tobą. A jak ty z nim mówisz?

— On mówi trochę po yidisz — powiedziała. — A moi rodzice są z Niemiec. Więc jakoś tak.

— A co będzie z nami?

— Spokojnie — powiedziała. — Mam przecież narzeczonego. Widzisz go tam chyba jak siedzi i czyta.

— Ja bym tam nie poszedł do wojska na jego miejscu — powiedział. — Ja już bym wolał być dezertorem.

Dziewczyna odeszła w drugi kąt baru a on patrzył wciąż na nią widząc kątem oka swoją twarz w lustrze. Tak one wyglądają, pomyślał. Te wszystkie, które mają po osiemnaście i po dwadzieścia lat i które wstają o godzinie piątej rano a budzą się o dwunastej, tyle jest w nich snu i zdrowia; w tych twarzach które zaraz będą spuchnięte, zimne i szare, a które są teraz jak brzoskwinie; te dziewczyny zbudzone ze snu i pachnące jak łąka pełna zboża. Jak ta dziewczyna w filmie Orsona Wellsa którą jakiś stary człowiek widział tylko przez chwilę stojącą na promie i której nigdy nie udało mu się zapomnieć. Pamiętał ją przez czterdzieści parę lat. Przez całe moje życie.

— Daj mi jeszcze jedno *espresso* — powiedział.

Pijąc drugą filiżankę kawy myślał o tamtej twarzy; trochę już zniszczonej miłością i alkoholem i nie widząc zdziwionych spojrzeń ludzi, którzy weszli w międzyczasie i siedzieli obok niego w oczekiwaniu na kawę, powiedział głośno: Nie chciałem jej zdradzić. Zdaje się, że nieprędko ją zdradzę.

— Chcesz jeszcze czegoś? — zapytała dziewczyna.

— Daj mi jeszcze dwie puszki *corned-beef*'u — powiedział.

— Albo i trzy. Wrócę tu jeszcze kiedyś wieczorem.

Wszedł na górę do hotelu i zapukał do drzwi misjonarza.

— Mam *corned-beef* — powiedział. — Pożycz maszynki, podzielę się z tobą. Jeśli lubisz porządy, kosztowny *beef*.

Wszedł do pokoju i zaczął otwierać puszki z mięsem a tamten wśliznął się po chwili. Postawił maszynkę na stole i patrzył po pokoju.

— Miałem niedobry sen, ojciec — powiedział Abakarow. — Śniło mi się, że ta kobieta odeszła ode mnie. I że zabiłem człowieka. A potem obudziłem się i było ze mną całkiem kiepsko. Znowu zasnąłem i znów mi się śniło, że zabijam jeszcze jednego.

— Twoje plugawe sny — powiedział tamten.

— Śniło mi się, że idę nocą przez miasto — powiedział, — I że szukam czegoś aby zabić. A potem znalazłem to coś i zabiłem. A potem obudziłem się znów.

— Twoje plugawe sny — powtórzył tamten.

Ktoś zapukał do drzwi; weszło trzech.

— Hej, Abakarow — powiedział jeden. — Wszystkie pokoje są zajęte. Wygląda na to, że mamy jakiś zjazd kurew w naszym mieście. Czy można zagrać u ciebie?

— Siadajcie, chłopcy — powiedział. Ale oni już siedzieli a marynarki ich wisały na poręczach krzesel a twarze ich z papierosami w kącikach ust pochylały się nad talią kart wirującą mglistymi kolorami w rękach jednego z nich. Potem zaczęli grać mówiąc do siebie ochryplym, czułym szeptem podczas gdy karty plaskały szybko o stół. Abakarow i misjonarz patrzyli na błękitny płomyk spirytusu szepczący ciepło pod patelnię.

— Ile zapłaciłeś za *beef*? — zapytał misjonarz.

— Dwa i pół funta za puszkę.

— To draństwo tak zdzierać z ludzi.

— Powinieneś pojechać pomiędzy kanibali jeśli ci się zdaje że tu jest za drogie mięso.

— Ty i twoje plugawe sny — powiedział tamten patrząc na niego z nienawiścią.

Nie usłyszeli skrzypnięcia drzwi; wyczuli po prostu jego obecność; temperaturę jego ciała — przeszedł koło nich niemal na palcach, zamknął okno i wrócił z powrotem.

— Abakarow — powiedział cicho. — Mam jednego faceta.

— Jednego faceta?

— Jednego faceta który chce sprzedać rewolwer — powiedział tamten cichym, cierpliwym głosem. — Powiedziałem panu już, że będzie potrzebny rewolwer. A teraz słyszałem o jednym który chce sprzedać.

— Nie rozumiem pana — powiedział Abakarow. — Po co panu rewolwer?

— Żeby dojechać bez przeszkód do portu — powiedział Herman; znów tym cichym, cierpliwym głosem. — Mówiłem już panu, że będzie potrzebny.

— Troszeczkę ciszej, panowie — powiedział jeden z grających. — Trudno grać, kiedy panowie tak rozmawiają.

— Słuchaj Herman — powiedział Abakarow. — Ta kobieta nie będzie mogła panu pomóc. Ta kobieta odeszła ode mnie.

— Och — powiedział. — Ona pana kocha. Ona tu jeszcze wróci trzy razy.

— Ta kobieta nie wróci — powiedział Abakarow. — Ktoś jej posłał moje zdjęcia. Pan wie, które. Te, które robiłem kiedyś dla forsy.

— Niech pan weźmie mięso — powiedział misjonarz zdmuchując niebieski płomień. — Już jest gorące.

— Ta kobieta widziała te zdjęcia? — powiedział tamten.

— Tak — powiedział Abakarow. — Posłali jej. — Może dla żartu. A może ktoś chciał zemścić się na mnie.

— Troszeczkę ciszej, panowie — powiedział jeden z graczy.

— Więc ona to widziała — powiedział Herman. — Ta kobieta myślała o panu, że chce pan uczynić coś strasznego i jakoś zgodziła się z tym, chociaż człowiek, który wie o czymś takim powinien zadzwonić po policję. Ale była to w końcu tylko kobieta i chciała mieć pana tylko dla siebie. A teraz nagle przestał pan być straszny. Zrobił się pan śmieszny. I tej śmieszności nie będzie mogła już znieść.

— Nie prosiłem pana o pańskie widzenie świata — powiedział Abakarow. — Wstał; podszedł do okna i otworzył je; powietrze wtargnęło wraz z falą śpiewu. — Pomyśl pan lepiej o sobie — powiedział. — Zatoszcz się o tych tam na ulicy.

Patrzyli na siebie ponad głowami grającymi i ponad głową misjonarza jedzącego mięso.

— Więc pan to już zrobił? — powiedział Herman.

— Zrobiłem to — powiedział Abakarow. — Czy powiedziałem panu kiedy, że tego nie zrobię?

— Niech pan zamknie to okno — powiedział Herman.

— Nie zamknę okna — powiedział Abakarow. — Jest mi duszno. I jestem już stary.

— Wierzyłem w pana — powiedział Herman. — Zawsze w pana wierzyłem, i w to, że zrozumie pan głupotę swojej sprawy. Może w ostatniej chwili. Ale nie rozumiał pan. — Podszedł ku niemu; znów przybliżyło się ciepło i znów Abakarow cofnął się o krok. — Gdyby pan to zrobił przed trzema laty — powiedział tamten — wtedy, od razu po wszystkim co się stało, to byłoby to straszne i tragiczne, ale można by pomyśleć, że wstąpił w pana gniew Boga i dlatego musiał pan zabić. To byłby straszny czyn, ale miałyby to jakąś wartość, jakąś moralność i można by to zrozumieć. Ci którzy by to widzieli, i ci, którzy by pana sądzili. Ale to co pan zrobił jest bez wartości. Zabił go pan jak tchórz, jak niewolnik, który nawet wtedy kiedy może zabić w walce, zabija z tyłu. I co pan wie o tym człowieku teraz? Może zmienił się przez te lata? Może przemyślał to i cierpiał tak samo jak i pan? Może zabił pan kogoś innego?

— Myśli pan, że to łatwo zabić kogoś innego — powiedział Abakarow. — Myśli pan, że to w ogóle łatwo zabić? Naprawdę zabić człowieka?

— To dlatego wymyślił pan tę przeklętą grę w ślepego — powiedział Herman. — Żeby pana bili i żeby panu przypominali i żeby panem poniżali jak niewolnikiem. Bo był pan za słaby na to, żeby pamiętać. Zamknij pan to okno.

— Powiedziałem już panu, że nie zamknę — powiedział. — Duszno mi. Teraz czuję ten wiatr po raz pierwszy naprawdę.

— Jak niewolnik — powiedział Herman. — Jak tchórz. Zawsze myślałem, że jest w panu jakaś siła, której nie rozumiem. Ale była to tylko pańska słabość i pańska małoduszność.

— Co ten facet mówi? — powiedział jeden z grających wskazując na Hermana. — Że Patterson przegra? Na Floyd'a Pattersona postawiłem dwieście dolarów.

— Jak to jest, ojcze? — zapytał Herman misjonarza. — „I różga gniewu twego ustanie...”. Jak mówi pismo, ojcze?

— „I różga gniewu Twego ustanie” — wybełkotał tamten z ustami pełnymi mięsa. — „I nieprawości twoje na jaw wyjdą; I ścigać cię będzie język wszystkich ludzi...”. — Zapomniałem, pokręciło mi się w wszystko. Przyjdź pan wieczorem, Herman. Teraz za gorąco.

— Spokojnie — powiedział jeden z graczy. — Tylko spokojnie. Ja tam nie wierzę, żeby biały skurwysyn mógł pokonać czarnego *fighter'a*. Przede wszystkim spokój.

— Powiedział, że go rozpierdoli w trzeciej rundzie.

— To Johanson powiedział. Nie Patterson.

— Jak niewolnik — powtórzył cicho Herman. Odszedł od okna, stanął przed nimi; odwrócili głowy gdyż ciało jego przysłoniło im światło. — Jedna tylko prośba, panowie — powiedział. — Nie myślcie nigdy o mnie, że byłem jednym z was.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

— Jedz pan swoje mięso, Abakarow — powiedział misjonarz. — Wystygnie i znowu będzie pan potrzebował maszynki.

Stał przy oknie wsłuchany w ich śpiew i w ciężkie kroki człowieka zstępującego go schodach. Głos oddalał się; słyszał jego ręce szukające poręczy w ciemnym kurzu korytarza i głos tych dwóch w białych czystych koszulach i w czarnych spodniach; głos wznoszący się ku niemu jak woda, jak muzyka szleszcząca wśród gorzkich liści ksztanów w letnich ogrodach Europy podczas gdy ciężkie ciało powoli zstępowało ze schodów i wiedział, że teraz muszą go już widzieć — kiedy stał na dole oślepy od słońca którego nie widział przez tyle tygodni i kiedy szedł ku nim po omacku jak ślepiec nie widząc ich i wiedząc, że nigdy już ich nie zobaczy spoza słońca szalejącego w jego oczach i w jego mózgu; raz jeszcze fala śpiewu wzniosła się ku niemu — stojącemu bezsilnie z wykrzywioną, a nieruchomą twarzą która mogła jeszcze żyć ale która nie mogła już niczego przekazać; jak coś co trwa niepokonane i niedotknięte nie umiając niczemu poświadczyć; a potem śpiew ich urwał się nagle i wiedział już, że nigdy ich nie usłyszy.

O godzinie piątej po południu, kiedy cienie poczęły się już cofać i rzednąć, Abakarow zszedł na dół i poszedł do tej samej kawiarni, w której pił kawę rano. Tym razem nie było już tam chłopca siedzącego w kącie i czytającego; tylko ta dziewczyna — bledsza teraz i wyglądająca na zmęczoną — stała za lśniącą maszyną której kiepski nikiel nie szkodził odbiciu jej pięknych, brunatnych ramion. Usiadł przy barze i zamówił kawę.

— Nie wiesz chyba, co tu było — powiedziała.

— Stało się coś?

Podawała mu po południową gazetę; rzucił okiem na zmęczoną, grubą twarz — nie wyglądał tu zresztą na zbyt grubego; musiało to być jakieś dawne zdjęcie odszukane teraz przez reporter-cwaniaka; teraz w każdym razie czarna ramka nadawała tej twarzy wyraz powagi i spokoju i pomyślał o jego prawdziwej twarzy — spoconej, przekreślonej dymem papierosa i wstrętnie rozedrganej; potem spojrział na zdjęcie dwóch chłopców w białych koszulach i czarnych, obcisłych spodniach, i teraz znowu — tak jak już niegdyś przedtem, pomyślał że wyglądają na dwóch statystów z teatru lub baletu; że wyglądaliby na takich, gdyby nie

kajdany którymi skute były ich ręce i ciemna twarz policjanta który uśmiechał się do fotografa trzymając duże, ciężkie ręce na ich chłopięcych ramionach. A potem, pijąc już gorącą, dobrą kawę przeczytał o tym, że do portu wpłynęła dziś z kurtuazyjną wizytą amerykańska łódź podwodna; następowало zdjęcie — szereg młodych Amerykanów w mundurach, jednakowo wyszczerzonych w obiektyw, oraz podpis pod zdjęciem wyrażający nadzieję, że miasto będzie się chyba podobać chłopcom z US Navy.

— Miejmy nadzieję — powiedział.

— Czytałeś?

— Czytałem — powiedział. — Nie myśl o tym. Jest w tym kraju policja i sąd. Dostaną swoje. Masz tu telefon?

— Tam.

Wykręcił numer i otrzymawszy połączenie, powiedział: — Tu mówi doktor Goldmann. Chciałbym się dowiedzieć który z kolegów ma dzisiaj dyżur.

— Chwileczkę — powiedziała telefonistka. Czekał cierpliwie patrząc na brunatne ramię wyłaniające się spoza obłoku pary i na jej ciemne, szerokie brwi zrosnięte ponad nosem a potem telefonistka powiedziała: — Dyżur ma doktor Baron. O siódmej dyżur przejmuje doktor Mickey Cohan. Przepraszam, pomyliłam się. Teraz ordynuje doktor Cohan. Doktor Baron przejmuje dyżur o dziesiątej rano. Połączyć?

— Tak — powiedział. — Proszę. — Czekał chwilę a potem zimny, nonszalancki głos począł powtarzać: „Hallo, Hallo” podczas gdy on milczał widząc jego jasną, przystojną twarz aktora w białym kitlu; aktora, który nie jest ani zbyt dobry, ani zbyt zły, lecz po prostu do roli lekarza nadaje się tak dobrze jak żaden inny — do roli lekarza leczącego z szaleńczych urojeń córkę milionera lub leczącego cierpliwie młodocianego alkoholika i osiągającego swój sukces po szeregu dramatycznych klęsk; a potem odłożył słuchawkę, mówiąc do dziewczyny stojącej nieruchomo za barem: — Te telefonistki. Trzeba by się właściwie poskarżyć. Gdyby tylko było wiadomo komu i gdzie.

Wrócił do baru i pijąc następną kawę raz jeszcze spojrzął na gazetę leżącą przed nim i na sprężysty szereg młodych Amerykanów którzy pewnie siedzieli już w tej chwili w którymś z barów; i pomyślał, że gdzieś około jedenastej Amerykanie poczną wybijać pierwsze zęby samym sobie i gościnnym obywatelom tego miasta. Spojrzął na zegar: Była za pięć szósta.

— Możesz mi dać tę gazetę — zapytał dziewczyny. — Chciałbym sobie w domu jeszcze raz spokojnie przeczytać.

— Tak — powiedziała. — Możesz wziąć. To okropne, prawda?

— Co?

— To, co oni zrobili z nim po śmierci.

— Och — powiedział. — Będzie musiał teraz kucać jak Arab, to wszystko. Tak czy owak nie używał go z pomyślnym rezultatem.

Wszedł; poszedł o dwie ulice dalej i wszedł do budynku w którym mieścił się bank. Do siedzącego w kiosku informacji urzędnika, powiedział:

— Chciałbym mówić z szefem oddziału.

Widział jak dwóch mężczyzn w cywilu stojących obok obróciło ku niemu czujne, spocone twarze. Byli jedynymi ludźmi w marynarkach w tej przegrzanej, ogromnej sali przy czym marynarki ich odstawały po lewej stronie w okolicy pasa i Abakarow pomyślał: To będą pewnie ci dwaj. Nie wyglądają chyba na idiotów strzelających najpierw a mówiących potem. Wachlował się gazetą zabraną z baru a młody człowiek siedzący w informacji zapytał go:

— Czy można wiedzieć w jakiej sprawie chce pan mówić z szefem?

— W sprawie pieniędzy — powiedział. — Jestem chyba w banku, nie?

— Pokój osiemnaście — powiedział ten z informacji i Abakarow poszedł przed siebie wzdłuż szeregu klitek z dykty i szkła za którymi rozlegał się stukot maszyn do pisania i szum elektrycznych maszyn do liczenia, które wyrzucały z siebie niekończące się taśmy pokryte cyframi; kolumny cyfr mówiących o upadku lub wzlocie — szedł wąskim korytarzem między ścianami z dykty nie mającymi żadnego działania funkcjonalnego a tylko jakby zbierającymi w jeden hałas ten nieprzerwany stukot rozlegający się za każdą z nich, kompensujący go tak jak oko radaru kompensuje obraz setek kilometrów nieba a potem wszedł do pokoju numer osiemnaście wciąż czując utkwiony w swoich plecach wzrok tych dwóch w marynarkach, stojących gdzieś u początku korytarza i patrzących w ślad za nim z zimną, zawodową uwagą wykluczającą zdumienie.

— Czym mogę służyć? — zapytał człowiek siedzący za biurkiem. — Proszę niech pan siada. — Zdjął okulary i przetarł zmęczone, zaczerwienione oczy podczas gdy Abakarow przysunął sobie krzesła. — Panu chodziło o...

— To nie jest prosta sprawa — powiedział Abakarow. Patrzył na łysą głowę mężczyzny i na jego dłoń pokrytą ciemnym zarostem. — Chciałbym przede wszystkim zapytać: Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

— Ależ drogi panie. Jesteśmy przecież w banku. Panu chodzi pewnie o wkłady?

— Tak — powiedział Abakarow. — To znaczy niezupełnie. Wie pan, tyle się czyta deprymujących historii o złodziejach i włamywaczach.

— To jest sprawa filmów kryminalnych — powiedział tamten. — Przy nowoczesnym, elektronicznym systemie alarmowym włamanie jest niemożliwe, jeśli panu o to chodzi. Poza tym jesteśmy bankiem państwowym. Tak, że bank gwarantuje nienaruszalność każdego wkładu.

— Jest pan tego pewien?

— Ależ drogi panie. Pracuję w tym banku osiemnaście lat. Chciałbym jednak aby mnie pan poinformował o wysokości pańskiego wkładu. Chodzi panu o pieniądze, czy o akcje? Rozumie się, dyskrecja obowiązuje w każdym wypadku.

— Tak — powiedział Abakarow. — O to mi właśnie chodzi. Czy mogę wiedzieć z kim mam przyjemność?

— Blum — powiedział tamten wstając. Podali sobie ręce.

— Abakarow. — Rozłożył przed nim gazetę. — Czytał pan już o tym?

— O czym?

— O tej amerykańskiej łodzi podwodnej, która wpłynęła dzisiaj do portu?

— Ależ drogi panie. — Okulary powędrowały na czoło a dłoń pokryta ciemnym zarostem legła niezdecydowanie. — Ja nie widzę absolutnie, absolutnie żadnego związku pomiędzy tą sprawą a pracą naszego banku.

— Oni przyjechali mnie zabić — powiedział Abakarow. — Teraz pan rozumie? To nie jest żadna wizyta kurtuazyjna, to tylko te skurwysyny tak piszą, bo dostali za to forszę od Amerykanów. Ja mam z Amerykanami swoje stare porachunki. Jestem Rosjaninem. Podczas wojny byłem pilotem, oficerem Czerwonej Armii. Pan sam mówił przed chwilą, że nie należy wierzyć żadnym gazetom. Oni tu po prostu przyjechali, żeby mnie skończyć. Więc pomyślałem sobie, że dobrze by było, aby jakiś porządny bank wziął mnie pod opiekę do tego czasu aż oni wyjadą. Żebym mógł po prostu nocować w strzeżonym miejscu. W takim miejscu, gdzie bank przechowuje pieniądze. Oczywiście, przyniosłbym ze sobą składane łóżko. Takie łóżko nie kosztuje wiele. Zresztą zapłacić lepiej za łóżko, jak zginąć. Potem można by łóżko sprzedać. Zresztą... zostawię łóżko bankowi. Taki wartownik co pilnuje tej forsy też musi sobie usiąść od czasu do czasu, prawda?

— Tak — powiedział tamten podczas gdy ciemna dłoń przyciskała raz po raz dzwonek. — To ciekawe. To bardzo ciekawe co pan mówi. — Dłoń pracowała szybko, nieprzerwanie. — Więc jak pan powiada? Że widział pan już takie łóżka? I jaka jest cena?

— Moje życie — dziko krzyknął Abakarow. — Taka jest jego cena. Ale jeśli pan nie chce, to nie. Niech te kanalie zobaczą jak potrafi umierać człowiek wolny.

Drzwi otworzyły się z hukiem i ci dwaj wpadli z odbezpieczonymi rewolwerami.

— Nie strzelać — krzyknął człowiek zza biurka. — Nie strzelać. Ten człowiek jest wariatem.

Skoczyli teraz na niego; ich dłonie pobiegły po jego ciele z nieprawdopodobną szybkością od kostek aż po pachy a potem runęli wszyscy trzej na ścianę z dykty która pękła z suchym trzaskiem; przetoczyli się przez następny pokój zwalając po drodze biurko i stojącą na nim maszynę do liczenia i znów runęli na następną ścianę i na następne biurko zmiatając z drogi wszystko co stało przy akompaniamencie wrzasku dziewcząt i tłuczonego szkła z następnej ściany; jeden ustawiony do niego twarzą a drugi plecami, trzymali go swymi lewymi rękami podczas gdy prawe ich dłonie waliły w jego ciało kolbami rewolwerów, ale był ciągle w obrocie, w ruchu i nie mogli trafić go w głowę gdyż obracał nimi podrywając z rozpędu ich krótkie nogi niby tancerz-idiota w ekscentrycznym tańcu własnego pomysłu i układu; i znów trzasnęli w następną ścianę zostawiając za sobą długi pokój, który jeszcze przed paroma chwilami stanowił cały kompleks schludnych i małych pokoików biurowych i tam dopiero, uderzony kolbą rewolweru w tył głowy i osuwając się w miękki, pełen czarnego szumu mrok słyszał już syrenę policyjną; i raz jeszcze dziki, cienki krzyk człowieka w okularach stojącego na własnym biurku i ostrzegającego przed strzelaniem; i wtedy stracił przytomność.

Człowiek siedzący w kucki na łóżku patrzył na niego z zainteresowaniem powtarzając w monotonicznych, równych odstępach czasu: „Tak. Tak. Ty masz ciało marynarza”. Potem następowало westchnienie; marszczył się jakby widząc go po raz pierwszy; jakby nie leżał na tym łóżku od dwóch godzin przywiązany pasami, lecz jakby zjawił się nagle niby duch sprawiając tym kłopot idiotcie siedzącemu w kucki i ten znów bełkotał sześć słów formułując je pewnie, ale z trudem, jak dziecko występujące w przedstawieniu szkolnym i czujące na swoich łydkach dumny wzrok matki i ciotek: „Tak, tak. Ty masz ciało mary-

narza". Potem do pokoju wszedł Mickey Cohan zamknąwszy bezceremonialnie drzwi tuż przed nosem przystojnej pielęgniarki, która chciała wsunąć się za nim; tak, że wraz z trzaśnięciem drzwi usłyszał lekki długi skok jej szczupłego ciała. Stał przed nim i w resztkę światła padającego od okna Abakarow dojrzał jego siwe skronie; nieprawdziwie teatralne; tak, jakby siwizna jego była tylko czymś przejściowym; może tym, czym jest dla innego mężczyzny trzydniowy, niegolony zarost.

— Hallo — powiedział Cohan. — Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że widzieliśmy się już kiedyś.

— Zdejm te cholerne pasy, Mickey — powiedział Abakarow. — Ręce mi całkiem zdrętwiały.

— Wcale nie jestem pewien, czy to zrobię — powiedział Cohan. — Może po prostu dam ci jakiś zastrzyk i kimniesz sobie do jutra. Coś, co ci uspokoi skołatane nerwy. O to chyba chodziło, nie? — Pochylił się nad nim i rozpiął pasy, potem poszedł przed siebie korytarzem a Abakarow szedł za nim rozciągając zdrętwiałe ramię. Tuż przed wejściem do gabinetu Cohana natknęli się znów na tę pielęgniarkę i znów drzwi trzasnęły przed jej twarzą. — Siadaj — powiedział Cohan. — I szybko wymyśl coś takiego, żebym mógł to wpisać do raportu. Coś mi się zdaje, że tym razem niczego nie umiem wymyślić.

Podszedł do szafki; nalał sobie szklankę alkoholu a potem już, ze szklanką w ręku podszedł do drzwi i zamknął je na klucz.

— Daj mi też, Mickey — powiedział Abakarow.

— Chcesz pić?

— Daj i mnie, Mickey — powtórzył.

Podał mu szklankę trzymaną w ręku a sobie nalał inną. Usiadł przy stole odwracając się ku niemu bokiem; tak, że widział jego banalny, czysty profil skażony trochę opuchlizną, a Cohan powiedział do niego:

— Więc co się w końcu stało?

— Nie wiem — powiedział Abakarow. — Miałem wypadek, Mickey. Silnik mi się skończył nad morzem i musiałem lądować, a facet który leciał ze mną utonął.

Widział jak szklanka w ręku tamtego poczyną drgać a potem szkło zadzwoniło cienko o zęby Cohana. Ale nie wypuścił jej; drżąca ręka chlusnęła alkoholem w twarz Abakarowa. Nie potrzebował się uchylać; strumień wymierzony drżąca ręką bryznął na ścianę.

— *Murder* — powiedział Cohan.

— *Take care of your Holy Water, Mickey* — powiedział Abakarow. Wypił swoją brandy a szklankę odstawił delikatnie na stół. — On tak czy owak nie zmartwychwstanie. Wiem, bo

go widziałem. A poza tym ta twoja kurwa może podsłuchiwać pod drzwiami i może jej się zrobić słabo. Powiedz jej lepiej, żeby stąd odpłynęła.

— Nie martw się o moje kurwy, Abakarow — powiedział Cohan. — Zostaw to mnie. Ja też chcę mieć trochę zmartwień w życiu. — Wypił i jego ręce uspokoiły się. — Dlaczego nie wołam po prostu policji — powiedział cicho. — Dlaczego tego nie robie.

— A chcesz? — zapytał Abakarow. — Poczekaj do jutra. Aż wytrzeźwiejesz. Aż wytrzeźwiejemy obaj. Bo ja też chcę się upić, Mickey. — Podszedł do niego i szarpnięciem obnażył jego ramię aż po łokieć. — Albo poczekaj jeszcze z tydzień lub ze dwa — powiedział. — Kiedy nie będzie już tych blizn po zaszczykach. — Wrócił z powrotem na krzesło zabierając ze stołu szklankę. — A przecież zawsze mówiłeś, że człowiek który jest alkoholikiem ma małe szanse na zostanie morfinistą — powiedział. — Ale i to się nie zgadza.

— Przymknij-no się lepiej — powiedział Cohan. — Ona może rzeczywiście szwendać się pod tymi drzwiami.

— Więc i tej także przyrzekłeś małżeństwo?

— Pewnie, że jej przyrzekłem — powiedział. — Zawsze im przyrzekam. Młode dziewczyny muszą marzyć. Ja w jej wieku byłem na Pacyfiku i nikt mnie nie pytał czy mi się ta zaszrana wojna podoba. Nawet już nie bardzo wiem o czym wtedy myślałem. — Patrzył na niego niebieskimi, zimnymi oczyma. — Więc co się w końcu stało? — powiedział. — Dlaczego zrobiłeś tę awanturę?

— Nie wiem, Mickey — powiedział Abakarow. — Przypuszczam, że to coś w rodzaju szoku, który następuje po wypadku. Wtedy trzymałem się niezłe. A dzisiaj na naszej ulicy czarni bracia skończyli jednego faceta.

— Chyba już o tym czytałem — powiedział Cohan. Znów nalał sobie i jemu. — Ale co mam napisać w raporcie — powiedział. — Przecież nie mogę swojemu szefowi powtarzać tych bzdur.

— Napisz, że nie rozpoznałeś jeszcze wypadku — powiedział Abakarow. — On mnie zresztą i tak wyrzuci za parę dni.

— Za parę dni? On cię wyrzuci jutro — powiedział Cohan. — Nawet nie wiem, czy się zdązysz ogolić.

— Ale zdążę się upić z tobą — powiedział Abakarow. Wypił swoją szklankę i odstawił ją na stół. — Słuchaj, Mickey — powiedział. — Ja tam sobie pomyślałem, że jak wychlejemy tę brandy i ja pójdę spać, to ta twoja kurwa przyjdzie tu do ciebie, nie?

Cohan sięgnął do kieszeni fartucha i wyjął z niej klamkę. Położył ją przed sobą na stole a potem odwrócił ku niemu twarz — rozgrzaną teraz od alkoholu, rozmazaną podczas gdy twarz tamtego stała się jeszcze ostrzejsza; może tylko ciemniejsza trochę od krwi płynącej w nim teraz ostro i szybko.

— Chcesz? — zapytał Cohan.

— Nie — powiedział Abakarow. — To nie to. To tylko to, że ona może sypnąć cię przed twoim szefem, że piłeś z pacjentem. A to by chyba nie było dobre. Mickey.

— Nie bój się — powiedział Cohan. — Ona poszła już do domu. Będzie w nocy dzwonić i płakać. Ale to jeszcze ze dwie, trzy godziny. — Sięgnął poza siebie i wyłączył telefon. — Już nie będzie. A potem włączę telefon znowu — powiedział. Zachwiał się i Abakarow musiał go podtrzymać.

— Nie dotykaj mnie — szepnął Cohan.

— No, no — rzekł Abakarow. — Napijmy się jeszcze. Ja też mam scharatane nerwy. — A potem butelka była pusta i Cohan rzucił się na tapczan. Wtedy pochylił się nad nim i w jego czystych, jasnych oczach zobaczył strach.

— Morderca — powiedział Cohan. Odtrącił go; poderwał się nagle i usiadł na tapczanie. — Chcę stąd wyjechać — krzyknął nagle. — Nie chcę tu żyć. Jestem Amerykaninem. Jak dwieście milionów innych Amerykanów. — Począł płakać i łzy ściekały po jego twarzy. — Jestem Amerykaninem — powtórzył, krzyknął niemal trzęsąc się. — Chcę wrócić do Kalifornii. Już dzisiaj. Już teraz.

— Jesteś nic — powiedział Abakarow. I kiedy tamten rzucił się na niego począł go bić po twarzy krótkimi, twardymi uderzeniami aż głowa tamtego opadła w bok. Ale bił go jeszcze nie odychając przy tym ani odrobiny szybciej jak poprzednio; jakby te krótkie, bezlitosne uderzenia nie sprawiały mu wysiłku a tylko ulgę. — Jesteś nic — mówił podczas gdy głowa tamtego odlatywała w tył i wracała. — Pijane nic.

Potem pochylił się nad nim i stał jeszcze przez chwilę nieruchomo dopóki nie upewnił się, że Cohan śpi i że spać będzie teraz twardo przez trzy lub cztery godziny; ciężkim, żelaznym snem pijaka, do którego nie dochodzi ani dźwięk ani światło i który jest jego męką nazajutrz, kiedy usiłuje ze strzępów dźwięków i obrazów przewalających się przez jego udręczony mózg zacząć stawiać odeszły wieczór; i który uśmiecha się beznadziejnie usiłując udawać, iż wszystko świetnie pamięta nie pamiętając niczego.

Pijane nic — powiedział Abakarow ocierając o jego fartuch swoją zaślinioną dłoń. — Pijane nic, które nazywa mnie mordercą.

Wziął ze stołu jego klamkę; zgasił światło i wyszedł. Przeszedł szybko ciemnym podwórkiem w kierunku portierni; zobaczył palące się światło i mężczyźni z fajką w zębach czytającego gazetę. Wtedy cofnął się; skoczył na mur i leżał tam chwilę nieruchomo czekając aż samochód jadący pustą ulicą skręci w bok a potem zeskończy i poczał biec przed siebie w kierunku portu. Przystanął przed automatem telefonicznym i wykręciwszy numer, powiedział:

— Proszę doktora Cohana.

Słyszał niewyraźny belkot tamtego; fajkę dzwoniącą w jego zębach kiedy mówił: — Doktor Cohan jest na dyżurze i nie przyjmuje żadnych telefonów z miasta.

— To pilna sprawa. —

— Jeśli tak, to proszę przyjść i zameldować się na portierni — powiedział tamten. — Czy mam stracić pracę przez pańską pilną sprawę? Nie, nie; chce pan tego? A może się panu wydaje że do tej pory straciłem niedostatecznie dużo? I co mam powiedzieć doktorowi?

— Nic — powiedział Abakarow. — Jeśli tak, to oczywiście coś innego. Spróbuję zadzwonić jutro.

Odłożył słuchawkę; znów biegi przed siebie przystając przed każdym rógiem i przypłaszczając się w bramach kiedy nadzieźdzały samochody. A potem szedł już wąskimi ulicami, którymi nie jeździły samochody i gdzie powietrze ciężkie było od zapachu smażonego oleju i mięsa i gdzie widział ciemne, zmęczone twarze ludzi siedzących pod domami i palących papierosy w oczekiwaniu wiatru od morza i chłodu, trwających w wiecznej uludzie; mimo iż urodzili się tutaj od pokoleń; i teraz tylko czarne spodnie i białe koszule i może jeszcze brylantyna na ich twardych włosach zmieniły ich brudne tuniki tak, jak kolorowe sukienki i szminka, i wrzask radia zmienił ich kobiety; szedł arabską dzielnicą miasta wiedząc, iż tu jest bezpieczny — on, który był tutaj tylko białym człowiekiem; jednych z dwóch i pół miliona białych, którzy ich zwyciężyli; ich i ich okrucieństwo pozostawiając im ich obyczaj — wlicząc wiedział, że nie mogą go wskazać i odróżnić; że wygląd dla nich tak jak dziesięciu Murzynów z tego samego plemienia może wyglądać dla tego, kto stoi przed nimi jak przed jedną ciemną twarzą którą chciałby sfotografować a potem szedł już brzegiem morza zostawiając poza sobą mokre ślady zmywane przez fale; i znów szedł w górę nie schodami prowadzącymi od tarasu w morze, lecz po zboczu, po piachu, czując

był taki spokojny kiedy tłumacze wołali, żeby oficerowie polityczni, partyjni i Żydzi wystąpili z szeregu. Nie myślał nawet chyba o tym co będzie, kiedy go odróżnią. Nie myślał o tym ani nawet przez chwilę w czasie tych osiemnastu miesięcy; i potem, kiedy kończyła się już wojna. A byliśmy już wtedy w Niemczech, w obozie i był tam jeden taki Niemiec z warty, który uparł się, żeby mówić po rosyjsku i niektórzy go uczyli. Więc zaczął już trochę mówić a kiedyś powiedział do Izaaka:

„Zapalisz?”

„Zapalę”.

Wtedy dał mu papierosa.

„Ładnie dziś” — powiedział do Izaaka.

„Ładnie”.

„I słońce tak pięknie zachodzi”.

„To prawda”.

„I niebo takie ładne”.

„Ładne”.

„Ale ludzie są źli” — powiedział Niemiec i uderzył go w twarz. Musiał ten numer przygotować już wcześniej, bo wszyscy Niemcy którzy tam stali roześmiali się a ja miałem tylko chwilę czasu, żeby go rąbnąć o ziemię i odciągnąć. I wtedy powiedział do mnie:

„Widziałeś tego człowieka?”.

„Widziałem”.

„No więc tego człowieka już nie ma” — powiedział.

Więc mówię ci: jak się trafi goj bandyta, czy pijak, czy gracz to zawsze w końcu znajdzie się na niego jakaś rada. Ale kiedy trafi się taki Żyd, to nie ma na niego rady. I nic go nie powstrzyma i nie można mu niczego wytłumaczyć, bo to jest tak, jakby człowiek mówił nie do głowy, ale do krwi; jakby człowiek mówił do szumu lub jakby chciał pokazać coś drugiemu człowiekowi w pokoju bez okien i światła. Więc ich można tylko zniszczyć, nie pokonać. Oni już są tacy, ale ludzie tego jeszcze nie wiedzą. Świat ich nie zna; ich wściekłości, zaciętości i pasji. Więc wojna skończyła się już, a myśmy wciąż siedzieli w obozie i wdziliśmy już, jak to jest z tymi, którzy byli w niewoli i którzy wrócili. Więc złożyliśmy podanie o wizy kanadyjskie i kazali nam czekać. I wtedy on zaczął go szukać; on, który nie znał Niemców, nie znał Niemiec i nie znał niemieckiego. I nawet się nie wysiłał, żeby poznać ten język. Nie był mu potrzebny; tak jak psu, który chce gdzieś wyszarpać ochłap nie jest potrzebna wiedza o zwierzętach. Więc myślę, że on po prostu czuł; czuł, że on żyje — ten dwudziestoletni, przystojny niemiecki chłopak, który się chciał nauczyć rosyjskiego.

„I skąd wiesz, że on żyje?” — pytałem go. — „W tej wojnie miliony Niemców poszły do grobów. A pewnie są i takie groby, gdzie wszyscy leżą razem — Niemcy, Rosjanie, Anglicy, Francuzi. Czy będziesz odkopywał te wszystkie groby, żeby go znaleźć?”

„Nie trzeba rozkopywać grobów” — powiedział. — „On żyje”.

„Skąd wiesz?”

„Wiem”.

„A co będzie, jeśli już przejdiesz amerykańską strefę?” — Zapytałem go. — „A potem przejdiesz jeszcze angielską i francuską? Czy w rosyjskiej też będziesz go szukać?”

„Będę” — powiedział. — „Pójdę i tam”.

„Ale wtedy nie pojedziesz już do Kanady” — powiedziałem.

„I tak nie pojedziemy” — powiedział. — „Nigdy nie dostaniemy tych wiz. Nigdy nie dadzą nam wiz Amerykanie i nigdy nie dadzą nam wiz Anglicy, ani żadni inni. Może on tę wizę dostanie, ale nie my”.

Węc szliśmy od miasta do miasta; a właściwie on szedł a ja szedłem za nim przez ten kraj zamieszkały przez czterdzieści czy pięćdziesiąt milionów Niemców, aby szukać tego człowieka, o którym nie wiedział jak się nazywa, gdzie mieszkał i kim był. Jednego z tych młodych Niemców, którzy przeszli przez Europę i którzy wrócili już tutaj i próbowali żyć od nowa. No więc on szedł a ja szedłem za nim; tak jak wtedy kiedy przywiązał moją zdrową rękę do moich pleców a złamaną ciągnął na pasku. Myślałem, że to było tak. Że zaufałem mu tak, jak i wtedy; nie jemu, nie jego głowie, ale jego wyobraźni, jego węchowi; więc nie myślałem wtedy o niczym bo i nie było o czym myśleć; chyba tylko o tych tysiącach zbiorowych grobów od Stalingradu po El Alamein — to wszystko o czym mógłbym myśleć, podczas gdy on ciągnął mnie za sobą wierząc, iż go znajdzie. Więc tylko od czasu do czasu zabierali nas amerykańscy żandarmi albo angielscy i odwozili nas do obozów *Displaced Persons* a my urywaliśmy się już następnego dnia i szukaliśmy go dalej. On nawet nie zabierał nic i nie kradł; po prostu zabierał tylko to, co mu było potrzebne i tylko to; trochę jedzenia, trochę ubrania które Niemcy oddawali mu bez oporu może czując w nim właśnie to, co i ja czułem; tę wścicość, której nie chciał w sobie pogłębić.

„To był jakiś junkier” — powiedział kiedyś do mnie. „To był jakiś bogaty człowiek. Pewnie poszedł do swoich, na Prusy”.

„Skąd wiesz, że to był bogaty człowiek?” — zapytałem go.

„Bo tak wyglądał”.

„Dużo widziałeś w życiu bogatych ludzi?”

„Jednego widziałem”.

„Więc tak, czy owak go nie znajdziemy”.

„On sam się znajdzie” — powiedział.

A potem, w takim małym miasteczku pod Norymbergą kiedy leżeliśmy obok szosy i czekali na jakiś wóz, który by nas mógł zabrać dalej, powiedział do mnie:

„To był chyba SS-man. Jakaś duża figura”.

„Zmiłuj się, Izaak” — powiedziałem. — „To był zwyczajny żołdat, z Wehrmachtu. Gdzie by on tam mógł być wysoką figurą”. — Patrzyłem na jego suchą, ciemną twarz; na jego białe, żyłaste ręce; powiedziałem mu: — „Przestań o tym myśleć. Dlaczego nie myślisz o tym, że zabili ci ojca, i twoje siostry? Dlaczego akurat o tym? Zabij pierwszego lepszego i skończ z tym. Rąbnij kogo chcesz i zapomnij o nim.

„Nie” — powiedział. — „Co mi tam pierwszy-lepszy. Teraz już nie wojna. Teraz to już tylko moja sprawa z nim”.

„Mam dosyć wojny, Izaak” — powiedziałem. — „Kiedyś musi się ona skończyć i dla nas. Ja chcę wrócić. Wszystko mi jedno, co ze mną będzie. Nie może być gorzej, jak tutaj”.

„Tak” — powiedział. — „Chcesz wrócić i pamiętać jak twojego przyjaciela, Izaaka Eisenmanna uderzył Niemiec w twarz przed całym obozem i cały obóz się śmiał. Nie tylko Niemcy. Nasi też. To dlatego, że tak strasznie chciało mi się papierosa. A przecież mogłem nie palić. Tak, jak i inni nie palili. Więc wrócisz i będziesz mówił, jak to twojego znajomego Żyda bili po twarzy, kiedy sobie chciał zapalić”.

Więc chyba wtedy zrozumiałem, że musi mnie czasami tak samo nienawidzić jak i tamtego. Dlatego, że to widziałem. Dlatego, że odciągnąłem go kiedy chciał się rzucić na tamtego. I teraz boi się mnie i mojej pamięci. I dlatego, że był Żydem; i że bał się, że ktoś mógłby przypuszczać iż stchórzył i tłumaczyć to jego żydostwem. A teraz potrzebuje mnie i tego, żebym ja widział, że potrafi się mścić — tyle dla niego znaczyła ta cała wojna i miliony tych wszystkich, którzy w niej polegli. Ta jedna chwila w której tamten uderzył go w twarz — to było wszystko co zapamiętał. Tak chyba było z nim. Ja gdzieś potem czytałem, że żołnierze amerykańscy którzy walczyli przeciw Japończykom na Pacyfiku nie pamiętają wielu rzeczy; że nie potrafią mówić o swoich przeżyciach. I ten który napisał tę książkę tłumaczy to w ten sposób, że żołnierze po prostu nie pamiętają; że nikt nie jest w stanie zapamiętać tego, co czuje i co myśli, kiedy idzie do ataku lub kiedy przez trzy dni leży pod obstrzałem arty-

leryjskim. To chyba prawda. Nie pamięta się wojny. Tego co w wojnie najciekawsze. Ale to, co się zapamiętało jest najgorsze; bo to jest chyba zawsze coś małego, coś całkiem kiepskiego z czego człowiek może się także śmiać. No więc to jest właśnie to; to, co przynoszą te wszystkie zwycięstwa bez nadziei.

No i szukał go potem w Monachium; krępy, silny i czarny człowiek ubrany w marynarkę, którą w biały dzień zdarł z jakiegoś Niemca przechodzącego ulicą — marynarkę, która była dla niego za długa i za wąska, tak, że tworzył mu się garb na pierśiach, ubrany w złachane spodnie i szczątki butów — podczas gdy wszyscy inni szukali wciąż jeszcze złota, pieniędzy lub szansy na ich zrobienie, grzebiąc się w śmieciach, które pozostawiła wojna; wyjeżdżając i wracając; handlując autami, walutą i benzyną, przemykając się pomiędzy jednym a drugim patrolem policji w tym bałaganie zwycięstwa — no więc, on chodził tymi samymi ulicami i szukał tamtego i myślę, że jego wyobraźnia niosła go dalej i dalej, kiedy myślał o tym żołnierzu z Wehrmachtu; kiedy wymyślał mu imiona, rodziców; kiedy wymyślał jego sytuację materialną i wtedy, kiedy było to w Monachium — ten człowiek był synem bankiera; a kiedy szukał go w Hamburgu — myślał o nim jako o synu jednego z tych ludzi, którzy budowali okręty i porty; a potem — kiedy włókł mnie poprzez Ruhę patrząc w osłupieniu na ocalałe i zniszczone fabryki, na miliony ton stali wzniesione i wprowadzone w ruch, myślał o nim — że jest synem jednego z tych ludzi, do którego należały nie te fabryki, lecz kilometry fabryk, miasta fabryk. Bo mówił sobie, że ten człowiek; ten chłopiec o przystojnej, uczciwej twarzy był synem jednego z tych bogaczy, o których słyszał przez całe życie i których karykatury widział. Nie pomyślał o nim ani razu, że mógłby być biedakiem albo po prostu robotnikiem; tak, jakby nie było tej całej wojny, w której biedacy zabijali biedaków a robotnicy robotników. Więc tamten przestał już być człowiekiem, stał się symbolem, tym samym czym dla dziecka jest czarny człowiek, który przyjdzie w nocy i zabierze cię jeśli nie zjesz porządnie swojej kolacji. To tak. Albo może tym, czym jest dla kurwy ten jej legendarny uwodziciel, ten pierwszy, który rozdarł jej cnotę i nawiał z jej forszą. Może tak. Może tak myślał. Bo mało z nim wtedy mówiłem. Nie mogłem z nim o tym mówić. I już sam nie wiem dlaczego wciąż i wciąż za nim szedłem. Myślę, iż pewnego dnia sam w to uwierzyłem, że go znajdzie i skończy. Może dlatego, że zawsze łatwiej uwierzyć w szaleństwo niż w rozum, kiedy człowiek jest zmęczony i głodny, pobity.

A potem pobił się z amerykańskimi żandarmami i zabrali nas. Ten sędzia nie miał więcej jak dwadzieścia lat; to znaczy

mniej więcej tyle samo co on i ja. Czekaliśmy; potem żandarmi wypchnęli Izaaka do przodu i ten sędzia popatrzył na niego.

„Dajcie mu buty — powiedział. — I odwieźcie go do Norymbergi. I dajcie im coś do zjedzenia. Ale najpierw dajcie mu buty. — Zwrócił się do tłumaczy: — Dlaczego ten człowiek szwenda się bez sensu?”

„Dlaczego się szwendacie?” — zapytał tłumacz.

„Szukam jednego” — powiedział Izaak.

„Kogo?”

„Jednego, żeby go zabić”.

„Mam to przetłumaczyć?”

„Przetłumacz jeśli chcesz, skurwysynu” — powiedział.

Tłumacz zwrócił się do sędziego płacziwie:

„*Your Honour. This man says he's looking for some guy to kill him. Your Honour — this man says I'm a son of a bitch*”.

„Dobrze” — powiedział Amerykanin. — „To potem przeprowadźcie go jeszcze raz. Ale najpierw dajcie mu buty!

„*But this man says I'm a son...*”.

„Dajcie mu buty” — powtórzył Amerykanin.

Więc wyszliśmy, a potem Izaak wyrzucił te buty, które wsunęli mu do rąk Amerykanie. I wtedy po raz pierwszy spojrzął na swoje nogi; na swoje buty które miał jeszcze z obozu. Nie wiem właściwie dlaczego sznurował je codziennie; tak czy owak chodził boso. I wtedy weszliśmy do szewca; i ten niemiecki chłopiec siedział pochylony a przed nim leżała kupa zardzewiałych, pokrzywionych gwoździ, które prostował młotkiem — starannie i bez pośpiechu.

„Zreperuj buty” — powiedział po chwili Izaak. — Dam dwa papierosy”.

„Cztery papierosy” — powiedział tamten.

„Trzy papierosy” — powiedział Izaak.

Zreperował mu buty i wyszliśmy.

„Więc to jest szewc” — powiedział jakby nie dowierzając sobie. — „Szewc. Widziałeś te jego gwoździe?”

To było tak, jakby nie chciał uwierzyć sobie; jakby nie chciał zrozumieć tego, co przekazały mu jego oczy; obrazu tamtego człowieka w mundurze, z pistoletem automatycznym, bijącego go w twarz; pełnego pychy i brutalności tchórza i obraz tego pokornego człowieka, reperującego śmieci i żyjącego ze śmieci. To tak, jakby na jednej kliszy zrobiono dwa zdjęcia; coś, co już niczym nie jest i co trzeba sobie przypomnieć i oddzielić. To twarde, nieoczekiwane uderzenie człowieka, który tylko uderzył,

a przecież mógł zabić gdyby zechciał i ten suchy klekot młotka rozginającego zardzewiałe gwoździe które uprzednio powyciągał z resztek butów. Podszedł do parkanu i wyciągnął, wyszarpnął kawałek drutu — wciąż z twarzą pełną zdumienia; z twarzą przechodzącą od wyrazu zdumienia do wyrazu obrazy w ciągu tych paru chwil w których mocował się z drutem na oczach przechodzących ludzi; a potem trzymał już w rękach kawałek drutu o długości może metra, nie więcej i wtedy w twarzy jego nie pozostało już nic z oczekiwania, nic ze zdumienia; z tego wszystkiego co widziałem na jego twarzy od maja roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do teraz; w tym czasie w którym przeszliśmy i przejechali Niemcy i Austrię raz i drugi. To tak, jakby zawalił się nagle cały jego świat, jakby skończyła się droga, na której poszukiwał tego człowieka — może jeszcze nie człowieka, może jeszcze tylko chłopca, któremu niepotrzebnie dano do ręki pistolet i któremu kazano uwierzyć w zwycięstwo; tylko w zwycięstwo a nie w nadzieję.

Patrzyłem na niego jak wyciąga z kieszeni dwa patyki każdy o długości może dziesięciu centymetrów i obwiązuje końce drutu dookoła tych kawałków drzewa, które musiał przygotować już dawno gdyż były całkiem szerniałe, niby rękojeść noża, który służył pokoleniom chłopów. To było wszystko co ukradł z tej wojny i co wziął sobie z tego kraju podczas gdy inni brali auta, pieniądze, kobiety i resztki tego, co posiadali Niemcy. A ja stałem i patrzyłem na niego i może wtedy po raz pierwszy zrozumiałem co to znaczy obrazić człowieka. Jego dumę i jego godność. Ale potem pomyślałem, że nie można tego dokonać; że nikt tego nie potrafi i że w człowieku pozostaje coś nienaruszonego, coś niedotkniętego czego nie można pokonać i zniszczyć — wtedy, kiedy patrzyłem na druty zwijając się w jego rękach. I pomyślałem sobie jeszcze wtedy, że chyba dlatego zawsze będą wojny, i nieszczęścia, i rozpacz bez której nie byłoby nadziei.

„Pójdiesz?” — zapytał.

„Tak — powiedziałem. — Pójdę”.

Więc wróciliśmy tam i ja patrzyłem jak on podchodzi do niego z tyłu i zarzuca ten drut na jego szyję w ten sposób, iż z tyłu powstała pętla którą rozciągały jego ręce, na których zacisnęły się dłonie tamtego; a potem widziałem jak głowa jego zsuwa się do tyłu z szyi przeciętej drutem podczas gdy Izaak patrzy wciąż na kupę gwoździ leżących na stole a potem kopnięciem przewraca ten stół zalany jasną, pienistą krwią.

„Jeśli zapomnę Cię o Jeruzalem” — powiedział. — „Zapomnij Panie prawicę moją...”.

Więc mówię ci; to jak kamień który odkopnąłeś z drogi i który cię dogania. Bo wtedy już myślałem, że skończyła się cała nędza. Albo, że skończyła się wojna. To potem właśnie namówił mnie, żeby przyjechać tutaj razem z nim i kupić mi lewy paszport. I wtedy zaczęliśmy latać na tych maszynach i nie było nam nawet źle. Bo można się tego nauczyć: latania na trzech metrach wysokości, kiedy nie pracuje nic — ani altimetr, ani sztuczny horyzont; na maszynach bez łączności radiowej, kiedy człowiek orientuje się mniej więcej według swego cienia. I kiedy nagle mucha przyklepa ci się do szyby a ty podrywasz maszynę, bo myślisz, że to nie mucha, a drzewo do którego było jeszcze z pięćset metrów. I to nie chodzi o to, żeby się przyzwyczaić do niebezpieczeństwa. Chodzi właśnie o to, żeby się nie przyzwyczaić, bo przyzwyczajanie to koniec. Chodzi o to, żeby nigdy nie nabrać rutyny, bo rutyna to koniec. Bo wtedy człowiek już nie reaguje. Więc kiedy lecisz na tych trzech metrach wysokości i jest dwunasta — to cień leży prosto pod maszyną. A potem, po dwunastej, cień zaczyna uciekać a ty z przyzwyczajania schodzisz niżej i niżej żeby cień leżał pod maszyną i żeby *spray* spływał na pole a nie uciekał z wiatrem; więc ty dusisz ten cień, zapomnisz chociaż raz że przeszła już dwunasta, że cień leży z tyłu maszyny — i wtedy się rozwalasz. Chodzi właśnie o brak przyzwyczajania; i to, żebyś działał w napięciu; żebyś nigdy nie uwierzył w rutynę, w porządek tej roboty. Bo mówię ci: wtedy jest koniec. Wtedy schodzisz za nisko i rozwalasz się.

Więc zaczęliśmy pracować w tej firmie chemicznej i ten szef lotniska, do którego wszyscy mówili „majorze”, powiedział do nas:

— Ja jestem religijnym człowiekiem, panowie. I ja, osobiście, wierzę tylko w jednego Boga. Ale wy, panowie, będziecie musieli wierzyć w dwóch: Tego na niebie i drugiego na ziemi. A tym na ziemi jestem ja.

— Pan to mówi poważnie? — zapytał Izaak.

— Ależ tak, jak najbardziej — powiedział tamten. — Nie słyszał pan nigdy o czymś takim?

— Nie — powiedział Izaak. — Więc jak to jest z panem? Ludzie mówią do pana, a pan mówi do Boga, nie?

— Właśnie tak — powiedział tamten. Odszedł kulejąc a ja zapytałem jednego lotnika, który stał przy nas i przysłuchiwał się:

— Skądżeście wzięli tego skurwysyna? To w tym kraju nie ma operetki, czy jak?

— Firma mu ufa — powiedział. — I ma młodą żonę. Teraz chyba wszystko jasne, nie?

Więc pracowaliśmy tak przez równe dziesięć lat, w czasie których on zdążył się ożenić i rozejść a jedenastego roku, trzy lata temu ten szef i my poleciliśmy w dwie maszyny za Haifę, żeby odwalić tam kawałek roboty. On powiedział, że to zajmie nam najwyżej trzy dni i tak by może i było. Ale trzeciego dnia mój motor poszedł do wiadra. I Izaak musiał latać za mnie i robić moją robotę podczas gdy ja pojechałem jeepem do Haify razem z szefem, żeby zadzwonić po mechaników. Szef zadzwonił, powiedział co i jak, a tamci wściekli się na niego i kazali Izaakowi skończyć robotę i jutro z rana lecieć dalej, za Beer-Shebę razem z szefem podczas gdy ja miałem czekać na mechaników.

— Ci mechanicy mi tak czy owak nic nie pomogą — powiedziałem do szefa. — Niech pan zadzwoni jeszcze raz. Niech pan im powie, żeby przysłali ciężarówkę a nie mechaników. Nie ma mechanika, który by potrafił piaskiem zreperować motor. Ja przypuszczam, że to wentyle, szefie. To nie jest robota dla jednego człowieka i na jeden dzień.

— Eisenmann musi skończyć dzisiaj to cholerne pole — powiedział do mnie. — Oni się tam na niego wściekną w centrali, jeśli on nie polecą dalej. A w każdym razie zapłacą jakąś konwencjonalną karę.

— Jaką karę?

— Pojutrze rozpoczynają się manewry — powiedział. — I odrzutowce będą latać nad pustynią i walić napalm gdzie się da. Więc musielibyśmy prosić wojsko o pozwolenie przelotu a nie myśli pan chyba, że cała armia będzie stać i patrzeć jak Eisenmann przelatuje na samolocie typu „Piper” z szybkością stu mil. I że wszystkie odrzutowce, których minuta lotu kosztuje do cholery i trochę forsy, będą stały grzecznie na ziemi a lotnicy będą robić owację Eisenmannowi. A może się mylę? Może pan właśnie tak myśli?

— Więc trzeba rozmontować „Piper’a” i przewieźć go ciężarówką — powiedziałem.

— Niech pan im to sam powie — powiedział. — Niech pan po prostu zadzwoni i wytłumaczy firmie, żeby zamiast zarabiania pieniędzy wzięli się do ich wyrzucania. Oni będą panu wdzięczni za pańskie wskazówki. Trzeba tylko, żeby pan zadzwonił. — Zapalił nowego papierosa; powiedział do mnie: — No i na co pan właściwie czeka?

— Słuchaj no pan — powiedziałem. — Nie zdaje się panu chyba, że Izaak będzie latał po ciemku i sytał ten zasrany proszek tylko dlatego, że paru skurwysynów trzęsie się o kilka funtów na ciężarówkę. I może dlatego ma sobie złamać kark, żeby im zaoszczędzić tego wydatku?

— Mówiłem już panu, żeby pan zadzwonił i powiedział to wszystko firmie — rzekł. — I jeszcze jedno: pan mnie przecież nie pytał o radę przy wybieraniu zawodu. Dla mnie też byłoby lepiej żeby pan został technikiem dentystycznym czy czymś w tym rodzaju. Prędzej by pan zrobił forszę. No więc jak: dzwoniś pan w końcu, czy nie?

Więc wsiedliśmy do jeepa i wróciliśmy na to pole, tam gdzie latał Izaak. Była już godzina piąta i zostało jeszcze kawał pola do roboty. Myślę, że jakby się dobrze uwinąć, to można by to pole spryskać w dwie godziny, może w dwie i pół. To właśnie tak, jak nam wyliczyli chemicy w firmie: praca dla dwóch maszyn na trzy dni. Tylko że trzeciego dnia ja już nie polecałem a on bujał się od czwartej rano, bez jedzenia, robiąc robotę za siebie i za mnie. A teraz musiał już być głodny i wściekły; widziałem jak zawraca na końcu pola; jak odwala te wstążki jedna za drugą i przepada trochę na wysokościach a potem znów szoruje nad ziemią w tumanie białego proszku a kiedy przelatywał obok jeepa pomyślałem sobie, że cień mu już uciekł, że lata na wariata — teraz, o piątej po południu.

— Szefie — powiedziałem. — On lata bez cienia.

Odwrócił się do mnie dygocąc z pasji.

— Więc cóż według pana mam zrobić — zapytał. — Jeśli pan chce, to mu wytnę cień z tektury i przyklepię do ogona. Chce pan?

Podszedł do jeepa, wyciągnął stamtąd butelkę brandy, nalał sobie trochę do kubka i wypił. Drżały mu ręce ze wściekłości: wypił tę brandy akurat w chwili kiedy Izaak przelatywał koło nas — skończył mu się *spray* i siadał do lądowania.

— Ja go zmienię, szefie — powiedziałem. — On lata od czwartej rano i w dodatku nic jeszcze nie jadł porządnego. Czy zgodzi się pan?

— Tak — powiedział. — Proszę.

Izaak podszedł do nas; zarośnięty, w przepoconej koszuli, z przekrwionymi oczyma a ja mówię do niego:

— Zmienię cię, Izaak. Odpocznij trochę.

— Co masz mnie zastępować — powiedział. — Ja przecież wcale nie mówiłem że mam zamiar latać dalej. Nigdy nie mówiłem, że potrafię latać jednocześnie bez altimetru i bez cienia. A może jeszcze bez samolotu.

— Słuchaj pan — powiedział szef. — Ja rozmawiałem z centralą. Pan musi dzisiaj skończyć to pole a jutro rano lecieć ze mną do Beer-Sheby a tam jest robota na jedną maszynę i na jeden dzień. Bo pojutrze rozpoczynają się manewry a wtedy nie

przepchasz się pan. Ustawimy panu tyczki z chorągiewkami co pięćset metrów. Będzie pan widział coś nie coś.

— Sobie pan ustaw tyczki — powiedział tamten. Zdarł z siebie okulary i koszulę a jego małpie włosy na piersiach były mokre od potu i wyglądał jak szczeniak wylizany przez sukę. — Nie mówi pan tego chyba poważnie — powiedział. — A zresztą możesz pan mówić poważnie. Pan nigdy nie był lotnikiem. Ale ja też nim nie jestem po wpuł do szóstej.

— Niech pan da spokój, szefie — powiedziałem. — Trzeba poczekać do jutra. Jutro też będzie do cholery i trochę słońca.

— Daj no pan łyknąć tej brandy — powiedział Izaak. — Jestem już po pracy.

— Pan musi dzisiaj skończyć to pole — powiedział tamten. Znow nalał sobie brandy i znow — teraz już my obaj — patrzyliśmy na jego dygocące ze wściekłości ręce a potem słyszeliśmy jak aluminiowy kubek dzwoni o jego zęby. Odstawił potem butelkę, ściągnął z siebie pas z pistoletem; wrzucił go na siedzenie jeepa. — Niech pan się pośpieszy, Eisenmann — powiedział. — To słońce nie będzie czekać na pana. — I do mnie: — Chodź pan ze mną, Abakarow. Przejedziemy jeepem przez pole i poustawiamy te tyczki. — I wtedy krzyknął już prawie na Izaaka: — Ruszaj że się pan. Nie stój pan tu nade mną tak jak matka nad zasranym dzieckiem.

— Ja bym panu radził zmienić ton — powiedział Izaak. — Ten pański ton cholernie nie pasuje do nas obu. Nie jesteś pan przecież w armii, majorze. To co było dobre w polskiej armii nie jest wcale dobre przy czterdziestu stopniach gorąca.

— Niech pan już leci, Eisenmann — powiedział ten stary. — I niech pan uważa na tyczki. Chyba będzie pan coś niecoś widział. Wierzę w to.

— Ale ja w to nie wierzę — powiedział Izaak. — I panu bym też nie radził.

— Więc pan odmawia?

— Wcale nie. Niech pan mówi dalej. Opowiedz pan jak to było w polskiej armii.

— Powiem panu — rzekł ten stary. — W polskiej armii Żydów stawiało się na kładkę ponad wodą i kazało im się strzelać z kładki. Zeby nie rzucali karabinu po strzale i nie padali na ziemię. Całą kupę tchórzy nauczyło się w ten sposób gdzie karabin ma koniec a gdzie początek.

Izaak milczał. Patrzyłem na jego twarz; na jego nos który stawał się biały a potem górna warga pobladła; to tak, jakby możliwe były białe cienie i jakby ktoś rzucił taki cień na górną część jego twarzy. Myślałem, że się odwinie i rąbnie go pięścią

w mordę, ale nie poruszył się nawet. I nawet nie wyglądał groźnie; wyglądał żałośnie; jak człowiek którego spotkało nieszczęście i który tego nieszczęścia jeszcze nie rozumie; kto wkracza dopiero w nie — tak jak się wkracza w krąg blasku, lub cienia.

— Powiedział pan: Żydów? — zapytał cicho patrząc przy tym w ziemię, tak jakby nie miał siły podnieść oczu na twarz tamtego.

— Ja już powiedziałem wszystko, co chciałem powiedzieć — rzekł ten stary.

Wciąż patrzyłem na niego; stojącego nieruchomo, z pochyloną głową — ale nie jak do uderzenia; to wciąż wyglądało tak, jakby po prostu nie miał odwagi spojrzeć na tę drugą twarz — dygocącą z furii, z bezsily; i wciąż widziałem jeszcze tę białą smugę przechodzącą jakby przez jego twarz i wydawało mi się, że wiem wszystko o czym mógł wtedy myśleć; on, stojący przede mną i przed nim — przed nami dwoma, którzy przez przypadek nie byliśmy Żydami, ale on już tego nie rozumiał i już chyba nie rozróżniał nas. Musiał wtedy myśleć o tym jak ciągnął mnie po kilometrach topniejącego śniegu; o tych prawie dwóch latach w obozie; i o następnych dwóch latach, w czasie których szukał tamtego człowieka; musiał myśleć o swojej rodzinie która zginęła w czasie wojny — ale nie było w nim furii; może nawet nie było w nim rozpacz — chyba tylko wstyd, że jeszcze żyje, że przyjechał tutaj po wszystkim co przeszedł i że wciąż jeszcze istnieją ludzie którzy mogą go obrazić — tutaj, w tym nowym kraju, którego mógł nigdy nie ujrzeć. Nie on; jego znieważona krew kazała mu odwrócić się i podejść do maszyny podczas gdy ja stałem jeszcze przez chwilę patrząc na jego opuszczone ramiona i na jego ciężkie kroki; na jego ciemną głowę lśniącą w ostatku słońca. A potem pobiegłem za nim.

— Izaak — powiedziałem. — Nie bądź idiotą, nie leć.

— Puść mnie — powiedział.

I znów pomyślałem sobie — w ciągu tych stu kroków dzielących nas od jego „J-3”, że nie można zniszczyć, lub obrazić tego co w człowieku jest ważne dla niego samego. Bo przecież mógłby po prostu powiedzieć w dyrekcji co usłyszał od tego starego i powołać mnie na świadka a wtedy tamtego by zwolnili. Ale on nie chciał tego; jedyne, czego teraz pragnął to lotu — teraz, po trzynastu godzinach pracy, w czasie których nie jadł, nawet nie palił i kiedy tablica instrumentów musiała skakać przed jego oczami, rozmazywać się; kiedy był już na wpół ogluszony i oziębiały od wrzasku tego „J-3” który ma rurę wdechową długości dwudziestu centymetrów. I może nie chodziło mu o to, aby pokazać to nam — bo nie uważał nas chyba na tyle

za ważnych. Chciał pokazać sobie samemu, że nic nie zostało już z tej złej legendy o jego narodzie — tak, jakby nie wystarczyło mu tej wojny i tego człowieka, którego zabił po wojnie; i jakby nie wystarczyło mu wojny roku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego i Kampanii Synajskiej, i legendy Izaaka Sterna; i legendy tych wszystkich ludzi którzy potrafili obronić ten kraj, nie mając niczego co potrzebne jest do prowadzenia wojny. Więc to nie on, mówię ci, nie on — to jego nieszczęśliwa, znieważona krew kazała mu biec prawie, w pyle w resztkę słonecznego światła do stojącego pod wiatr samolotu. Jego krew, która silniejsza była od jego mózgu, może od jego serca, bo przecież wiedział, musiał wiedzieć, że będzie latał po ciemku i że może się rozwalić — to było to, co mówiło mu jego doświadczenie, jego pamięć, jego mózg. Ale nie chciał wierzyć temu wszystkiemu; był jeszcze na tyle młody, dobry i niezepsuty iż myślał, że jedną chwilą odwagi, czy po prostu furii można sobie znów zbudować życie. Więc to nie tych trzydziestu metrów wysokości mu zabrakło; myślę, że zabrakło mu następnych dziesięciu lat, w ciągu których mógłby się przekonać że nawet szaleństwo staje się złudzeniem i nudą, i przyzwyczajeniem; tak jak miłość dwójga małżonków staje się higieną, przyjemnością którą źle znosi pamięć.

— Izaak — powiedziałem.

Wtedy uderzył mnie a ja mu oddałem i potoczyliśmy się w kurzu aż pod maszynę. Przycisnąłem go do ziemi, ale udało mu się jakoś wyrwać. Znowu mnie rąbnął i znowu mu oddałem; ale był mniejszy, szybszy. Stał nade mną i patrzył jak dźwigam się z ziemi, jak staję na kolanach; wtedy i ja spojrzałem w jego twarz. I wtedy widziałem już na jego twarzy rozpacz.

— Przebacz, Siergiej — powiedział. — Na Rany Boga, przebacz.

To wszystko co powiedział; a potem uderzył mnie z całej siły w głowę. Wtedy upadłem znowu i słyszałem już tylko krótki wrzask jego silnika i czułem ostre, wściekłe uderzenia piasku w twarz dopóki nie odleciał. Wtedy się podniosłem.

— To będzie pana drogo kosztować — powiedziałem do szefa. — Niech się panu nie wydaje, że ja nazywam się Eisenmann. On tego nie powtórzy, może pan być spokojny. Ale ja to powtórzę. — Wziąłem pęk drewnianych tyczek leżących na ziemi i wrzuciłem je do jeeпа. — Siadaj pan — powiedziałem.

Przejechaliśmy polem, poustawialiśmy mu te tyczki a potem, na środku pola zatrzymałem jeeпа i patrzyliśmy na niego; zszedł po raz pierwszy, otworzył spust i zrzucił *spray* ale był za wysoko może na ośmiu metrach i wiatr wyrzucił cały *spray* poza pole.

— Nie widzi cienia — powiedziałem. — Idzie za wysoko. Cała ta robota gówno warta. Jutro przyjedzie komisja z chemikami i nie przyjmą panu tego pola tak czy owak. Ale to pana nie powinno martwić. Pan tak czy owak wyskoczy. Nie musi pan nawet powiedzieć, że panu przykro.

— Nie — powiedział. — Nie muszę tego powiedzieć.

Patrzył jak Izaak robi skręt i znów schodzi nad pole; tym razem leciał jeszcze wyżej i *spray* znowu poszedł w bok z wiatrem.

— Wystrzelę mu raketę — powiedział. — Niech schodzi niżej.

Nabił raketnicę i kiedy tamten zawrócił już i mógł nas widzieć — wystrzelił czerwoną raketę. Wtedy zszedł na te trzy metry i leciał nad tymi tyczkami, i *spray* spływał na pole. Doleciał do końca pola, zrobił skręt i znów szedł za wysoko. Słońca już nie było. Wziąłem raketnicę i wystrzeliłem mu jedną czerwoną — wtedy wściekł się, przeleciał tuż nad nami, tak, że przypadliśmy do ziemi a kiedy podnieśliśmy się znowu — cały jeep spryskany był *spray*em i wyglądał jakby go kto świeżo odebrał od lakiernika. Ale potem latał już dobrze; przykleił się do tych trzech metrów i latał tak równo, że cegły można by było kłaść w ślad. Widocznie przestał się bać; więc po jakimś czasie szef rozładował raketnicę i odłożył ją na tylne siedzenia jeepa, gdzie leżały już nasze pistolety i butelka brandy.

— Nie będzie to już chyba potrzebne — powiedział. — Zdaje się, że złapał dryg.

— Nie ma takiego, który by złapał ten dryg — powiedziałem. — To tylko dlatego, że jest idiota. Ja bym tam dla pańskiej przyjemności nie ryzykował cyrku.

— Może jest po prostu lepszy od pana — powiedział.

— Nie taki on dobry lotnik jak z pana szef — powiedziałem. — Ale nie bój się pan, nie naszczeka na pana. Nie potrafi tego.

Odwrócił ku mnie swoją spokojną, zdrową twarz o wyrazie wyuczony surowości i patrzył chwilę na mnie.

— Na razie jeszcze ciągle jestem pańskim szefem — powiedział. — Niech pan się stara inaczej formułować swoje uwagi, Abakarow. — Spojrzał na zegarek; było już wpół do ósmej i Izaak leciał ostatni raz ponad polem i gdzieś w środku pola skończył mu się *spray*. — Dał radę — powiedział. — Teraz możecie się walić po mordach od początku.

— Poczekaj pan — powiedziałem. — Nie siadaj pan jeszcze do jeepa. Poczekaj pan, aż on wysiądzie z maszyny. On już panu powie tych parę prostych, żołnierskich słów.

Odwrociłem się; nie byłem już ciekaw lądowania. Chciałem właśnie odejść i nie mieszać się w to; więc wyrwałem tylko staremu kluczyk od stacyjki i wsunąłem go do kieszeni. Nie chciałem mieszać się w to, co Izaak powie jemu czy też może nie chciałem słuchać tego, co szef powie do Izaaka.

— Oddaj pan klucze — wrzasnął.

— Poczekaj pan — powiedziałem. — Powiedz mu pan to jeszcze raz. Tę pańską historyjkę z kładką.

To w tym ułamku sekundy kiedy odwracałem się aby odejść, twarz jego stanęła nagle w ogniu, w jasności jakby jakiś fotograf, który nie fotografuje flashem tylko starą metodą, stanął nagle za mną i spoza moich pleców robił zdjęcie starego; tej twarzy o wyrazie nieprawdziwej surowości i o krótkim wąsie. A potem usłyszałem huk i wstrząs. Wskoczyłem do jeepa, ale silnik nie chciał zaskoczyć; więc zostawiłem klucz i biegłem poprzez pole w kierunku tego jasnego, fioletowego słupa ognia, ale kiedy dobiegłem tam — żar odrzucił mnie w tył. Stałem rzucając gołymi garściami piach, a płonące szmaty sypały się na mnie z wiatrem. A potem usłyszałem warkot jeepa i widziałem jak ten stary biegnie pochylony z małą gaśnicą w rękach i wywala cały jej ładunek w ciągu kilku sekund; ale już wtedy nie istniał ani on, ani jego maszyna. Cofnąłem się w tył i oparłem o jeepa; patrzyłem na starego jak stoi tam rozkraczony z gaśnicą w rękę, a ja już wtedy trzymałem pistolet i on to już widział odwróciwszy się ku mnie; czarny, umazany, ze spalonymi włosami. Powiniennem był oprzeć rękę o szybę jeepa albo podeprzeć ją po prostu drugą ręką i wtedy bym go zabił. Ale nie trafiłem go nawet; patrzyłem na moją dłoń obciążoną pustym, wystrzelonym pistoletem i moja ręka wciąż latała, jakby nie należąc do mnie tylko do kogoś innego; do kogoś, kto chory jest na epilepsję i kto rzuca się po ziemi podczas gdy inni usiłują wcisnąć w jego dłoń kawałek metalu. A potem odrzuciłem pistolet.

— Napij się pan — powiedział do mnie. I potem jak do dziecka, albo jak do kobiety: — Trzeba się uspokoić. Trzeba się uspokoić.

Podał mi butelkę i wypiliśmy mu ją prawie całą, prawie wszystko co tam zostało, a musiało być jeszcze sporo, bo ten stary nie pił tak dużo. I piłem tę jego brandy rozlewając ją na pierś, na koszulę. On wiedział co robi. Bo potem przyjechali ludzie z miasta, policja i doktor i słyszałem jak policjanci pytali go, co według niego mogło być przyczyną wypadku. I słyszałem jak mówi, że nie może powiedzieć na pewno, ale przypuszcza, że to dlatego iż piłem z Izaakiem przed lotem. Bo już wtedy miałem tę brandy we krwi a tamtego nie mogli zidentyfikować, bo po

prostu spłonął, nie istniał. To nie było głupie z jego strony: wiedział przecież, że jeśli powiem o wszystkim co było, o tym co powiedział Izaakowi — to teraz, kiedy byłem pijany zeznanie moje będzie bez wartości. Wtedy doktor wziął moją krew i policjanci spytali mnie, czy piłem razem z nim. I wtedy pomyślałem sobie, że przecież muszę powiedzieć, że tak. Bo może mi się uda wrócić jeszcze do latania, do tej firmy i wtedy będę mógł go spotkać i skończyć. A jeśli wyprę się i powiem, o wszystkim co się stało na lotnisku, to firma pozbędzie się mnie tak czy owak, a wtedy go już nie dostanę, tego, przez którego zginął. Więc stałem tam przed nimi i patrzyłem jak rozwalają resztki samolotu i usiłują wydostać jego ciało; a potem cofnęli się wszyscy ze wstrętem i dopiero po chwili ktoś rzucił na niego papierowy worek po *spray'u*. I powiedzieli, że trzeba to zrobić jakoś inaczej, ale nie powiedzieli jak. I wtedy policjanci zapytali mnie po raz drugi czy Izaak pił przed lotem podczas gdy któryś z nich wyszarpnął resztki parcianego pasa, który był zwęglony i jasność zachował tylko w dwóch miejscach; tam, gdzie zacisnęły się jego dłonie kiedy usiłował rozpiąć klamrę w ostatniej chwili działania zanim jeszcze płonąca benzyna nie chlusnęła na niego z pękniętego baku wypalając mu oczy i włosy. Więc wtedy szef podniósł ten pas i oglądał go i kiedy zapytali mnie po raz trzeci czy Izaak Eisenmann pił ze mną przed lotem i czy to mogło się stać przyczyną wypadku, powiedziałem patrząc na jego spokojną, surową twarz, której nie ukrywał wcale przede mną, ponieważ był pewien tego co powiem; tak, jak był pewien tego iż będę chciał wrócić do latania, a wtedy tylko on jeden będzie mógł załatwić coś takiego człowiekowi który miał już prawie czterdzieści lat; on i firma która będzie mogła to uczynić dla mnie w zamian za moje milczenie, w zamian za moją lojalność; więc wyciągnąłem do niego rękę, a on podał mi ten pas który zachował jeszcze temperaturę i wtedy, patrząc w te dwie białe plamy na zwęglonym pasie, powiedziałem:

— Tak.

Obudził go telefon; leżał chwilę nieruchomo usiłując ulec złudzeniu, że ten ktoś z drugiej strony zmęczy się i odłoży słuchawkę ale dzwonek nie ustawał; sięgnął po słuchawkę przewracając szklankę i rozlewając resztę który w niej została.

— Już szósta — powiedział portier. — Pan doktor kazał się obudzić.

— Tak — powiedział. — Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i popatrzył z rozpaczą na przewróconą szklankę i rozlaną brandy; i pomyślał, że będzie musiał teraz

— Czy ten facet nie będzie się rzucał, kapitanie? — za-
pytał jeden z policjantów.

— Nie — powiedział Zachavi.

— Nie wygląda na spokojniaka — powiedział policjant, a
Abakarow nie mógł sobie przypomnieć skąd zna jego głos i jego
twarz; twarz boksera z nosem niemal identycznie przełamany
jak nos Zachawiego. — Może by go lepiej skuć, kapitanie? —
powiedział słodko wpatrując się z zachwytem w ciemne przegu-
by Abakarowa.

— Nie — powiedział Zachavi.

Siedział potem w pustym pokoju czekając na Zachavie-
go, który przyszedł po chwili, niosąc kubek gorącej kawy. Pił
teraz patrząc na niego zmęczonymi oczyma i pomiędzy jednym
a drugim łykiem powiedział do Abakarowa:

— Tym razem już nie chodzi o tych wszystkich oszukanych
turystów, i o te awantury z nożem, i o ten kant w grę ze śle-
pym, Abakarow. Tym razem już nie mogę powiedzieć, że nie
udało mi się znaleźć człowieka, mówiącego po angielsku z rosyj-
skim akcentem, a który udaje ślepcę czy coś w tym rodzaju. Bo
wtedy, kiedy stało się to wszystko z Eisenmannem, to wszyscy
czuli, że było tam coś nie w porządku, i że to ciebie jakoś kop-
nęło. Chociaż nikt nie wiedział, jak to było naprawdę. I wszyscy
cieszyli się, kiedy znowu zaczęłaś latać. Ale tym razem sprawę
komplikuje trup, Abakarow.

— Umarł ktoś w porcie, kapitanie?

— Nie — powiedział tamten. — Nie w porcie. To w ta-
kiej jednej restauracji zdarzyło się nieszczęście. Tej nocy,
kiedy byłeś w szpitalu. W szpitalu, który znasz jak własną kie-
szeń. I gdzie dyżur miał twój kumpel Cohan który jest notorycz-
nym alkoholikiem i który także był pijany. A nie trzeba
mu dużo, żeby się upić. Wiesz zresztą chyba; w ciągu ostatnich
trzech lat byłeś w tym szpitalu jedenaście razy symulując roz-
maite choroby. Jedenaście razy, to dużo, żeby poznać taki szpital,
Abakarow.

— Przystań pan mówić takie straszne rzeczy, kapitanie —
powiedział Abakarow. — Powiedz pan lepiej, kogo ukatrupili.

— Więc nie wszystko było takie mądre jak myślałeś — po-
wiedział Zachavi. — Bo i ty uległeś też złudzeniu. Ludzie nie
wiedzą jednego: że zbrodnia jest naiwnością. Bo i jakież szanse
ma człowiek, który zabił jednego, czy dwóch, czy nawet trzech
ludzi wobec pięciu którzy będą pracować nad jego sprawą, a
każdy z tych policjantów ma za sobą dziesiątki takich spraw.
Więc to nie jest żaden pojedynek sprawiedliwości ze zbrodnią,

Abakarow. To tylko tak wygląda na sali sądowej, kiedy prokurator mówi swoje a adwokat stara się to obalić. Ale tu, na policji, nie ma żadnej gry. To tylko fach, nic więcej. I nie bardziej niebezpieczny od szewstwa. Przykro mi bardzo.

— Czy jestem aresztowany?

— I jeszcze jedna rzecz — powiedział tamten. — To, czego nie wiedzą sami przestępcy. Że w zbrodni jest coś bardzo ludzkiego. Czasami. — Odstawił kubek z kawą i sięgnął po papierosa. Bo czasami zbrodniarz myśli latami jak zabić i robi to tak, że niczego mu nie można udowodnić. Nawet tych pięciu policjantów, i sędzia, i prokurator. I to jest sukces. Ale sukces demoralizuje. Sukces stwarza niepokój, którego nie ma w kłęsce. Więc potem chce się dla własnego spokoju przekonać o perfekcji, w własnej perfekcji. I zabija drugi raz — źle, naiwnie. To tak jak bokser, który wygrał dobrze jedną walkę, a do następnej nie umiał się już przygotować. A potem leży na deskach i zaczyna coś rozumieć dopiero przy siedmiu kiedy sędzia rozczapierza mu palce przed nosem. I wtedy dopiero próbuje wstać.

— Czy tak bywało z panem, kapitanie? — zapytał Abakarow.

— Tak było chyba z tym człowiekiem — powiedział Zachavi. — Ten, który go zabił nienawidził go zbyt krótko i nie wiedział wszystkiego o nim. Nie wiedział na przykład tego, że tamten był po dwóch zawałach serca i że nie potrzebował wcale noża. Istnieje prawdopodobieństwo, że wystarczyłby mu sam szok — gdyby zabójca przestraszył go tylko, albo uderzył lekko. Istnieje takie prawdopodobieństwo, nawet duże — ale morderca o tym nie wiedział, spieszył się. Ten człowiek nosił przy sobie pastylki nitrogliceryny. Gdyby zabójcy starczyło charakteru — pomyślałby jak go zabić inaczej, bez noża. A w każdym razie nie zabijałby ciosem przez żołądek do serca. Bo taki cios nazywa się ciosem komandoskim. I wtedy zaczyna się automatycznie myśleć o ludziach, którzy byli w *commando*. Albo o ludziach, którzy byli zrzucający na tyły wroga, o sowieckich partyzantach. Albo o tych, którzy ich zrzucałi i którzy znali ich bojowe wyszkolenie.

— W tym mieście jest przynajmniej stu takich, którzy byli w *commando* — powiedział Abakarow.

— Ale nie należy wykraczać poza krąg prawdopodobieństwa, chociaż jest on praktycznie nieograniczony. Więc naprzód, żeby zamknąć ten krąg, trzeba szukać wśród ludzi którzy go znali. A nie znał go nikt. Tylko ty i pani Rodgers. I jeszcze jedno: musieliśmy otworzyć list, który przyszedł do niego później. To był list od pani Rodgers w którym ona pisze, że nie potrafi

zmienić swego stosunku do ciebie nawet wtedy jeśli jej pośle tyśiąc zdjęć z tobą, i że mógłby jej tego zaoszczędzić. Więc o jakież to zdjęcia chodziło? Chyba tylko o te, o których policja już wiedziała, bo sam je w swoim czasie sprzedawałeś. Ale nikt nie mógł oczywiście przewidzieć, że ta kobieta będzie cię kochać dalej, wiedząc o tobie to, co chciałbyś przed nią ukryć, tak jak każdy mężczyzna na twoim miejscu starałby się ukryć coś takiego. Więc nie pomyślałeś o tym; nie pomyślałeś po prostu o miłości. Bo przecież byś chyba nie zabijał?

— Gdybym był zabójcą, zabiłbym mimo tego — powiedział Abakarow. — I gdybym nawet będąc zabójcą wiedział o jego chorym sercu — to zabiłbym go tak jak został zabity; od dołu, przez żołądek do serca.

— Tak — powiedział Zachavi. — Może. W każdym razie jej list został dołączony do akt sprawy. Ta kobieta nie chciała źle. To w każdym razie jej osobista sprawa kogo kocha...

— Jeśli pan tak myśli, to proszę o tym nie mówić — powiedział Abakarow. — Jestem zmęczony. Która to godzina, kapitanie?

— Jedenasta — powiedział Zachavi. — Może trochę później. Mój zegarek źle chodzi.

— Zawołaj swoich ludzi — powiedział Abakarow. — Jestem zmęczony. Nie mogę spać od dwóch dni. Ten cholerny wiatr mnie dokańcza. Zawołaj ich. Nie mogę już dzisiaj więcej mówić.

— Tak — powiedział Zachavi. — Nie ma właściwie o czym więcej mówić. Istnieje przecież sprawiedliwość, ale dla nas, ludzi, istnieje jeszcze coś gorszego od sprawiedliwości: ta ironia z jaką można budować wypadki. Bo na przykład gdybyś ty był tym zabójcą, to mógłbyś się tłumaczyć, że miałeś wypadek po wielu latach nie latania i że ten wypadek przekreślił twoje szanse życiowe. I że przeżyłeś coś w rodzaju szoku, że znajdowałeś się w stanie podniecenia nerwowego — a wtedy sąd musiałby to wziąć pod uwagę. Każdy sąd na kuli ziemskiej. Bo i jakże nie wziąć pod uwagę takiego wypadku, w którym ginie szef lotniska — ten szef lotniska, który spowodował przyjęcie cię do pracy, który uważał cię za najlepszego lotnika i który faworyzował cię wyraźnie, co poświadczyli niechętnie inni piloci po tym wypadku. I nawet w dzień wypadku polecił tobie pierwszemu rozpocząć pracę, żeby ci dać jakieś moralne zadośćuczynienie za szykany zadawane ci przez innych kolegów. Więc nawet ci twoi koledzy upili się w nocy i prowokowali cię do awantury — ale nie dałeś się, byłeś twardszy, mądrzejszy od nich i nie chciałeś zawieść zaufania tego starego człowieka. Znajdowałeś się w stanie rozpaczy,

w stanie zmniejszonej poczytalności czynów. Wtedy mógłby oczywiście prokurator wystąpić z zarzutem, że człowiek, który nocą wymyka się spod kontroli lekarza aby zabić — zdaje sobie sprawę z tego co robi, ale adwokat mógłby cytować tysiące zbrodni popełnionych przez schizofreników i idiotów, którzy misternie budowali swoje zbrodnie będąc od lat chorymi ludźmi. I teza adwokata byłaby silniejsza, bo przecież na początku był wypadek samolotowy i śmierć człowieka, która cię wzburzyła. I ten fakt stanowiłby silniejszą antytezę. Człowiek powoduje śmierć, wraca do miasta, odchodzi od niego kobieta, z którą chciał rozpocząć nowe życie, wpada w szal i morduje. Więc zostałoby to zakwalifikowane jako zbrodnia popełniona w poczuciu zmniejszonej odpowiedzialności. I to jest właśnie ta ironia; te kurestwo pomiędzy tymi dwoma trupami, z których jeden zasłania drugiego.

— Pan by skazał na podstawie takich poszlak? — zapytał Abakarow. — Gdyby pan był sędzią?

— Tak, skazałbym — powiedział Zachavi. — Te poszlaki zostaną rozpracowane przez fachowców, a wtedy przestaną być już poszlakami, staną się faktami. Więc nie będzie już mowy o procesie poszlakowym, ponieważ sprawa zostanie udowodniona. Ale to już będzie źle dla zabójcy; źle, jeśli fachowcy będą musieli go szukać, pracować nad nim, jeśli dadzą mu zbyt dużo czasu. Bo najlepsze byłoby dla niego zjawić się samemu, w możliwie najkrótszym czasie, tak, żeby jego adwokat mógł na sprawie powiedzieć: Mój klient jest człowiekiem nieszczęśliwym, ale nie podłym. Oto zabił i przyznał się działając w jednym, nieprzerwanym szale. Ale kiedy zabójca zacznie się ukrywać i kluczyć miesiącami, to odpadnie ta możliwość. To wtedy noc spędzona z wariatem zacznie grać na opak: nie jako nieszczęście, lecz jako zbrodnia popełniona z premedytacją przez kogoś, kto zabijał już w swoim życiu i kto umiał się do tego choćby częściowo przygotować. I wtedy prokurator, który zażąda surowszego wymiaru kary jest górą. — Odsunął pusty kubek od kawy. — To dlatego jestem takim kiepskim policjantem — powiedział. — Bo po prostu nie lubię sprawiedliwości. Nie, nie lubię jej. Chciałbym, żeby Bóg zabijał nas, ludzi, od razu na miejscu naszych brudnych czynów. Bez sędziów i bez adwokatów. Ale jesteście chyba na to zbyt marni.

— Więc ona napisała do niego taki list? — zapytał cicho Abakarow.

— Tak. Czy chcesz go zobaczyć?

— Nie — powiedział. — Wierzę ci. To tylko okropne, że ten list jest teraz przeciw mnie. — Umilkł a po chwili powie-

dział: — Nigdy w życiu nie dostawałem żadnych listów miłosnych. Ale i nigdy o tym nie myślałem. Ten był jedyny, wiesz Zachavi? Ale też w końcu nie do mnie.

— Może ci ten list pomoże?

— Pomoże?

— Tak — powiedział Zachavi. — Adwokat będzie mógł powiedzieć, że tamten człowiek swoją intrygą doprowadził cię do takiego stanu. To wszystko będzie się liczyć, Abakarow. Wszystko.

— Gdyby ona nie przyjechała do tego miasta nie byłoby tego wszystkiego — powiedział. — Widzisz, to zawsze tak, kiedy kurwa miesza się do draki. To po prostu dlatego.

— Nie mów tak — powiedział Zachavi. — Nie masz dużo czasu. Nie bądź niewdzięczny, Abakarow.

— Lubiłem tego człowieka — powiedział Abakarow. — Nie wiem dlaczego. Może dlatego właśnie, że nikt go nie lubił. Lubiłem z nim mówić... czasami, w nocy, kiedy nie mogłem zasnąć. I chyba by jakoś stąd wyjechał. Bo każdy ma w końcu szansę tak długo, jak długo w nią wierzy. Ale on przestał nagle wierzyć i dlatego wyszedł, i dlatego go tamci skroili. A potem ja wyszedłem. — Siedział nieruchomo patrząc ponad głową policjanta swymi jasnymi, skośnymi oczyma na Haifę, na port. — I dlaczego mnie to musiało spotkać — powiedział. — Akurat mnie w tym mieście. Nigdy ich nie lubiłem. Bo mężczyzna nie pasuje czasem do mężczyzny, żeby nawet nie wiem jak chciał, żeby nie wiem jak się starał, ale jeszcze nigdy nie widziałem żeby kobieta nie umiała przypasować się do mężczyzny jeśli tego chce. To jak te ich macice, Zachavi, w które każdy może wejść, ale których żaden nie może zniszczyć. Każdy, wiesz? Bo one nie czują nawet wstrętu, który czuje mężczyzna. A jeśli nawet czują, to można je zmusić, zgwałcić, wejść w nie siłą — to czego nie można zrobić z mężczyzną, nawet torturą, nawet śmiercią. Więc czasem sobie myślę, że gdybym miał córkę to bym chyba tego nie przeżył, to chyba bym zwariował albo starał się ją zabić. — Znowu milczał patrząc na dalekie światło chyboczące się na morzu. — Ale nie będę miał już córki — powiedział. — Ale i nie chciałbym jej mieć. — Odwrócił się nagle ku niemu: — Masz córkę, Zachavi?

— Tak.

— Masz jej zdjęcie.

— Tak.

— Pokaż.

Policjant wyciągnął portfel, ale zawahał się nagle i schował go do kieszeni.

— Nie — powiedział. — Nie pokażę ci.

— Podobna do ciebie?

— Jak może być do mnie podobna — powiedział Zachavi.
— Nie ma przecież złamanego nosa, ani naderwanych uszu, ani rozbitych brwi.

Milczeli teraz obaj patrząc na światło wpływającego okrętu. Był jeszcze daleko; syrena ryczała cichym basem podczas gdy pilot płynął szybko ku statkowi chybotząc się na wysokich falach.

— Co to za okręt? — zapytał Abakarow.

— Nie wiem — powiedział Zachavi. — Może przywiózł nowych ludzi. A może to tylko tankowiec.

— Może to ten, którym miałem odpłynąć — powiedział Abakarow. — Ale chyba jeszcze nie ten.

— Idź teraz — powiedział Zachavi.

— Mam iść?

— Tak — powiedział Zachavi. — Idź. Ale najdalej jutro o pierwszej przyjdź tutaj sam i powiedz wszystko jak było. Tak będzie lepiej dla ciebie. Ale nie później jak o pierwszej. Bo potem będę musiał po ciebie przyjechać, a to już nie będzie dla ciebie dobre. — Wyciągnął z szuflady arkusz papieru i położył go przed nim. — A teraz podpisz to — powiedział.

— Cóż to jest?

— Nic. To tylko dla ciebie i dla mnie. Chodzi po prostu o to, że masz zwróconą z powrotem licencję. W tej sprawie cię wezwałem. Ci eksperci od latania oddają ci ją z powrotem, ale nikt nie wiedział gdzie mieszkasz. Więc przekazali sprawę policji.

— I co tam piszą? — zapytał Akakarow nie ruszając się z miejsca.

— Przeczytać ci?

— Tak.

— No więc... Komisja zebrała wszystkie dane dotyczące lotu i maszyny i po wszechstronnym zbadaniu sprawy doszła do wniosku, że defekt silnika nastąpił na skutek zanieczyszczenia filtra paliwowego co spowodowało przerwę w pracy silnika. Stało się to na skutek złej jakości benzyny, która mogła być zanieczyszczona, lub na skutek niedostatecznej jakości filtra — i tak dalej. Śmierć tego człowieka nastąpiła na skutek zgniecenia podstawy czaszki, którą uderzył podczas kiedy maszyna na skutek oporu wody przewróciła...

— Przekapotowała — powiedział Abakarow.

— Tak. Przekapotowała. Komisja stwierdza, że śmierć nastąpiła z winy tego człowieka, ponieważ nie zastosował się do wskazówek pilota i rozpiął pas na chwilę przed lądowaniem na

wodzie, której opór wyrzucił go z fotela co spowodowało uderzenie. Mimo bohaterskiej akcji pilota, który trzykrotnie nurkował...

— Dość.

— Potrafią kryć sprawy, co? — powiedział Zachavi. — Firma nie zapłaci ani grosza odszkodowania. Nie będzie winnego. — Wstał, nałożył czapkę, ale Abakarow nie ruszał się jeszcze z miejsca.

— Przecież mógł pan do mnie przyjechać do hotelu — powiedział. — Dlaczego pan tego zrobił?

— Musiałem cię wezwać tutaj — powiedział Zachavi. — A teraz idź już. I przyjdź jutro o pierwszej.

— To pan to mówi, kapitanie — powiedział Abakarow. — Ja jeszcze niczego nie powiedziałem. Ja nie powiedziałem, że go zabiłem.

— Tak — powiedział Zachavi. — Jeszcze tego nie powiedziałeś. Ale nawet jeśli byś to powiedział to i tak nie będzie prawda. Wielu ludzi zabiło ich wszystkich; Eisenmanna, Andersona, Stana i tego grubego biedaka. Nie tylko ty. Jednego z nich ja zabiłem. — Znow wstał od stołu i przeszedł po pokoju. — To jest moja ostatnia sprawa — powiedział. — Jutro podaję się do dymisji.

— I co będziesz robił?

— Nie wiem — powiedział Zachavi. — Ale to mnie obchodzi najmniej ze wszystkiego. — Położył rękę na ramieniu Abakarowa. — Twoja idea była dobra — powiedział. — To było coś nowego i nie myślę, żebym spotkał po raz drugi takiego jak ty. Nie, na pewno nie. Gdybyś milczał, gdybyś udawał że wszystko jest z tobą w porządku — może by cię w ogóle nie przyjęli do tej pracy. Ale ty wiesz dobrze, że najlepiej być mądrym udając głupca. I to właśnie dlatego, przez trzy lata, mówiłeś wszystkim, którzy chcieli cię słuchać, że chcesz zabić tego człowieka. Dlatego nikt nie wziął cię na serio. To było dobre. To było mądre. Nawet ja, którego pytali czy można wydać licencję człowiekowi który siedział ileś tam razy w domu dla wariatów, powiedziałem że tak, że trzeba wydać. Myślałem, że to będzie dla ciebie najważniejsze; że wrócisz do latania i będzie spokój.

— Pytali cię o to? — powiedział Abakarow.

— Idź teraz — powiedział Zachavi. — I nie pytaj mnie. Wystarczy, jeśli ja ciebie jutro zacznę pytać. Zostaw mi tylko swój paszport.

— I nie boisz się, że zniknę? — powiedział.

— Z tego kraju można tylko wyjechać przez port w Haifie albo przez lotnisko — powiedział Zachavi. — A do tego potrzebny jest paszport.

— Jest jeszcze pustynia — powiedział Abakarow. — I kraje Arabskie.

— I ty myślisz naprawdę, że Arabowie ukryją człowieka, który zabił Niemca? — powiedział Zachavi. — Niemca, który był z Rommlem pod El Alamein. A co by się stało, gdyby Niemcy rozpieprzyli wtedy Monty'ego? Powinieneś znać te sprawy. Jesteś tu wystarczająco długi. A Anderson jest Niemcem, Abakarow.

— Był — powiedział Abakarow.

— To zależy od punktu widzenia — powiedział Zachavi. — W krajach, gdzie istnieje kara śmierci, zabity żyje tak długo jak długo żyje morderca. Przynajmniej dla policjanta, który prowadzi tę sprawę. O tym także powinieneś wiedzieć.

— A teraz, wy Żydzi będziecie mnie sądzić za zabicie Niemca, który szedł przez El Alamein żeby was mordować? — powiedział Abakarow.

— Powiedziałem ci już, że nie lubię sprawiedliwości — rzekł tamten. — I nie polubię jej nigdy. Myślę, że Bóg jej też nie lubi. Ale nie wolno mi teraz bluźnić. Teraz, kiedy widzę nieszczęśliwego.

— Jak pan się przedtem nazywał, Zachavi? — zapytał Abakarow.

— Goldmann — powiedział tamten. — Pytałeś mnie już kiedyś o to.

— Tak — powiedział Abakarow. — Nie gniewaj się. Zapomniałem. Ale teraz już nie zapomnę, Goldmann. — Wstał z krzesła i podszedłszy do okna zaczął się śmiać a tamten patrzył jak jego długie i szczupłe ciało skręca się przy tym w pustym, złym śmiechu bez radości.

— I z czego się tak śmiejesz? — zapytał po chwili Zachavi.

Tamten obrócił ku niemu twarz.

— Nic — powiedział. — Bo po prostu myślałem o czymś. O tym, co ludzie myślą. Że jedni różnią się czymś od drugich.

Widział niewyraźnie jej twarz poprzez rozedrgane powietrze; tak, jak patrzył czasami na morze, którego linia falowała, łamała się w gorące dni; i tak, jak patrzył na góry, których wierzchołki były wiecznie nieostre, zamazane niby na kiepskiej fotografii, zrobionej przez kogoś w dzień bez światła; przez kogoś, komu drgały ręce lub przesunął się statyw — a teraz, z odległości trzech kroków nie widział jej twarzy dość wyraźnie, chociaż siedziała nieruchomo, z rękami złożonymi na stole i wyglądała bardziej na chłopca ze starego portretu; ze swoją czujną,

zmęczoną twarzą, krótkimi, ciemnymi włosami i oczyma odrobinę zbyt szeroko rozstawionymi; co zauważył dopiero teraz, kiedy już usta i jej oczy były nie umalowane; a twarz jej drgała przed jego oczami w białym, nieprawdopodobnym blasku.

— Spróbuj — powiedziała. — Przecież możesz chyba spróbować.

— Nie — powiedział. — Nie czułem tego nigdy. Nigdy, aż do dzisiejszego dnia. Przez całe trzynaście lat. To jest jeden z pięćdziesięciu dni, kiedy wieje ten wiatr. Mówię ci: nigdy nie czułem tego. Ale i to musiało w końcu przyjść.

— Więc chcesz tak leżeć i czekać aż oni przyjdą?

— Tak — powiedział. — Nie wstanę. Nie mogę wstać. Wielu ludzi na to cierpi.

— Wstań — powiedziała. — Pomogę ci. Możesz się oprzeć o mnie. A na dole zawałam taksówkę.

Patrzył na nią skośnymi, jasnymi oczyma, w których nie mogła dostrzec — pochylona ku niemu i czujna — ani odrobiny zainteresowania dla tego co mówiła; oczy jego pozostawały zimne, aż do arogancji obojętne, w odróżnieniu od jego zmęczonej, wykrzywionej twarzy; oddychał teraz ciężko, z wysiłkiem i widziała krople potu spływające po jego czole; powoli pokonywujące zmarszczkę po zmarszczce a wtedy ocierała jego twarz starając się unikać zimnych, jasnych oczu, patrzących obojętnie ponad jego głową.

— I dokąd mam iść, Katarzyno? — zapytał.

— Spróbuj — powiedziała. — Przecież innym się udaje. Może to tylko kwestia pieniędzy. Ukryjesz się i kupisz sobie jakiś paszport. — Znów; już po raz czwarty wyciągnęła ku niemu gazetę, którą przyniosła z sobą; lecz nie wyciągnął po nią ręki. — Ten człowiek nazywał się Tommy Blind — powiedziała. — I uciekł. Dlaczego tobie miałyby się nie udać?

Patrzył na firankę wiszącą w oknie tak nieruchomo, jakby to był kawał mokrego płótna żaglowego a nie lichej, wiotkiej perkal; spróbował podnieść się na łóżku ale nie zdołał, zakręciło mu się w głowie; znów leżał nieruchomo czując nieprawdopodobny, suchy pot, który chciało wydzielić jego ciało, w którym nie było ani odrobiny wody po trzech miesiącach upału i suszy, teraz, w środku lata; i ten pot podrażnił jego skórę jak prąd.

— Nie — powiedział patrząc na firankę. — Nie mogę już dłużej uciekać. Uciekam już siedemnaście lat. To akurat tyle, żeby się urodzić, zostać mężczyzną i móc już kochać. — Znów odwrócił głowę; widział jej twarz gdzieś poza ścianą gorącą; twarz doskakującą nagle ku niemu i oddalającą się wraz z dzikimi, gorącymi uderzeniami krwi. — Nie — powiedział. —

Znam już to. Eisenmann, Herman, i jeszcze całą kupę innych. Ale nikt nie ucieka. Żaden człowiek nie ucieka naprawdę.

— Masz jeszcze dwie godziny — powiedziała. — Jest już jedenasta.

— Tak — powiedział. — A o pierwszej też będzie gorąco. Może nawet goręcej jak teraz. To jest dla mnie najgorsze. Kiedy myślę o tych schodach, którymi będę musiał zejść. A już wcale nie mogę myśleć o tym, co będzie na ulicy.

— To dlatego, że w tym przeklętym kraju nie ma kary śmierci — powiedziała. — To tylko dlatego. Czy nie możesz jeszcze raz być mężczyzną? Ty, który byłeś na wojnie. Ty, który zabiłeś dwóch ludzi.

— Nie — powiedział. — Nie dzisiaj. Nie zabijałem ich przecież w taki dzień.

Wstała i podeszła do niego.

— Więc pozwól mi — powiedziała. — Tylko tyle. Pozwól mi przywieźć ci pieniądze i sprowadzić taksówkę. A potem ukryjesz się gdzieś, a ja będę starała się przekupić jednego z tych kapitanów statków i potem będziesz mógł wyjechać. Pozwól mi tylko spróbować.

— Nie — powiedział. — Nie ma czego próbować. I dlaczego akurat miałabyś to dla mnie robić? Dlaczego akurat ty?

— Nie wiem — powiedziała. — Może dlatego że jestem przy tobie teraz. A może dlatego, że jestem w jakiś stopniu odpowiedzialna...

— Odpowiedzialna? — powiedział. — Ty? — Usiadł na łóżku; siedząc z głową opartą na rękach patrzył na nią przez chwilę, potem podniósł głowę. — Odpowiedzialna — powiedział. — To nie to. To tylko dlatego, że zestarzałaś się. I że nie masz dziecka i nigdy go nie będziesz mieć. I to już wszystko, na co możesz liczyć naprawdę. Zrobiłem z ciebie kobietę, ty kurwo. Wypłakałaś to, wyrzeszczałaś. A ja jestem jeszcze starszy od ciebie i też już nigdy nie będę mieć dziecka. A teraz zostaw mnie i wyjdź stąd.

— Tak — powiedziała Katarzyna. — Tylko nie wychodź z pokoju. Czekaaj tutaj na mnie dopóki nie wrócę. To wszystko. Przysięgnij mi.

— Cóż ci mam przysięgnąć?

— Że nie wyjdiesz stąd, dopóki ja nie wrócę?

— Przysięgam ci — powiedział. — Przysięgam ci na twój pusty, zniszczony brzuch, w którym nie ma już krwi i który nigdy nie wyda dziecka. Czy wierzysz mi teraz?

— Tak — powiedziała. — Wierzę ci. Zawsze ci wierzyłam.

Zeszła szybko na ulicę i prawie pędem pobiegła do taksówki, która stała na rogu. Powiedziała taksówkarzowi adres hotelu i oparta plecami o gorące siedzenie patrzyła na ulicę wolno przesuwającą się przed jej oczami; na ludzi z których niektórzy osłaniali głowy gazetami i którzy starali się przechodzić blisko murów — tam, gdzie znajdował się wyimaginowany cień i wyimaginowany chłód. A potem patrzyła na kark kierowcy; na jego spaloną szyję, którą osłaniał chustką do nosa zatknietą za kołnierzyk i na grube krople potu spływające po jego ciemnych policzkach.

— Proszę jechać trochę szybciej — powiedziała. Przejechali obok bramy portu i spojrzała na zegar pokazujący jednocześnie czas lokalny i czas Greenwich. — Proszę się pośpieszyć.

— To kosztuje prawo jazdy — powiedział.

— Czy może pan poczekać na mnie przed hotelem?

— Nie — powiedział. — Na całej ulicy obowiązuje zakaz parkowania.

Wbiegła do pokoju i wybiegła po chwili wrzuciwszy tylko książeczkę czekową do torebki; potem znów stała na ulicy podczas gdy portier poszedł szukać taksówki i starała się nie myśleć o minutach, które przechodzą; tak, jak spóźniony pasażer jadący na stację w minutę po odejściu pociągu wciąż jeszcze wierzy w różnicę czasu, którą wskazują poszczególne zegary; a potem znów siedziała obok kierowcy patrząc na zegarek — bezkształtną bryłę żółtkłego niklu, połyskującą na jego prawym przegubie. Skręcił w boczną, idącą pod górę ulicę i jechał wolno za ciężarówką pełną rozspiewanych żołnierzy, którzy machali ku niej rękami.

— To dlatego, że tu nie ma kary śmierci — powiedziała z rozpaczą. — To dlatego nie mogę go uratować.

— Co pani mówi? — zapytał się szofer.

Weszła do banku o godzinie wpół do dwunastej a młody człowiek w okienku któremu podała swój czek począł jej wypisywać kwit.

— Po cóż mi to — powiedziała. — Potrzeba mi tylko pieniędzy.

— Tak — powiedział. — Ale przecież musi pani otrzymać kwit, jeśli pani deponuje czek. Inaczej nie otrzyma pani pieniędzy.

— Deponować czek?

— Może je pani otrzymać za dziesięć dni — powiedział. — Przecież musimy sprawdzić pani konto.

— Muszę je mieć za pół godziny — powiedziała. — Czy nie może pan sprawdzić telefonicznie mojego konta?

— Tak — powiedział. — Na pani koszt.
— To przecież oczywiste.
— Więc proszę przyjść jutro — powiedział. — Przypuszczam, że jutro rano otrzymam rozmowę, jeśli ją teraz zamówię. Jak pani zapewne wie, mamy tylko łączność radiową z Europą. Będziemy musieli czekać swojej kolejki. — Spojrzał na nią. — Nie powinienem tego mówić — powiedział. — Ale jeśli uzyska pani zgodę szefa oddziału, to będzie można sprawdzić pani konto przez telex

— Ile to potrwa?

— Trudno powiedzieć — rzekł. — Ale może w ciągu godziny...

— Czy może pan mi w tym pomóc?

— Mogę spróbować — powiedział. — Proszę zaczekać. — Zamknął okienko i wrócił po paru chwilach. — Tak — powiedział. — Proszę przyjść za godzinę.

— A wcześniej.

— To bezcelowe — powiedział. — Proszę mi wierzyć, że zrobiłem wszystko co w mojej mocy.

— Więc cóż robić? — zapytała bezradnie.

— Proszę iść do kawiarni — powiedział urzędnik. — I proszę wrócić za godzinę. Miejmy nadzieję, że telex zrobi swoje.

Siedziała potem na tarasie jakiejś kawiarni, ogarnięta dręczącym poczuciem, że była już tutaj kiedyś poprzednio, że mówiła tu kiedyś z kimś o czymś — ale nie mogła sobie przypomnieć kto to był i kiedy to było. Myślała o mężczyźnie leżącym na łóżku i o stercie niedopałków gromadzącej się na kamiennej posadzce obok jego łóżka; w tym miejscu gdzie bezwładnie zwiślała ciemna ręka z papierosem — podczas gdy popielniczka stała może o dziesięć centymetrów dalej. I myślała jeszcze o odgłosie jej bosych stóp i stóp mężczyzny uderzających o kamienną posadzkę; myślała o tym, iż posadzka ta nigdy nie była chłodna, że zachowywała ciepło przez całą noc, i że stopy ich zostawiały na kwadratowych kamieniach miękkie ślady, które znikwały po chwili wessane jakby przez ciepło, przez noc. Patrząc w pustą, białą ulicę myślała o jego wąskich, twardych ustach, wykrojonych ogniem papierosa, które widziała budząc się czasem w nocy; i pomyślała, że nigdy by z nim nie mogła mieć dzieci gdyż ciało jego było gorące, nieprawdopodobnie gorące i suche, i przypomniała sobie, że jedna z jej koleżanek powiedziała jej, iż mężczyzna i kobieta muszą mieć jednakową temperaturę ciała; tak, żeby nasienie mężczyzny mogło żyć w jej ciele. Nie pytała o to nikogo i nigdy, ale teraz siedząc w słońcu ze szklanką po alkoholu, która była już pusta, pomyślała sobie

iż była to prawda i starała się odgadnąć wysokość tej piramidy niedopałków, gromadzącej się wokół łóżka na którym leżał oczekując policji, podczas gdy jego koszula którą wyprał poprzedniego wieczoru suszyła się na oparciu krzesła.

Dwóch Żydów siedzących z tyłu za nią kłóciło się namiętymi i napiętymi głosami. Nie wyglądali na tutejszych; nosili kolorowe koszule w hawajskie wzory, byli tędzy i mieszały z cudowną łatwością yidisch i angielski.

— *Wust kostet?* — mówił jeden.

— *Eine.*

— *Eine ganze?* — powtórzył rozdzierającym głosem.

— *Eine ganze* — odpowiadał drugi.

— *Wus a gescheft?*

— *A holz.*

— *A holz?*

— *A holz.*

— *And what about Pferdmann?*

— *Pferdmann ist einverstanden.*

— *Thats the guy from Kongo?*

— *Nu?*

— *But we lost Kongo. I'm reading the news-papers too.*

What a pity. It was the richest country, and now we lost it. Pferdmann hat nichts zu tun mit diesem Gescheft. He is a crook. Wus kostet dus? Eine halbe?

— *Eine ganze* — mówił drugi. Przerwali nagle kłótnię; patrzyli jak przechyla szklankę ginu i pije go jednym łykiem — siedząc w słońcu, twarzą do słońca i nie zmrużywszy oczu; i jednocześnie wykonali gest wstrętu i dezaprobaty.

Zamówiła jeszcze jeden gin i potem patrzyła na dzieci, które rzucały się wzajemnie do wody; i wtedy przypomniała sobie, iż siedziała tu już kiedyś i śmiała się patrząc na ich szczupłe, brązowe ciała, z których żadne nie było jeszcze ukształtowane i z których każde stanowiło równą obietnicę — i na ich prawdziwą, męską zaciętość z jaką starali się bronić przed wepchnięciem do wody, chociaż byli z góry przeświadczeni o daremności oporu. I teraz patrzyła jak dwóch malców wrzuca trzeciego i jak wrzask jego urywa się wraz z pluskiem wody. „Może poproszę go o to”, pomyślała. Może starczy mi siły. Nie mnie, jemu. To nie o pieniądze chodziło. O to, żeby przyjść i zobaczyć co można uczynić przeciw własnemu tchórzostwu. Dziwnych rzeczy można się nauczyć czasami od dzieci”.

Poszła do taksówki, która czekała na rogu i obudziła kierowcę. Podała mu adres hotelu.

— Załatwiła pani wszystko? — zapytał.

— Tak — powiedziała. — Która to godzina.
— Za dwadzieścia pierwsza — powiedziała. — Będzie pani potem jechać na lotnisko?
— Nie wiem — powiedziała. — Czy będzie pan mógł na mnie zaczekać przed hotelem?
— Tam jest wzbroniony parking — powiedział. — Mogę zaczekać na następnym rogu. To tylko sto metrów.
— Tak — powiedziała. — Dobrze. Która to godzina?
— Za dwadzieścia pierwsza, madame — powiedział podsuwając jej przed oczy zegarek.
— I tak bym nie zdążyła — powiedziała. — Nie, na pewno nie.

Wysiadła przed hotelem i poszła szybko na górę nie czekając na windę, przy której stało kilkanaście osób. Otworzyła drzwi pokoju i nie zamknąwszy ich sięgnęła po ciemną teczkę Andersona; wyrzuciła z niej stos zapisanego na maszynie papieru i przez krótką chwilę stała nieruchomo z ciężkim rewolwerem Colt-Cobra w ręku. Potem wrzuciła go do torebki i zesłała na dół spojrzawszy na zegar umieszczony nad recepcją: była godzina za piętnaście pierwsza.

— Niech pan się pośpieszy — powiedziała do kierowcy. — Muszę teraz zdążyć inaczej.

Wjechali w ulicę w tej samej chwili: taksówka i policyjny jeep i hamulce ich zazgrzytały jednocześnie. Wysiadła z taksówki; nie widziała jeszcze ich twarzy, jeszcze nie rozróżniła ich — ale instynkt kazał zwrócić się jej do jednego z nich i dopiero po chwili uświadomiła sobie, iż zna tę twarz; i że ten właśnie człowiek przesłuchiwał ją po śmierci Andersona, o której dowiedziała się jako ostatnia w tym mieście — po długim, ciężkim śnie przywołanym alkoholem.

— Czy pozwoli mi pan pożegnać się z tym człowiekiem? — zapytała.

— Przykro mi, madame — powiedział. — Ale to nie będzie możliwe. Dostałem nakaz aresztowania i nie wolno mi dopuścić do kontaktów podejrzanego z innymi ludźmi.

— Ten człowiek nie jest podejrzany — powiedziała. — I pan to wie.

— Mam rozkaz aresztowania — powiedział. — A dałem mu przedtem czas. Nic więcej nie umiem już dla niego zrobić.

— Odejdźmy na bok — powiedziała. — Chciałabym panu coś powiedzieć.

Odeszli w bok podczas gdy policjanci siedzieli nieruchomo z rękami na kolbach pistoletów.

— Niech pan posłucha — powiedziała. — On mi mówił często o panu. Wiem, że pan był jego przyjacielem. Ten człowiek ma broń, kapitanie. I zna go pan na tyle, żeby wiedzieć, iż będzie się bronić. Niech pan mi pozwoli pójść do niego i przekonać go. Być może, że istnieje jeszcze dla niego jakaś szansa i nie powinien jej niszczyć.

— Skąd pani wie o tym? — zapytał.

— Byłam u niego już dzisiaj.

— Czy pokazywał pani broń? Czy mówił tylko o tym?

— Może istnieje jeszcze jakaś szansa — powiedziała. — Niech pan mu pomoże. Wbrew rozsądkowi. I wbrew rozkazom. On mi mówił, że pan był bokserem. Najlepszym w tym kraju. On mi to mówił. Nie raz. On.

— Tak — powiedział. — Dobrze. Proszę do niego pójść. I proszę mu powiedzieć, żeby wyrzucił broń przez okno. I niech pani przypomni mu o jeszcze jednym: że z tego hotelu jest tylko jedno wyjście.

— Tak — powiedziała. — Powiem mu o tym.

Zachavi odwrócił się.

— Załóżcie maski — powiedział do policjantów. — I weźcie pistolet gazowy. I nie strzelajcie dopóki wam nie powiem. — Umilkł a po chwili powiedział: — Dopóki ja nie strzelę.

— Co pan do nich powiedział? — zapytała.

— Powiedziałem im, żeby nie strzelali — rzekł. — Dopóki ja nie strzelę.

Patrzyła na policjantów cofających się w cień, pod mur i zakładających maski na twarze.

— Tak — powiedziała do niego. — On mi mówił często o panu. A teraz nie chce pan ryzykować ich życia, prawda? Woli pan zostać z nim sam na sam. Bo pan jest przecież odpowiedzialny za ich życie?

— Pani nie ma dużo czasu — powiedział. — Proszę już iść. — Jego twarz drgnęła żałościwie kiedy patrzył za nią a potem odwrócił się i powiedział do policjantów: — Powiedziałem wam już, żebyście schowali broń. Weźcie tylko pistolet gazowy.

Jeden z nich podszedł ku niemu.

— Ja tam stanę w tym korytarzu, kapitanie — szepnął. — Znam ten hotel. Nie będzie mnie widział z tyłu. A jak sięgnie po broń to go rozpierdolę. Z tyłu.

— Nie — powiedział Zachavi. — Włóż maskę i wracaj na miejsce.

— Niech pan mi pozwoli — powiedział tamten miękkiem, dziecięcym głosem. — Zapierdolę go z tyłu, kapitanie. Byłem tam, mówię panu.

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 10 FEVRIER 1964
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1964

Inst. Liter. Perry

17 - XII - 65

16,50 F. (24/6 sh.; dol. 3,50)

2